

Nicky Cruz
oraz
Jamie Buckingham

Nicky Cruz opowiada

Uciekaj mały, uciekaj



Instytut Wydawniczy Agape
Warszawa 2005

Tytuł oryginału:

Run baby, run

Autorzy:

Nicky Cruz

oraz

Jamie Buckingham

Przekład:

Ryszard Zabrzęski

Redakcja:

Ludmiła i Kazimierz Sosulscy

Projekt okładki:

Monika Myszkal

Copyright © 1968 by Nicky Cruz and Jamie Buckingham

Copyright for the Polish edition

© 2005 by Instytut Wydawniczy AGAPE
ul. Sienna 68/70, 00-825 Warszawa, Poland
tel. (022) 729 13 07; e-mail: agape@kz.pl

Wydanie pierwsze

ISBN 83-85427-55-4

Przygotowanie i druk:

ARKA Wydawnictwo i Poligrafia, Cieszyn

e-mail: arka@arkadruk.pl

www.arkadruk.pl

Printed in Poland

Nicky Cruz opowiada

Rozdział 1

Nikogo nie obchodzę

Ktoś krzyknął: Złapcie tego zwariowanego szczeniaka!

Gdy tylko otwarto drzwi samolotu *Constellation* należącego do linii lotniczych Panam, pomknąłem schodkami w dół i dalej, w kierunku budynku nowojorskiego lotniska Idlewild. Działo się to 4 stycznia 1955 roku i zimny wiatr szczypał mnie w policzki i uszy.

Kilka godzin wcześniej mój ojciec wprowadził w San Juan mnie, zbuntowanego piętnastoletniego portorykańskiego chłopaka, na pokład tego samolotu. Poleciwszy mnie opiece pilota, nakazał mi siedzieć w samolocie, dopóki nie zgłosi się po mnie mój brat, Frank. Ale gdy otwarto drzwi, pierwszy wybiegłem z samolotu i co sił w nogach pomknąłem po betonowej płycie.

Trzej ludzie z obsługi lotniska dopadli mnie i przygwoździli do siatki ogrodzenia przy wyjściu. Przez moje lekkie ubranie z cieplej strefy klimatycznej przenikał lodowaty wiatr, a ja starałem się wyswobodzić. Dyżurujący przy wyjściu policjant chwycił mnie za ramię i pracownicy linii lotniczych spiesznie wrócili do swoich zajęć. Traktowałem to wszystko jak zabawę i spojrzawszy na policjanta, uśmiechnąłem się do niego.

– Ty zwariowany Portorykańczyku! Co sobie do diabła wyobrażasz? – krzyknął policjant. Wyczułem w jego głosie nienawiść i uśmiech zamarł mi na ustach. Grube policzki policjanta były zaczerwienione od chłodu, a oczy łzawiły mu od wiatru. W obwisłych wargach podskakiwało nie zapalone cygaro. Nienawiść! Poczułem jak napełnia moje ciało. Taką samą nienawiść czułem do mojego ojca i matki, do nauczycieli i do policjantów w Porto Rico. Nienawiść!

Próbowałem mu się wywinąć, ale trzymał mnie żelaznym chwytem.

– No, szczeniaku, wracaj do samolotu.

Popatrzyłem na niego i splunąłem.

– Ty świni! – warknął. – Brudna świni!

Rozluźnił uchwyt i próbował złapać mnie za kark. W tym momencie dałem nurka pod jego ramieniem i skoczyłem przez otwartą bramkę na teren otaczający dworzec lotniczy.

Usłyszałem za plecami krzyki i tupot nóg. Pomknąłem długim chodnikiem, zygzakami omijając ludzi tłumnie spieszących do samolotów. Nagle znalazłem się w hali dworca. Poszukałem wzrokiem drzwi wyjściowych, przebiegłem halę i wyskoczyłem na ulicę.

Przy krawężniku stał wielki autobus z otwartymi drzwiami i pracującym silnikiem. Przepchnąłem się przed wsiadających do niego ludzi. Kierowca złapał mnie za łokieć i zażądał opłaty za przejazd. Wzruszyłem ramionami i odpowiedziałem po hiszpańsku. Kierowca bezceremonialnie wypchnął mnie z kolejki, zbyt zajęty, by tracić czas ze smarkaczem, który ledwo rozumie po angielsku. Gdy zwrócił się do grzebiącej w torebce kobiety, schyliłem się i poza jej plecami przemknąłem do zatłoczonego autobusu. Spojrzawszy przez ramię, by upewnić się, że kierowca mnie nie widzi, przepchnąłem się do tyłu i usiadłem koło okna.

Gdy autobus ruszył, zobaczyłem jak z budynku dworca lotniczego wybiega ten gruby policjant i wszyscy rozglądają się dookoła. Nie mogłem się powstrzymać i śmiejąc się do nich przez szybę, zastukałem w okno i pomachałem ręką.

Potem opadłem na siedzenie, wsparłem kolana o oparcie fotela przede mną i przycisnąłem twarz do zimnej brudnej szyby.

Autobus przeciskał się przez zatłoczone nowojorskie ulice w kierunku centrum miasta. Widziałem przez okno leżący na ziemi brudny błotnisty śnieg. Zawsze wyobrażałem sobie śnieg jako coś czystego i pięknego, zmieniającego krajobraz w bajkową krainę. Ale ten śnieg był obrzydliwy, jak brudna papka z rozgotowanych ziemniaków. Szyba zamgliła się od mojego oddechu. Wyprostowałem się i pociągnąłem po niej palcem. To był świat zupełnie różny od tego, z którego przyjechałem.

Myślami przeniosłem się w dzień wczorajszy, kiedy stałem na zboczu wzgórza przed naszym domem. Przypominałem sobie zieloną trawę pod stopami upstrzoną pastelowymi kropkami malutkich kwiatków. Łąka prowadziła wzrok ku położonej poniżej w dolinie wsi. Przypominałem sobie łagodny wiatr muskający moje policzki i ciepłe słońce grzejące opalone plecy.

Puerto Rico to piękny kraj słońca i bosych dzieci. To kraj, w którym mężczyźni nie noszą koszul, a kobiety leniwie przechadzają się w słońcu. Dniem i nocą słychać blaszane bębny i dźwięki gitar. To kraj śpiewu, kwiatów, roześmianych dzieci i roziskrzonej, błękitnej wody. Ale jest to również kraj guseł, czarnej magii, przesądów religijnych i wielkiej ciemnoty. Nocami z porośniętych palmami gór, gdzie czarownicy wykonywali swoje rzemiosło składając ofiary i tańcząc w migotliwym świetle ognisk, płynęły dźwięki bębnów *voodoo*¹.

Moi rodzice byli spirytystami. Zarabiali na życie wypędzając demony i rzekomo kontaktując się z duszami zmarłych. Ojciec budził strach wśród mieszkańców całej wyspy. Miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt i barczyste pochylone ramiona, dlatego wypiarze nadali mu przydomek *Wielki*. Był ranny w czasie drugiej wojny światowej i otrzymywał od państwa rentę, ale w rodzinie było do wykarmienia siedemnastu chłopców i jedna dziewczyna, toteż po wojnie, żeby zarobić na życie, ojciec zajął się spirytyzmem.

Matka pracowała z nim jako medium. Nasz dom był miejscem, w którym odprawiano wszelkiego rodzaju czary, obrzędy *voodoo* i seanse spirytystyczne. Setki ludzi przybywały do nas z całej wyspy, aby brać udział w tych seansach i w sesjach medytacyjnych.

Z naszego wielkiego domu na szczycie wzgórza kręta ścieżka prowadziła do małej, sennej, ukrytej w dolinie wioski La Piedras. Wieśniacy wspinali się tą ścieżką o wszelkich porach dnia i nocy, aby dotrzeć do „domu czarownika”. Chcieli rozmawiać z duchami zmarłych, uczestniczyć w czarnoksięskich obrzędach i prosili ojca, żeby uwolnił ich od złych duchów.

Wszyscy oni przychodzili tu do ojca, ale pojawiała się też u nas dużo innych portorykańskich mediów korzystających z naszego domu. Niektórzy przesiadywali tu po kilka tygodni, wywołując duchy i wypędzając diabły.

We frontowym pokoju stał długi stół do tych seansów. Zasiadali przy nim ludzie, którzy chcieli porozmawiać z duchami zmarłych. Ojciec był czytany w tym przedmiocie i miał nie mający sobie równych w tej części wyspy księgozbiór traktujący o magii i czarnoksięstwie.

Pewnego dnia wcześnie rano dwóch mężczyzn przyprowadziło do naszego domu cierpiącą kobietę. Mój brat Gene i ja wysliznęliśmy się z łóżka i przez uchylone drzwi zerkaliśmy na chorą, która leżąc rozciągnięta na stole jęczała i rzucała się, przytrzymywana przez tych dwóch, którzy ją przyprowadzili. Matka stała u jej stóp z oczyma wzniesionymi ku górze, nucąc jakąś monotonną pieśń z dziwnymi, obcymi słowami. Ojciec poszedł do kuchni i wrócił

¹ Voodoo – pochodzący z Afryki kult religijny, charakteryzujący się wiarą w czary i fetysze oraz rytuałami, których uczestnicy wpadają w trans i porozumiewają się ze zmarłymi, świętymi albo animistycznymi bóstwami.

z małym czarnym naczynkiem, w którym paliło się kadzidło. Przyniósł również wielką zieloną żabę i położył ją na wstrząsanym drgawkami brzuchu kobiety. Następnie zawiesił naczynko z kadzidłem na cienkim łańcuszku nad głową chorej i posypał jej ciało jakimś proszkiem.

Staliśmy trzęsąc się ze strachu, gdy rozkazał złym duchom wyjść z ciała kobiety i wejść w żabę. Nagle ta odrzuciła głowę w tył i przeraźliwie krzyknęła. Żaba zeskoczyła z jej brzucha i spadła na próg. Kobieta zaczęła wierzgać nogami i wywinawszy się trzymającym ją mężczyznom, stoczyła się ze stołu i całym ciężarem upadła na podłogę. Gryzła wargi i język, a z ust jej ciekła zakrwawiona ślina i piana.

Wreszcie kobieta uspokoiła się i leżała już bez ruchu. Ojciec oświadczył, że została uleczona. Mężczyźni zapłacili mu, podnieśli nieprzytomną kobietę i poszli, dziękując ojcu i nazywając go Wielkim Cudotwórcą.

Moje wczesne dzieciństwo było wypełnione strachem i żalem. Wielkość rodziny sprawiła, że poszczególnym dzieciom niewiele poświęcano uwagi. Czułem urazę do ojca i matki i bałem się odprawianych co noc czarów.

Ostatniego lata przed pójściem do szkoły zostałem zamknięty przez ojca w gołębniku. Wieczorem przyłapał mnie na wykradaniu pieniędzy z torebki mamy. Próbowałem uciec, ale złapał mnie za kark.

– Tak łatwo nie uciekniesz. Będziesz musiał zapłacić za kradzież.

– Nienawidzę cię! – wrzasnąłem.

Chwycił mnie i potrząsając mną w powietrzu krzyknął z wściekłością:

– Już ja cię nauczę tak się odzywać do ojca!

Wziął mnie pod pachę jak worek i poszedł przez ciemne podwórze do gołębnika. Usłyszałem jak otwiera zamek.

– Właż! – warknął – Jak posiedzisz z ptakami, to się nauczysz.

Wepchnął mnie do środka i zatrzasnął drzwi.

Usłyszałem trzask zamka i przez szpary w ścianach dobiegł mnie stłumiony głos ojca:

– I nie dostaniesz kolacji. Usłyszałem jego kroki oddalające się w kierunku domu. Skamieniałem ze strachu. Zacząłem walić pięściami w drzwi, kopać w nie i przeraźliwie wrzeszczeć. Nagle szopa wypełniła się łopotem skrzydeł i zaczęły się o mnie obijać przerażone gołębie. Zakryłem twarz rękami i zacząłem histerycznie wrzeszczeć. Ptaki tłukły się o ściany i uderzały dziobami w moją twarz i szyję. Upadłem na zapaskudzoną podłogę, okryłem rękami głowę i starałem się osłonić oczy i nie dopuścić do uszu hałasu łopoczących nad głową skrzydeł.

Minęła cała wieczność, zanim otworzyły się drzwi i ojciec jednym szarpnięciem postawił mnie na nogi i wywłókł na podwórze.

– Następnym razem będziesz pamiętał, żeby nie kraść i nie pyskować, kiedy cię ktoś przyłapie – powiedział ostro. – Teraz umyj się i marsz do łóżka.

Tej nocy zasnąłem płacząc i śniły mi się trzepoczące skrzydłami i obijające się o mnie ptaki.

Gdy w następnym roku poszedłem do szkoły, moja uraza do rodziców przekształciła się w nienawiść do wszelkiej władzy. Potem, w wieku ośmiu lat, znienawidziłem rodziców do reszty. Tego dnia było gorąco. Po południu mama wraz z kilkoma innymi kobietami-mediami siedziała przy stole w dużym pokoju. Piły kawę. Znudziła mnie zabawa z bratem i odbijając piłeczkę wszedłem do pokoju, w którym siedziały.

Jedna z kobiet powiedziała do mamy:

– Twój Nicky jest takim miłym chłopcem. Jest całkiem podobny do ciebie. Musisz być z niego bardzo dumna.

Matka popatrzyła na mnie z niechęcią i zaczęła kołysać się w krzesle do przodu i do tyłu. Wywróciła oczy w górę tak, że widać jej było tylko białka. Wyciągnęła ręce przed siebie, na

blat stołu. Palce jej wyprężyły się i zaczęły drżeć. Powoli uniosła dłonie nad głowę i zaczęła mówić śpiewnym tonem:

– To... nie... mój... syn. Nie, nie Nicky. On – syn największego czarownika. Lucyfera. Nie, nie mój... nie, nie mój... Syn diabła, syn szatana.

Upuszczona przeze mnie piłeczka podskakując potoczyła się przez pokój. Powoli zacząłem się czołgać pod ścianę, a matka w swoim transie mówiła dalej i śpiewny ton jej głosu to wznosił się, to opadał:

– Nie, nie mój, nie mój... ręka Lucyfera na jego życiu... palec szatana dotknął jego życia... palec szatana dotknął jego duszy... znak bestii na jego sercu... Nie, nie mój... nie, nie mój.

Widziałem jak po jej twarzy płyną łzy. Nagle zwróciła się ku mnie i z szeroko otwartymi oczyma zaczęła wrzeszczeć:

– Wynoś się, diable! Odejdź ode mnie! Zostaw mnie, diable! Precz! Precz! Precz!

Byłem śmiertelnie przerażony. Pobiegłem do mojego pokoju i rzuciłem się na łóżko. Myśli przelatywały mi przez głowę jak rwąca rzeka w wąskim kanionie. „Nie jej dziecko... dziecko szatana... nie kocha mnie... nikt mnie nie chce. Nikt mnie nie chce”.

Zacząłem płakać, krzyczeć, szlochać. Ból w piersi był nie do wytrzymania i zacząłem walić pięściami w łóżko aż do zupełnego wyczerpania.

Stara nienawiść wybuchła we mnie z nową siłą. Nagle zalała moje serce tak, jak fala przyływu zalewa koralową rafę. Nienawidziłem matki. Boże! Jak ja jej nienawidziłem! Chciałem zranić ją, sprawić jej straszny ból – żeby wyrównać rachunek. Rzuciłem się do drzwi i krzycząc pobiegłem do dużego pokoju. Kobiety jeszcze tam siedziały. Z całej siły uderzyłem dłońmi w blat stołu i krzyknąłem. Przepęlniająca mnie nienawiść sprawiła, że się jękałem i mówiłem niewyraźnie.

– N–n–n... nienawidzę cię! – wyciągnąłem trzęsącą się rękę i pokazałem na matkę palcem.

– Z–z–zapłacisz mi za to! Zapłacisz mi za to!

Dwaj młodsi bracia stali we drzwiach i patrzyli na mnie ze zdumieniem, gdy minąłem ich pędem wybiegając z pokoju. Zbiegłem po schodach, skręciłem i schowałem się pod gankiem, w ciemnej i chłodnej kryjówce, z której korzystałem już nieraz. Siedząc w kucki w kurzu usłyszałem śmiech kobiet, ponad który wybijał się i przenikał przez podłogę głos mojej matki:

– Widzicie, mówiłam, że on jest dzieckiem szatana.

Jak ja jej nienawidziłem! Chciałem ją zniszczyć, ale nie wiedziałem jak. Waląc pięściami w kurz płakałem z wściekłości, a moim ciałem wstrząsał konwulsyjny szloch.

– Nienawidzę cię! Nienawidzę cię! Nienawidzę cię! – krzyczałem.

Ale nikt mnie nie słyszał – nikogo to nie obchodziło. W gniewie zacząłem chwytając garściami kurz i ciskać go z całej siły we wszystkie strony. Kurz osiadał na mojej twarzy i mieszał się ze łzami, tworząc na niej błotniste strumyczki.

W końcu moja wściekłość minęła i siedziałem w milczeniu. Słyszałem inne dzieci bawiące się na podwórku. Jeden z młodszych chłopców śpiewał coś o ptaszkach i motylkach. Czułem się samotny i wyobcowany. Dręczony nienawiścią i prześladowany, opętany strachem. Usłyszałem trzaśnięcie drzwi gołębnika i ciężkie kroki ojca wychodzącego z domu i wstępującego na schody. Nagle ojciec zatrzymał się i zajrzał pomiędzy stopniami w cień pod gankiem.

– Co tam robisz, chłopcze? – spytał.

Nie odzywałem się, mając nadzieję, że mnie nie pozna. Wzruszył ramionami i poszedł dalej. Za chwilę zatrzasnęły się za nim siatkowe drzwi². „Nikogo nie obchodzę” – pomyślałem.

² Drzwi siatkowe – rama obciągnięta plastikową siatką ochronną przed insektami.

W domu słycać było śmiech, w którym rozpoznałem głos ojca. Wiedziałem, że ciągle śmieją się ze mnie.

Znów zalała mnie fala nienawiści. Znów łzy popłynęły mi po twarzy i znowu zacząłem krzyczeć.

– Nienawidzę cię, mamó! Nienawidzę cię! Nienawidzę cię! Nienawidzę cię!

W furii rzuciłem się na ziemię i zacząłem się po niej tarzać tam i z powrotem. Cały byłem pokryty kurzem. W końcu, zupełnie wyczerpany, zamknąłem oczy i rozplakałem się. Po jakimś czasie zapadłem w niespokojny sen.

Słońce zatoneło już w morzu, gdy się obudziłem; na czworakach wylazłem spod ganku. Piasek zgrzytał mi w zębach i cały od stóp do głów byłem brudny. Kumkały ząby, cykały świerszcze, bosymi stopami czułem wilgoć i chłód rosy.

Ojciec otworzył drzwi i snop żółtego światła oświetlił mnie stojącego u stóp schodów.

– Ty świnió! – wrzasnął ojciec. – Coś tak długo robił pod tym domem?! Popatrz na siebie. Nie potrzebujemy tu świń. Idź się ogarnąć i chodź na kolację.

Posłuchałem go. Ale myjąc się pod studnią wiedziałem, że już zawsze będę go nienawidził. Wiedziałem, że już nigdy nie będę kochał... Nikogo. Wiedziałem też, że już nigdy nie zapłacę... Nigdy. Synowi szatana przeznaczone są strach, brud i nienawiść. Zaczęła się moja ucieczka.

Jest zwyczajem wielu portorykańskich rodzin wysyłać dzieci do Nowego Jorku, gdy tylko podrosną na tyle, by same mogły sobie dać radę w życiu.

Sześciu moich starszych braci już tam wyjechało. Wszyscy byli żonaci i próbowali odmienić swój los.

Ja byłem zbyt młody, żeby wyjechać. Jednak w miarę upływu kolejnych pięciu lat moi rodzice uświadamiali sobie, że nie mogą też pozostać w Puerto Rico. Zacząłem sprawiać duże kłopoty w szkole. Wszczynałem bójkę, zwłaszcza z mniejszymi dziećmi. Pewnego razu uderzyłem jedną dziewczynkę kamieniem w głowę. Stałem i w podnieceniu patrzyłem jak jej włosy nasiąkają krwią. Dziewczynka głośno płakała, a ja się śmiałem.

Wieczorem ojciec uderzył mnie w twarz tak mocno, że rozkrwawił mi usta.

– Krew za krew! – wykrzyknął.

Kupiłem sobie wiatrówkę i zacząłem zabijać ptaki. Ale nie wystarczyło mi samo zabijanie. Bardzo lubiłem pastwić się nad ich ciałami. Moi bracia unikali mnie z powodu mojej nienaturalnej żądzy krwi.

W ósmej klasie pobiliśmy się z nauczycielem warsztatów. Był to wysoki chudy mężczyzna, lubiący gwizdać za przechodzącymi kobietami. Pewnego razu nazwałem go „czarnuchem”. Klasa ucichła i cofnęła się pomiędzy maszyny, oczekując w napięciu dalszego rozwoju wypadków.

Nauczyciel podszedł to tokarni, przy której stałem, i powiedział:

– Wiesz co, mały, nie zgrywaj się.

– Przepraszam czarnuchu, nie miałem zamiaru się zgrywać – odwarknąłem.

Zanim zdążyłem się ruszyć, zamachnął się swoją kościstą ręką i poczułem jak pod strasznym ciosem rozgniatają mi się na zębach wargi. Poczułem jak krew cieknie mi do ust i na brodę.

Rzuciłem się na niego z pięściami. On był dorosłym mężczyzną, a ja ważyłem niecałe 50 kilo; byłem jednak przepełniony nienawiścią i ten cios wyzwolił we mnie furję. Nauczyciel oparł dłoń na moim czole i trzymał mnie na odległość wyciągniętej ręki, a ja tylko bezskutecznie młóciłem pięściami powietrze.

Gdy się zorientowałem, że nie jestem w stanie go dosięgnąć, odskoczyłem i wrzasnąłem:

– Dostaniesz teraz za swoje, czarnuchu! Idę na policję! Zobaczysz! – i wybiegłem z klasy.

Nauczyciel pobiegł za mną wołając:

– Czekał, przepraszam cię. Ale ja pobiegłem dalej.

Nie poszedłem na policję. Zamiast tego poszedłem do ojca i powiedziałem, że nauczyciel chciał mnie zabić. Ojciec się wściekł. Pomaszerował do domu i wrócił z wielkim pistoletem u pasa.

– Idziemy chłopcze. Własnoręcznie zabiję tego drania.

Pomaszerowaliśmy do szkoły. Ledwo nadażaliśmy za ojcem idącym wielkimi krokami i co chwila podbiegałem, żeby nie zostać z tyłu. Serce skakało mi z radości na myśl, że będę patrzył jak ten wysoki nauczyciel będzie się kurczył ze strachu przed moim rozwścieczonym ojcem.

Ale nauczyciela nie było w klasie.

– Czekaj tu, chłopcze – powiedział ojciec. – Pójdę do dyrektora i załatwię tę sprawę. Mina mi zrzedła, ale czekałem.

Ojciec długo był w gabinecie dyrektora. Wreszcie wyszedł, podszedł do mnie szybkim krokiem, chwycił mnie za rękę i gwałtownie pociągnął.

– W porządku chłopcze. Musisz mi jeszcze coś wyjaśnić. Idziemy do domu.

Znowu szybko szliśmy przez małą wioskę, a potem ścieżką w górę do domu. Ojciec ciągnął mnie za sobą za rękę. Przed domem powiedział:

– Ty ohydny kłamco!

Zamachnął się, żeby mnie uderzyć, ale uskokczyłem i pobiegłem ścieżką w dół.

– Dobra, uciekaj mały, uciekaj! – krzyknął ojciec. – Ale jeszcze wrócisz do domu. A wtedy spiorę cię na kwaśne jabłko.

Wróciłem do domu, ale dopiero po trzech dniach. Policja zatrzymała mnie, gdy szedłem poboczem drogi wiodącej w góry. Błagałem ich, żeby mnie puścili, oni jednak odwieźli mnie do ojca. A ojciec spełnił obietnicę.

Wiedziałem, że znowu ucieknę. I znowu. I będę uciekał i uciekał, dopóki nie znajdę się tak daleko, że nikt nie będzie mógł mnie zawrócić. W ciągu następnych dwóch lat uciekałem pięć razy. Za każdym razem policja znajdowała mnie i przywoziła do domu. Wreszcie doprowadzeni do rozpaczy rodzice napisali do mojego brata Franka. Zapytali czy się zgodzi, bym do niego przyjechał i u niego zamieszkał. Frank się zgodził i rozpoczęły się przygotowania do wyjazdu.

Gdy wyruszałem, rodzeństwo stało na frontowym ganku w szeregu. Matka przycisnęła mnie do piersi. Miała łzy w oczach. Chciała coś powiedzieć, ale nie wydobyła z siebie ani słowa. Nie czułem do niej nic. Zupełnie nic. Podniosłem swoją walizeczkę, ponuro odwróciłem się do niej plecami i poszedłem do starej furgonetki, w której czekał ojciec. Nie obejrzałem się ani razu.

Jazda na lotnisko w San Juan trwała czterdzieści pięć minut. Tam ojciec wręczył mi bilet i wsunął mi w rękę poskładaną dziesięciodolarówkę.

– Zadzwoń do Franka zaraz jak tylko znajdziesz się w Nowym Jorku – powiedział. – Dopóki nie przyjedzie Frank, zajmie się tobą pilot.

Stał i z wysoka długo na mnie patrzył; a ciepły wiatr poruszał jego siwymi falującymi włosami. Musiałem mu się wydawać mały i budzący litość, gdy tak stałem obok wejścia na lotnisko z moją walizeczką w ręce. Wargi mu zadrżały, gdy wyciągnął do mnie na pożegnanie rękę. I nagle objął moje wątłe ciało swoimi długimi ramionami i mocno przycisnął mnie do piersi. Powiedział łamiącym się głosem:

– Mój synu

Puścił mnie i szybko powiedział:

– Bądź grzeczny, ptaszku.

Odwróciłem się, wbiegłem po schodach do ogromnego samolotu i usiadłem koło okna.

Przez szybę widziałem posępną, samotną postać mojego ojca, *Wielkiego*, stojącą koło ogrodzenia. Ojciec uniósł w górę rękę jakby chciał mi pomachać, ale postawszy chwilę, niezdecydowanie odwrócił się i szybko poszedł do starej furgonetki.

Jak on mnie nazwał? Ptaszek? Przypomniałem sobie pewien niezwykły moment sprzed lat, gdy ojciec zwrócił się do mnie tak samo.

Siedziałem wtedy na stopniach werandy, na której on kołysał się w bujaku, palił fajkę i opowiadał mi portorykańską legendę o ptaszku, który nie ma nóg i stale lata. Ojciec spojrzął wtedy na mnie smutno i powiedział:

– To jesteś ty, Nicky. Ciągłe jesteś niespokojny. Jak ten ptaszek, ciągle uciekasz.

Powoli pokiwał głową i popatrzył w górę, na niebo, wypuszczając dym w kierunku liści winorośli zwieszających się z dachu werandy.

– Ten ptaszek jest drobny i bardzo lekki. Waży mniej niż piórko. Wyszukuje prądy powietrzne i śpi na wietrze. Stale ucieka. Ucieka przed jastrzębiami, sowami i innymi drapieżnikami. Ukrywa się, zawsze lata między nimi a słońcem. Jeśli tylko znalazłyby się one ponad nim, zobaczyłyby go na tle ciemnej zieleni. Ale jego skrzydełka są przejrzyste jak czysta woda w lagunie. Jak długo lata wysoko, nie widzą go. On nigdy nie siada.

Ojciec odchylił się i wypuścił kłąb błękitnego dymu.

– Ale jak on je? – spytałem.

– Je w locie – odpowiedział ojciec. Mówił powoli, jakby miał przed oczami to drobne stworzenie. – Łapie owady, motyle. Nie ma nóg, nie ma łapek i zawsze jest w powietrzu.

Byłem zafascynowany tą historią.

– A co się dzieje, kiedy jest pochmurno? – zapytałem. – Co się dzieje, kiedy nie świeci słońce? Jak wtedy ucieka przed swoimi wrogami?

– W pochmurną pogodę lata tak wysoko, że nikt go nie może dostrzec. Tylko raz przestaje latać, przestaje uciekać, gdy umiera. Bo gdy dotknie ziemi, nigdzie nie może już uciec.

Ojciec poklepał mnie i lekko popchnął.

– Idź teraz, ptaszku. Uciekaj, leć. Twój ojciec zawoła cię, gdy skończy się czas ucieczki.

Pobiegnęłam przez łąkę machając rękami jak ptak, próbując wzlecieć. Ale jakoś nie udawało mi się nabrać takiej prędkości, żeby unieść się w powietrze.

Silniki samolotu zakaszlały, wypuściły czarny dym i z rykiem ożyły. Wreszcie miałem polecieć. Ruszałem w swoją podróż...

Autobus szarpnął i stanął. Za szybami, w zimnej ciemności, migotało jaskrawe światło i kolorowe reklamy. Siedzący po drugiej stronie przejścia mężczyzna wstał i skierował się do drzwi. Poszedłem za nim. Wysiadłem przez tylne drzwi, które z sykiem się za mną zamknęły. Autobus odjechał. Zostałem sam pośród milionów ludzi.

Podniosłem garść brudnego śniegu i strąciłem z wierzchu złodowaciałą skorupę. I oto leżał na mojej dłoni, lśniący, biały i czysty. Chciałem go wziąć do ust i zjeść, ale zobaczyłem, że na jego powierzchni pojawiają się małe ciemne punkty. I nagle zdałem sobie sprawę, że powietrze pełne jest sadzy lecącej ze wznoszących się nad dachami kominów, od której śnieg staje się podobny do sera posypanego pieprzem.

Wyrzuciłem śnieg. To nie miało żadnego znaczenia. Byłem wolny.

Przez dwa dni wędrowałem po mieście. W jakimś zaułku znalazłem stary, porzucony w śmietniku płaszcz. Rękawy sięgały mi poniżej dłoni, a brzeg płaszcza włócił się po ziemi. Guziki były oderwane i kieszenie podarte, ale było mi w nim ciepło. Noc przespałem w metrze, skulony na siedzeniu.

Pod koniec drugiego dnia opuściło mnie radosne podniecenie. Byłem głodny i zmarznięty. Dwukrotnie próbowałem z kimś porozmawiać i poprosić o pomoc. Pierwszy człowiek po prostu mnie zignorował. Przeszedł koło mnie, jakby mnie w ogóle nie było. Drugi pchnął mnie na śnieg i powiedział:

– Zjeżdżaj, ty portorykański szczeniaku, nie dotykaj mnie swoimi brudnymi łapami.

Przestraszyłem się. Starłem się opanować strach podchodzący mi z żołądkiem do gardła.

O zmierzchu znowu chodziłem ulicami, włócząc płaszczem po chodniku i ściskając w rękę swoją walizeczkę. Ludzie omijali mnie i oglądali się na mnie, ale nikt się mną nie zainteresował. Spojrzawszy, każdy szedł dalej swoją drogą.

Dziesięć dolarów, które dostałem od ojca, wydałem właśnie owego wieczora. Wszedłem do małej restauracji i wskazując palcem na wiszącą nad zatłuszczonym barem reklamę, zamówiłem hot doga. Połknąłem go kilkoma kęsami i pokazałem, że chcę jeszcze jednego. Mężczyzna za kontuarem pokręcił głową i wyciągnął rękę. Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem poskładany banknot. Wygładził go kilkakrotnie i wetknął w kieszeń brudnego fartucha. Potem dał mi drugiego hot-doga i miseczkę z papryką. Kiedy skończyłem, zacząłem go szukać wzrokiem, ale on na dobre zniknął w kuchni. Poniosłem walizeczkę i wyszedłem na zimną ulicę. To było moje pierwsze zetknięcie z amerykańską gastronomią. Skąd mogłem wiedzieć, że amerykańskie hot-dogi nie kosztują pięć dolarów?

Idąc ulicą napotkałem kościół i zatrzymałem się przed nim. Przejście było zagrodzone ciężką żelazną bramą zamkniętą na łańcuch spięty kłódką. Stałem przed tą szarą kamienną budowlą i patrzyłem na wycelowaną w niebo iglicę wieży. Zimne kamienne ściany i ciemne brudne szyby okien chroniły się za żelaznym ogrodzeniem. Zza zamkniętej bramy wyglądał posąg mężczyzny o łagodnej twarzy i smutnych oczach. Wyciągał pokryte śniegiem ramiona, ale pozostawał tam zamknięty wewnątrz, podczas gdy ja byłem na zewnątrz.

Powłokłem się dalej ulicami i szedłem... szedłem...

Znowu zacząłem się bać. Była już prawie północ i trząsałem się nie tylko z zimna, ale i ze strachu. Ciągle miałem nadzieję, że ktoś się zatrzyma i spyta, w czym mi może pomóc. Nie wiem, co bym odpowiedział, gdyby ktoś zaoferował mi pomoc. Ale byłem samotny. I przestraszony. I zagubiony.

Wokół mnie był tłum śpieszących gdzieś ludzi, którzy nie zwracali na mnie uwagi. Nie miałem pojęcia, że człowiek może być tak samotny pośród miliona ludzi. Dla mnie samotność oznaczała błądzenie po lesie albo po bezludnej wyspie. Ale to było gorsze od wszelkiej samotności. Widziałem wystrojonych ludzi spieszących do domu z teatru... starych mężczyzn sprzedających gazety i owoce przy małych, czynnych całą noc stoiskach... policjantów patrolujących dwójkami ulice... chodniki pełne zaaferowanych ludzi. Ale gdy patrzyłem im w oczy, dostrzegłem w nich taką samą samotność. Nikt się nie uśmiechał, nie było ani jednej radosnej twarzy. Wszyscy się śpieszyli.

Usiadłem na krawężniku i otworzyłem swoją walizeczkę. Leżała w niej, wepchnięta na dno, poskładana karteczka z napisanym ręką matki numerem telefonu Franka. Nagle coś szturchnęło mnie z tyłu. Był to stary kudłaty pies, który wachał wielki płaszcz luźno okrywający moje chude ciało. Objąłem psa za szyję, przytuliłem go i przycisnąłem głowę do jego brudnych kudłów, a on polizał mnie po twarzy.

Nie wiem jak długo tam siedziałem drżąc i głaszcząc psa. Ale gdy podniosłem głowę, zobaczyłem nogi dwóch policjantów. Ich gumowe kalosze były mokre i zabłocone. Kudłaty kundel wyczuł niebezpieczeństwo i czmychnął w najbliższą przecznicę.

Jeden z gliniarzy szturchnął mnie pałką w ramię i spytał:

– Czego tu siedzisz po nocy?

Miałem wrażenie, że jego twarz znajduje się całe mile nade mną. Z trudem, łamaną angielszczyzną, próbowałem wyjaśnić, że się zgubiłem.

Policjant mruknął coś do drugiego i odszedł. Ten, który został, ukląkł koło mnie na zabłoconym chodniku i powiedział:

– Może ci w czymś pomóc, chłopcze?

Kiwnąłem głową i podałem mu kartkę z numerem telefonu Franka:

– Brat – powiedziałem.

Policjant popatrzył na koślawe pismo i pokiwał głową.

– Czy tam mieszkasz, chłopcze?

Nie wiedziałem jak odpowiedzieć, więc tylko powtórzyłem:

– Brat.

Policjant kiwnął głową, pomógł mi wstać i podeszliśmy do stojącej za kioskiem z gazetami budki telefonicznej. Pogrzebał w kieszeni, wyjął monetę i wykręcił numer. Gdy odezwał się zaspany głos Franka, policjant wręczył mi słuchawkę. Nie minęła godzina, gdy byłem już bezpieczny w mieszkaniu brata.

Gorąca zupa u Franka była smaczna, a czyste łóżko przyjemne. Następnego dnia rano Frank powiedział, że będę u niego mieszkał, a oni się mną zaopiekują i zapiszą mnie do szkoły. Ale jakiś wewnętrzny głos mówił mi, że nie zostanę tu długo. Zacząłem swoją ucieczkę i nic mnie już nie mogło zatrzymać.

Nicky Cruz opowiada

Rozdział 2

Szkolna dżungla

Przez dwa miesiące mieszkałem u Franka i uczyłem się posługiwania językiem angielskim. Ale nie byłem szczęśliwy. Coś pchało mnie do odejścia.

Od razu, pierwszego tygodnia, Frank zapisał mnie do dziesiątej klasy. Do tej szkoły chodzili prawie wyłącznie czarni i Portorykańczycy. Przypominała ona bardziej dom poprawczy niż miejską szkołę. Nauczyciele i wychowawcy więcej czasu poświęcali na zaprowadzanie jakiejś takiej dyscypliny niż uczenie. Było to dzikie miejsce walk, demoralizacji i nieustającej wojny z każdym, kto reprezentował władzę.

W każdej średniej szkole Brooklynu były co najmniej dwa, trzy gangi. Gangi te składały się z chłopców i dziewcząt mieszkających w określonych rejonach dzielnicy. Często były to gangi wrogie i zetknięcie ich ze sobą w jednej klasie nieuchronnie prowadziło do bójek.

Było to dla mnie coś zupełnie nowego. Codziennie w szkole walczone na korytarzu albo w jednej z klas. Przemykałem się pod ścianą z obawy, że rzuci się na mnie któryś z większych chłopaków. Po lekcjach zawsze była bijatyka na szkolnym podwórku i zawsze zostawał na nim ktoś krwawiący.

Frank ostrzegał mnie, żebym nie pokazywał się na ulicy nocą.

– Gangi, Nicky – mawiał. – Gangi cię zamordują. Biegają nocami jak stada wilków. Zabijają każdego obcego.

Frank stanowczo prosił mnie, bym ze szkoły zawsze wracał prosto do domu i siedział w mieszkaniu, poza zasięgiem gangów.

Ale wkrótce przekonałem się, że nie tylko gangów należy się wystrzegać. Prócz nich istnieli „mali ludzie”. Były to dziewięcio-, dziesięcioletnie dzieci, które popołudniami włóczyły się po ulicach albo bawiły się przed ruderami, w których mieszkały.

Po raz pierwszy zetknąłem się z „małymi ludźmi” już w pierwszym tygodniu, gdy wracałem ze szkoły do domu. Banda około dziesięciu chłopców w wieku od ośmiu do dziesięciu lat wyskoczyła wprost na mnie z bramy, koło której przechodziłem.

– Hej, szczeniaki, uważajcie jak chodzicie.

Jeden z nich zawrócił i powiedział:

– Idź do diabła!

Drugi zaszedł mnie od tyłu, ukląkł za mną i zanim się spostrzegłem, gruchnąłem jak długi plecami na chodnik. Chciałem wstać, ale jeden z nich chwycił mnie za stopę i zaczął ciągnąć. Wszyscy krzyczeli i śmiali się.

Straciłem cierpliwość i rzuciłem się na najbliższego przewracając go na chodnik. W tej samej chwili usłyszałem wrzask jakiejś kobiety. Popatrzyłem w górę i zobaczyłem, że wychyla się z okna drugiego piętra.

– Odejdź od mojego dziecka, parszywy Portorykańczyku, bo cię zabiję!

Nie chciałem niczego innego, tylko móc bez przeszkód odejść od jej chłopaka. Ale skoczyli na mnie pozostali. Jeden z nich rzucił we mnie butelką po coca-coli, która uderzywszy w chodnik koło mojej głowy rozprysła się, zasypując mi twarz odłamkami szkła.

Kobieta wrzeszczała coraz głośniej:

– Zostaw w spokoju moje dzieci! Ratunku! Ratunku! On zabije moje dziecko!

Nagle z bramy wybiegła z miotłą w rękach inna kobieta. Była gruba, biegła kaczkowatym krokiem i miała tak wściekły wyraz twarzy, jakiego nie widziałem jeszcze nigdy. Trzymając miotłę wysoko podniesioną nad głową, wepchnęła się pomiędzy chłopców. Próbowałem się uchylić, ale walnęła mnie nią z całej siły w plecy. Odwróciłem się i trafiła mnie w głowę. Cały czas wrzeszczała. Zobaczyłem, że jeszcze kilka kobiet wychyla się z okien i woła policję. Gdy zbierałem się do ucieczki, gruba kobieta zdążyła mnie uderzyć trzeci raz, po czym krzyknęła za mną:

– Jak się tu jeszcze raz pokażesz, żeby zaczepiać naszych chłopców, to cię zatłuczemy!

Od następnego dnia wracałem ze szkoły inną drogą.

Tydzień później po raz pierwszy zetknąłem się z „gangiem”. Wracałem bez pośpiechu do domu przez park i zatrzymałem się przy człowieku z gadającą papugą. Zacząłem tańczyć wokół niego, śmiałem się i rozmawiałem z ptakiem, gdy nagle ten człowiek przytulił papugę do piersi i śpiesznie odszedł. Obejrzałem się. Za mną półkolem stało około piętnastu chłopaków. Nie byli to „mali ludzie”. Byli to „duzi ludzie”. Przeważnie więksi ode mnie. Otoczyli mnie szybko i jeden z nich powiedział:

– No, z czego się śmiejesz?

Pokazałem mężczyźnie z papugą śpiesznie opuszczającego park.

– No... śmiałem się z tego zwariowanego ptaka.

– Acha, a ty tu gdzieś mieszkasz? – spytał znowu ten chłopak o nieprzyjemnym wyrazie twarzy.

Zorientowałem się, że coś jest niedobrze, i zacząłem się trochę jąkać.

– M–mieszkam u mojego brata, tam dalej, na tamtej ulicy.

– Myślisz, że jak mieszkasz na tamtej ulicy to możesz przychodzić do parku i śmiać się jak hiena? Co? Tak myślisz? Nie wiesz, że to jest rejon Biskupów? Nie pozwalamy się tu pętać żadnym obcym. A już na pewno nie takim, co tak podskakuje i śmieje się jak hieny.

Rozejrzałem się i zobaczyłem, że to nie żarty. Zanim zdążyłem coś odpowiedzieć, nieprzyjemnie wyglądający chłopak wyciągnął z kieszeni nóż, który otworzył się ze szczękiem, ukazując błyszczące dwudziestocentymetrowe ostrze.

– Wiesz, co teraz zrobię? – spytał chłopak – Poderżnę ci gardło i będziesz krwawił jak to zwierzę, do którego masz taki podobny głos.

– No, stary – wyjąkałem – co z tobą? Skąd ci przyszło do głowy, żeby mnie porznąć?

– Stąd, że mi się nie podobasz – odpowiedział. Wyciągnął nóż w kierunku mojego brzucha i ruszył na mnie.

W tym momencie odezwał się inny członek gangu, wysoki kolorowy chłopak:

– Eee, zostaw go, Big Daddy. Ten chłopak dopiero przyjechał z Puerto Rico. On nawet nie wie, co jest grane.

Nieprzyjemny chłopak cofnął się i powiedział pogardliwie:

– Dobra, ale niedługo się dowie, co jest grane. I niech się lepiej trzyma z daleka od rejonu Biskupów.

Odwrócili się i odeszli. Szybko poszedłem do domu i przez resztę popołudnia rozmyślałem.

Na drugi dzień zorientowałem się, że w szkole niektórzy już słyszeli o wydarzeniu w parku. Dowiedziałem się, że ten nieprzyjemny chłopak z nożem ma na imię Roberto. Tego dnia na lekcji wychowania fizycznego mieliśmy baseball. Roberto złośliwie potracił mnie tak, że się przewróciłem. Inni zaczęli wołać:

– Bij się z nim, Nicky! Dowal mu! Pokaż mu, że bez noża to on nie jest taki twardy. Dalej Nicky, jesteśmy z tobą! Walnij go!

Wstałem i otrzepałem się.

– Dobra – powiedziałem – zobaczymy, jaki dobry jesteś na pięści. Stanęliśmy naprzeciw siebie, reszta otoczyła kołem. Usłyszałem krzyki: „Biją się! Biją się!” i zobaczyłem jak dookoła rośnie tłum.

Roberto uśmiechnął się, gdy przyjąłem klasyczną postawę bokserką, rękami osłaniając twarz. Zgarbił się i niezdarnie uniósł ręce. Było jasne, że nie przywykł tak walczyć. Ruszyłem na niego i zanim zdążył zareagować, dostał cios lewą. Z nosa puściła mu się krew i, wyraźnie zaskoczony, cofnął się. Znowu na niego ruszyłem.

Nagle pochylał się, skoczył do przodu i zwałił mnie na ziemię uderzeniem głowy. Próbowałem wstać, ale zaczął mnie kopać swymi szpiczastymi butami. Przetoczyłem się na brzuch, a on skoczył mi na plecy i pociągnął moją głowę w tył, z premedytacją wbijając mi palce w oczy.

Myślałem, że inni pomogą mi się spod niego wydobyć, ale oni tylko stali i wrzeszczeli.

Nie umiałem walczyć w ten sposób. Wszystkie swoje walki staczałem zgodnie z regułami boks. Ale czułem, że jeśli czegoś nie zrobię, ten chłopak mnie zabije. Sięgnąłem więc ku jego dłoni i, odciągając ją od oczu, zacisnąłem zęby na jego palcu. Zawył z bólu i stoczył się z moich pleców.

Zerwałem się i znowu przyjąłem bokserką postawę. On, trzymając się za zranioną dłoń, powoli się cofał. Ruszyłem na niego znowu i dwukrotnie uderzyłem go lewym sierpowym w twarz. Odczuł to mocno. Poszedłem jeszcze bardziej do przodu, chcąc go znowu uderzyć, gdy nagle on chwycił mnie w pasie, zamykając w tym uścisku również moje ręce. Używając swojej głowy niczym taranu zaczął mnie uderzać czołem w twarz. Miałem wrażenie, jakby ktoś tłukł mnie młotem kowalskim. Z nosa puściła mi się krew, z bólu nic nie widziałem. W końcu wypuścił mnie i dwa razy uderzył mnie pięściami, aż upadłem na zakurzone szkolne boisko. Zanim zjawił się nauczyciel i go ode mnie odciągnął, jeszcze raz mnie kopnął.

Gdy wieczorem wróciłem do domu, Frank zawołał:

– Zabiją cię, Nicky! Mówiłem, żebyś się trzymał z dala od gangów. Zabiją cię!

Twarz miałem posiniaczoną i czułem się tak, jakbym miał złamany nos. Ale już zmadrzałem. Nikt mnie już nie zaskoczy. Potrafię walczyć równie niehonorowo jak oni, a nawet bardziej. I następnym razem będę już przygotowany.

Następny raz nastąpił po kilku tygodniach. Po lekcjach szedłem korytarzem do bramy. Usłyszałem, że ktoś za mną idzie. Obejrzałem się. Było to pięciu czarnych chłopaków i dziewczyna. Słyszałem, że już kilka razy portorykańskie chłopaki i czarni pobili się nie na żarty. Przyspieszyłem kroku, ale oni też przyspieszyli.

Wyszedłem przez bramę i ruszyłem prowadzącym na ulicę przejściem między betonowymi ścianami. Czarni się ze mną zrównali. Jeden z nich, wysoki i rozrośnięty, szarpnął mnie i pchnął na ścianę. Upuściłem książki i inny chłopak strącił je z betonowego chodnika do rynsztoka, w którym stała brudna woda.

Rozejrzałem się, ale nie było nikogo, kogo mógłbym prosić o pomoc.

– Co tu robisz w tym rejonie, mały? – zapytał wielki chłopak. – Nie wiesz, że to jest nasz rejon?

– Człowieku, to rejon szkoły. Ten rejon nie należy do żadnego gangu – powiedziałem.

– Nie bądź taki cwany, mały. Nie lubię tego.

Położył mi rękę na piersi i przycisnął mnie do ściany. Równocześnie usłyszałem trzask otwieranego sprężynowego noża.

Prawie wszyscy chłopcy nosili noże. Największą popularnością cieszyły się noże sprężynowe. Taki nóż jest uruchamiany przez sprężynę. Gdy nacisnąć mały guzik z boku rękojęści, zwalnia się zatrzask i mocna sprężyna błyskawicznie otwiera ostrze.

Wielki chłopak skierował nóż ku mojej piersi i zaczął stukać w guziki koszuli ostrym jak igła szpicem.

– Słuchaj, cwaniaku – powiedział. – Jesteś w tej szkole nowy, a my tu dbamy, żeby wszyscy nowi płacili nam za opiekę. To dobry interes. Płacisz nam dwadzieścia pięć centów dziennie, a my gwarantujemy, że nikt cię nie tknie.

Jeden z pozostałych chłopaków zachichotał i powiedział:

– Jasne, stary. I nawet gwarantujemy, że my też ciebie nie tkniemy.

Reszta się roześmiała.

– Tak, a skąd mam pewność, że mnie nie oszukacie jak wam będę dawał te dwadzieścia pięć centów dziennie? – spytałem.

– Nie masz żadnej pewności, cwaniaku. Po prostu i tak nam je będziesz płacił. Bo jak nie, to cię wykończymy – odpowiedział.

– Dobra. No to wykańczaj mnie od razu. Bo jak nie, to przyjdę i pozabijam was wszystkich.

Wyczułem, że trochę ich przestraszyłem. Duży chłopak z nożem, myśląc że jestem praworęczny, nie oczekiwał, że chwycę go lewą ręką. Odepchnąłem jego rękę z nożem od mojej piersi, odwróciłem go i wykręciłem mu rękę za plecami. Chłopak upuścił nóż. Porwałem ten nóż z ziemi i poczułem, że doskonale leży mi w dłoni. Przyłożyłem mu ostrze do szyi i nacisnąłem tak, żeby dobrze poczuł, ale żeby go nie skaleczyć. Pchnąłem go twarzą do ściany, trzymając nóż przy jego szyi, tuż pod uchem. Dziewczyna krzyknęła, myśląc, że chcę go zabić. Odwróciłem się do niej i powiedziałem:

– Znam cię, mała. Wiem, gdzie mieszkasz. Przyjdę do ciebie i zabiję cię. Jak ci się to podoba?

Krzyknęła jeszcze głośniejsze i chwyciwszy za rękę jednego z chłopaków, zaczęła go odciągać.

– Uciekajmy! Uciekajmy! To wariat! Uciekajmy! – krzyczała.

Uciekli wszyscy, nie wyłączając tego wielkiego chłopaka, którego trzymałem pod nożem. Puściłem go, wiedząc, że mogliby mnie zabić, gdyby spróbowali.

Podszedłem do miejsca, gdzie leżały w wodzie moje książki. Podniosłem je i otrzepałem. Ciągle jeszcze trzymałem nóż w ręce. Długo nie ruszałem się z miejsca, tylko otwierałem i zamykałem ostrze. Przyjemnie było czuć w ręce nóż. Wreszcie wsunąłem go do kieszeni kurtki i poszedłem do domu. „Od tej chwili – pomyślałem – lepiej nich się dobrze zastanowią, zanim podskoczą do Nicky’ego”.

Szybko rozeszła się wieść, że jestem niebezpieczny. Zwróciło to na mnie uwagę różnych zabijaków. Wkrótce zorientowałem się, że prędzej czy później coś się stanie. Ale byłem przygotowany. Na wszystko.

Wybuch nastąpił po dwóch miesiącach od mojego pojawienia się w szkole. Nauczycielka właśnie uspokoiła klasę i zaczęła sprawdzać obecność. W tym momencie wszedł do klasy spóźniony czarnoskóry chłopak. Kołysał się, kręcił biodrami i głośno się śmiał. Podszedł do siedzącej z tyłu drobnej, ładnej Portorykanki, schylił się i pocałował ją w policzek. Dziewczyna gwałtownie odchyliła się do tyłu. Chłopak objął ją i pocałował w usta, równocześnie kładąc rękę na jej piersi. Dziewczyna zerwała się z miejsca i zaczęła krzyczeć.

Inni chłopcy w klasie śmiali się i wołali:

– Dalej stary, dalej! Popatrzyłem na nauczycielkę. Ruszyła przejściem między ławkami, ale wielki chłopak stanął przed nią i powiedział:

– No, chyba nie chce pani popsuć zabawy, nie?

Nauczycielka popatrzyła na o wiele od siebie wyższego chłopaka i cofnęła się do stołu. Klasa wyła z radości.

W tym samym czasie tamten chłopak przycisnął dziewczynę do ściany i wodził rękami po całym jej ciele, próbując całować ją w usta. Dziewczyna krzyczała i odpychała go. W końcu chłopak zrezygnował i usiadł na swoim miejscu.

– Nie będę się teraz z nią szarpał – oznajmił na głos. – Przyjdę do niej dziś w nocy i sama mi da z przyjemnością.

Nauczycielka odchrząknęła i podjęła sprawdzanie obecności.

Coś we mnie pękło. Wstałem ze swojego miejsca i poszedłem na koniec klasy. Dziewczyna siedziała na swoim miejscu i płakała. Stałem za tym chłopakiem, który teraz siedział i wydlubował brud spod paznokci. Sięgnąłem po ciężkie drewniane krzesło stojące pod tylną ścianą.

– Obróć no się, mam coś dla ciebie – powiedziałem.

Gdy się obejrzał, uderzyłem go krzesłem z góry. Upadł na ławkę i z głębokiej rany na głowie popłynęła mu krew.

Nauczycielka wybiegła z klasy i za chwilę wróciła z dyrektorem. Ten chwycił mnie za łokieć i powłókł do swojego gabinetu. Siedziałem tam i słuchałem jak dzwoni na pogotowie i załatwia kogoś do zajęcia się rannym.

Potem zwrócił się do mnie. Powiedział, że przez te dwa miesiące słyszał o mnie zawsze tylko w związku z bójkami, w których brałem udział, a potem kazał mi wyjaśnić, co stało się w klasie. Opowiedziałem mu dokładnie wszystko jak było. Powiedziałem, że ten chłopak zabierał się do portorykańskiej dziewczyny i że nauczycielka nie próbowała go powstrzymać, więc ja ująłem się za tą dziewczyną.

Gdy mówiłem, nauczyciel robił się coraz bardziej czerwony. W końcu wstał i powiedział:

– W porządku. Moja cierpliwość się wyczerpała. Nie będę więcej tolerował tych bójek. Wyobrażacie sobie, że możecie tu przychodzić i zachowywać się jak na ulicy. Najwyższy czas, żebym dla przykładu zareagował jak należy. Może wreszcie zaczniecie mieć jakiś szacunek dla przełożonych. Nie mam zamiaru codziennie tu siedzieć i słuchać jak jeden z drugim próbuje się wyłgać z usiłowania zabicia kolegi. Dzwonię po policję.

Zerwałem się na równe nogi.

– Proszę pana, policja wsadzi mnie do więzienia.

– Mam nadzieję – odpowiedział dyrektor. – Przynajmniej reszta tych potworów tutaj nauczy się choć trochę szanować przełożonych.

Zatrząśłem się z wściekłości i ze strachu.

– Niech pan dzwoni na policję – powiedziałem cofając się w stronę drzwi. – Ale kiedy mnie wypuszczą z więzienia, wrócę tu, dopadnę kiedyś pana i zabiję.

Mówiąc to zaciskałem zęby w furii.

Dyrektor zbladł jak papier. Przez chwilę się nie odzywał, po czym powiedział:

– Dobrze, Cruz. Puszczę cię tym razem. Ale żebyś mi się więcej koło tej szkoły nie pokazywał. Nie obchodzi mnie gdzie pójdziesz. Możesz nawet iść do piekła. Ale strzeż się, żebym cię tu znowu nie zobaczył. Uciekaj stąd biegiem i nie zatrzymuj się, dopóki nie będziesz tak daleko, że nie będę cię mógł zobaczyć. Zrozumiałeś?

Zrozumiałem. I uciekłem... Biegiem.

Nicky Cruz opowiada

Rozdział 3

Własną drogą

W życiu wypełnionym nienawiścią i strachem nie ma miejsca dla nikogo prócz siebie samego. Nienawidziłem wszystkich, z Frankiem włącznie. On reprezentował władzę. A gdy sprzeciwił się temu, żebym nie chodził do szkoły i wracał do domu dopiero wieczorem, zdecydowałem się odejść.

Frank powiedział mi wtedy:

– Nicky, Nowy Jork to dżungla. Ludzie, którzy tu mieszkają, kierują się prawem dżungli. Przeżyć mogą tylko ci, którzy są pozbawieni skrupułów. Jeszcze nie poznałeś naprawdę tego życia. A ja tu jestem już pięć lat i wiem jak tu jest. To miasto roi się od prostytutek, narkomanów, pijaków i morderców. Oni cię zabiją. I nawet nikt nie będzie wiedział, że nie żyjesz, dopóki jakiś narkoman nie natknie się na twoje rozkładające się pod stertą śmierci zwłoki.

Frank miał rację. Ale ja nie mogłem u niego zostać. Nalegał, żebym wrócił do szkoły, a ja wiedziałem, że będę musiał pójść własną drogą.

– Nicky, nie mogę cię zmusić, żebyś poszedł do szkoły. Ale jeśli nie pójdziesz, jesteś zgubiony.

– Ale dyrektor mnie wykopał. Kazał mi nigdy nie wracać.

– Nie obchodzi mnie to – powiedział. – Jeśli chcesz tu mieszkać, musisz wrócić do szkoły. Jeśli nie do tej, to do jakiejś innej.

– Jeśli myślisz, że wrócę – warknąłem – to chyba zgłupiałeś. A jak mnie będziesz zmuszał, to cię zabiję.

– Nicky, jesteś moim bratem. Mówisz jak wariat. Rodzice kazali mi się tobą opiekować. Nie mam zamiaru słuchać takiego gadania. Albo idziesz do szkoły, albo się wynoś. Proszę, uciekaj, jeśli chcesz. Ale szybko będziesz z powrotem, bo nie masz dokąd iść. A jeśli zostaniesz, pójdziesz do szkoły i nie ma gadania.

To było w piątek rano, zanim Frank poszedł do pracy. Po południu zostawiłem na stole w kuchni kartkę, że pewni znajomi zaprosili mnie na tydzień do siebie. Nie miałem żadnych znajomych, ale nie mogłem już dłużej zostawać u Franka.

Wieczorem, szukając jakiegoś mieszkania, zawędrowałem do dzielnicy Bedford-Stuyvesant w Brooklynie. Podeszedłem do grupy nastolatków stojących na rogu ulicy.

– Chłopaki, nie wie który, gdzie by tu można znaleźć jakiś pokój?

Jeden z nich popatrzył na mnie zaciągając się papierosem, po czym pokazał kciukiem przez ramię w kierunku Brooklyńskiej Średniej Szkoły Technicznej.

– Mój stary jest tu szefem od tych mieszkań po tamtej stronie. Pogadaj z nim, to coś ci znajdzie. Siedzi tam i gra w karty z tymi facetami. To ten pijany.

Reszta chłopaków się roześmiała.

Mieszkania, które chłopak miał na myśli, znajdowały się w dzielnicy Fort Greene, w środku największego na świecie osiedla mieszkaniowego. Mieszkało tam w blokach ponad

trzydzieści tysięcy ludzi. Byli to przeważnie czarni i Portorykańczycy. Osiedle Fort Greene rozciąga się od Park Avenue do Lafayette Avenue, otaczając Washington Park.

Podszedłem do grupki mężczyzn i spytałem administratora, czy nie miałby pokoju do wynajęcia. Podniósł głowę znad kart, popatrzył na mnie i burknął:

– Tak mam. A bo co?

Zawahałem się i wyjąkałem:

– No... bo... szukam mieszkania.

– Masz piętnaście dolarów? – spytał spluwając sokiem tytoniowym pod moje nogi.

– No... nie przy sobie, ale...

– No to nie ma pokoju – powiedział i znowu zajął się kartami. Inni nawet na mnie nie spojrzeli.

– Ale będę miał pieniądze – powiedziałem.

– Słuchaj mały. Jak mi pokażesz piętnaście dolców z góry, masz pokój. Nie obchodzi mnie, skąd je weźmiesz. Możesz równie dobrze obrobić jakąś staruszkę. Ale jak nie masz forsy, to zjeżdżaj i nie zawracaj mi głowy.

Poszedłem z powrotem w kierunku Lafayette, mijając Papa John's, Harry's Meat House, Paradise Bar, Shery's, The Esquire, Valhal Bar i Lincoln's Rendezvous. Skręciłem w zaułek, zastanawiałem się, skąd wziąć pieniądze.

Wiedziałem, że gdybym został schwytyany przy próbie obrabowania kogoś, poszedłbym do więzienia. Ale byłem w sytuacji bez wyjścia. Napisałem Frankowi, że wrócę dopiero za tydzień. Wynajęcie pokoju kosztowało, a ja nie miałem ani grosza. Była już prawie dziesiąta wieczór i wiał lodowaty wiatr. Ukryty w mroku zaułka zacząłem przyglądać się idącym chodnikiem ludziom. Wyjąłem z kieszeni swój nóż i nacisnąłem przycisk na jego rękojeści. Ostrze odskoczyło z cichym trzaskiem. Przyłożyłem czubek noża do dłoni. Ręce mi się trzęsły i próbowałem sobie wyobrazić jak dokonałbym tego rabunku. Czy lepiej wciągnąć kogoś w zaułek? Czy powinienem go od razu uderzyć, czy tylko przestraszyć? A co, jeśli zaczniesz krzyczeć?

Moją uwagę przyciągnęli dwaj rozmawiający u wylotu zaułka ludzie. Stary alkoholik zatrzymał osiemnastoletniego chłopaka niosącego wielką torbę pełną zakupów ze sklepu spożywczego. Stary prosił chłopaka o dziesięć centów na filiżankę kawy. Słyszałem jak chłopak próbuje się uwolnić, tłumacząc, że nie ma pieniędzy.

Przemknęło mi przez myśl, że stary pewnie ma pełne kieszenie wyżebranych i ukradzionych pieniędzy. Nie próbowałby nawet wołać o pomoc, gdybym go obrabował. Jak tylko chłopak pójdzie, wciągnę starego w zaułek i odbiorę mu forszę.

Chłopak postawił torbę na chodniku. Pogrzebał w kieszeni i wyjął monetę. Stary coś zamruczał i powłócząc nogami poszedł.

„Do diabła – pomyślałem – co teraz robić?”

W tej chwili chłopak niechcący przewrócił swoją torbę i kilka jabłek potoczyło się po chodniku. Schylił się po nie i wtedy wciągnąłem go za róg i rzuciłem o ścianę. Obaj byliśmy śmiertelnie przerażeni, ale ja miałem przewagę zaskoczenia. Chłopak skamieniał ze strachu, gdy zobaczył przed sobą twarzą mój nóż.

– Nie chcę ci zrobić krzywdy, ale potrzebuję forsy. Jestem gotów na wszystko. Dawaj forszę. Szybko. Wszystko co masz, bo cię zabiję.

Ręce trzęsły mi się okropnie. Bałem się, że upuszczę nóż.

– Proszę, proszę. Bierz wszystko, tylko mnie nie zabijaj – błagał chłopak. Wyjął portfel i chciał mi go podać, ale upuścił go. Kopnąłem portfel w głąb zaułka.

– Spadaj – powiedziałem. – Biegiem! A jak zwolnisz przed drugą przecnicą, to będziesz trup.

Popatrzył na mnie oczyma okrągłymi z przerażenia i rzucił się do ucieczki. Potknął się na swoich zakupach i rozciągnął na chodniku jak długi. Poderwał się, znów się potknął i pobiegł chodnikiem, z trudem łapiąc równowagę.

Gdy tylko zniknął za rogiem, chwyciłem jego portfel i co sił w nogach pobiegłem w głąb zaułka. Znalazłszy się w ciemnościach De Kalb, przesadziłem żelazny parkan otaczający park i przez wysoką trawę pobiegłem pomiędzy drzewa. Przysiadłem za skarpą, żeby złapać oddech i uspokoić łomoczące serce. Otworzyłem portfel i przeliczyłem jego zawartość. Było tam 19 dolarów. Przyjemnie było czuć w dłoni banknoty. Cisnąłem portfel w wysoką trawę i ponownie przeliczyłem pieniądze. Potem złożyłem je i wsadziłem do kieszeni.

„Nieźle – pomyślałem. – Gangi zabijają włóczęgów za mniej niż dolara, a mnie za pierwszym razem wpadło dziewiętnaście. Całkiem nieźle”.

Jednak pewność siebie nie usunęła całkowicie mojego strachu i długo siedziałem ukryty w wysokiej trawie. Odważyłem się wyjść dopiero dobrze po północy, ale wtedy było już za późno, aby wynająć pokój, poszedłem więc znowu na miejsce mojego przestępstwa. Ktoś już pozbił wszystko prócz zgniecionej paczki krakersów. Podniosłem ją i potrząsałem, patrząc jak okruchy sypią się na chodnik. Strach już całkiem ode mnie odpłynął i uśmiechnąłem się. „Trzeba go było ciachnąć, tak z ciekawości, jak by to było – pomyślałem. – Na drugi raz spróbuję”.

Skierowałem się ku wejściu do metra koło Papa John's i wsiałem do pierwszego lepszego pociągu. Spędziłem noc w metrze i następnego dnia wcześniej rano byłem z powrotem na Fort Green Place, żeby wynająć pokój.

Administrator poprowadził mnie na drugie piętro. Pokój był mały, z popękany sufitem. Usytuowany był od ulicy i przez okno widać było Brooklyńską Szkołę Techniczną. Administrator poinformował mnie, że na pierwszym piętrze jest wspólna łazienka oraz że temperaturę w pokoju można regulować pokrętkiem przy stalowym grzejniku. Potem wręczył mi klucz i oznajmił, że czynsz należy płacić za każdy tydzień z góry, w sobotę. Drzwi się za nim zamknęły i usłyszałem jak schodzi po schodach.

Rozejrzałem się po pokoju. Były w nim dwa jednoosobowe łóżka, krzesło, stolik, umywalka i niewielka szafa. Podeszedłem do okna i wyjrzałem na ulicę. Ulica Lafayette za rogiem dudniła porannym ruchem. Po drugiej stronie ulicy wbijał się w niebo budynek Brooklyńskiej Szkoły Technicznej. Był długi na cały kwartał i zasłaniał sobą wszelkie widoki, jakie ewentualnie można by tu było oglądać. Ale to nie było ważne. Byłem u siebie.

Przed południem wyszedłem, żeby się rozejrzeć po okolicy. Schodząc po schodach tej rudery zobaczyłem młodego człowieka wychodzącego niepewnym krokiem z klatki schodowej. Twarz miał chorobliwie bladą i oczy głęboko zapadnięte. Brudna obstrzępiona marynarka zwisała mu z jednego ramienia, spodnie miał rozpięte, bo właśnie skończył oddawać za kaloryferem mocz. Trudno było poznać czy był pijany, czy odurzony narkotykami. Stojąc na półpiętrze zobaczyłem jak chwiejnie wyszedł przez bramę na zewnętrzne schodki, stanął z boku, pochylił się i zaczął z góry wymiotować na chodnik.

Banda „małych ludzi” wypadła z mieszkania na parterze i wybiegła na ulicę, zupełnie nie zwracając na niego uwagę. Mężczyzna przestał wymiotować i tępo patrząc przed siebie osunął się na najwyższy stopień.

Ominąłem go i zszedłem na ulicę. Usłyszałem jak ktoś otwiera okno i popatrzyłem w górę w samą porę, by zdążyć uskoczyć przed kupą odpadków wyrzuconych z drugiego piętra prosto na chodnik. Trochę dalej jeden z małych ludzi kuczał w mroku pod schodkami, wykorzystując nieużywane drzwi od piwnicy jako latrynę. Wstrząsnęło mną obrzydzenie, ale powiedziałem sobie, że muszę się do tego przyzwyczaić.

Za domem było trochę zarośniętej wysokimi do pasa chwastami i suchymi krzakami wolnej przestrzeni. Kilka mizernych drzewek wyciągało suche gałęzie ku niebu. Zaczynała się już wiosna, ale drzewka zdawały się wzdragać przed wypuszczeniem pączków i

rozpoczęciem jeszcze jednego roku egzystencji w tym getcie. Kopnąłem puszkę po piwie – leżało ich tu wszędzie pełno. Zarośla chwastów pełne były starych gazet, kartonów i butwiejących kawałków tektury. Teren przedzielało zniszczone ogrodzenie z drutu. Za nim była część przylegająca do innego domu czynszowego, stojącego przy St. Edward Street. Odwróciłem się i spojrzałem na mój dom. Kilka okien na parterze zamiast szyb miało kawałki ocynkowanej blachy. Trochę dalej zobaczyłem okrągłe buzie murzyńskich dzieciaków z nosami rozpląszczonymi o brudne szyby; patrzyły, jak toruję sobie drogę przez to śmietnisko. Przypominały mi pragnące wolności zwierzęta w klatce, nie wychodzące na zewnątrz z obawy, że mogą zostać poranione lub zabite. W oknie brakowało kawałka szyby, a dziura zatkana była tekturą. Naliczyłem pięć przestraszonych twarzy. Prawdopodobnie było jeszcze z pięcioro innych dzieci w tym małym trzyizbowym mieszkaniu.

Obszedłem dom dokoła i wyszedłem na ulicę. W suterenie domu nr 54 było wolne mieszkanie. Żelazna furka huśtała się luźno na zawiasach. Otwarłem ją kopnięciem i wszedłem. Smród taniego wina, dymu, zatechłego brudu, moczu i innych nieczystości przekraczał moją wytrzymałość. Cofnąłem się z obrzydzeniem. Na szczęście mój pokój był na drugim piętrze.

Ruszyłem chodnikiem dalej. Stojące na ulicy prostytutki przedstawiały żałosny widok. Białe dziewczyny pracowały po prawej stronie ulicy i zajmowały mieszkania w następnym bloku. Kolorowe dziewczyny pracowały po przeciwnej stronie i mieszkały w okolicy wejścia do metra. Wszystkie były narkomankami. Stały to tu, to tam, ubrane w trykoty i brudne płaszcze. Niektóre ziewały z nudów albo dlatego, że nie wzięły „rozbudzacza” – porannego zastrzyku heroiny, który postawiłby je na nogi.

Przez te dwa miesiące nie zdążyłem jeszcze przywyknąć do Nowego Jorku. W Puerto Rico oglądałem zdjęcia Statuy Wolności i gmachu Organizacji Narodów Zjednoczonych. Ale tu, w getcie, jak okiem sięgnąć były tylko przepelnione domy czynszowe. Każde okno oznaczało rodzinę wciśniętą do ciasnego pomieszczenia i wiodącą tam nędzną egzystencję. Przypomniało mi się zoo w San Juan z niedźwiedziami krążącymi niespokojnie po klatce i skrzeczącymi zza krat małpami. Zwierzęta w zoo żyją na własnych nieczystościach. Jedzą nieświeże mięso albo zwiędła sałatę. Ciągłe ze sobą walczą i jednoczą się tylko wtedy, gdy atakują intruza. Zwierzęta nie zostały stworzone do życia w klatce z namalowaną na tylnej ścianie sceną z dżungli przypominającą im, czym powinny być. Ludzie też nie. Ale tu, w gettach, tak właśnie żyli.

Stanąłem przy krawężniku na rogu Myrtle Avenue, czekając na zielone światło. Nad ulicą przejechał z łoskotem pociąg kolei nadziemnej, strąsając na stojących pod spodem ludzi drobinki kurzu i sadzy. Po każdej zmianie świateł ludzie ruszali, brnąc z trudem przez pokrywającą ulicę mieszaninę błota, śniegu i soli.

Za domami sznury od bielizny rozciągały się od jednego odrapanego balkonu albo zejścia pożarowego do drugiego. Niebieskie koszule i spodnie koloru khaki powiewały na mroźnym wietrze. Bielizna, niegdyś biała, była teraz szara od ciągłego kontaktu z unoszącym się w powietrzu brudem.

Była sobota rano i sklepikarze odsuwali w swoich sklepach ciężkie żelazne kraty. Jak okiem sięgnąć wszystkie sklepy zaopatrzone były w kraty chroniące je przed włóczącymi się po nocach gangami.

Jednak najbardziej przytłaczały mnie domy czynszowe. Widziałem oznaki nieśmiałych starań lokatorów, żeby w tej betonowej dżungli, wśród ceglanych wąwozów, odnaleźć okruchy własnej tożsamości. Ale były to wysiłki daremne. Przypominały zachowanie człowieka pogrążającego się w bagnie, który wyteża siły, aby dosięgnąć rosnącego na skraju trzęsawiska ziela, i chwyciwszy je, tonie wraz z kurczowo utrzymaną w garści rośliną.

Za pokrytym sadzą oknem stała doniczka z czerwonej gliny. Rachityczna pelargonია wspierała się bezsilnie o szybę. Gdzieś pomalowano na jasny kolor schody wejściowe czy też

odcinał się jaskrawą barwą od szarego kamienia ściany parapet okienny, gdzie indziej zwisała z brudnego parapetu prymitywnej roboty skrzynka na kwiaty, zbita z kawałków starych skrzyń. Kilka żałosnych sztucznych kwiatów opierało się podmuchom zimowego wiatru osypującego je sadzą lecącą z tysięcy kominów wznoszących się nad miastem.

Doszedłem do St. Edward Street i stanąłem przed Biblioteką Walta Whitmana, koło Szkoły Podstawowej nr 67. Po drugiej stronie ulicy stał wielki czynszowy dom, wysoki na dwanaście pięter i długi od przecznicy do przecznicy. Patrzył na ulicę swymi sześciuset oknami, z których każde kryło za swą szybą ludzką nędzę i poniżenie. W jednym z okien widniały podarte zasłony, niegdyś kolorowe, teraz wyblakłe i zniszczone przez zatrute powietrze. W większości okien nie było firanek ani zasłon i dom spoglądał nimi na biegnącą w dole ulicę szklanym wzrokiem zamrażającego trupa.

Zawróciłem w kierunku Washington Park. „Co się stało z tymi ludźmi w tym okropnym miejscu? – myślałem. – Dlaczego tak mieszkają, bez ogródków, trawy, skwerów, drzew?”. Nie wiedziałem, że kiedy człowiek raz się wprowadzi do jednej z tych betonowych klatek, staje się jej więźniem. Nie ma ucieczki z asfaltowej dżungli.

Gdy około czwartej po południu wracałem do domu, na placu zabaw położonym za katolickim kościołem św. Michała i Edwarda, na rogu ulic Auburn i St. Edwards, spostrzegłem coś, co wyglądało na wesołe miasteczko z karuzelami i muzyką. Muzyka rozbrzmiewała na całą ulicę. Zostało mi jeszcze trochę pieniędzy z rabunku i na dźwięk muzyki zrobiło mi się rażniej. Koło wejścia zobaczyłem grupę chłopaków otaczających włoskiego kataryniarza. Mieli na sobie czarne kurtki z dwoma ciemnoczerwonymi literami M naszytymi na plecach. Chłopcy niemal zagłuszali katarynkę hałasem, jaki robili klaszcząc i tańcząc na chodniku.

Pośrodku grupy ciemnowłosego biały chłopak, mniej więcej w moim wieku, z roześmianą twarzą i trzymając się rękami pod boki, walił piętami w chodnik i wirował w szybkim tańcu. Nagle jego czarne oczy napotkały mój wzrok. Gwałtownie się zatrzymał i w jednej chwili uśmiech zniknął z jego twarzy. Patrząc na mnie zimno i twardo, powiedział:

– Hej, ty, co robisz na tym terytorium? To jest rejon Mau Mau. Nie lubimy, żeby nam się tu pętali obcy.

Reszta chłopaków w czarnych bluzach utworzyła wokół nas ciasny krąg. Przystojny chłopak z zimnymi jak stal oczyma podszedł do mnie i napierając na mnie piersią uśmiechnął się złowrogo.

– Do jakiej paczki należysz?

– Nie należę do żadnej paczki – odpowiedziałem. – Przyszedłem tu, żeby pojeździć sobie w wesołym miasteczku. Zbrodnia to czy co?

Jeden z otaczających nas chłopaków wystąpił naprzód.

– Ej, ty, wiesz, co to jest? – powiedział, potrząsając otwartym nożem. – To jest sprężynowiec, mały. I on ci rozpruje bebechy. Może do mnie podskoczysz, co? Ja nie jestem taki cierpliwy jak Izrael.

Chłopak nazwany Izraelem odsunął go i powiedział:

– Widzisz, obcy może tu łatwo zostać zabity. Mógłbym cię zabić. Jak chcesz jeszcze pożyć, lepiej nie podskakuj. – Byłem zły i sięgnąłem do kieszeni po swój nóż. Ale zdałem sobie sprawę, że jest ich o wielu za dużo, bym miał jakieś szanse. Nie chciałem okazać się tchórzem, ale wiedziałem, że będę musiał znaleźć inną okazję pokazania swojej odwagi. Kiwnąłem głową, odwróciłem się i poszedłem w stronę Washington Park i swojego mieszkania. Słyszałem jak za moimi plecami gang śmieje się i gwizdże.

– Dobrześ mu powiedział, Izrael. Nauczyłeś tego sukinsyna. Prędeż się zrobi zimno w piekle, niż on tu znowu wsadzi swój nos.

Byłem wściekły i rozgoryczony. Idąc pod torami nadziemnej kolejki na Myrtle, doszedłem do parku i usiadłem na ławce. Teraz dopiero zauważyłem, że idzie za mną młody, może

trzynastoletni chłopak. Odwróciłem się i popatrzyłem na niego. Uśmiechnął się i usiadł koło mnie.

– Dali ci wycisk, co?

– A co chcesz? Mógłbym się bić z jednym, ale to bez sensu bić się z nimi wszystkimi naraz.

– Człowieku, te gangi tutaj nie żartują – powiedział, sięgając do kieszeni koszuli i wyjmując skręta. – Zabiją cię, jeśli się do nich nie przyłączysz.

Zapalił papierosa i zauważył, że mu się przyglądam.

– Palisz trawkę? – spytał. Zaprzeczyłem, ale wiedziałem, o czym mówi.

– Chcesz spróbować? Mam więcej. Dzisiaj jest zimno.

– Pewnie – odpowiedziałem.

Raz już dzisiaj się wycofałem i nie chciałem tego powtarzać. Chłopak pogrzebał w kieszeni koszuli i wyjął krzywego, pomiętego papierosa, pogiętego na końcach i poplamionego z boku, tam gdzie był lizany przy sklejaniu.

– Musisz stale ciągnąć, bo zgaśnie – powiedział.

Zapalił mi go i zacząłem pykać.

– Nie tak – roześmiał się chłopak. – Patrz.

Nabrał pełne usta dymu i wciągnął go powoli do płuc.

– Tak trzeba. Jak tylko pykasz, to się wypali i nic z tego nie masz. Zaciągaj się.

Zaciągnąłem się. Poczułem dziwny słodki smak i mocny zapach.

– Co to daje? – spytałem, czując jak od tego ziele zaczyna mi się kręcić w głowie.

– Człowieku, wszystko! – odpowiedział chłopak. – Śmiejesz się, czujesz, że jesteś najlepszym tancerzem, najlepszym kochankiem, że się najlepiej bijesz. Wszystkie chłopaki tam koło wesołego miasteczka popaliły trawy. Nie widziałeś jakie mieli czerwone oczy? Można poznać, czy ktoś popalił trawki. Po tym, że mu błyszczą oczy.

– Skąd to bierzesz? – spytałem.

– O, to łatwe. Pełno tu handlarzy w okolicy. Prawie wszystkie większe chłopaki mogą ci to załatwić. Mają kontakty z tymi od transportów. Kuba, Meksyk. A ja? Mój stary to hoduje za domem. Jest tam tego trochę. Nikt tam nie chodzi. Mój stary wysiał trochę nasion między zielskiem i mamy swoje. Nie jest to takie dobre jak niektóre inne, ale nic nas nie kosztuje.

– A ile kosztuje u handlarza? – spytałem nadstawiając ucha, trochę speszony, że trzynastoletni dzieciak wie o tym więcej niż ja.

– Niektórzy sprzedają skręty po dolarze. Czasem można dostać po siedemdziesiąt pięć centów jeden. Ale najlepiej kupić puszkę, wiesz, taką jak puszka „Prince Albert”. W ten sposób możesz sobie robić skręty sam, co wychodzi po jakieś czterdzieści centów. Ale musisz uważać co kupujesz. Niektórzy z tych facetów oszukują. Dodają innego ziele i sprzedają. Zawsze sprawdzaj przy kupnie, bo cię oszukają.

Skończyłem palić skręta, wyciągnąłem nogi przed siebie i położyłem głowę na oparciu ławki. Gdy minął zawrót głowy, nie odczuwałem już tak bardzo chłodu wiatru. Miałem wrażenie jakbym się unosił się na niewidzialnym obłoku. Odwróciłem się tak, żeby widzieć chłopaka. Siedział z głową podpartą rękami.

– Mówiłeś, że po tym człowiek się robi szczęśliwy. Dlaczego się nie śmiejesz?

– Człowieku, z czego mam się śmiać? – odpowiedział. – Mój stary chleje. Tylko że to nie jest naprawdę mój stary. Zamieszkał z matką w tamtym roku. Nawet nie wiem, kto jest moim prawdziwym starym. A ten gość to cały czas pierze moją mamę. W tamtym tygodniu chciałem go odciągnąć, ale wyrzwał mnie w twarz butelką i wybił mi dwa zęby. Rzuciłem w niego budzikiem i trafiłem go w plecy. Wtedy mama, moja własna mama, nazwała mnie sukinsynem i powiedziała, żebym się wynosił... że nie mam prawa bić jej faceta. Teraz mieszkam na ulicy i tylko czekam, kiedy go będę mógł zabić. Nie jestem z żadnym gangiem.

Nie jestem z nikim. Czekam tylko aż ten drań będzie sam, i zabiję go. Już nawet nie kocham matki. Z czego mam się śmiać?

Gdy to mówił, ani na chwilę nie uniół głowy.

– To ten sam człowiek, co hoduje marihuanę za domem? – spytałem.

– Tak. I handluje. Człowieku, tylko poczekaj, aż go dopadnę samego. Przedziurawię go nożem na wylot.

Podniósł głowę. Jego twarz, zmęczona i napięta, bardziej przypominała twarz mały niż trzynastoletniego chłopca.

– A co, twój stary też chleje?

– Nie. Ja mam szczęście. Nawet nie mam starego ani starej – skłamałem – mam spokój.

Chłopak podniósł głowę.

– Tak, ja już chyba też – powiedział, po czym rozchmurzając się dodał: – No to cześć. Zobaczymy się chyba jeszcze. Uważaj na gangi. Jak spotkają cię na ulicy w nocy, zabiją.

– Słuchaj, a jak jest z tymi gangami? Ile w nich jest ludzi?

– Setki. Człowieku, jest ich tak dużo, że nie ma sensu ich liczyć.

– Co oni robią? – Biją się. A co mają robić? Albo idą się bić z innym gangiem, albo zostają u siebie, żeby bronić się przed jakimś gangiem, co ich napadł. Kiedy nie biją się z innym gangiem, biją się z policją. Biją się czym się da. Mają noże, pałki, pistolety – prawdziwe albo takie, co sami robią – kastety, karabiny, obrzynki, bagnety, kije baseballowe, rozbite butelki, butelki z benzyną, cegły, kamienie, łańcuchy rowerowe... Człowieku, nie wymyślisz rzeczy, której nie używają do zabijania. Oni nawet ostrzą szpice swoich parasoli, wprawiają kolce do butów, a są tacy, co noszą brzytwy albo wkładają żyłki między palce. Pobędziesz tu dłużej, to zobaczysz. Dlatego nie jestem z nimi, tylko chodzę po ciemnych ulicach i przejściach między blokami i trzymam się od nich z daleka. Ale zobaczysz. Pobędziesz tu trochę, to zobaczysz.

Wstał, wolno poszedł z powrotem przez park i zniknął w mroku.

Wróciłem na Fort Greene Place 54. Było już całkiem ciemno.

Nicky Cruz opowiada

Rozdział 4

Krwawy chrzest

Kilka tygodni później wyszedłem z domu około ósmej wieczorem i poszedłem w kierunku Papa John's na rogu La-Fayette. Tam spotkałem Tico, młodego Portorykańczyka, który stał oparty o ścianę domu i palił papierosa. Spotkałem go już raz czy dwa i wiedziałem, że jest to spec od noża.

Tico popatrzył na mnie i powiedział:

– Hej, Nicky, poszedłbyś na imprezę? Chcę cię poznać z Carlosem, prezesem gangu.

Słyszałem o imprezach, ale nigdy jeszcze nie byłem na żadnej, więc chętnie przyjąłem zaproszenie. Tico zaprowadził mnie na boczną ulicę, gdzie weszliśmy do piwnicy jednego z czynszowych domów. W słabym świetle stojącej w kącie lampy z początku prawie nic nie widziałem. Przez okienka i drzwi piwnicy wpadało trochę światła lamp ulicznych. Gdy wszedłem głębiej, zobaczyłem ciemne, przytulone do siebie postacie kołyszące się w takt cichej muzyki. Dziewczeta opierały głowy na ramionach swoich partnerów, stopy tańczących poruszały się zgodnie w rytm powolnej melodii. Jeden z chłopaków trzymał butelkę wina za plecami swojej dziewczyny. W pewnej chwili otoczył jej szyję ręką i chwiejąc się pociągnął długi łyk z butelki.

Kilku chłopaków siedziało przy stoliku grając w karty i paląc. Później zorientowałem się, że palili skręty z marihuany. Na środku stolika stała butelka wina.

W drugim końcu pomieszczenia, daleko od lampy, dwie pary leżały na matach. Jedna para sprawiała wrażenie, że mocno do siebie przytulona śpi. Druga była zajęta intensywnymi pieszczotami. Gdy na nich patrzyłem, wstali z postania złączeni mocnym uściskiem, z ustami złączonymi w namiętym pocałunku, i wyszli przez boczne drzwi. Tico popatrzył na mnie i mrugnął.

– Tam jest łóżko – powiedział. – Trzymamy je tam, by można się było pokochać jak ktoś ma ochotę.

Stos brukowych tygodników z fotografiami nagich i półnagich kobiet leżał na podłodze u moich stóp.

„Więc to jest impreza” – pomyślałem.

Tico chwycił mnie za rękę i pociągnął na środek pokoju.

– Hej, słuchajcie. To jest mój kumpel. Poznajcie się.

Z cienia przy drzwiach wyłoniła się jasnowłosa dziewczyna i wzięła mnie pod rękę. Miała na sobie obcisły czarny sweter, czerwoną spódnicę i była boso. Objąłem ją w tali i spytałem:

– Zatańczysz, mała?

– Jak masz na imię? – odpowiedziała pytaniem.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, odezwał się Tico.

– On ma na imię Nicky. To mój kumpel. Piekielnie dobrze się bije. Może zechce się do nas przyłączyć.

Dziewczyna odwróciła się do mnie twarzą i przylgnąwszy mocno do mnie powiedziała:

– Dobra, Nicky, jeśli tak dobrze się bijesz, zobaczymy, jak dobrze tańczysz.

Sunąc po podłodze w rytm muzyki, czułem jej uda ocierające się o moje. Jej bliskość zaczęła mnie podniecać. Czułem każdy ruch jej ciepłego ciała ściśle przylegającego do mojego. Wsunąłem jej rękę pod sweter na plecach i przycisnąłem mocniej do siebie.

– Mmmmmmm – usłyszałem jej mruczenie i objąłem ją tuż pod pachami.

Nagle dziewczyna położyła mi ręce na piersi i mocno odepchnęła.

– Przestań! Co sobie właściwie myślisz! – warknęła. – Nie pozwalaj sobie. Należę do Josego i on cię porznie na kawałki jak mu powiem, że chciałeś mnie obmacywać.

Po wyrazie mojej twarzy zorientowała się, że się zmieszałem. Nagle uśmiechnęła się i na powrót przyciągnęła mnie do siebie. Powiedziała mi na ucho:

– W końcu dopiero się poznaliśmy. Nie śpiesz się tak. Jak cię polubię, dostaniesz wszystko.

Tańczyliśmy jeszcze chwilę, po czym stanęliśmy i zaczęliśmy się przyglądać jak dwóch chłopaków bawi się nożem w mięczaka. Jeden z nich stał przy ścianie, drugi rzucał nożem koło jego stóp. Zabawa polegała na tym, żeby rzucić jak najbliżej nogi, ale nie zranić. Jeśli stojący pod ścianą chłopak drgnie, jest mięczakiem.

Przyłapałem się na tym, że z niecierpliwością czekałem na zranienie stojącego. Podniecała mnie myśl o krwi. Zacząłem się śmiać z mojej nadziei, że rzucającemu drgnie ręka i nóż zrani tego drugiego.

Blondynka w czarnym swetrze pociągnęła mnie za rękę.

– Chodź ze mną. Chcę cię poznać z kimś ważnym.

Poszedłem za nią do pomieszczenia obok. Siedział tam, rozwalony w fotelu, z nogami na stojącym przed nim stoliku, tykowany Portorykańczyk. Okrakiem na kolanach siedziała mu dziewczyna i pochylała się nad nim, a on dmuchał dymem z papierosa w jej włosy i śmiał się.

– Hej! – krzyknął do nas. – Co to za maniery? Nie wiecie, że macie mnie prosić o pozwolenie, zanim wejdziecie? Moglibyście przyłapać mnie na robieniu czegoś, co niekoniecznie chcę, żeby ktoś widział.

Roześmiał się i poklepał dziewczynę po biodrach. Popatrzawszy na mnie, spytał:

– Co to za jeden?

– To mój przyjaciel, Nicky – odpowiedziała blondynka. – Tico go przyprowadził. Tico mówił, że on się dobrze bije.

Tykowany chłopak zrzucił dziewczynę z kolan i wyciągnął do mnie rękę.

– Potrzyj mi skórę, Nicky, jestem Carlos, prezes Mau Mau.

Lekko przyłożyłem swoją rękę do jego i pociągnąłem. Nasze dłonie otarły się o siebie nawzajem w przyjętym w gangach powitaniu. Słyszałem o Mau Mau. Nazywali się tak od krwiożerczych afrykańskich dzikusów. Widywałem na ulicach ich czarne kurtki z podwójnym czerwonym „M” naszytym na plecach. Nosili modne tyrolskie kapelusze, często udekorowane zapawkami. Większość z nich nosiła laski. Na nogach mieli buty z ostrymi szpicami. Gdy jesteś w takich butach, kopnięciami możesz zabić człowieka w kilka sekund.

Carlos kiwnął głową w kierunku jednego z kątów pomieszczenia i zobaczyłem tego chłopaka sprzed wesołego miasteczka.

– To jest Izrael, wiceprezes Mau Mau.

Izrael patrzył na mnie z kamienną twarzą. Jego czarne oczy przewiercały mnie na wylot i sprawiały, że zaczynałem się czuć nieswojo. Później dowiedziałem się, że prezes i wiceprezes są niemal zawsze razem. Przychodzą sobie nawzajem z pomocą w przypadku, gdy któregoś z nich ktoś zaatakuje.

– Ile masz lat, Nicky? – spytał Carlos.

– Szesnaście – odpowiedziałem.

– Umiesz się bić?

– Jasne.

- Chcesz się bić z każdym, nawet z policją?
- Jasne.
- Słuchaj, a dziabnąłeś już kogoś?
- Nie – odparłem szczerze, ale z żalem.
- A ktoś cię próbował dziabnąć?
- Tak – odparłem.
- Tak? – powiedział Carlos wykazując zainteresowanie. – A co mu zrobiłeś?
- Nic. Ale zrobię. Czekam tylko aż go znowu dopadnę i wtedy go zabiję.

Do rozmowy włączył się Izrael.

– Słuchaj, człowieku, jak chcesz być w naszym gangu, musisz robić to, co my. Jesteśmy najtwardsi. Nawet policja się nas boi. Ale nie chcemy tu mięczaków. Chcesz być z nami i nie jesteś mięczak, to w porządku. Ale jak jesteś mięczak, to cię zarżniemy.

Wiedziałem, że Izrael mówi prawdę. Słyszałem już opowieści o chłopakach zabitych przez ich własne gangi za to, że stchórzyli i uciekli zostawiając kumpla z gangu jego własnemu losowi.

Odezwał się Carlos:

– Dwie rzeczy, człowieku. Jak wstąpisz do Mau Mau, to już na zawsze. Nikt nigdy nie może zrezygnować. Drugie: jak cię złapią gliny i coś piśniesz, dostaniemy cię. Dostaniemy cię, kiedy wyjdiesz z mamra, albo przedostaniemy się do mamra i tam cię dopadniemy. Ale dostaniemy cię.

Na urodziwej twarzy Izraela pojawił się ślad uśmiechu.

- No i jak, mały, ciągle chcesz do nas dołączyć?
- Dajcie mi trzy dni – powiedziałem. – Jak wstąpię do gangu, to będę szedł na całego.
- Dobra – powiedział Carlos. – Masz trzy dni do namysłu. Pod koniec trzeciego dnia przyjdź tutaj. Zawiadomisz mnie co zdecydowałeś.

Przez cały czas naszej rozmowy Carlos nie zmienił swojej pozycji i nie zdjął nóg ze stolika. Teraz przyciągnął do siebie dziewczynę i wsunąwszy jej rękę pod spódnicę objął ją w biodrach. Gdy odwróciłem się, żeby wyjść, powiedział:

– Acha, Nicky, zapomniałem ci powiedzieć. Jak powiesz komuś, komukolwiek, gdzie jesteśmy, zabiję cię zanim się zdążysz obejrzeć. Jasne?

– Jasne – odpowiedziałem. Wiedziałem, że nie żartuje.

Gdy wyszliśmy na ulicę, spytałem:

- Jak myślisz, Tico, powinienem wstąpić do Mau Mau? – Tico wzruszył ramionami.
- To jest niezły układ, stary. Jak wstąpisz, opiekują się tobą. Jak nie wstąpisz, mogą cię zabić za to, żeś nie wstąpił. Właściwie to już nie masz wielkiego wyboru. Poza tym i tak musisz wstąpić do któregoś gangu, żeby cię tu gdzieś nie zabili.

– A Carlos? – spytałem. – Co to za facet?

– On jest w porządku. Nie mówi dużo, ale kiedy coś powie, wszyscy go słuchają. On tu rządzi i wszyscy o tym wiedzą.

– Czy to prawda, że prezes ma prawo wybierać sobie dziewczyny?

– Prawda – powiedział Tico. – Mamy około siedemdziesięciu pięciu dziewczyn w gangu i prezes je sobie wybiera. Jak chce, to codziennie inną. Bardzo im się to podoba. Wiesz, to duża rzecz być z prezesem. One się o to biją. Ale to nie wszystko. Gang dba o prezesa. On pierwszy wybiera dla siebie dołę z tego, co ukradniemy. Zwykle wystarczy mu to na zapłacenie mieszkania, na jedzenie i na ubranie. Nieźle jest być prezesem.

– Słuchaj, Tico, jak jesteś taki dobry w nożu, dlaczego nie jesteś prezesem?

– Człowieku, to nie dla mnie. Prezes nie musi dużo walczyć. On musi stać z tyłu i planować różne rzeczy. A ja lubię się bić. Nie chcę być prezesem. „To tak jak ja – pomyślałem. – Ja też się lubię bić”.

Tico wrócił do Papa John's, a ja skręciłem w kierunku Fort Greene Place 54. Czułem podniecenie na myśl o tym, co mnie czeka: imprezy, dziewczyny, ale przede wszystkim walki. Nie musiałbym już więcej walczyć samotnie. Mógłbym ranić do woli, a nikt by mi nie oddał. Serce zaczęło mi bić szybciej. Może będę miał szansę naprawdę kogoś pchnąć nożem. Niemal widziałem krew ściekającą po dłoniach i kapiącą na ulicę. Po drodze zacząłem wymachiwać rękami udając, że uderzam nożem w wyimaginowane postacie w ciemności. Powiedziałem Carlosowi, że dam mu znać po trzech dniach, ale już się zdecydowałem. Pragnąłem, by ktoś dał mi do ręki nóż i pistolet.

Na trzeci dzień wieczorem poszedłem znowu na imprezę. W drzwiach przywitał mnie Carlos. – Cześć, Nicky. Dobrze trafiłeś. Mamy tu właśnie chłopaka, który chce wstąpić do Mau Mau. Chcesz widzieć inicjację?

Nie miałem pojęcia co to jest inicjacja, ale chciałem popatrzeć. Carlos ciągnął dalej:

– Ale może przyszedłeś, żeby nam powiedzieć, że nie chcesz się do nas przyłączyć, co?

– Nie – odparłem – przyszedłem powiedzieć, że jestem gotów się przyłączyć. Chcę walczyć. Myślę, że jestem tak samo twardy jak każdy i chyba lepiej się biję niż większość chłopaków.

– Dobra – powiedział Carlos. – Popatrzysz, a potem przyjdzie twoja kolej. Mamy dwa sposoby odkrycia, czy jesteś mięczak. Albo stoisz spokojnie, kiedy pięciu naszych najsilniejszych chłopaków cię bije, albo stoisz przy ścianie czekając na nóż. Jeśli nie wytrzymasz którejś z tych prób, nie pozwolimy ci wstąpić do gangu. Ten mały mówi, że jest twardy. Zobaczymy, czy naprawdę. A potem zobaczymy, jaki ty jesteś twardy.

Popatrzyłem na drugi koniec pomieszczenia i zobaczyłem tego drugiego chłopaka. Miał około trzynastu lat, pryszczatą twarz i opadającą na czoło grzywę czarnych włosów. Był mały i chudy, stał z rękami nieruchomo zwieszonymi po bokach. Miał na sobie białą koszulę z długimi rękawami, poplamioną z przodu i byle jak powtykaną do spodni. Zdawało mi się, że widziałem go już kiedyś w szkole, ale nie byłem pewien, bo był ode mnie młodszy.

Około czterdziścioro chłopców i dziewcząt niecierpliwie oczekiwało na to widowisko.

Carlos rozpoczął ceremonię. Kazał się wszystkim rozstąpić, a chłopaka ustawił plecami do ściany. Stał przed nim z otwartym nożem w ręce. Srebrzyste ostrze połyskiwało w słabym świetle, gdy zaczął mówić:

– Teraz się obróć i odliczę dwadzieścia kroków od tamtej ściany. Ty stój tu, gdzie jesteś. Powiedziałeś, że jesteś twardy. No to sprawdzimy, czy bardzo. Kiedy doliczę do dwudziestu, odwrócę się i rzucę nożem. Jak się ruszysz, jesteś mięczak. Jak się nie ruszysz, nawet gdy nóż cię trafi, jesteś twardy gość i możesz wstąpić do Mau Mau. Jasne?

Mały kiwnął głową.

– I jeszcze jedna rzecz – powiedział Carlos trzymając nóż przed oczyma chłopca – jeśli stchórzysz, kiedy będę odliczał kroki, możesz krzyknąć. Ale żebyś więcej nie pokazywał nosa w tych stronach. Jak cię tu zobaczymy, to oberzniemy ci te wielkie uszy i każemy ci je zjeść, a potem wydlubiemy ci pępek otwieraczem do piwa i zostawimy cię, żebyś się wykrwawił na śmierć.

Dziewczęta i chłopcy zaczęli się śmiać i klaskać.

– No, zaczynaj, stary! – wołali do Carlosa.

Carlos odwrócił się plecami do chłopca i powoli ruszył przez piwnicę. Swój długi połyskujący nóż trzymał na wysokości twarzy, w zgiętej w łokciu ręce.

– Raz... dwa... trzy...

Członkowie gangu zaczęli gwizdać i krzyczeć:

– Zabij go, Carlos! Wbij mu nóż w oko! Upuść mu krwi! Chłopak przykleił się do ściany, jak mysz zapędzona w róg przez kota. Czynił rozpaczliwe wysiłki, żeby wytrwać. Wyprężył ręce wzdłuż ciała, zacisnął pięści tak, że aż mu zbieleły kostki. Cała krew odpłynęła mu z twarzy i oczy miał okrągłe z przerażenia.

– Jedenaście... dwanaście... trzynaście...

Carlos głośno liczył kroki. Napięcie rosnęło. Chłopcy i dziewczęta coraz głośniejszą wrzawą domagali się krwi.

– Dziewiętnaście... dwadzieścia.

Carlos powoli się odwrócił i uniósł dłoń z nożem na wysokość ucha. Krwiożercze okrzyki członków gangu zlały się w jeden dziki wrzask. I w chwili, gdy Carlos z całej siły cisnął nożem, chłopiec skulił się zasłaniając głowę rękami krzyknął:

– Nie! Nie!

Nóż uderzył w ścianę o kilkanaście centymetrów od miejsca, w którym przed chwilą znajdowała się głowa chłopca.

– Mięczak!... Mięczak!... Mięczak! – zawył tłum.

Carlos był zły. Zacisnął usta, oczy mu się zwęziły.

– Złapcie go – syknął.

Dwaj członkowie gangu podeszli z boku i chwyciwszy za ręce kulącego się ze strachu chłopca, jednym szarpnięciem wyprostowali go i oparli znowu o ścianę. Carlos podszedł i stanął przed trzęsącą się postacią.

– Mięczak! – warknął. – Mięczak! Jak tylko cię zobaczyłem, wiedziałem że jesteś tchórz. Powinienem cię zabić.

Piwnica znowu wypełniła się okrzykami:

– Zabij go! Zabij paskudnego tchórze!

– Wiesz, co robimy z takimi strachliwymi pisklakami?

Chłopiec popatrzył na Carlosa i poruszył wargami, ale z gardła nie wydobył mu się żaden dźwięk.

– Podcinamy im skrzydła, żeby już więcej nie próbowały podfruć. Wyszarpnął nóż ze ściany. – Rozciągnijcie go! – rozkazał.

Zanim chłopiec zdążył się poruszyć, dwaj stojący po jego bokach członkowie gangu złapali go za ręce i rozkrzyżowali na ścianie. Błyskawicznym ruchem Carlos uderzył od dołu i wbił nóż prawie po rękojęść w pachę dziecka. Chłopiec szarpnął się i wrzasnął z bólu. Chlusnęła krew i na białej koszuli zaczęła się rozszerzać purpurowa plama.

Carlos wyrwał nóż z ciała chłopca i przerzucił do lewej ręki.

– Widzisz? – powiedział, z rozmachem wbijając nóż w drugą pachę dziecka. – Lewą też potrafię.

Obaj trzymający puścili teraz chłopca, który upadł na podłogę. Skrzyżował ręce na piersi i trzymając się za rany pod pachami wył z bólu, wiał się na podłodze. Niemal cała jego koszula była zaplamiona jaskrawoczerwoną krwią.

– Zabierzcie go stąd – warknął Carlos.

Dwaj jego pomocnicy podeszli i gwałtownie postawili chłopca na nogi. Chłopiec odrzucił głowę i krzyknął, gdy szarpnęli go za ręce. Carlos brutalnie zatkał mu usta dłonią i krzyk ucichł. Okrągłe z przerażenia oczy spoglądały znad dłoni Carlosa.

– Zjeżdżaj do domu, mięczaku. Jak jeszcze raz wrzasniesz albo jak piśniesz komuś o nas choć słówko, utnę ci język. Jasne?

Mówiąc to podniósł nóż, z którego ostrza krew zaczęła ściekać na wykładaną masą perłową rękojęść.

– Jasne? – powtórzył.

Dzieciak kiwnął głową.

Chłopcy wywlekli go z piwnicy na ulicę. Odprowadzały go okrzyki:

– Zjeżdżaj do domu, mięczaku! Carlos odwrócił się.

– Kto następny? – powiedział, patrząc prosto na mnie.

Wszyscy ucichli.

I nagle uświadomiłem sobie, że się nie boję, a nawet, że oglądanie cierpień chłopca i ciosów nożem zadanych przez Carlosa sprawia mi przyjemność. Widok krwi wzbudził we mnie gwałtowne podniecenie. Zazdrościłem Carlosowi. Ale teraz była moja kolej.

Pamiętałem oświadczenie Carlosa, że mogę wybrać rodzaj inicjacji. Zdrowy rozsądek podpowiedział mi, że Carlos jest rozwścieczony. Kiedy pozwolę mu rzucać w siebie nożem, będzie chciał specjalnie mnie zranić. Rozsądniej było wybrać drugi sposób.

– Mamy drugiego mięczaka? – spytał szyderczo Carlos.

Wyszedłem na środek piwnicy i rozejrzałem się. Jedna z dziewcząt, wysoka i smukła, w obcisłych czarnych spodniach, zawołała:

– Co ci to, chłopaczku? Boisz się? Zostało nam tu trochę krwi, jak ty nie masz.

Po jej słowach piwnica zatrzęsała się od śmiechu, bo rzeczywiście podłoga koło ściany, przy której stał tamten chłopiec, była pokryta lepka kałużą krwi.

– Nie ja. Ja się nie boję – powiedziałem. – Wypróbujcie mnie. Gdzie są te twoje chłopaki, co mnie chcą prać?

Nadrabiałem miną, ale głęboko w środku zacząłem odczuwać lęk. Uświadomiłem sobie, że oni wcale nie będą udawali. Ale wolę raczej umrzeć, niż być mięczakiem. Więc powiedziałem:

– Jestem gotów. Carlos warknął pięć imion. – Johnny!

Krępy chłopak wystąpił z grupy i stanął przede mną. Był dwa razy bardziej rozrośnięty niż ja. Czoło miał głęboko pobrużdżone i szyję tak krótką, że głowa wyrastała mu niemal wprost z ramion. Johnny wyszedł na środek pomieszczenia głośno trzaskając kostkami palców. Próbowałem sobie wyobrazić moje pięćdziesiąt kilka kilogramów przeciwko jego dziewięćdziesięciu. Johnny stał i patrzył na mnie bez wyrazu, jak małpa. Cekał na rozkaz do ataku.

– Mattie!

Wystąpił drugi chłopak. Ten był prawie mojej wagi, ale miał długie ręce. O wiele dłuższe niż moje. Podszedł lekko stąpając na ugiętych nogach i zadając rękami błyskawiczne ciosy wyimaginowanemu przeciwnikowi. Głowę trzymał nisko pochyloną, brodą prawie dotykając piersi, patrzył spode łba. Krążył wokół mnie i rozgrzewał się szybką walką z cieniem, sapiąc i parszając przez nos w czasie tych podskoków i błyskawicznych ciosów w powietrze. Jego popisowi towarzyszyły gwizdy i westchnienia dziewczyn.

– Jose!

Trzeci chłopak dołączył do dwóch poprzednich. Lewy policzek przecinała mu głęboka blizna sięgająca od oka do czubka brody. Zdjął koszulę i kolejno napinał wszystkie mięśnie. Zbudowany był jak ciężarowiec. Następnie zaczął krążyć wokół mnie, przyglądając mi się ze wszystkich stron.

– Sowa!

Gang wydał pomruk. Bez wątpienia Sowa była faworytem. Później dowiedziałem się, że nazwali go Sowa, bo widział nocą równie dobrze jak w dzień. W akcjach zajmował miejsce w pierwszej linii, żeby spostrzec nadciągających wrogów. Był niski i gruby. Miał wielkie oczy i zakrzywiony nos, niewątpliwie wielokrotnie łamany. Brakowało mu części ucha. Stracił je, gdy w czasie walki na dziedzińcu szkolnym został uderzony deską ze sterzącym długim gwoździem, który zaczepił o ucho i oddarł więcej niż połowę. Nie widziałem jeszcze tak paskudnej gęby.

– Paco!

Nie zdążyłem mu się przyjrzeć. Usłyszałem tylko jego głos z tyłu:

– Hej, Nicky! – i odwróciłem się, żeby zobaczyć kto mnie woła, gdy uderzył mnie pięścią w plecy tuż poniżej pasa. Ból był okropny. Poczulem się jakby mi zmiażdżył nerki. Cios wygiął mnie do tyłu i złapałem się za uderzone miejsce. W tej samej chwili inny z chłopaków

uderzył mnie w brzuch tak, że straciłem oddech. Poczułem, że za chwilę zemdleję z bólu. Ktoś uderzył mnie w twarz i usłyszałem jak pod tym ciosem chrupnęła mi kostka w nosie.

Nie miałem okazji oddać. Poczułem, że padam. Ktoś chwycił mnie za włosy. Moje ciało upadło na podłogę, ale głowa była uniesiona za włosy. Ktoś ubłoconym butem kopnął mnie w twarz i poczułem ziarenka piasku wbijające mi się w wargi i policzek. Czułem kopniaki na całym ciele, a ten który trzymał mnie za włosy, walił pięścią w moją głowę.

Wtedy zgasło światło i straciłem przytomność.

W jakiś czas później poczułem, że ktoś mnie szarpie i klepie po twarzy. Usłyszałem głos:

– Hej, zbudź się.

Spróbowałem spojrzeć na mówiącego, ale ostro widziałem tylko sufit. Przesunąłem rękami po twarzy i poczułem krew. Byłem nią zlany całkowicie. Popatrzyłem jeszcze raz w górę i zobaczyłem twarz tego, którego nazywali Sową. Krew sprawiła, że wpadłem w szal. Z całej siły uderzyłem go w twarz. Nagle wróciła mi cała energia. Leżąc na plecach w tej lepkiej kałuży krwi, zacząłem rzucać się i kręcić w koło, wrzeszcząc, przeklinając, waląc pięściami i kopiąc każdego, kogo zobaczyłem.

Ktoś złapał mnie za stopy i przygwoździł je do podłogi. Gdy moja furia minęła, ze śmiechem pochylił się nad mną Izrael.

– Jesteś swój gość, Nick. Przydasz się nam, chłopie. Nie jesteś mięczakiem, to jasne. Masz.

Wcisnął mi coś do ręki.

Był to rewolwer kaliber 32.

– Jesteś Mau Mau, Nicky. Mau Mau.

Nicky Cruz opowiada

Rozdział 5

Walki na ulicach

Od samego początku staliśmy się z Izraelem nieomal nierozłączni. Po trzech dniach Izrael przyszedł pod mój dom i powiedział, że będzie „łomotanie” z Biskupami.

„Wreszcie będę miał okazję użyć swojego rewolweru – pomyślałem – i bić się”. Gdy Izrael przedstawiał plan akcji, czułem jak nad karkiem jeżą mi się włosy.

Gang Mau Mau miał zebrać się w Washington Park, koło De Kalb. Mieliśmy tam być przed dziewiątą wieczorem. Nasz *doradca wojenny* spotkał się już z *doradcą wojennym* Biskupów i ustalił miejsce i czas walki; punktualnie dziesiąta wieczór, na placu za szkołą numer 67.

– Weź swój rewolwer – powiedział Izrael. – Wszystkie chłopaki biorą broń. Niektórzy sami zrobili sobie pistolety, a Hector ma strzelbę z upiłowaną lufą. Damy szkołę tym Biskupom. Jak będzie trzeba, to ich pozabijamy. A jak przegramy, to walcząc do końca. Jesteśmy Mau Mau. Ci afrykańscy Mau Mau piją krew, człowieku, a my jesteśmy całkiem jak oni.

Gdy przyszedłem do parku o wpół do dziewiątej, gang już się zbierał. Broń pochowali na drzewach i w wysokiej trawie, na wypadek, gdyby w pobliżu przechodzili policjanci. Ale żaden policjant się nie pokazał. Izrael i Carlos wydawali rozkazy. Zanim wybiła dziesiąta, zebrało się w parku ponad stu chłopaków. Niektórzy mieli pistolety. Większość miała noże. Kilku przyszło z kijami bejsbolowymi, maczugami nabijanymi gwoździami albo z własnej roboty pałkami. Inni mieli łańcuchy rowerowe, które, umiejętnie użyte, stanowiły niebezpieczną broń. Carlos miał długi na dwie stopy bagnet, a Hector swoją strzelbę z obciętą lufą. Część chłopaków miała iść dwie ulice dalej i przekraść się na tyły terenu szkolnego przy Park Avenue, żeby odciąć odwrót Biskupom. Mieli czekać aż rozpocznie się walka, a potem uderzyć od tyłu. Reszta z nas miała nadejść od strony St. Edward Street i próbować zmusić Biskupów do odwrotu w kierunku zaczajonej z tyłu grupy.

Ruszyliśmy cicho, wyciągając po drodze z ukrycia broń. Tico szedł koło mnie i uśmiechał się.

– No jak, Nicky? Boisz się?

– Człowieku, nie! To jest to, na co czekałem – powiedziałem odchylając kurtkę, żeby mógł zobaczyć mój rewolwer.

– Ile masz w nim kul? – spytał Tico.

– Jest pełny. Cała piątka.

Tico gwizdnął cicho i powiedział:

– No, no, całkiem nieźle. Powinieneś dostać któregoś z tych czarnych łobuzów, to jasne. A ja? Ja przyzwyczajony jestem do swojego noża.

Rozbiliśmy się na małe grupki, żeby przejść koło osiedlowego komisariatu na rogu ulic Auburn i St. Edward. Uformowaliśmy się ponownie przed szkołą i Carlos dał sygnał do ataku.

Okrzykliśmy biegiem budynek szkoły i wpadliśmy na boisko. Biskupi już na nas czekali.

– Hurrraaa! Bij! Zabij! – krzyczeliśmy, pokonując biegiem odległość dzielącą nas od Biskupów.

Biegłem na przedzie wyciągając zza pasa rewolwer. Izrael skręcił w bok, wywijając swoim kijem baseballowym. Dokoła mnie kotłowały się chłopaki, wrzeszcząc, przeklinając i waląc na odlew. Na boisku musiało być ze dwustu chłopaków, ale było ciemno i trudno było odróżnić członków jednego gangu od drugiego. Zobaczyłem jak na biegnącego przez boisko do koszykówki Hectora, wpadł ktoś z pokrywą od pojemnika na śmieci. Hector wywrócił się i w tej samej chwili jego strzelba z głośnym hukiem wypaliła. Czarny chłopak koło niego upadł na twarz i z rany na głowie poląła mu się krew. Podbiegłem i kopnąłem go. Wrażenie było takie, jakbym kopnął worek ziarna.

Nagle ktoś pchnął mnie od tyłu tak mocno, że upadłem na twardej asfalt boiska do koszykówki. Wyciągnąłem ręce, by zamortyzować upadek, i poczułem, że zdzieram sobie skórę z dłoni. Obejrzałem się, żeby zobaczyć, kto mnie popchnął, i zdążyłem uchylić się w chwili, gdy kij bejsbolowy uderzał tuż koło mojej głowy z taką siłą, że usłyszałem jak pęka. Gdyby cios trafił w moją głowę, zostałbym zabity.

W tym momencie reszta naszego gangu zaatakowała z tyłu i Mau Mau wydali potężny okrzyk:

– Bij! Zabij!

Podniosłem się na nogi i zobaczyłem, że Biskupi zaczęli w popłochu biec w kierunku przejść na St. Edward. Izrael z tyłu za mną krzyczał:

– Strzelaj do tego, Nicky, strzelaj!

Pokazywał na małego chłopaka, który próbował uciekać, ale był ranny i trochę biegł, a trochę szedł, kulejąc, za uciekającymi Biskupami. Wycelowałem w chwiejącą się postać i pociągnąłem za spust. Pistolet wypalił, ale chłopak uciekał dalej. Chwyciłem pistolet oboma rękami i znowu pociągnąłem za spust.

– Dostał! Człowieku, dostał!

Chłopiec, trafiony w biodro, wywrócił się. Czołgał się jeszcze, gdy Izrael złapał mnie za rękę i krzyknął:

– Zwiewajmy, stary! Gliny idą!

Słysząc było policyjne gwizdki i krzyki przed szkołą, gdzie gliniarze zaczęli otaczać uciekających Biskupów. Pobiegliśmy w przeciwnym kierunku, rozpraszając się na tyłach terenu szkolnego. Gdy przełaziłem przez ogrodzenie, spojrzałem za siebie. W mroku widać było trzech chłopaków leżących nieruchomo na ziemi. Kilku innych siedziało i trzymało się za zranione miejsca. Cała bitwa nie zajęła więcej niż dziesięć minut.

Minęliśmy sześć czy siedem przecznic, dopóki brak tchu nie zmusił nas do zatrzymania się. Dołączył do nas Carlos i dwóch innych chłopaków i wskoczyliśmy do rowu za warsztatem samochodowym.

Izrael nie mógł złapać tchu, ale śmiał się tak bardzo, że się zakrztusił.

– Widzieliście tego wariata, Nicky’ego? – wydusił z siebie pomiędzy jednym atakiem śmiechu a drugim.

– Ludzie, on chyba myślał, że to jest kowbojski film, strzelał w powietrze.

Inni, ledwo łapiąc oddech, też się śmiali. Dołączyłem do nich. Leżeliśmy w tym rowie na plecach i śmialiśmy się do rozpuku. Izrael, dysząc, wycelował palcem wskazującym w niebo i wykrztusił:

– Bach! Bach! Bach! – i znowu zaniósł się śmiechem.

Reszta z nas trzymała się za brzuchy, tarzaliśmy się w rowie to chichocząc, to śmiejąc się na całe gardło.

Czułem się doskonale. Widziałem jak poląła się krew. Strzeliłem do kogoś, może go nawet zabiłem. I zwialiśmy. Nigdy dotąd nie miałem takiego poczucia więzi jak tu, w tym rowie, z

tymi chłopakami. Było prawie tak, jak byśmy byli rodziną. Po raz pierwszy w życiu czułem, że komuś na mnie zależy.

Izrael wyciągnął rękę i położył ją na moim ramieniu:

– Jesteś w porządku, Nicky... Długo szukałem kogoś takiego jak ty. Jesteśmy do siebie podobni: obaj kopnięci.

Znowu wybuchliśmy śmiechem, ale czułem, że o wiele lepiej być kopniętym, na którym komuś zależy, niż normalnym, ale zawsze samotnym.

– Słuchajcie, może byśmy się czegoś napili? – powiedział Carlos, ciągle jeszcze podekscytowany wypadkami tego wieczoru. – Kto ma forszę?

Wszyscy byliśmy splukani.

– Zorganizuję trochę forsy – odezwałem się.

– Jak? Obrobisz kogoś? – spytał Izrael.

– Zgadłeś, stary. Pójdiesz ze mną?

Izrael stuknął mnie pięścią w ramię:

– Jesteś dobry, Nicky. Człowieku, ty zupełnie nie masz serca, nic nie czujesz. Chcesz się tylko bić. Chodźmy, stary. Idziemy z tobą.

Spojrzałem na Carlosa, myśląc, że on poprowadzi. Ale Carlos stał i czekał, gotów pójść za mną. To była dla mnie pierwsza wskazówka, że chłopaki pójdą zawsze za tym, który jest najokrutniejszy, najbardziej żądny krwi, najodważniejszy.

Wstaliśmy z rowu i pobiegliśmy przez ulicę, w mrok jednego z zaułków. Widać stąd było światło w jadłodajni na rogu czynnej całą noc. Wszedłem tam pierwszy.

W jadłodajni były trzy osoby. Dwie za kontuarem, a trzecia – starszy mężczyzna, zszedł właśnie ze stołka przy barze i płacił za swój posiłek. Podeszedłem do niego i pchnąłem go na kontuar. Odwrócił się zaskoczony i przestraszony. Gdy otwarłem nóż i lekko przycisnąłem go do jego brzucha, wargi zaczęły mu drżeć.

– No, dalej, stary! Dawaj to! – powiedziałem wskazując głową banknoty, które trzymał w ręce.

Mężczyzna za kontuarem ruszył w kierunku automatu telefonicznego wiszącego na ścianie. Izrael otworzył nóż, złapał go za fartuch pod szyją, przyciągnął zdecydowanie do siebie nad ladą i powiedział:

– Ej ty, chcesz, żebym cię zabił?

Usłyszałem jak kobieta gwałtownie nabrała powietrza i chwyciła się za usta, by stłumić krzyk. Izrael pchnął barmana na tacę z ciastkami i zdjął słuchawkę.

– Chcesz zadzwonić po gliniarzy, grubasie? – powiedział szyderczo się uśmiechając. – No to łap.

Zerwał przewód słuchawki i rzucił nią w barmana.

– Dzwon se po nich. Barman złapał słuchawkę i stał oszołomiony.

– Pośpiesz się stary. Nie mogę czekać całą noc – warknąłem do stojącego przede mną mężczyzny. Uniósł drżącą rękę, a ja wyszarpnąłem mu banknoty.

– To wszystko? – spytałem.

Próbował odpowiedzieć, ale nie udało mu się wydobyć głosu. Zobaczyliśmy białka wywróconych oczu, z kącika ust pociekła mu ślina, zaczął śmiesznie postękiwać.

– Zjeżdżajmy – powiedział jeden z chłopaków.

Carlos uderzył w klawisz kasy, zgarnął wszystkie banknoty i cofnęliśmy się do wyjścia. Stary upadł na kolana, chwycił się za pierś i jakoś tak śmiesznie cmokał.

– Hej, czekajcie! – zawołał Izrael i złapał pełną garść drobnych z kasy. Monety potoczyły się po podłodze. Izrael zachichotał i powiedział:

– Nigdy nie wychodźcie z restauracji nie zostawiając napiwku.

Roześmialiśmy się wszyscy. Kobieta i mężczyzna stali przerażeni u drugiego końca kontuaru, a stary klęczał na podłodze, zgięty w pasie.

Chwyciłem ciężką cukiernicę i z całej siły rzuciłem nią w wielkie okno od ulicy.

– Człowieku! Zwariowałeś? – zawołał Carlos, gdy rzuciliśmy się do ucieczki. – Ściągniesz nam na kark wszystkich gliniarzy z całego Brooklynu. Zwiewamy stąd!

Stary upadł twarzą na podłogę, a my popędziliśmy przez ciemne ulice do domu, śmiejąc się i pokrzykując.

Dwa miesiące później Carlosa złapała policja i dostał sześć miesięcy. Tej samej nocy cały gang zebrał się w auli szkoły numer 67. Nikomu nie wolno było przebywać na terenie szkoły po lekcjach, ale uzgodniliśmy to z Firpo, wiceprezesem Kapelanów, którego stary był dozorcą w tej szkole i pozwalał nam przeprowadzać nocami zebrania w auli, bo bał się o swojego syna. Tej nocy wybraliśmy Izraela na prezesa, a ja jednogłośnie zostałem wybrany wiceprezesem.

Po zebraniu zrobiliśmy imprezę w suterenie szkoły. Była kupa dziewczyn z gangu i jeden z chłopaków przedstawił mnie; swojej siostrze, Lydii, która mieszkała naprzeciwko szkoły. Bawiliśmy się długo. Paliliśmy „trawkę”, piliśmy tanie wino, niektóre pary szły na ciemną klatkę schodową popieścić się, inne tańczyły przy gramofonie.

Pociągnąłem Lydię za rękę.

– Chodźmy stąd.

Gdy wychodziliśmy ze szkoły, Lydia przytuliła się do mnie.

– Jestem twoja na zawsze, Nicky. Kiedy tylko będziesz mnie chciał, będę twoja.

Poszliśmy do Washington Park, ale nie było tam żadnego ustronnego miejsca. W końcu podsadziłem Lydię na ogrodzenie. Spadła śmiejąc się po drugiej stronie. Poszedłem w jej ślady i oto leżeliśmy objęci wśród wysokiej trawy. Pieściłem Lydię, a ona chichotała. Nagle odniosłem wrażenie, że ktoś nas obserwuje. Podniosłem wzrok na stojący po drugiej stronie ulicy budynek i zobaczyłem twarze kilkunastu dziewczyn przyglądających się nam z okien domu pielęgniarek.

Poczułem się tak, jakbyśmy się kochali na scenie w operze. Zacząłem się podnosić i Lydia spytała:

– Co się stało?

– Popatrz w górę. Całe to przekłęte miasto na nas patrzy– szepnąłem.

– No to co? – zachichotała Lydia i pociągnęła mnie w dół. Później wiele razy przychodziliśmy do parku, zupełnie nie zwracając uwagi na zaciekawione twarze w oknach ani na inne pary, mogące leżeć w trawie niedaleko nas.

Następne cztery miesiące zeszyły mi na walkach, rabunkach i innych zajęciach w gangu. Cztery razy zabierała mnie policja, ale nigdy nie potrafili mi niczego udowodnić i wypuszczali z ostrzeżeniem.

Członkowie gangu lubili mnie i szanowali. Nie bałem się niczego i równie chętnie biłem się w biały dzień, jak i pod osłoną nocy.

Pewnego dnia jeden z Mau Mau powiedział mi, że Lydia wydała mnie jednemu z Apaczów. Ogarnęła mnie wściekłość i oznajmiłem, że ją zabiję. Poszedłem do swojego mieszkania po rewolwer. Jeden z chłopaków powiedział o tym bratu Lydii, który pobiegł ją ostrzec. Kiedy przyszedłem do jej mieszkania, zastałem tam Luisa, jej starszego brata. Luis powiedział mi, że poprzedniego wieczora ten Apacz dopadł Lydię na ulicy i bił ją, chcąc się dowiedzieć, gdzie mieszkam, żeby przyjść do mnie i mnie zabić.

Wyszedłem z mieszkania Lydii i poszedłem do Izraela. Razem poszliśmy szukać tego Apacza, o którym mówił Luis. Znaleźliśmy go na rogu Lafayette i Fort Greene, przed Harry's Meat House. Szóstka Mau Mau otoczyła nas ciasnym kręgiem. Zwaliłem tego chłopaka na ziemię i walnąłem go żelazną rurką. On zaczął błagać, żebym go nie zabijał. Chłopaki z mojego gangu zaczęły się śmiać, a ja zacząłem go raz po razie okładać rurką, aż był cały

zakrwawiony. Przechodnie zaczęli uciekać. W końcu nie mógł już ruszać rękami, żeby się zasłaniać od uderzeń. Wtedy zacząłem walić go z całej siły po ramionach i nie przestałem, dopóki nie stracił przytomności leżąc w kałuży krwi.

– Ty parszywy draniu! To cię nauczy bić moją dziewczynę – powiedziałem i zwialiśmy.

Spieszyłem do Lydii, żeby jej powiedzieć co zrobiłem w obronie jej honoru, chociaż jeszcze godzinę temu byłem gotów ją zabić.

W miarę upływu lata walki na ulicach nasiliły się. Upał w mieszkaniach był nie do wytrzymania i zostawaliśmy na ulicach większą część nocy. Rzadko która noc mijała bez jakiejś akcji gangu.

Żaden z nas nie miał samochodu. Jeśli chcieliśmy się gdzieś ruszyć, jechaliśmy metrem albo kradliśmy samochód. Nie umiałem prowadzić, ale pewnej nocy przyszedł do mnie Mannie Durango i powiedział:

– Chodź, rąbniemy auto i przejedziemy się.

– Masz coś upatrzonego? – spytałem.

– Tak, stary. Zaraz za tym blokiem. Jest bombowy, a jakiś idiota zostawił w środku kluczyki.

Poszedłem z nim i rzeczywiście stał tam przed domem ten wóz. Mannie miał rację. Wóz był bombowy: Chevrolet ze składanym dachem. Wskoczyliśmy do środka i Mannie usiadł za kierownicą. Rozsiadłem się w fotelu i paliłem papierosa, strząsając popiół na zewnątrz, jak jaki bogacz. Mannie kręcił kierownicą tam i z powrotem i naśladował pisk opon i ryk silnika:

– Rrrrrruummmmm! Rrruuuuuummmni!

Zacząłem się śmiać.

– Hej, Mannie, czy ty na pewno potrafisz poprowadzić ten wóz?

– Jasne, stary. Tylko się przypatrz.

Przekręcił kluczyk tkwiący w stacyjce i silnik zawarczał. Włączył wsteczny bieg i nadepnął na pedał gazu. Samochód wyrzwał w stojący za nim wóz dostawczy. Usłyszeliśmy, jak sypie się szkło.

– Człowieku! – zawołałem ze śmiechem. – Jesteś naprawdę dobrym kierowcą. Świetnie sobie z tym radzisz. Zobaczmy jak ci pójdzie do przodu.

Mannie szarpnął dźwignię biegów do przodu, a ja zaparłem się w fotelu, bo wóz skoczył prosto na stojący przed nami inny samochód. Znowu usłyszeliśmy huk i sypiące się szkło.

Śmiałyśmy się tak bardzo, że nie zauważyliśmy mężczyzny, który z krzykiem wybiegł z bramy stojącego obok domu.

– Wynoście się do diabła z mojego auta, parszywe portorykańskie gnojki! – wrzasnął, próbując wyciągnąć mnie z samochodu.

Mannie wrzucił wsteczny bieg i auto pociągnęło mężczyznę do tyłu. Porwałem leżącą na przednim siedzeniu butelkę od coca-coli i tak wyrznąłem go w rękę, którą rozpaczliwie chwycił za krawędź drzwiczek, że zawył z bólu. Mannie wrzucił jedynekę i pomknęliśmy ulicą. Ciągle siedziałem rozparty w fotelu i śmiałem się. Wyrzuciłem butelkę na chodnik. Słychać było jak rozbiła się za nami z brzękiem.

Mannie nie umiał prowadzić. Z piskiem opon skręcił za róg i wjechał pod prąd w Park Avenue. Ledwo uniknęliśmy zderzenia z dwoma samochodami, a trzeci z rykiem klaksonu wjechał na chodnik, uciekając przed czołowym zderzeniem. Obaj śmiałyśmy się i wrzeszczeli na całe gardło. Mannie przejechał przez stację obsługi i skręcił w boczną ulicę.

– Chodź, spalimy tego grata – powiedział.

– Nie, człowieku, to jest piękny samochód. Zostawmy go sobie. Chodź, pokażemy go dziewczynom.

Ale Mannie nie umiał zawrócić i w końcu wjechał z rozpędem w tył stojącej tam ciężarówki. Wskoczyliśmy z auta na chodnik i uciekliśmy, zostawiając pokiereszowany samochód wbity pod skrzynię ciężarówki.

Lubiłem Manniego, bo był taki jak ja. Nawet się wtedy nie domyślałem jak okropny los go czeka.

Każdy dzień wypełniała nam gorączkowa działalność przestępcza. Noce były jeszcze gorsze. Pewnej nocy Tony i czterech innych chłopaków złapali wracającą do domu kobietę i zaciągnęli ją do parku, gdzie cała piątka przeleciała ją po dwa razy. Tony chciał ją udusić swoim pasem. Kobieta rozpoznała go potem i posadzili go do więzienia na dwanaście lat.

Dwa tygodnie później we dwunastu złapaliśmy chłopaka, Włocha, który szedł przez rejon Mau Mau. Otoczyliśmy go i zwalili na ziemię. Stałem nad nim i zacząłem go straszyć nożem: zamierzyłem się w jego grdykę i stukałem czubkiem ostrza w guziki jego koszuli. Chłopak zaczął mi wymyślać i wytrącił mi nóż z ręki. Zanim zdążyłem się ruszyć, Tico porwał nóż i ciachnął go przez twarz. Chłopak zawył, a Tico zdarł z niego koszulę i wyciął mu na plecach wielkie „M”.

– To cię nauczy nie wchodzić na teren Mau Mau – powiedział.

Uciekliśmy, zostawiając zalanego krwią chłopaka na chodniku.

Codziennie gazety przynosiły opisy morderstw na podwórkach, w metrze, w bocznych ulicach, na klatkach schodowych czynszowych domów, w przejazdach między blokami. Noc w noc gangi staczały ze sobą walki.

Władze szkolne Technikum Brooklyńskiego założyły grube żelazne kraty na wszystkie drzwi i okna budynku szkolnego. Okratowane zostały nawet okna na piątym piętrze. Wielu właścicieli sklepów kupowało psy policyjne i zostawiało je w sklepach na noc.

Gangi były coraz lepiej zorganizowane, tworzyły się też nowe. W naszej okolicy powstały trzy nowe gangi: Skorpiony, Wicekrólowie i Quentos.

Wkrótce odkryliśmy, że prawo miasta Nowy Jork zabrania policjantom rewidowania dziewcząt. Od tego czasu dziewczęta zaczęły nosić nasze noże i rewolwery, które braлиśmy od nich w razie potrzeby. Jeśli gliniarz chciał nas zrewidować, dziewczyny stawały niedaleko i krzyczały:

– Zostaw go w spokoju, glino! On nic nie ma. On jest czysty. Spróbuj mnie obmacać tymi swoimi brudnymi łapami, to cię wsadzę do twojego własnego pudła. Hej, gliniarzu, chcesz mnie dotknąć swoimi łapskami? No chodź!

Nauczyliśmy się robić prymitywne pistolety kalibru 22 z anten samochodowych i elementów zamków do drzwi. Czasem te pistolety wybuchaly w rękach chłopaków albo strzelały w przeciwną stronę i oślepialy. Ale produkowaliśmy je w dużych ilościach i sprzedawaliśmy członkom innych gangów, wiedząc, że skierują je przeciwko nam, gdy tylko nadarzy się okazja.

Tego lata Czwartego Lipca³ wszystkie gangi zebrały się na Coney Island⁴. Gazety oszacowały, że ponad osiem tysięcy członków gangów młodzieżowych wcisnęło się na teren Coney Island. Nikt z nich nie zapłacił. Po prostu przeszli przez bramę i nikt nie śmiał się odezwać. To samo było z jeżdżeniem metrem.

Pierwszego sierpnia Izraela zabrała policja. Kiedy go wypuścili, powiedział, że dookoła niego robi się gorąco i chce sobie na jakiś czas dać spokój, dopóki wszystko się nie uspokoi.

³ Czwartego Lipca – rocznica uchwalenia Deklaracji Niepodległości, święto narodowe Stanów Zjednoczonych.

⁴ Coney Island – położone na południu Brooklynu tereny plażowo-rozrywkowe z płatnym wstępem.

Zgodziliśmy się i gang wybrał mnie na prezesa, a Izraelowi pozwolił być wiceprezesem, dopóki wszystko nie przycichnie. Było to w sześć miesięcy po moim wstąpieniu do gangu.

Wkrótce zorientowałem się, że wszyscy boją się Mau Mau i że ja osiągnąłem rozgłos jako krwiożerczy zabijaka. Pławiłem się w chwale.

Pewnego wieczora poszliśmy na wielką zabawę organizowaną przez ośrodek przy kościele św. św. Edwarda i Michała. Kościół próbował coś robić, żeby młodzież nie wałęsała się po ulicach, i otworzył świetlicę niedaleko komisariatu policji, gdzie co weekend organizowano zabawy. W każdy piątek wieczorem grał tam duży zespół i wszyscy członkowie gangów przychodzili do ośrodka potańczyć. Gromadzili się dookoła budynku, pili piwo i tanie wino. Tydzień wcześniej upiliśmy się i kiedy księża chcieli nas uspokoić, pobiliśmy ich i opluli. Przyszła policja i nas rozpedziła. Rzadko kiedy piątkowa zabawa w świetlicy nie kończyła się awanturą.

Tego wieczora poszedłem tam z Mannie i Paco. Dużo piliśmy i paliliśmy marihuanę. Przyważyłem niezłą blondynkę i zatańczyłem z nią kilka razy. Powiedziała mi, że jej brat ma kłopoty z Widmowymi Władcami. Chcą go zabić.

Gdzie jest twój brat? – spytałem. – Jak ja tego zabronię, nikt go nie tknie. Chcę z nim pogadać.

Zaprowadziła mnie na koniec sali i przedstawiła swojego brata – powiedział mi, że Widmowi Władcy z Bedford Avenue chcą go zabić za umawianie się z dziewczyną z ich gangu. Chłopak był pijany i przerażony.

– Wiesz co – powiedziałem – masz niezłą siostrę. Myślę, że ją gdzieś zabiorę. Spodobała mi się i dlatego zaopiekuje się też tobą.

Umówiłem się już z dziewczyną do kina. Oświadczyłem, że musi robić wszystko, co zechcę, bo jestem prezesem Mau Mau. Przestraszyła się i powiedziała, że pójdzie ze mną, ale nie chce, żeby inne chłopaki też się z nią zabawiali. Pocałowaliśmy się i powiedziałem jej, że jak długo będzie ze mną, będzie pod moją opieką.

W tym momencie do sali weszło trzech Widmowych Władców. Ubrani byli w jaskrawe marynarki i kraciaste spodnie, mieli długie łańcuszki na klucze. Jeden z nich, kręcąc w palcach łańcuszkiem, podszedł i mrugnął do blondynki. Dziewczyna cofnęła się, a ja objąłem ją ramieniem.

– Hej, mała – powiedział szyderczo chłopak. – Może pójdziesz ze mną? Mój brat ma tu przed domem samochód i możemy mieć dla siebie całe tylne siedzenie.

– Szukasz guza – warknąłem.

– Ty, waśniaku – roześmiał się Widmowy Władca. – Mamy zamiar zatłuc twojego zalanego przyjaciela. Możemy przy okazji zabić i ciebie, gnojku!

Mannie pogardliwie parsknął. Chłopak gwałtownie odwrócił się:

– Kto to zrobił?

Mannie zaczął się śmiać, ale ja, przeczuwając kłopoty, powiedziałem:

– Nikt.

Zacząłem się cofać, ale chłopak rzucił się na Manniego i zwałił go na ziemię. Prócz Izraela, Mannie był moim najlepszym przyjacielem i nikomu nie uszłoby coś takiego na sucho. Skoczyłem i z całej siły uderzyłem chłopaka w plecy, w okolicę nerek.

Ten zawył z bólu i złapał się za uderzone miejsce. Mannie pozbierał się i wyciągnął nóż. Ja sięgnąłem po swój, bo chłopaki w sali utworzyły półkole i ruszyły na nas. Było ich za dużo, żeby się z nimi bić, więc zaczęliśmy się cofać ku drzwiom. Gdy wyszliśmy na schody, jakiś wielki chłopak skoczył na mnie z nożem. Nie trafił, ale nóż rozciął mi marynarkę. Gdy chłopak przelatował obok mnie, walnąłem go w tył głowy i kopnięciem strąciłem z betonowych schodów. Skoczyło na mnie dwóch następnych. Mannie szarpnął mnie za marynarkę i odskoczyliśmy.

– Chodźmy! – krzyknąłem. – Skoczę po Mau Mau i spalimy tę budę.

Tamci spojrzeli po sobie. Nie wiedzieli, że jestem Mau Mau, bo tego wieczora byłem w garniturze i krawacie. Zaczęli się wycofywać do sali, a ja i Manie odwróciliśmy się i poszliśmy.

Następnego dnia wpadłem po Manniego i Paco. Mieliśmy iść poszukać Santo, Widmowego Władcy, który odgrażał się bratu tej blondynki. Obaj z Manniem popiliśmy zdrowo i mieliśmy nieźle w czubie. Poszliśmy do cukierni na Trzeciej Ulicy i zobaczyliśmy tam kilku Widmowych Władców.

– Który z was jest Santo? – spytałem. Jeden z nich spojrzął w kierunku wysokiego kędzierzawego chłopaka.

– Słuchaj, kochasiu, jak masz na mię? Santo Claus?⁵ – spytałem.

Mannie się roześmiał, a ten chłopak odwrócił się do mnie i nazwał mnie sukinsynem.

– Ty, mały, chyba coś ci się pomyliło. Wiesz, kto to są Mau Mau?

– Tak, słyszałem o nich. Ale oni nie są tacy głupi, żeby się tutaj włóczyć.

– Dzisiaj się włóczą, kochasiu. My jesteśmy właśnie Mau Mau. A ja mam na imię Nicky. Jestem ich prezesem. Na zawsze zapamiętasz to imię, kochasiu.

Właściciel cukierni sięgnął po słuchawkę telefonu.

Włożyłem rękę do kieszeni i wyprostowaawszy w niej palec tak, żeby sterczał pod materiałem, udawałem że mam tam schowany pistolet.

– Ty! – krzyknąłem. – Połóż to!

Wszyscy cofnęli się z przestachem. Podeszedłem do Santo i dwukrotnie uderzyłem go w twarz. Drugą rękę ciągle trzymałem w kieszeni.

– Może teraz mnie zapamiętasz, kochasiu. Santo cofnął się i uderzyłem go w żołądek.

– Chodźmy stąd – powiedziałem do Paco. – Te dzieci się przestraszyły.

Odwróciliśmy się i ruszyliśmy ku wyjściu. Splunąłem przez ramię i powiedziałem:

– Na drugi raz powiedz mamusi, żeby ci założyła pieluszkę zanim cię puści z domu. Jesteś jeszcze dzidzius.

Roześmialiśmy się i wyszliśmy.

Kiedy znaleźliśmy się na ulicy, Mannie wsadził rękę do kieszeni kurtki i wycelował palcem przez materiał.

– Bach! Bach! Już jesteś trup! – zawołał.

Roześmialiśmy się i powoli poszliśmy ulicą.

Tego samego wieczora przyszedł Izrael i powiedział, że Widmowi Władcy przygotowują się do wielkiej wojny z powodu bójki w cukierni.

Skoczyliśmy z Izraelem po Manniego i udaliśmy się w rejon Widmowych Władców, żeby ich zaskoczyć. Kiedy podeszliśmy w pobliże mostu Brooklyńskiego, rozdzieliliśmy się. Izrael i Manie ruszyli za blok, a ja poszedłem prosto. Po chwili usłyszałem wołanie Izraela i pobiegłem za dom. Okazało się, że Izrael i Manie zaskoczyli samotnego Widmowego Władcę. Leżał teraz na chodniku i błagał o litość.

– Ściągnijcie mu portki – zarządziłem. Chłopcy rozpięli mu pasek, ściągnęli spodnie i wrzucili je do ścieku. Potem zdarli z niego kalesony.

– Wstawaj, dziwolągu, i biegiem marsz!

Patrzyliśmy jak przerażony ucieka, śmialiśmy się i wyzywaliśmy go.

– Chodźcie – powiedział Izrael – nie ma tu już żadnego z tych łachmytów. Wracamy do domu.

Zawróciliśmy, gdy nagle otoczyło nas kilkunastu Widmowych Władców. Wpadliśmy w zasadzkę. Rozpoznałem wśród nich również kilku członków gangu żydowskiego. Jeden

⁵ Żartobliwa gra słów: porównanie Santo (imienia) z początkiem anglosaskiej nazwy Świętego Mikołaja: Santa Claus.

chłopak skoczył na mnie z nożem, ale walnąłem go rurką. Rzucił się na mnie drugi, więc odwinąłem się i uderzyłem go rurką w bok głowy.

Nagle poczułem, jakby mi coś eksplodowało z tyłu czaszki i znalazłem się na chodniku. Czułem się tak, jakby lada moment miała mi odlecieć głowa. Gdy próbowałem popatrzeć w górę, ktoś kopnął mnie w twarz nabijanym gwoździami butem. Ktoś inny kopnął mnie w krzyże. Próbowałem się podnieść, ale dostałem rurką powyżej oka. Wiedziałem, że mnie zabiją jeśli nie ucieknę, ale nie byłem w stanie się podnieść. Opadłem znów twarzą na chodnik i poczułem, że ten chłopak w podkutych butach skoczył na moje nogi, a potem na pośladki. Gwoździe w jego butach były wyostrzone jak brzytwy. Czułem, jak ostra stal przecina mi spodnie i rozdziera ciało na biodrach i pośladkach. Zemdlałem z bólu.

Gdy wróciła mi świadomość, Izrael i Mannie wlekli mnie przejściem między domami. Musiałem być poważnie pokaleczony, bo nie mogłem ruszać nogami.

– Szybko, szybko – powtarzali Mannie i Izrael. – Te dranie zaraz tu wrócą. Musimy zwiewać.

Znów zemdlałem z bólu, a gdy się ocknąłem, leżałem na podłodze w swoim mieszkaniu. Chłopcy wlekli mnie przez całą drogę i na górę do mojego pokoju. Pomogli mi się wczołgać na łóżko, gdzie znów zemdlałem. Gdy odzyskałem przytomność, słońce mocno już przygrzewało przez okno. Wygramoliłem się z łóżka. Byłem tak zeszywniały, że ledwo mogłem się ruszać. Dolną połowę ciała miałem pokrytą zakrzepłą krwią. Próbowałem zdjąć spodnie, ale przywarły do ran i wydawało mi się, że zdzieram własną skórę. Powlokłem się piętro niżej, do wspólnej łazienki, i w ubraniu wszedłem pod prysznic. Stałem pod nim tak długo, aż zaschnięta krew rozmiękła i udało mi się oderwać przyklejoną odzież. Biodra i plecy miałem całe pokryte ranami, pełne siniaków. Powlokłem się nago na górę. Przypomniał mi się chłopak uciekający ulicą bez spodni.

„O rany! – pomyślałem. – Gdyby on mnie teraz zobaczył”.

Dowlokłem się do swojego pokoju i resztę dnia spędziłem opatrując rany. Pozycja prezesa Mau Mau była niezła, ale od czasu do czasu równała się niemal samobójstwu. Tym razem prawie tak się stało.

Nicky Cruz opowiada

Rozdział 6

Podpalacze piekła

Tej jesieni mój mieszkający w Bronksie brat Louis, zjawił się u mnie w domu i zaczął mnie namawiać, żebym się przeprowadził do niego. Przeczytał w nowojorskich gazetach o moich kłopotach z policją.

– Nicky, igrasz ze śmiercią, a to jest niebezpieczna zabawa. Zabiją cię – powiedział.

Potem oznajmił, że omówił tę sprawę z żoną i postanowili, że się do nich przeprowadzę. Roześmiałem się.

– Jak żeście na to wpadli? – spytałem. – Nikt mnie nie chce. Skąd właśnie wam przyszło do głowy, że mnie chcecie?

– To wcale nie jest tak, Nicky. Wszyscy cię chcą. Frank, Gene, wszyscy cię chcemy. Ale musisz okazać chęć ustatkowania się.

– Słuchaj – powiedziałem. – Nikt mnie nie chce. Nie oszukasz mnie. Ani ty, ani Frank, ani Gene, ani ojciec czy matka...

– No, to już grubo przesadziłeś – przerwał mi Louis. – Rodzice cię kochają.

– Tak? No to jak wpadli na to, żeby wysłać mnie z domu? Co na to powiesz, mądralo?

– Wystali cię, bo nie mogli sobie z tobą poradzić. Jesteś jak dzikus... jakbyś stale przed czymś uciekał.

– Tak? A może właśnie uciekam przed taką rodziną? Słuchaj, wiesz ile razy ojciec w ogóle ze mną spokojnie porozmawiał? Tylko jeden jedyny raz. I opowiedział mi historyjkę o jakimś głupim ptaszku, jeden raz! Tylko tyle. Człowieku, nie opowiadaj mi tu, że on mnie kocha. On nie ma czasu dla nikogo prócz siebie.

Louis wstał i zaczął chodzić po pokoju.

– Nicky, dlaczego nie chcesz słuchać głosu rozsądku?

– A po co mam się do ciebie przeprowadzać? Będziesz mnie zmuszał do chodzenia do szkoły, tak jak Frank. Tutaj mam to z głowy. Mam dwustu chłopaków, którzy robią to, co im każe, i siedemdziesiąt pięć dziewczyn, które idą ze mną, ile razy je o to poproszę. Oni dają mi pieniądze na wszystko, czego potrzebuję. Pomagają mi płacić za mieszkanie. Nawet policja się mnie boi. Po co mam iść z tobą? Gang jest moją rodziną. Nie potrzebuję niczego innego.

Louis do późna w nocy siedział na łóżku w moim pokoju i próbował mnie przekonać, że kiedyś to wszystko się zmieni. Mówił, że jeśli nie zginę albo nie trafię do więzienia, będę w końcu musiał iść do jakiejś pracy i będzie mi potrzebne jakieś wykształcenie. Oświadczyłem, że nie ma o czym mówić. Jest mi dobrze tak jak jest i nie mam zamiaru się wycofywać.

Następnego popołudnia strach, który dotąd głęboko ukrywałem, opanował mnie całkowicie. Leżałem samotnie na łóżku i piłem wino, dopóki nie upiłem się tak, że nie mogłem wstać. Zasnąłem w ubraniu, ale nie byłem przygotowany na to, co mnie miało spotkać. Koszmary! Okropne, mrozące krew w żyłach koszmary! Śnił mi się ojciec. Był przykuty łańcuchami w jaskini. Miał zęby jak wilk i ciało obrośnięte skołtunioną sierścią. Wył żałośnie; chciałem podejść bliżej, ale bałem się, że mnie ugryzie.

Potem śniły mi się ptaki. Widziałem Louisa siedzącego okrakiem na ptaku unoszącym go w niebo, a jego twarz to zbliżała się do mnie, to oddalała. Nagle opadły mnie miliony oszalałych ptaków, które szarpały moje ciało i dziobały moje oczy. Ilekroć udało mi się od nich opędzić, widziałem Louisa jako punkcik na niebie, odlatującego ku jakiejś nieznannej wolności.

Obudziłem się z krzykiem:

– Nie boję się! Nie boję się!

Ale kiedy znów zasnąłem, znowu zobaczyłem ojca przykutego w ciemności i znowu atakowało mnie stado ptaków.

Koszmary zaczęły się powtarzać co noc. Przez ponad dwa lata bałem się iść spać. Ilekroć ogarniał mnie sen, pojawiały się te okropne widziadła. Wspominałem ojca i pragnąłem, żeby przyjechał do Nowego Jorku i wypędził ze mnie demony. Opanowany przez strach i poczucie winy, leżałem nocami na łóżku walcząc ze snem i powtarzając w kółko:

– Niedobrze. Niedobrze. Nie ma wyjścia. Nie ma wyjścia. Jedynie aktywność w gangu broniła mnie przed całkowitym szaleństwem.

Gang Mau Mau stał się częścią mojego życia. Choć stanowiliśmy wystarczającą siłę, by działać samodzielnie, od czasu do czasu zawieraliśmy przymierza z innymi gangami. Zimą 1955 roku Podpalacze Piekle z Williamsburga wystąpili do nas o zawarcie przymierza.

Było już prawie ciemno. Kilku z nas zebrało się na boisku szkoły nr 67, żeby omówić czekającą nas bitwę z Biskupami. Podniosłem głowę i zobaczyłem trzech chłopaków wyłaniających się z mroku i kierujących się w naszą stronę. Niezwłocznie przygotowaliśmy się do odparcia ewentualnego ataku. Jeden Mau Mau zniknął w ciemności, żeby zbliżającą się trójkę zająć od tyłu.

– Hej, czego chcecie, chłopaki? – krzyknąłem.

– Szukamy Nicky’ego, przywódcy Mau Mau – odezwał się jeden z nich.

Wiedziałem, że to może być podstęp.

– A czego chcecie od Nicky’ego? – spytałem.

– Człowieku, słuchaj, to nie podstęp. Mamy kłopoty i musimy porozmawiać z Nickym.

Wciąż jeszcze nie wyzbyłem się podejrzeń.

– Jakie kłopoty?

– Nazywam się Willie Rzeźnik – odpowiedział chłopak, który zdążył już podejść tak blisko, że zobaczyłem go wyraźnie. – Jestem przywódcą Podpalaczy Piekle. Potrzebujemy pomocy.

Doszedłem do wniosku, że mówi prawdę.

– Jakiej pomocy?

– Słyszeliście co Widmowi Władcy zrobili Ike’owi? – Kiwnął głową w kierunku jednego z towarzyszących mu chłopaków.

Słyszałem. Pisali o tym w gazetach. Ike miał czternaście lat i mieszkał na Keap Street. Bawił się z dwoma kolegami, gdy zaatakowała ich grupa Widmowych Władców. Tamci dwaj uciekli, a Ike’a Widmowi Władcy przyparli do ogrodzenia. Kiedy próbował się bronić, rzucili się na niego wszyscy naraz i zaciągnęli do piwnicy po drugiej stronie ulicy. Tam, jak pisano w gazetach, związano mu ręce, po czym bili go i kopali, dopóki nie stracił przytomności. Wtedy oblali mu ręce benzyną do zapalniczek i podpalili. Ike wydostał się na ulicę i tam, leżącego bez przytomności, znalazł przejeżdżający patrol policyjny.

Rzuciłem okiem na chłopaka, którego Willie przedstawił jako Ike’a. Chłopak miał całe ręce zabandażowane i twarz paskudnie posiniaczoną.

Willie ciągnął dalej:

– Tylko wy możecie nam pomóc. Chcemy być waszym bratnim klubem. Wszyscy boją się Mau Mau. Potrzebujemy waszej pomocy przeciw Widmowym Władcom. Jak nie pomścimy Ike'a, będziemy mięczakami.

Ja i Mau Mau byliśmy znani wśród nowojorskich gangów. Nie po raz pierwszy ktoś zwracał się do nas o pomoc. Udzielaliśmy jej chętnie, ponieważ była pretekstem do walki.

– A jeśli wam nie pomogę?

– Wtedy Widmowi Władcy odbiorą nam nasz rejon. Tej nocy byli w naszym rejonie i spalili naszą cukiernię.

– Spalili waszą cukiernię? Dobra, stary. To ja im dam popalić. Wszystkim. W nocy przyjdę do rejonu Podpalaczy Piekła i pogadamy jak wykończyć tych lalusiów.

Na drugi dzień, kiedy się ściemniło, wyszedłem z domu i poszedłem do Williamsburga. Po drodze zabrałem dziesięciu członków mojego gangu. Gdy weszliśmy do rejonu Podpalaczy Piekła, wyczuliśmy atmosferę pełną napięcia. Podpalacze Piekła bali się, toteż ukryli się na dachach. Nagle zaczęli nas bombardować kamieniami i butelkami. Na szczęście rzucali niecelnie i zdążyliśmy wpaść do bramy jakiegoś budynku i skryć się przed sypiącą się na nas z góry lawiną szkła i kamieni.

Powiedziałem chłopakom, żeby się nigdzie nie ruszali i poszedłem po schodach na ostatnie piętro. Tam znalazłem drabinę prowadzącą do klapy w suficie.

Uchyliłem klapę i zobaczyłem chłopaków leżących na skraju dachu od strony ulicy i spoglądających w dół. Po cichu wszedłem na dach i ukryłem się za kominem wentylacyjnym.

Następnie podkradłem się od tyłu do dwóch z nich i klepnałem ich po ramionach.

– Aaaaaa! – wrzasnęli obaj i o mało nie spadli na ulicę. Leżeli teraz, kurczowo ściskając krawędź dachu, z głowami zwróconymi w moim kierunku, z oczyma okrągłymi z przerażenia i otwartymi ustami.

– K-k-toś t-ty? – wyjąkali.

Nie mogłem się powstrzymać od uśmiechu.

– Cześć, chłopaki. Jestem Nicky. A wy? Sowy czy co?

– C-co z-za Nicky? – wyjąkał jeden z nich.

– No chłopaki, jestem przywódcą Mau Mau. Gdzie jest wasz przywódca? Gdzie jest Willie Rzeźnik?

Willie był na innym dachu. Zaprowadzili mnie do niego. Dołączyli do nas przybyli ze mną Mau Mau i kilkunastu Podpalaczy Piekła.

Willie powiedział mi, że próbują odpierać ataki Widmowych Władców, ale jak dotąd nie odnoszą sukcesów. Tej nocy jest spokojnie, ale w każdej chwili tamci mogą przyjść i rozbić ich w puch. Policja wie, że toczy się wojna gangów, ale nie jest w stanie z tym się rozprawić.

Willie miał w ręce rewolwer, ale, o ile mogłem się zorientować, nikt inny prócz niego nie miał broni palnej.

Wysłuchawszy ich, zacząłem im wyklądać strategię bitwy. Gang słuchał w milczeniu.

– Przegrywacie dlatego, że jesteście w defensywie. Pozwalacie im tutaj przychodzić i dlatego musicie bronić własnego rejonu. A trzeba iść do nich i tam walczyć.

Zrobiłem pauzę dla zwiększenia efektu moich słów.

– I żadnych rewolwerów.

W grupie zapanowało poruszenie.

– Bez rewolwerów? Jak można walczyć bez rewolwerów?

– Użyjemy cichej broni.

Sięgnąłem pod kurtkę i wyciągnąłem długi na pół metra bagnet w pochwie. Wysunąłem bagnet z pochwy i z rozmachem przeciąłem nim powietrze. W grupie stojących wokół mnie chłopaków usłyszałem ciche gwizdy.

Zdobyłem ich podziw i szacunek. Teraz słuchali pilnie, pragnąc dowiedzieć się jak mam zamiar nimi pokierować.

Znów zwróciłem się do Willego.

– Daj mi twoich pięciu najtwardszych chłopaków. My weźmiemy pięciu naszych. Jutro wieczorem pójdziemy do rejonu Widmowych Władców pomówić z ich przywódcami. Nie będą chcieli mieć Mau Mau przeciwko sobie. Powiem im, że jesteśmy zaprzyjaźnionymi klubami i jeśli nie zostawią was w spokoju, będą musieli walczyć również z nami. Jak się nie zgodzą, spalimy ich cukiernię, żeby się przekonali, że nie żartujemy. Dobra?

W grupie zapanowało poruszenie.

– Jasne, stary. Wykończymy tych gnojków. Rozwalimy ich. Jasne, pokażemy im, stary.

Na drugi dzień razem z pięcioma naszymi chłopakami przyszedłem na terytorium Podpalaczy Piekła, do cukierni na White Street. Sklep był już wyremontowany, bo od bitwy gangów upłynęło kilka dni. W cukierni czekało na nas pięciu Podpalaczy Piekła, a wśród nich Willie Rzeźnik. Porozmawiałem z właścicielem i powiedziałem, że przykro nam, że Widmowi Władcy zniszczyli jego sklep i że chcemy załatwić, żeby to się więcej nie powtórzyło. Potem poprosiłem go o przechowanie mojego bagnetu, dopóki nie wrócimy.

Było około piątej po południu i w chłodnym świetle zmierzchu mżył deszcz. Wyszliśmy ze sklepu i poszliśmy przez miasto na Trzecią Ulicę, do rejonu Widmowych Władców. W cukierni zastaliśmy ich pięciu. Gdy nas zobaczyli, nie mogli już uciec, bo obstawiliśmy drzwi.

Wszyscy staliśmy z rękami w kieszeniach płaszczy, jakbyśmy mieli rewolwery. Podszedłem do chłopaków, którzy się podnieśli i stali, każdy za swoim stolikiem.

– Gdzie wasz przywódca? – spytałem i zakląłem.

Groźnie wyglądający chłopak w ciemnych okularach odezwał się:

– Freddy jest naszym przywódcą.

– Który z was jest Freddy? Mniej więcej osiemnastoletni pryszczaty chłopak z kręconymi włosami wystąpił naprzód i powiedział:

– Ja jestem Freddy, a wy, do diabła, coście za jedni?

Stałem ciągle z rękami w kieszeniach, z podniesionym kołnierzem przeciwdeszczowego płaszcza.

– Ja jestem Nicky, prezes Mau Mau. Słyszeliście o Mau Mau? To jest Willie Rzeźnik, przywódca Podpalaczy Piekła. Zawarliśmy sojusz. Chcemy odwołać walkę.

– Dobra człowieku – powiedział Freddy. – Chodźmy tam, pogadamy.

Odeszliśmy na bok, żeby porozmawiać, ale jeden z Widmowych Władców obrzucił przekleństwami Williego. Zanim zdążyłem zareagować, Willie wyciągnął rękę z kieszeni i otworzył sprężynowy nóż. Tamten się jednak nie cofnął, tylko uderzył Williego końcem parasola. Wyostrzony metalowy szpikulec przebił przeciwdeszczowy płaszcz Williego i rozdarł mu skórę na żebrach. Niemal w tym samym momencie jeden z Podpalaczy Piekła porwał z lady ciężką cukiernicę, rzucił w tego chłopaka z parasolem i trafiwszy go w ramię powalił na ziemię.

Freddy zaczął krzyczeć:

– Hej, przestańcie! – ale nikt go nie słuchał i chłopaki zaczęli się kotłować po sklepie. Freddy zwrócił się do mnie:

– Zatrzymaj ich!

– Człowieku ty ich zatrzymaj. To twoje chłopaki zaczęły.

W tym momencie ktoś uderzył mnie w tył głowy. Równocześnie usłyszałem brzęk tłuczonego szkła, gdy butelka trafiła w lustro za ladą.

Na ulicy zapiszczały opony samochodu patrolowego, który gwałtownie zahamował na środku jezdni błyskając czerwonymi światłami. Wyskoczyli z niego, zostawiając szeroko otwarte drzwi, dwaj policjanci i z pałkami w rękach podbiegli w kierunku cukierni.

Reszta chłopaków zobaczyła ich w tym samym momencie. Jak na komendę wyskoczyliśmy wszyscy na ulicę i rozbiegliśmy się pomiędzy samochodami. Jeden z

policjantów pobiegł za mną, ale przewróciłem za sobą wielki pojemnik na śmieci i to go zatrzymało na czas wystarczający, bym się oddalił na bezpieczną odległość.

Wielka bitwa była już jednak nie do uniknięcia.

Następnego dnia wieczorem ponad stu Mau Mau zebrało się przed cukiernią w rejonie Podpalaczy Piekła. Był tam też Willie Rzeźnik i ponad pięćdziesięciu jego chłopaków. Środkiem ulicy pomaszerowaliśmy do cukierni w rejonie Widmowych Władców.

Charlie Cortez, jeden z Mau Mau, przez ostatni tydzień był na dużych dawkach heroiny i miał nastrój do walki. Kiedy dotarliśmy do cukierni, szarpnął drzwi i pochwycił jednego z Widmowych Władców, który próbował wyrwać się i uciec. Charlie chciał go uderzyć nożem, ale nie trafił i tylko pchnął go w moim kierunku.

Roześmiałem się. Takie proporcje lubiłem: 150 do 15. Zamachnąłem się i uderzyłem chłopaka ciężką ołowianą rurką z dużym złączem na końcu. Trafiłem go w ramię, a on zawył z bólu. Gdy zwinął się na chodniku, uderzyłem go znowu. Tym razem w tył głowy. Ciężko opadł na beton i z głębokiego rozcięcia popłynęła mu krew.

Ktoś wrzasnął:

– Chodźcie, rozwalimy cały ich rejon!

Chłopcy się rozbiegli. Część wpadła do cukierni, inni do znajdującej się obok sali bilardowej. Porwany przez tłum, znalazłem się w cukierni. Zacząłem swoją ołowianą rurką walić po wszystkim, co mi wpadło pod rękę. Okna były już powybijane, a sprzedawca kulił się za ladą, próbując tam znaleźć schronienie. Chłopcy się rozahulali. Niszczyli wszystko. Któryś przewrócił grającą szafę, a ja wskoczyłem na nią i zacząłem ją rozbijać rurką na drobne kawałki. Inni weszli za ladę i zrywali ze ściany półki, rozbijali szklanki i talerze. Ktoś opróżnił kasę, po czym dwóch chłopaków zamachnęło się i wyrzuciło ją przez okno wystawowe.

Wybiegłem na ulicę. Po skaleczonej odpryskiem szkła twarzy ciekła mi krew. Zacząłem biegać po ulicy tam i z powrotem, waląc rurką w szyby aut.

Około pięćdziesięciu chłopaków było w sali bilardowej. Powywracali wszystkie stoły i połamali kije. Teraz zaczęli wybiegać na ulicę i rzucać kulami w wystawy wszystkich znajdujących się w pobliżu sklepów.

Grupa chłopaków zatrzymała na środku ulicy samochód. Wskoczywszy na maskę i na dach, skakali po nim, dopóki całkiem nie stracił kształtu. Wszyscy śmiali się, krzyczeli i rozbijali.

Zawyły syreny i z obu końców ulicy nadjechały pędem policyjne samochody. Zwykle był to dla chłopaków sygnał do ucieczki. Ale tym razem byli ogarnięci gorączką niszczenia i nikt się nie przestraszył policji.

Policyjny samochód przecisnął się pod cukiernię, ale policjanci nie byli w stanie otworzyć drzwi: chłopcy ciasno otoczyli auto, okładając je butelkami, cegłami i pałkami. Powybijali reflektory i szyby w oknach. Zamknięci w środku policjanci próbowali wzywać pomocy przez radio, ale wskoczyliśmy na dach i zerwaliśmy antenę. Jeden z chłopców kopał w syrenę tak długo, aż oderwała się i spadła na ulicę.

Kolejne wozy policyjne z piskiem opon zatrzymały się na końcach opanowanego przez nas odcinka ulicy, na którym ponad stu pięćdziesięciu chłopaków biło się, wrzeszczało, wywracało samochody, rozbijało szyby. Policjanci rzucili się z pałkami na rozszalały, wyjący tłum. Zobaczyłem Charliego walczącego na środku jezdni z dwoma policjantami. Skoczyłem mu na pomoc, ale w tym momencie usłyszałem strzał. Trzeba było uciekać.

Roztrysnęliśmy się na wszystkie strony. Część chłopaków uciekła w najbliższy zaułek między domami. Inni wskoczyli do bram, pobiegli na najwyższe piętra i wydostali się na dachy. W kilka chwil plac boju opustoszał i widać było tylko powszechne zniszczenie. Nie ocalał ani jeden samochód. Cukiernia była kompletnie zdemolowana. Sala bilardowa tak samo. Wszystkie szyby w barze po drugiej stronie ulicy były wybite i zniknęła prawie cała

whisky z wystawy. Ktoś otworzył drzwi jednego z samochodów, rozciął i podpalił siedzenia. Policja próbowała ugasić ogień, ale gdy uciekaliśmy, samochód ciągle się palił.

Uciekliśmy wszyscy, oprócz Charliego Corteza i trzech Podpalaczy Piekła. Prawo gangów mówiło, że jeśli ktoś został złapany, nie wolno mu było nikogo zdradzić. Jeśli zaczynał „śpiewać” albo „sypać”, gang go karał. A jeśli był w więzieniu, karano jego rodzinę. Charlie dostał trzy lata, trzech pozostałych również otrzymali wyroki.

Ale Widmowi Władcy już nigdy więcej nie przyszli na teren Podpalaczy Piekła.

Nicky Cruz opowiada

Rozdział 7

Dziecko Lucyfera

Gdy nadeszło następne lato, zdawało się, że całe getto zapłonęło nienawiścią i przemocą. W czasie zimy gangi przekształciły się w silne, doskonale zorganizowane grupy. Przez całą zimę robiliśmy pistolety, kradliśmy broń palną i gromadzili amunicję. Zyskałem reputację najokrutniejszego przywódcy gangu w Brooklynie. Aresztowano mnie osiemnaście razy, a raz podczas tej zimy spędziłem w areszcie trzydzieści dni oczekując na rozprawę. Ale nigdy nie mieli przeciwko mnie niezbitych dowodów.

Gdy nastały ciepłe dni, zaczęliśmy się zachowywać jak banda oszalałych dzikusów. Smoki prowadziły nieustającą wojnę z Wicekrólami. Pierwszego maja Mingo, prezes Kapelanów, wszedł do cukierni niosąc w ręce strzelbę z obciętą lufą.

– Hej, ty! – powiedział, wskazując opartą na przedramieniu strzelbą na chłopaka siedzącego przy stoliku. – Ty jesteś Sawgrass?

– Tak, to ja. I co z tego?

Zamiast odpowiedzi Mingo podniósł strzelbę i wycelował w głowę Sawgrassa.

– Hej, chłopie – Sawgrass uśmiechnął się blado, wstał i cofnął się – nie celuj tym we mnie, bo to może wystrzelić.

Mingo był po sporej dawce heroiny. Patrząc bez wyrazu na stojącego przed nim chłopaka pociągnął za spust. Strzał trafił w czoło nad nosem i zmiotł Sawgrassowi wierzch głowy. Krew, odłamki kości i śrut bryznęły na ścianę. Ciało Sawgrassa upadło na podłogę kurcząc się w agonii.

Mingo odwrócił się i wyszedł z cukierni. Kiedy dopadli go policjanci, szedł sobie spokojnie ze strzelbą dyndającą w luźno zwieszanej ręce. Policjanci krzyknęli, żeby się zatrzymał. Na to Mingo odwrócił się i wycelował w nich. Policjanci otworzyli ogień i Mingo upadł na chodnik podziurawiony kulami.

Wewnątrz byliśmy takimi samymi Mingami. Było tak, jakby całe miasto oszalało.

Tego lata wypowiedzieliśmy policji wojnę. Napisaliśmy list do gliniarzy w 88 Obwodzie i do policji osiedlowej. Napisaliśmy, że wypowiadamy im wojnę i od tej chwili każdy gliniarz, który znajdzie się w naszym rejonie, zostanie potraktowany jak wróg i będzie zabity.

Policja wzmocniła patrole, toteż często policjanci obchodzili rewiry we trzech. Wcale nas to nie powstrzymywało. Gromadziliśmy się na dachach i rzucaliśmy w policjantów cegłami, butelkami i pojemnikami na śmieci. Kiedy zatrzymywali się chcąc zobaczyć, kto w nich rzuca, otwieraliśmy ogień. Nasze strzały jednak chybiały. Robione przez nas pistolety nadawały się jedynie do strzelania z bliskich odległości. Największym marzeniem każdego chłopaka było jednak zabicie gliniarza.

Jedną z naszych ulubionych zabaw stanowiło rzucanie „bomb benzynowych”. Nocami kradliśmy benzynę z zaparkowanych samochodów i napełnialiśmy nią butelki po winie i wodzie sodowej. Zatykaliśmy je szmatami, podpalaliśmy i rzucaliśmy w ścianę domu albo w samochód policyjny. Butelki wybuchały masą płomieni.

Czasami zdarzały się wypadki. Pewnego dnia Dan Brunson, członek naszego gangu, zapalił bombę benzynową, żeby nią rzucić w komisariat. Knot zapalił się zbyt szybko i bomba wybuchła mu w twarz. Zanim ktokolwiek zdążył się do niego zbliżyć, objęły go płomienie. Gliniarze wybiegli i stłamsili na nim ogień własnymi rękami. Jeden z nich poparzył się przy tym poważnie. Potem prędko zawieźli Dana do szpitala, ale lekarze powiedzieli, że miną lata zanim Dan przyjdzie choć trochę do siebie.

W następnym tygodniu nasza wojna przygasła, ale wkrótce rozpałała się z jeszcze większą gwałtownością.

Ulubionymi dniami walk gangów były święta. W Wielkanoc, w Dzień Pamięci⁶ i Czwartego Lipca większość z dwustu osiemdziesięciu pięciu młodzieżowych gangów Nowego Jorku gromadziła się na Coney Island. Każdy miał na sobie najlepsze ubranie i popisywał się jak umiał, co prowadziło do zajadłych i często tragicznych w skutkach walk. Tego Czwartego Lipca Biskupi zabili Larry'ego Steina, jednego z naszych chłopaków. Miał dopiero trzynaście lat. Pięciu z nich zatłukło go na śmierć łańcuchami rowerowymi, a potem zakopało w piasku pod pomostem spacerowym. Jego ciało znaleziono dopiero po tygodniu.

Kiedy się o tym dowiedzieliśmy, zebraliśmy się nas w szkolnej piwnicy prawie dwustu i zaczęliśmy radzić nad sposobem pomszczenia Larry'ego. Zionęliśmy nienawiścią. Połowa chłopaków była pijana i chciała w tej chwili iść, spalić domy, w których mieszkają Biskupi i podłożyć ogień pod całą okolicę Bedford Avenue. Pomimo to udało mi się opanować sytuację i uzgodniliśmy, że na drugi dzień po południu wszyscy idziemy na pogrzeb Larry'ego, a wieczorem spotkamy się ponownie i omówimy plan walki.

Następnego popołudnia zebraliśmy się na cmentarzu. Zajechały dwa samochody i wysiadła grupka żałobników. Poznałem rodziców Larry'ego i jego czterech braci. Byliśmy w głębi cmentarza i gdy pojawił się kondukt, wyszliśmy naprzód – ponad dwustu chłopców i dziewcząt, w większości ubranych w czarne kurtki z podwójnym czerwonym M na plecach.

Podszedłem, żeby porozmawiać z panią Stein. Gdy mnie zobaczyła, zaczęła krzyczeć:

– Zabierzcie ich stąd! Zabierzcie ich stąd! Potwory! Diabły!

Odwróciła się i chciała wrócić do samochodu, ale po kilku niepewnych krokach upadła na trawę. Jej mąż ukląkł przy niej, a mali bracia Larry'ego stali i z przerażeniem patrzyli na nasz gang wyłaniający się spomiędzy nagrobków i otaczający grób Larry'ego.

Pan Stein popatrzył na mnie i zaklął.

– To wy jesteście za to odpowiedzialni. Gdyby nie wy i wasz przeklęty gang, Larry żyłby teraz – wykrzyknął i rzucił się w moim kierunku ze wzrokiem pełnym nienawiści, ale przedstawiciel przedsiębiorstwa pogrzebowego chwycił go za łokieć, pociągnął do tyłu i powiedział do mnie:

– Proszę was, zostańcie po drugiej stronie grobu. Dajcie nam szansę, dobrze?

Posłuchałem go i cofnęliśmy się za grób. Panią Stein ocucono i podjęto ceremonię pogrzebową.

Tego wieczora spotkaliśmy się znowu. Tym razem nic nas już nie mogło zatrzymać. Dowiedzieliśmy się tego popołudnia, że GGI⁷ zabili jednego z Biskupów i że na drugi dzień ma się odbyć pogrzeb. Chłopcy chcieli rozbić kondukt rzucając bomby benzynowe z okolicznych domów. Poczucie więzi między członkami gangu, pchające ich do pomszczenia zabitego kolegi, było zdumiewająco silne. Nienawiść kipiała w nich i zmuszała ich do

⁶ Dzień Pamięci (Memorial Day) – dzień poświęcony pamięci poległych żołnierzy amerykańskich, obchodzony w najbliższy 30 maja – poniedziałek.

⁷ GGI – potocznie używany skrót nazwy działającego na Manhattanie gangu młodzieżowego „Grand Gangsters, Incorporated”, mającego swój „lokal klubowy” w piwnicy przy 134 Ulicy.

działania. Mannie pierwszy porwał się z miejsca i krzyknął, że idzie do domu pogrzebowego, w którym czekało na pochówek ciała tego Biskupa.

– Chodźmy, rozwalimy tę budę! – zawołał. – Jutro będzie za późno, chodźmy teraz!

– Tak! Tak! Chodźmy teraz! – zakrzyknął chór głosów.

Kilkunastu chłopaków pobiegło do małego murzyńskiego domu pogrzebowego, powywracało trumny i nożami pocięło zasłony.

Pogrzeb odbył się na drugi dzień pod silną osłoną policji, ale my uważaliśmy, że nasz kolega został pomszczony.

Straszniejszy od walk ulicznych był jedynie paroksyzm nienawiści gotujący się w mojej duszy. Byłem zwierzęciem bez świadomości, moralności, rozsądku i jakiegokolwiek poczucia dobra i zła. Gang utrzymywał mnie ze swych rozbojów i pomagał mi trochę Frank, ale najbardziej lubiłem zdobywać pieniądze na własną rękę.

Wiosną 1957 roku przyszedł do mnie Frank i powiedział, że z Puerto Rico przyjechali w odwiedziny rodzice. Chciał, żebym przyszedł wieczorem następnego dnia do jego mieszkania zobaczyć się z nimi. Odmówiłem. Nie potrzebowalem ich. Odrzucili mnie i teraz nie chciałem mieć z nimi nic wspólnego.

Nazajutrz wieczorem Frank przyprowadził ojca do mojego pokoju. Powiedział, że mama odmówiła przyjęcia, bo nie chciałem się z nią zobaczyć.

Siedziałem na łóżku, a ojciec długo stał w drzwiach i na mnie parzył.

– Frank mi o tobie opowiadał – zaczął mówić, podnosząc głos w miarę mówienia, aż w końcu niemal krzyczał. – Mówił że jesteś przywódcą gangu i że ściga cię policja. To prawda?

Nie odpowiedziałem mu, tylko zwróciłem się do stojącego obok ojca Franka i warknąłem:

– Coś ty mu, do diabła, naopowiadał? Mówiłem ci, że nie chcę widzieć ani jego, ani jej.

– Powiedziałem mu prawdę – odparł spokojnie Frank. – Chyba już czas, żebyś sam ją sobie uświadomił.

– On ma demona – powiedział ojciec wpatrując się we mnie oczyma, które nie ani razu nie mrugnęły. – Jest opętany. Muszę go uwolnić.

Popatrzyłem na ojca i nerwowo się zaśmiałem:

– W zeszłym roku sam myślałem, że mam demona. Ale teraz nawet demony się mnie boją.

Ojciec podszedł i położył mi ciężką rękę na ramieniu. Naciskając silnie zmusił mnie do uklęknienia na podłodze. Stanął potem nade mną i swoimi wielkimi rękami unieruchomił mnie tak, jakby mnie skuł łańcuchami.

– Czuję w nim pięć złych duchów – powiedział. Kiwnął na Franka, żeby ten przyszedł i przytrzymał mi ręce nad głową. Zacząłem się wyrwać, ale oni byli ode mnie silniejsi.

– Pięć demonów! – ojciec zaintonował monotonna melodię. – Dlatego jest przestępcą! Dzisiaj go wyleczymy.

Ścisnął dłońmi wierzch mojej głowy i pchając mocno w dół wykonywał takie ruchy, jakby chciał odkręcić wieczko słoja.

– Wynoście się! Wynoście! Rozkazuję wam odejść! – krzyczał do demonów siedzących w mojej głowie.

Potem zaczął uderzać mnie po uszach dłońmi na płask. Równocześnie krzyczał na demony, żeby wyszły z moich uszu.

Frank ciągle trzymał mi ręce nad głową, a ojciec zabrał się teraz do mojego gardła: objął je swoimi ogromnymi dłońmi i zaczął mnie dusić.

– W jego języku siedzi demon. Wynoś się, demonie! Wynoś się! – wołał i nagle krzyknął: – Jest! Widzę go! Wychodzi!

– Jego serce też jest czarne – powiedział w następnej chwili i kilkakrotnie uderzył mnie z taką siłą pięściami w żebra, iż myślałem, że mi je połamię.

W końcu chwycił mnie za biodra, postawił na nogi i klepiąc mnie w okolicach pachwiny rozkazywał demonom opuścić moje lędźwie.

Wreszcie podniósł mnie i Frank odstał ode mnie mówiąc:

– Ojciec okazał ci wielką łaskę, Nicky. Byłeś opętany, a on cię oczyścił.

Ojciec stał na środku pokoju drząc jak liść. Zakląłem, wypadłem na korytarz i zbiegłem po schodach na ulicę. Dwie godziny później znalazłem w parku śpiącego na ławce pijanego marynarza. Obróciłem go i wyjąłem mu z kieszeni portfel. Jeśli ojciec wypędził ze mnie jakieś demony, powrót nie zabrał im dużo czasu. Dalej byłem dzieckiem Lucyfera.

Nawiedzające mnie nocą koszmary stały się jeszcze gorsze. Wizyta ojca chyba pogłębiła mój strach przed przyszłością. Noc po nocy budziłem się co chwilę z krzykiem, dręczony przez powracające zmyry. Podwoiłem wysiłki w celu zwalczenia zżerającego mnie strachu.

Tego lata nasze walki z policją nasiliły się jeszcze bardziej. Co noc czatowaliśmy na dachach czekając na przechodzących ulicą gliniarzy. Spuszczaliśmy z dachów worki z piaskiem, rzucaliśmy butelkami i kamieniami, ale potrzebne nam były pistolety, a zwłaszcza karabiny. A one kosztowały słono.

Wpadłem na pomysł łatwego rabunku.

Zauważyłem, że co sobotę o trzeciej nad ranem jakiś człowiek podjeżdżał pod jeden z domów czynszowych wielkim Cadillakiem. Chłopcy często mu się przyglądali i dowcipkowali na jego temat. Wiedzieliśmy, że jest z Jersey i że zawsze czeka, dopóki Mario Silvario nie wyjdzie do pracy. Doszliśmy do wniosku, że ten gość sypia z żoną Maria.

Pewnej nocy chłopcy namówili mnie i Alberta, żebyśmy podpatrzyli, co oni robią. Weszliśmy więc na drabinkę pożarową i patrzyliśmy, jak ten facet idzie do łóżka z panią Silvario.

Co sobotę o trzeciej rano wszystko było tak samo. Ten facet parkował swojego Cadillaca, zamykał go i siedł na górę do mieszkania Maria.

Powiedziałem do Manniego, że to powinna być łatwa robota, a on się ze mną zgodził. Poprosiliśmy Williego Rzeźnika, żeby przyniósł swój rewolwer i czekał na nas o drugiej w nocy.

Kiedy weszliśmy na klatkę schodową, Willie już tam był i sprawdzał swój rewolwer. Wyjął wszystkie naboje i ustawił je szeregiem na stopniu. Gdy zobaczył, że idziemy, załadował broń i wsadził ją za pas.

Umówiliśmy się, że Willie i Mannie schowają się za domem. Kiedy ten gość wysiadzie z auta, ja podejść i spytam go o coś. Wtedy Willie i Mannie wyjdą z ukrycia i Willie przytrzyma go na muszce, a my obaj obszukamy go i zabierzemy mu forszę.

Zegar na budynku na rogu Houston wybił trzecią i Willie powiedział, że chce sprawdzić jeszcze raz swój rewolwer. Tym razem poszedł za dom. Po kilku minutach wrócił i powiedział że wszystko jest w porządku.

Około piętnaście po trzeciej wyjechał z za rogu Cadillac i stanął przed bramą. Willie i Mannie skryli się w ciemności, a ja obciągnąłem swój przeciwdeszczowy płaszcz i wyszedłem na chodnik. Mężczyzna wysiadł z samochodu. Był wysoki, około czterdziestki, miał na sobie drogi płaszcz i kapelusz. Starannie zamknął samochód i ruszył w kierunku bramy. Ulice były puste. Ciszę zakłócały jedynie przejeżdżające pobliską główną ulicą samochody.

Mężczyzna zobaczył mnie i zatrzymał się.

– Hej, panie – powiedziałem – zgubiłem się. Czy mógłby mi pan powiedzieć jak dojść do Lafayette Avenue?

Mężczyzna cofnął się i rozejrzał na wszystkie strony.

– Daj spokój, chłopcze. Nie chcę żadnych kłopotów.

– Hej, człowieku, chcę tylko wiedzieć jak dojść do Lafayette Avenue.

Uśmiechnąłem się i wsadziłem rękę do kieszeni płaszcza, udając, że celuję do niego z ukrytego tam rewolweru.

– Ratunku! Rabują! – wrzasnął mężczyzna cofając się ku swojemu samochodowi.

Przyskoczyłem do niego:

– Zamknij się, bo cię zabiję.

Ucichł na chwilę i popatrzył na mnie z niedowierzaniem. Potem znowu zaczął krzyczeć:

– Ratunku! Pomocy!

W tym momencie Willie otoczył mu szyję ramieniem, przytknął mu lufę do policzka i wyszeptał:

– Jak się jeszcze raz odezwiesz, to cię zabiję.

Mężczyzna zamarł i stał bez ruchu, a my go obszukaliśmy.

W kieszeni jego płaszcza znaleźliśmy największy plik pieniędzy, jaki kiedykolwiek widziałem. Banknoty były zwinięte w rolkę i ściągnięte gumką. Domyśliłem się, że niósł je żonie Maria.

– Hej, popatrz, Willie. Jak ci się to podoba? Ten facet jest bogaty. Człowieku, popatrz na tę całą forszę.

Cofnąłem się ze śmiechem. Zgarnęliśmy kupę forsy. Zacząłem tańczyć na ulicy i żartować sobie z niego.

– Hej, ty, jak ci pozwolę spać z moją starą, będziesz mi co tydzień dawał trochę forsy?

Mannie włączył się do żartów i zaczął odpinać mężczyźnie pasek.

– Co człowieku? Chyba nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli zdejmemy ci portki, żeby wszystkie damy zobaczyły, jaki jesteś przystojny?

Mężczyzna zacisnął zęby i zaczął jęczeć.

– No człowieku, robimy ci grzeczność – powiedział Mannie. – Dalej, spuszczaaj portki, bądź dobrym chłopczykiem.

Mannie odpiął sprzączkę i mężczyzna znowu zaczął krzyczeć:

– Ratunku! Ratu...

Podbiegiem i zatkałem mu usta, na co on z całej siły ugryzł mnie w dłoń. Odskoczyłem i wrzasnąłem:

– Strzelaj Willie! Kropnij go! On mnie ugryzł!

Willie cofnął się, chwycił rewolwer w obie dłonie, wycelował mężczyźnie w plecy i pociągnął za spust. Usłyszałem stuknięcie kurka, ale strzał nie nastąpił.

Z całej siły uderzyłem mężczyznę zdrową ręką w brzuch. On zgiął się wpół i wtedy uderzyłem go w bok głowy drugą ręką, ale zabołało mnie tak, że omal nie zemdlałem. Usunąłem się na bok i krzyknąłem:

– Wal w niego, Willie, niech ma za swoje. Willie znowu pociągnął za spust i znowu rewolwer nie wystrzelił. Willie zaczął próbować raz za razem, ale broń nie chciała wypalić.

Wyrwałem rewolwer Willy'emu i uderzyłem mężczyznę w twarz. Usłyszałem stuk metalu o kość. Ciało rozstało się i zobaczyłem biel kości, obramowaną czerwonymi brzegami rany. Mężczyzna próbował jeszcze raz krzyknąć, ale uderzyłem go w wierzch głowy. Upadł na skraj jezdni. Ręka zwiśla mu w głąb otwartego kanału ściekowego.

Nie czekaliśmy dłużej. W oknach zapalały się już światła i ktoś krzyczał. Pobiegliśmy ulicą i po chwili skręciliśmy w zaułek prowadzący na zaplecze szkoły. W biegu zerwałem z siebie płaszcz i wrzuciłem go do pojemnika na śmieci.

Rozdzieliliśmy się na następnej ulicy. Pobiegłem do domu, wpadłem do pokoju, zamknąłem drzwi na klucz i stanąłem w ciemności łapiąc oddech i śmiejąc się. To było życie!

Zaświeciłem światło i obejrzałem dłoń. Widać było wyraźne ślady zębów tego mężczyzny. Obmyłem rękę winem i owinałem chusteczką. Potem zgasłem światło i rzuciłem się na łóżko. Usłyszałem policyjne syreny i roześmiałem się. „Ale kupa forsy!” – pomyślałem i sięgnąłem do kieszeni po zwitek banknotów.

Boże! Nie było go tam! Skoczyłem na równe nogi i zacząłem gorączkowo przeszukiwać kieszenie. Nagle mnie olśniło: kiedy zaczęliśmy bić tego człowieka, wetknąłem pieniądze do kieszeni płaszcza. No tak! Płaszcz wrzuciłem do pojemnika śmieci! I rewolwer! Rewolwer Williego też przepadł! Musiałem go upuścić zaraz potem jak uderzyłem tego mężczyznę.

Nie mogłem tam teraz wracać. Tam się już roziło od gliniarzy. Musiałem poczekać do rana, ale przez ten czas mógł przyjechać śmieciarz i płaszcz z pieniędzmi mógł przepaść.

Upadłem z powrotem na łóżko i z całej siły wałęnałem pięściami w materac. Tyle zachodu na nic.

Nicky Cruz opowiada

Rozdział 8

Śmiech szatana

Przez te dwa lata, w ciągu których byłem przywódcą Mau Mau, zginęło siedemnaście osób. Aresztowany byłem tyle razy, że nie jestem w stanie policzyć. Żyliśmy wszyscy w gangach tak, jakby nie było żadnego prawa. Nic nie było dla mnie święte, prócz naszej wzajemnej lojalności, a zwłaszcza tego szczególnie silnego poczucia lojalności w stosunku do Izraela i Manniego.

Pewnej nocy Izrael podkraść się pod drzwi mojego pokoju i wpuścił do środka gołębia. Potem stał przed drzwiami i śmiał się słysząc jak z przerażenia krzyczę. Kiedy otworzył drzwi i zaświecił światło, zobaczył mnie ukrytego pod łóżkiem. Gdy wyganiał gołębia przez okno, usiłowałem zamaskować strach śmiechem. Ale kiedy poszedł, położyłem się na łóżku i dygotałem, a w uszach długo jeszcze brzmiał mi łopot skrzydeł. Gdy wreszcie zapadłem w nerwową drzemkę, przysniło mi się że spadam. Obudziłem się myśląc, że słyszałem śmiech szatana.

Następnego dnia rano Izrael wrócił z wiadomością, że Mannie został zraniony nożem i jest w szpitalu.

– Co jest Nicky? – spytał Izrael, kiedy skończył mi o tym opowiadać. – Co się z tobą dzieje?

Miałem żołądek ściśnięty w twardą grudę i czułem jak krew odpływa mi z twarzy. Mannie i Izrael byli moimi jedynymi przyjaciółmi. Nagle, gdy usłyszałem od Izraela jak blisko śmierci był Mannie, uczułem, że znika gdzieś moje poczucie bezpieczeństwa.

Potrząsnąłem głową.

– Nic mi nie jest. Jestem tylko wściekły. Dostanę się do Manniego, dowiemy się kto to zrobił, i załatwimy go.

Po południu próbowałem wejść do szpitala, ale w drzwiach stali dwaj policjanci. Wszedłem więc po drabinie pożarowej i zastukałem w okno. Mannie otworzył je, ale był tak słaby, że ledwo dowlókł się z powrotem do łóżka.

– Kto to zrobił, stary? – spytałem. – Nie będzie tak, żeby ktoś cię dziabnął, a potem sobie spokojnie chodził.

– To byli Biskupi. Dorwali mnie samego i dostałem dwa razy. Raz w nogę, a raz w bok.

– Który to? – spytałem. – Wiesz który to zrobił?

– Tak. To był ten, co go wołają Joe. On jest ich nowymi wiceprezesem. Cały czas zgrywa się na ważnego faceta. Kiedy uciekał, powiedział, że wrócą i mnie zabiją. Dlatego stoją tam gliniarze.

– Dobra. Wyzdrowiej szybko. A jak wyjdiesz, dopadniemy tego brudnego czarnucha.

Zszedłem po drabinie i jeszcze tego samego wieczora spotkałem się z Izraelem i Homerem Belanchi, naszym doradcą wojennym, żeby omówić akcję odwetową. Zdecydowaliśmy się na kidnaping.

Na drugi dzień Homer ukraść samochód. Schowaliśmy go za starym magazynem i stał tam przez dwa tygodnie, dopóki Mannie nie wyszedł ze szpitala.

Na akcję wyruszyliśmy na kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia 1957 roku. Homer prowadził samochód. Po drodze zabraliśmy Manniego, który ciągle jeszcze kulał i podpierał się laską. Augie i Paco usiedli ze mną z tyłu. Powoli przejechaliśmy ulicą St. Edward obok katolickiego ośrodka. Tego wieczora odbywała się tam zabawa z okazji nadchodzących świąt Bożego Narodzenia i przed drzwiami stało dwóch policjantów. Nie było widać w okolicy żadnego Biskupa, więc pojechaliśmy do cukierni i zaparkowaliśmy po przeciwnej stronie jezdni. Była już prawie jedenasta.

Powiedzieliśmy Manniemu, żeby zaczekał w samochodzie, a sami poszliśmy na drugą stronę ulicy, do cukierni. W środku było kilku Biskupów.

– Hej, chłopaki, szukamy naszego przyjaciela, wiceprezesa Biskupów. Słyszeliśmy, że chce zawrzeć pokój i przyszliśmy z nim o tym pogadać. Jest on tu gdzieś? – spytałem.

Jeden z Biskupów odezwał się:

– Mówisz o Joe? Tak, jest tam w kącie. Całuje dziewczynę.

Podeszliśmy do kąta, gdzie na podłodze siedział z dziewczyną Joe. Popatrzył na nas i wtedy Augie powiedział:

– Człowieku to my, Mau Mau. Przyszliśmy po ciebie.

Joe próbował wstać, ale Augie postawił mu nogę na ramieniu i pchnął go z powrotem na podłogę. Obaj mieliśmy pistolety w kieszeniach i Joe widział, że do niego celujemy. Zaczął krzyczeć.

Augie wyciągnął pistolet i skierował w stronę pozostałych chłopaków.

– Nie ruszać się. Kto pierwszy się ruszy, ten zginie.

Właściciel cukierni wyglądał tak, jakby zaraz miał ze strachu zrobić jakieś głupstwo. Augie powiedział do niego:

– Nie zrobimy ci nic złego. Siedź spokojnie, za chwilę nas tu nie będzie.

Zwróciłem się do Joego, który ciągle siedział na podłodze obok przerażonej dziewczyny.

– Słuchaj, gnojku, masz do wyboru dwie możliwości. Albo idziesz z nami, albo zabijemy cię na miejscu. Chcesz chwilę o tym pomyśleć?

Joe zaczął coś jąkać, na co ja powiedziałem:

– Dobra. Fajnie, żeś to już przemyślał.

Szarpnięciem postawiłem go na nogi. Gdy wychodziliśmy, Izrael trzymał resztę chłopaków na muszce.

– Powiedzcie Biskupom, że odwieziemy go, kiedy nauczymy go, co to znaczy dziabnąć któregoś z Mau Mau – powiedział Augie.

Zamknęliśmy drzwi i pobiegliśmy z Joem do auta. Posadziliśmy go na tylnym siedzeniu. Augie i ja usiedliśmy po bokach z wycelowanymi w niego pistoletami. Homer ruszył i pojechaliśmy do opuszczonego domu niedaleko Manhattan Bridge.

Wprowadziliśmy Joego do środka, zakneblowaliśmy mu usta i przywiązaliśmy go do krzesła.

– Może cię zabijemy szybko, a może zostaniesz tu do końca życia – warknąłem do niego. Augie splunął mu w twarz i wyszliśmy, ryglując za sobą drzwi. Była północ.

Wróciliśmy po dwóch dniach, przyprowadzając ze sobą dwudziestu pięciu Mau Mau. Joe leżał razem z krzesłem na podłodze. Próbował się wyswobodzić, ale był zbyt mocno przywiązany. Podnieśliśmy go i włączyliśmy światło. Przez dwie doby nie miał w ustach jedzenia ani wody. W domu było mroźno. Teraz patrzył na nas z przerażeniem i nerwowo mrugał, gdy stanęliśmy wokół.

Zawołałem Manniego, żeby podszedł i stanął przed Joem.

– Mannie, czy to ten chłopak poranił cię nożem i groził, że cię zabije?

Mannie podszedł, ciężko wspierając się na lasce.

– Tak, to on. To właśnie ten.

Wyciągnąłem knebel z ust Joego. Wargi i język miał opuchnięte i popękane, gardło wyschnięte. Chciał coś powiedzieć, ale z krtani wydobyło mu się tylko chrypienie.

– Patrzcie, przyznaje się, że to on – powiedziałem ze śmiechem.

Augie chwycił Joego za długie włosy i przechylił mu głowę do tyłu. Mannie strzepnął popiół z papierosa, który przyłożył do szyi Joego. Oczy chłopaka stały się okrągłe z przerażenia i Mannie roześmiał się, delikatnie przytykając żarzącego się papierosa do napiętej skóry. Joe krzyknął z bólu i Mannie odjął papierosa.

– Jeszcze raz – powiedział Augie. – On cię dwa razy uderzył nożem.

Tym razem Mannie powoli rozgniół papierosa na ustach Joego specjalnie wpychając go pomiędzy zaciśnięte, popękane wargi. Chłopakowi drgnęła broda i przesunął suchym językiem po ognistoczerwonych pęcherzach, próbując pozbyć się przyklepionego popiołu i okruchów tytoniu.

– No, chłopaki, teraz wasza kolej – powiedział Augie.

Wszyscy chłopcy zapalili papierosy i zbliżyli się. Augie znowu chwycił Joego za włosy i odciągnął mu głowę do tyłu. Chłopak krzyknął ze strachu, ale z gardła wydobyło mu się tylko śmieszne skrzypienie, podobne do dźwięku pocierania papierem ściernym o drucianą siatkę. Chłopcy zaczęli kolejno gasić papierosy na jego twarzy i szyi. Joe krzyczał bez przerwy, aż wreszcie zemdlął z bólu.

Odwiazaliśmy go i upadł na podłogę, w kurz i pajęczyny. Przeklinając głośno chłopcy zaczęli go kopać, łamiąc mu żebra i szczękę. Potem wrzuciliśmy go do samochodu i pojechaliśmy do cukierni w rejonie Biskupów. Augie przypiął mu do pleców kartkę z napisem: „Nikt, kto zrani Mau Mau, nie będzie sobie spokojnie chodził”. Powoli podjechaliśmy pod cukiernię, wypchnęliśmy bezwładne ciało na ulicę i, z rykiem silnika, odjechaliśmy.

W dzień Bożego Narodzenia spotkałem Manniego u Gina. Siedzieliśmy na stołkach przed barem, paliliśmy papierosy i śmialiśmy się z tego, co zrobiliśmy tydzień wcześniej.

W pewnej chwili spojrzałem przez okno i zobaczyłem pięciu Biskupów przechodzących przez ulicę. Rozejrzałem się i zobaczyłem, że chociaż znajdujemy się w samym sercu terytorium Mau Mau, jesteśmy sami. Traciłem Manniego:

– Stary, Biskupi. Zwiewajmy stąd.

Ale było już za późno. Zobaczyli nas, gdy chowaliśmy się kontuarem, żeby się wymknąć przez boczne drzwi.

Wyskoczyliśmy na ulicę, przebiegliśmy przez jezdnię i wpadliśmy w zaułek. Biegliśmy najszybciej jak mogliśmy, ale osłabiony Mannie nie nadażał za mną. Kiedy wybiegliśmy zza rogu domu na ulicę, Biskupi już tam na nas czekali.

Opuściłem głowę i przebiłem się przez nich. Byli zaskoczeni moją odwagą i nie przygotowani na atak. Uderzyłem jednego z nich głową w brzuch. Przewrócił się na chodnik i pojechał kawałek na siedzeniu. Oparłem się ręką o maskę zaparkowanego samochodu i skoczyłem ponad nią na jezdnię. Nadjeżdżająca ciężarówka zaryczała na mnie klaksonem, gdy przebiegałem przed nią, pędząc ku ocaleniu. Miałem nadzieję, że Mannie wykorzystał mój atak i ucieka za mną.

Nagle zorientowałem się, że Manniego przy mnie nie ma, obejrzałem się. Żaden Biskup mnie nie gonił. Zatrzymałem się i wróciłem kawałek, żeby zorientować się w sytuacji. Zobaczyłem, jak Mannie kuli się przy ścianie domu, a cała piątka Biskupów bije go pięściami i kopie w brzuch i pachwinę.

Niespodziewanie w słońcu błysnęło ostrze noża. Podbiegłem do nich i sięgając po swój nóż krzyknąłem:

– Dranie! Parszywe świnię! Zostawcie go! Zabiję was!

Ale było już za późno. Chłopak z nożem zamachnął się i z całej siły wbił go Manniemu od dołu między żebra. Mannie szarpnął się i wyprostował. Stał przez chwilę, po czym powoli upadł twarzą na beton. Gdy już leżał, tamten jeszcze raz z całej siły wbił mu nóż w piersi.

Zatrzymałem się na krawężniku. Nie przypuszczałem, że będą chcieli go zabić. Wpadłem w szal. Skoczyłem między nich tnąc nożem i waląc pięścią na lewo i na prawo, Biskupi odskoczyli i uciekli ulicą w obie strony. Mannie leżał na chodniku. Z ust i nosa płynęła mu krew, a w miejscu, w którym wyciekała spod skórzanej kurtki, zaczęła się już tworzyć kałuża.

Leżał na brzuchu, z głową skręconą w bok i patrzył na mnie oczyma pełnymi przerażenia. Próbował coś powiedzieć, ale z ust wydobyły mu się jedynie krwawe bańki.

Ukląknę i odwróciłem go na plecy. Uniosłem mu głowę i ułożyłem na swoich kolanach, przytulając ją do mojej skórzanej kurtki. Jego krew plamiła mi spodnie i czułem ją, ciepłą i lepłą, na rękach.

Ciągle próbował coś powiedzieć. Oczy miał okrągłe ze strachu. Ale kiedy otwierał usta, słyszałem tylko bulgotanie w jego płucach i na wargi występowała mu krwawa piana.

– Mannie, Mannie! – krzyknąłem. – Nie umieraj! Nie umieraj, Mannie!

Mannie lekko rozchylił usta i usłyszałem jak uchodzi z niego powietrze. To brzmiało tak, jak cichy syk osiadającej na jezdni opony. Głowa Manniego obróciła się luźno w moich dłoniach i poczułem jak pod kurtką zapada mu się klatka piersiowa.

Siedziałem i wytrzeszczałem na niego oczy. Był martwy!

– Mannie! Mannie! Mannie! – wrzasnąłem na całe gardło, głosem pełnym dzikiego przerażenia, którym napełniło mnie to, czego byłem świadkiem.

Usłyszałem głosy ludzi. Jakaś kobieta krzyczała:

– Hej, co się tam dzieje!

Nie mogłem tam dłużej zostać. Biorąc pod uwagę to, co miała na mój temat w kartotece policja, było pewne, że zostałem oskarżony.

Głosy były coraz bliżej. Powoli wstałem z kolan. Bezwładne ciało Manniego ciężko opadło na chodnik. Gdy biegłem zaułkiem na drugą ulicę, każdy krok brzmiał mi w uszach jak głuchy stuk jego głowy o twardy beton. Przed oczyma wciąż miałem Manniego leżącego tam na chodniku z otwartymi, przerażonymi oczyma, pokrytymi szkliwem śmierci. Bałem się.

Biegłem całą drogę do mojego mieszkania. Zatrzasnąwszy za sobą drzwi, porwałem rewolwer z szafy. Dysząc ciężko usiadłem na skraju łóżka i drżąc wymierzyłem w zamknięte drzwi. Bałem się śmiertelnie.

Nigdy jeszcze nie widziałem śmierci z tak bliska. Nigdy nie stanąłem z nią twarzą w twarz. To był mój przyjaciel. Śmiał się i rozmawiał, a za chwilę leżał na ulicy bluzgając krwią.

Nie mogłem sobie z tym poradzić. Myślałem, że jestem odważny i niczego się nie boję. Ale śmierć – to było dla mnie zbyt wiele. Zrobiło mi się niedobrze. Zaczęły mną szarpać torsje. Wymiotowałem długo. Chciało mi się płakać, ale nie wiedziałem jak się to robi.

Zerwałem się na równe nogi, rozpędziłem się i uderzyłem w ścianę.

– Nie boję się! Nie boję się! – krzychałem w kółko.

Byłem jak opętany. Popatrzyłem na swoje ręce i zobaczyłem zaschniętą krew na skórze i pod paznokciami. Znowu przed oczyma stanęły mi jego popękane wargi i szklisty wzrok.

Zacząłem walić głową o ścianę i krzyczeć.

– Nikt nie może mnie zranić! Nikt nie może mnie zranić! Nikt...

Wyczerpany upadłem na podłogę i ciężko dyszałem. Strach! Przytłaczający, przeraźliwy, nieodparty, nieopanowany strach! Było to tak, jakby moje nocne koszmary stały się rzeczywistością. Tarzałem się po podłodze skrzyżowawszy ręce na piersi, jęcząc i krzyżąc. Wydawało mi się, że zbliżają się do mnie ściany pokoju, a sufit odjeżdża w górę aż na dziesięć kilometrów. Leżałem na malutkim prostokacie podłogi, a drzwi i okna były tysiące metrów nade mną. Jakbym był wcisnięty na dno prostokątnej, wysokiej na dziesięć kilometrów słomki do lemoniady, bez szans ucieczki.

Wówczas u samej góry pojawiła się gęsta czarna chmura i powoli zaczęła opadać w dół tej słomki, prosto na mnie. Dusilem się. Rozchyliłem wargi, żeby krzyknąć, ale z ust wydobyła mi się tylko krwawa piana. Drapałem paznokciami ściany chcąc się jakoś wydostać, ale głowa wciąż mi opadała i uderzała w podłogę z takim samym stukiem, jak głowa Manniego, kiedy uderzyła o beton staczając się z moich kolan.

Czarna chmura opadła; leżąc na plecach wyciągnąłem w górę ręce i nogi próbując ją odepchnąć. To była chmura śmierci – śmierci – śmierci – i przybyła po mnie. Usłyszałem cichy syk powietrza uchodzącego z moich płuc. Szarpnęły mną torsje i próbowałem krzyknąć, ale z ust wydobyło mi się tylko trochę krwawej piany, a potem ten głośny bulgot, który słyszałem w piersi Manniego, gdy krew przez płuca rzuciła mu się do gardła. Słyszałem ten bulgot we własnej piersi. Nagle czarna chmura pochłonęła mnie całkowicie i usłyszałem głuchy, odbijający się od ścian śmiech. Śmiech ten brzmiał bez końca. ŚMIERĆ... śmierć... śmierć... To był śmiech szatana.

Gdy się ocknąłem, był już dzień. Słońce próbowało zajrzeć w moje brudne okno. Leżałem wciąż na podłodze, skulony, brudny i zmarznięty. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, były moje dłonie, ciągle jeszcze pokryte zakrzepłą, zaschniętą krwią.

Nicky Cruz opowiada

Rozdział 9

Na dno

Było to na trzy dni przed Wielkanocą. Staliśmy we czwórek na rogu Auburn i St. Edward, przed kościołem św. św. Edwarda i Michała. Wiedzieliśmy, że księża w czasie nabożeństw w tygodniu wielkanocnym zbierają dużo pieniędzy i planowaliśmy włamanie do kościoła.

Z osiedlowego posterunku po drugiej stronie ulicy wyszedł policjant i zobaczył nas opartych o żelazne ogrodzenie kościoła. Przeszedł przez jezdnię i powiedział:

– Wynocha stąd, portorykańskie świnię!

Nie poruszyliśmy się. Staliśmy z rękami przewieszonymi przez ogrodzenie i patrzyliśmy na niego bez wyrazu.

– Powiedziałem, żebyście zjeżdżali, gnojki – powtórzył.

Chłopcy powoli odeszli, ale ja się nie ruszyłem. Gliniarz popatrzył na mnie z wściekłością.

– Mówię ci, gnojku, żebyś się ruszył.

Zamierzył się pałką, jak by mnie chciał uderzyć. Plunąłem na niego. Gliniarz zamachnął się na mnie. Uchyliłem się i pałka uderzyła w ogrodzenie. Rzuciłem się na niego, a on chwycił mnie za szyję. Był dwa razy większy ode mnie, ale ja miałem zamiar go zabić, jeśli tylko mi się to uda. Sięgnąłem po nóż, ale w tej samej chwili zobaczyłem, że on odpina kaburę i wyciąga rewolwer. Równocześnie zaczął wołać o pomoc.

Szybko odskoczyłem i podniosłem rękę.

– Poddaję się! Poddaję się!

Z komisariatu wysypali się policjanci i podbiegli do nas. Złapali mnie i powlekli mnie tam przez jezdnię i po schodkach do środka.

Gliniarz, który się przedtem ze mną szarpał, uderzył mnie mocno w twarz. Poczułem na wargach krew.

– Jesteś waśniak z rewolwerem, ale w środku jesteś tchórz, jak reszta tych parszywych gliniarzy – powiedziałem.

Uderzył mnie znowu. Udałem, że zemdlałem, i upadłem na podłogę.

– Wstawaj, ty brudna świnię. Tym razem wyślemy cię stąd na dobre.

Gdy ciągnęli mnie do drugiego pokoju, usłyszałem jak dyżurny sierżant mruczy:

– Ten chłopak jest chyba szalony. Powinni go wsadzić na dobre, zanim kogoś zabije.

Już wiele razy policja mnie łapała, ale nigdy nie mogli mnie zatrzymać. Nikt nigdy nie świadczył przeciwko mnie, bo wiadano, że kiedy wyjdę, to zabiję takiego albo Mau Mau zabije go w moim imieniu.

Tym razem przewieźli mnie przez miasto i wsadzili do celi. Gdy wchodziłem do środka, strażnik mnie popchnął. Odwróciłem się i skoczyłem na niego z pięściami. Wtedy on wyciągnął mnie na korytarz, inny gliniarz mnie trzymał, a on bił mnie pięściami.

– Jest tylko jeden sposób obchodzenia się z tymi sukinsynami: wybić z nich diabła – powiedział. – To banda śmierdzących, brudnych świń. Mamy tu pełno czarnuchów, włoskich świń i portorykańskich brudasów. Ty jesteś taki sam jak oni wszyscy i jeśli będziesz podskakiwał, to pożałujesz, że żyjesz.

Wepchnęli mnie z powrotem do celi. Leżałem na podłodze i przeklinałem ich.

– No co, łobuzie? – powiedział strażnik, zamykając drzwi – Nie wstajesz i nie podskakujesz? Nie jesteś taki twardy, co?

Zagryzłem wargi i nie odpowiedziałem. Ale postanowiłem, że zabiję go kiedy wyjdę z więzienia.

Na drugi dzień strażnik wrócił do mojej celi. Gdy otworzył drzwi, znowu na niego skoczyłem, aż się zatoczył. Uderzył mnie kluczami w głowę. Poczułem krew płynącą z rozcięcia nad okiem.

– No, dalej, bij mnie! – wrzasnąłem. – Ale jeszcze przyjdę do twojego domu i zabiję twoją żonę i dzieci. Tylko poczekaj, zobaczysz!

Zostałem zatrzymany za drobne wykroczenie: opór przy aresztowaniu i niepodporządkowanie się poleceniom policjanta. Ale ciągle pogarszałem swoją sprawę. Strażnik wepchnął mnie z powrotem do celi i zamknął drzwi na klucz.

– Dobra, portorykański brudasio. Siedź tu, aż zgnijesz.

Rozprawa odbyła się w następnym tygodniu. Założyli mi kajdanki i zaprowadzili na salę rozpraw. Siedziałem, a policjant czytał o co jestem oskarżony.

Sędzia, mężczyzna po pięćdziesiątce o surowej twarzy, w okularach bez oprawy, powiedział:

– Chwileczkę, czy ten chłopak już kiedyś przede mną nie stawał?

– Tak, panie sędzio – odpowiedział policjant. – To już jego trzecia rozprawa w tym sądzie. Oprócz tego był już dwadzieścia razy aresztowany i oskarżony o wszystko: od rozboju po usiłowanie zabójstwa.

Sędzia popatrzył na mnie.

– Ile masz lat, młody człowieku?

Siedziałem na krześle zgarbiony i patrzyłem w podłogę.

– Wstań, kiedy do ciebie mówię! – powiedział ostro sędzia.

Wstałem i popatrzyłem na niego.

– Pytałem cię, ile masz lat – powtórzył surowym tonem.

– Osiemnaście – odpowiedziałem.

– Masz osiemnaście lat, byłeś już dwadzieścia jeden razy aresztowany i trzy razy stawałeś przed tym sądem. Dlaczego rodzice się tobą nie zajmą?

– Są w Puerto Rico – odpowiedziałem.

– Z kim mieszkasz?

– Z nikim. Nie potrzebuję nikogo. Mieszkam sam ze sobą.

– Jak długo mieszkasz samotnie?

– Odkąd przyjechałem do Nowego Jorku trzy lata temu.

– Panie sędzio – przerwał policjant – to zły chłopak. On jest prezesem Mau Mau. On jest przyczyną wszystkich kłopotów, jakie mamy w osiedlu. Nigdy jeszcze nie spotkałem chłopaka tak złego i okrutnego jak on. On jest jak zwierzę; a jedyne, co można zrobić ze wściekłym psem, to zamknąć go w klatce. Jeśli wolno mi doradzić, byłoby dobrze, Panie sędzio, wsadzić go do więzienia, dopóki nie skończy dwadzieścia jeden lat; może wtedy udałoby się nam przywrócić jaki taki porządek w Fort Greene.

Sędzia popatrzył na policjanta.

– Mówi pan, że on jest jak zwierzę? Jak wściekły pies?

– Właśnie, panie sędzio. I jeśli pan go wypuści, on do wieczora zdaży kogoś zabić.

– Tak, myślę, że ma pan rację – powiedział sędzia, patrząc znowu na mnie. – Ale myślę, że musimy chociaż spróbować odkryć, co sprawia, że on jest jak zwierzę. Dlaczego jest taki zły. Dlaczego chce nienawidzić i kraść, walczyć i zabijać. Przez nasze sądy przechodzą codziennie setki takich jak on i myślę, że ten kraj ma niejaki obowiązek próbować ocalić

część z tych chłopców, a nie po prostu zamykać ich na resztę życia. I wierzę, że gdzieś głęboko w tym „wściekłym psie” kryje się dusza, która może być zbawiona.

Zwrócił się do policjanta.

– Nie sądzi pan, że powinniśmy spróbować?

– Nie wiem, panie sędzio – powiedział policjant. – Te szczeniaki zabiły trzech policjantów w ciągu dwóch ostatnich lat i mieliśmy pięćdziesiąt morderstw od czasu, kiedy pracuję w tamtym rewirze. Można na nich wpłynąć tylko przemocą. Wiem też, że jeśli go pan wypuści, będziemy go musieli znowu zamknąć, tylko tym razem prawdopodobnie za morderstwo.

Sędzia popatrzył na leżący przed nim arkusz papieru.

– Cruz, tak? Podejdź tu, Nicky Cruz, i stań przed sędziowskim stołem.

Podszedłem, by stanąć na środku sali. Poczułem, że zaczynają mi drżeć kolana.

Sędzia pochylił się nad stołem i popatrzył mi w oczy.

– Nicky, mam chłopca w twoim wieku. Chodzi do szkoły. Mieszka w dobrym domu, w miłym sąsiedztwie. Nie sprawia nam kłopotów, gra w szkolnej drużynie bejsbolowej i ma dobre stopnie. Nie jest wściekłym psem jak ty. Nie jest wściekłym psem dlatego, że ma kogoś, kto go kocha. Bez wątpienia ty nie masz nikogo, kto by cię kochał, i ty też nikogo nie kochasz. Nie jesteś w stanie kochać. Jesteś chory, Nicky, ale chcę wiedzieć, dlaczego. Chcę wiedzieć, co zmusza cię do takiej nienawiści. Nie jesteś normalny jak inni chłopcy. Ten policjant ma rację. Jesteś zwierzęciem. Żyjesz jak zwierzę i zachowujesz się jak zwierzę. Powinienem potraktować cię jak zwierzę, ale chcę zrozumieć, dlaczego jesteś anormalny. Oddam cię pod nadzór naszego sądowego psychologa, doktora Johna Goodmana. Nie mam kwalifikacji, by ocenić, czy jesteś psychopatą, czy nie. On cię przebada i podejmie ostateczną decyzję.

Kiwnąłem głową. Nie wiedziałem, czy ma zamiar mnie wypuścić, czy zatrzymać w areszcie, ale zrozumiałem, że nie wyśle mnie do więzienia – przynajmniej nie od razu.

– I jeszcze jedno, Nicky – powiedział sędzia. – Jeśli wplącesz się w coś jeszcze, jeśli usłyszę na ciebie choć jedną skargę, jeśli w ogóle zachowasz się niewłaściwie, uznam że jesteś całkowicie niezdolny do otrzymywania poleceń i odpowiedzialnego reagowania i wyślę cię niezwłocznie do Elmiry, do obozu pracy. Jasne?

– Tak, proszę pana – odpowiedziałem. Samego mnie to zaskoczyło. Po raz pierwszy w życiu powiedziałem do kogoś: „proszę pana”. Ale w tym wypadku wydało mi się to zupełnie na miejscu.

Na drugi dzień rano przyszedł do mojej celi sądowy psycholog, dr John Goodman. Był to wysoki mężczyzna z przedwcześnie posiwiałymi skroniami i głęboką szramą na twarzy. Kołnierzyk jego koszuli był wystrzępiony, a buty zakurzone.

– Polecono mi zbadać twój przypadek – powiedział siadając na mojej pryczy i zakładając nogę na nogę. – Oznacza to, że musimy przez jakiś czas przebywać razem.

– Pewnie, ważniaku. Masz zupełną rację.

– Słuchaj, łobuzie, rozmawiam codziennie z dwudziestoma takimi szczeniakami jak ty. Spróbuj jeszcze raz odpyskować, a pożałujesz.

Zaskoczyła mnie jego gwałtowna reakcja, ale odpowiedziałem aroganckim tonem:

– Dużo gadasz jak na łapacza wariatów. A może chciałbyś, żeby cię którejś nocy odwiedzili Mau Mau?

Zanim zdążyłem się ruszyć, doktor złapał mnie za koszulę na piersi i niemal podniósł w powietrze.

– Słuchaj, pyskaczu. Byłem cztery lata w gangach i trzy lata w marynarce wojennej, zanim poszedłem na studia. Widzisz tę bliznę? – odwrócił głowę, żebym zobaczył głęboką bliznę biegnącą przez cały policzek i szyję aż po kołnierzyk koszuli. – Zarobiłem to, kiedy byłem w gangu, ale wcześniej prawie zatłukłem sześciu innych łobuzów kijem bejsbolowym. Jak chcesz iść na udry, to trafiłeś na właściwego człowieka.

Odepchnął mnie od siebie. Prycza podcięła mi nogi i usiadłem na niej z rozmachem. Splunąłem na podłogę, ale nie nic powiedziałem.

Doktor powiedział znowu rzeczowym tonem:

– Jutro rano muszę pojechać do Bear Mountain. Możesz jechać ze mną i porozmawiamy.

Przez cały następny dzień psycholog prowadził nieformalne badanie. Wyjechaliśmy z miasta na północ, w głąb stanu Nowy Jork. Był to mój pierwszy, od przyjazdu z Puerto Rico, wyjazd poza asfaltową dżunglę. Czułem dreszcz podniecenia, cały czas byłem ponury i arogancko odpowiadałem na jego pytania.

Po krótkiej wizycie w klinice psycholog zabrał mnie do zoo w miejskim parku. Szliśmy alejką, wzdłuż klatek. Zatrzymałem się i zacząłem patrzeć na dzikie zwierzęta chodzące za kratami tam i z powrotem.

– Lubisz ogrody zoologiczne, Nicky? – spytał doktor.

– Nie cierpię – odparłem. Odwróciłem się od klatek i ruszyłem alejką z powrotem.

– O, dlaczego?

– Nie cierpię tych śmierdzących zwierzątek. Zawsze łążą. Zawsze chcą się wyrwać.

Usiedliśmy na ławce w parku i rozmawialiśmy. Doktor John wyjął z teczki zeszyty i poprosił mnie, żebym narysował kilka rzeczy. Konie. Krowy. Domy. Narysowałem dom z wielkimi drzwiami frontowymi.

– Dlaczego narysowałeś takie wielkie drzwi w tym domu? – spytał.

– Żeby głupi łapacz wariatów mógł tam wleźć – odpowiedziałem.

– Nie przyjmuję tego. Daj mi inną odpowiedź.

– No dobra, żebym mógł szybko się wydostać, jak mnie ktoś będzie gonił.

– Ludzie zwykle rysują drzwi, żeby się dostać do środka.

– Ja nie, ja chcę się wydostać.

– Narysuj mi teraz drzewo.

Narysowałem drzewo. Potem pomyślałem, że na drzewie powinien siedzieć ptak, więc narysowałem na czubku drzewa ptaka.

Dr Goodman popatrzył na rysunek i powiedział:

– Lubisz ptaki, Nicky?

– Nienawidzę ich.

– Wydaje mi się, że ty wszystkiego nienawidzisz.

– Tak. Może. Ale najbardziej ptaków.

– Dlaczego? – spytał – Bo są wolne?

W oddali głucho przetoczył się grzmot.

Zaczynałem się bać pytań tego człowieka. Wzięłem ołówek i przedziurawiłem wizerunek ptaka.

– Dobra. Zapomnijmy o ptaku. Już go zabiłem.

– Uważasz, że możesz się pozbyć wszystkiego, czego się boisz, zabijając. Prawda?

– Co, do diabła, myślisz, że kto ty jesteś, ty głupi szarlatan! – krzyknąłem. Zerwałem się z ławki, stanąłem nad nim i zacząłem krzyczeć na cały głos: – Myślisz, że możesz mi zadawać idiotyczne pytania i wszystkiego się o mnie dowiedzieć? Nie boję się nikogo. Spytaj Biskupów, to ci o mnie opowiedzą. Nie ma w Nowym Jorku gangu, który chciałby się bić z Mau Mau. Nie boję się nikogo!

Dr Goodman ciągle coś pisał w swoim notesie. Spojrzał tylko na mnie i powiedział:

– Siadaj, Nicky. Mnie tym nie zaimponujesz.

– Słuchaj, człowieku, jak będziesz ze mną zadzierał, to długo nie pożyjesz.

Stałem przed nim roztrzęsiony. W tym momencie zahuczał nowy, o wiele silniejszy grzmot. Dr Goodman popatrzył na mnie i chciał coś powiedzieć, ale na alejkę wokół nas zaczęły padać krople deszczu. Doktor pokręcił głową.

– Lepiej chodźmy, zanim nas zleje – powiedział.

Ledwo zatrzasnęliśmy drzwi samochodu, lunął rześisty deszcz i ciężkie krople zaczęły walić w przednią szybę. Dr John długo siedział bez słowa, potem włączył silnik i ruszył.

– Nie wiem, Nicky – powiedział. – Po prostu nie wiem.

Czas powrotu upłynął nam w ponurym nastroju. Deszcz bezlitośnie walił w blachę samochodu. Dr John prowadził bez słowa. Ja byłem pogrążony w rozmyślaniach. Przygnębiała mnie świadomość, że wracamy do Nowego Jorku. Myśl o areszcie budziła we mnie lęk. Nie mogłem znieść tego, że zamykają mnie do klatki jak dzikie zwierzę.

Gdy wjechaliśmy pomiędzy setki wysokich brudnych domów czynszowych, deszcz przestał padać, ale słońce już zaszło. Czułem się jakbym wjeżdżał do pułapki. Chciało mi się wyskoczyć z samochodu i uciekać. Ale zamiast skrócić w stronę aresztu, dr John zwolnił i skręcił w Lafayette, w kierunku osiedla Fort Greene.

– Nie wiesz mnie do aresztu? – spytałem zaskoczony.

– Nie. Mam uprawnienia do zamknięcia cię albo wypuszczenia. Uważam, że więzienie nie wyjdzie ci na dobre.

Uśmiechnąłem się.

– Tak, człowieku. Teraz gadasz do rzeczy.

– Nie, nie rozumiesz mnie. Nie sądzę, żeby cokolwiek było dla ciebie dobre.

Roześmiałem się.

– A co, doktorze, uważasz, że mój stan jest beznadziejny?

Doktor zatrzymał samochód na rogu Lafayette i Fort Greene Place.

– Właśnie, Nicky. Od wielu lat pracuję z takimi chłopakami. Mieszkałem w getcie. Ale nigdy jeszcze nie widziałem chłopaka tak twardego, zimnego i dzikiego jak ty. Nie zareagowałeś pozytywnie na nic, o czym mówiłem. Nienawidzisz wszystkich i boisz się każdego, kto mógłby zagrozić twojemu bezpieczeństwu.

Otworzyłem drzwi samochodu i wysiadłem.

– Dobra, możesz iść do diabła, doktorku. Nie potrzebuję ani ciebie, ani nikogo innego.

– Nicky – powiedział doktor, gdy odwracałem się, żeby odejść. – Powiem ci wprost: jesteś skazany. Nie ma dla ciebie nadziei. I jeśli się nie zmienisz, pójdziesz prostą drogą do więzienia, na krzesło elektryczne i do piekła.

– Tak? Dobra. Spotkamy się tam – odpowiedziałem.

– Gdzie? – spytał doktor.

– W piekle, człowieku – powiedziałem ze śmiechem.

Doktor pokiwał głową i odjechał w ciemność. Próbowałem dalej się śmiać, ale śmiech zamarł mi na ustach.

Stałem na rogu ulicy z rękami w kieszeniach przeciwdeszczowego płaszcza. Była siódma wieczór i ulice pełne były bezimiennych twarzy, śpieszących się nóg... idących, idących, idących. Czułem się jak liść na powierzchni ludzkiego morza, unoszony w różne strony przez własne bezsensowne namiętności. Przyglądałem się ludziom. Nikt nie stał w miejscu. Niektórzy biegli. Był maj, ale wiatr był zimny. Smagał moje nogi i całego mnie przenikał chłodem.

Słowa psychologa wciąż brzmiały mi w uszach jak zacięta płyta: „Pójdziesz prostą drogą do więzienia, na krzesło elektryczne i do piekła”.

Nigdy naprawdę się sobie nie przyjrzałem. O, lubiłem oglądać się w lustrze. Zawsze byłem czystym chłopakiem, co jest trochę nietypowe dla Portorykańczyka z mojej dzielnicy. W przeciwieństwie do chłopaków z gangu dbałem o swój wygląd. Starąłem się chodzić w krawacie i kolorowych koszulach. Starąłem się zawsze, by moje spodnie były wyprasowane, i dbałem o swoją cerę. Nie chciałem zbyt dużo palić, bo wtedy mój oddech stawał się nieświeży.

Ale w środku nagle poczułem się brudny. Nicky, którego widziałem w lustrze, nie był tym prawdziwym. A ten na którego patrzyłem teraz, był brudny... obrzydliwy... zgubiony.

Szafa grająca w Papa John's ryczała głośną bigbitową melodię. Samochody jechały zderzak przy zderzaku. Trąbiły klaksony, przesywały powietrze gwizdki, krzyczeli ludzie. Patrzyłem na ich puste, bezimienne twarze. Nikt się nie uśmiechał. Wszyscy się spieszyli. Niektórzy byli pijani. Większość płaczących się pod barem narkomanów była „nagrzana”. To był prawdziwy Brooklyn. To był prawdziwy Nicky.

Ruszyłem w górę ulicy, w kierunku mojego domu na Fort Greene. Wiatr rzucał gazety na żelazne ogrodzenia i kraty sklepów. Na chodniku poniewierały się rozbite butelki i puste puszki po piwie. Woń tłustych potraw niosła się po ulicy, przyprawiając mnie o mdłości. Chodnik pod moimi stopami drgał, gdy z łoskotem przelatywały pod nim i znikwały w niewiadomej ciemności pociągi metra.

Dogoniłem jakąś starą, nędznie wyglądającą kobietę. Powiedziałem „starą”, ale z tyłu nie mogłem rozpoznać jej wieku. Była niska, niższa ode mnie. Głowę miała ciasno owiniętą czarnym szalikiem. Spod jego brzegów wystawały farbowane, rudo-żółte włosy. Miała na sobie starą marynarską kurtkę, za dużą o jakieś sześć numerów. Jej chude nogi w czarnych spodniach sterczały spod kurtki jak wykałaczki. Miała męskie półbuty włożone na bose stopy.

Nienawidziłem jej. Symbolizowała wszystko co brudne i plugawe w moim życiu. Sięgnąłem do kieszeni po nóż. Wcale się nie wygłupiałem. Zastanawiałem się jak mocno powinienem pchnąć, żeby przebić gruby filc kurtki i wbić ostrze w jej plecy. Doznałem ciepło-lepkiego uczucia na myśl o krwi ściekającej z brzegu jej kurtki i zbierającej się w kałużę na ulicy.

W tym momencie z przeciwka nadbiegł mały piesek i skręcił, żeby ją wyminąć. Kobieta obróciła głowę w jego stronę i patrzyła niewidzącym spojrzeniem. Poznałem ją. Była to jedna z tych zużytych prostytutek, które mieszkaly w mojej okolicy. Po jej oczach – opadających powiekach i pustym wzroku – poznałem, że jest po zastrzyku heroiny.

Zostawiłem nóż, myśląc znowu o sobie, i zacząłem ją wyprzedzać. Wtedy dostrzegłem jej bezmyślne spojrzenie skierowane na jaskrawoczerwony balonik, pchany przez wiatr środkiem ulicy.

Balonik! W pierwszym odruchu chciałem skoczyć na jezdnię i rozdeptać go. Do diabła! Nienawidziłem go! Był wolny!

Nagle zalała mnie fala współczucia. Utożsamiałem się z tym głupim, podskakującym balonikiem. Dziwne, że gdy po raz pierwszy w życiu odczułem litość, dotyczyła ona martwego, pędzonego wiatrem donikąd przedmiotu.

Więc zamiast pobiec na jezdnię i rozdeptać go, mijałem kobietę i przyspieszyłem kroku, żeby nadążyć za balonem toczącym się i podskakującym po brudnej ulicy.

Balonik był w tym obskurnym otoczeniu całkiem nie na miejscu. Dookoła zimny wiatr przeganiał stare gazety i śmieci, na chodnikach walały się porozbijane butelki po winie i zgniecione puszki po piwie, po obu stronach wznosiły się ciemne, ponure, kamiennie-betonowe ściany dożywotniego więzienia, w którym mieszkałem, a tu, pośrodku tego wszystkiego, był wolny, czerwony balonik, niesiony niewidzialnym tchnieniem przyrody.

Cóż takiego zainteresowało mnie w tym głupim baloniku? Przyspieszyłem, żeby się z nim zrównać. Przylapałem się na nadziei, że balonik nie trafi na odłamek szkła i nie pęknie. Ale równocześnie wiedziałem, że to nie może trwać długo. Był zbyt delikatny. Zbyt wrażliwy. Był zbyt czysty i doskonały, żeby pośrodku tego całego piekła przetrwać dłużej.

Wstrzymywałem oddech za każdym razem, gdy balonik po kolejnym podskoku opadał na ulicę. On jednak wciąż kontynuował swoją wesołą wędrówkę środkiem jezdni. Powtarzałem w myśli: „Może mu się uda. Może zdoła przebyć całą drogę do przecznicy i dostać się z wiatrem do parku. Może jednak ma szansę”.

Prawie modliłem się o to. Ale gdy pomyślałem o parku, ogarnęło mnie zniechęcenie. Ten parszywy park. No i co z tego, że dostanie się do parku? I co dalej? Nic mu to nie pomoże. Uderzy o zardzewiałe ogrodzenie i pęknie. A jeśli nawet przedostanie się przez ogrodzenie, to i tak nadzieje się na coś w trawie czy chwastach i tyle go będzie.

„Albo – myślałem – jeśli ktoś go podniesie, to weźmie go tylko do swojego obscurnego mieszkania i uwięzi do końca jego życia. Nie ma nadziei ani dla niego, ani dla mnie”.

Nagle, ni stąd, ni zowąd, nadjechał policyjny samochód. Zanim zdałem sobie sprawę z tego, co się dzieje, najechał na balonik i usłyszałem żalosne „puf”, gdy bezlitośnie rozgniół go na jezdni. Samochód skręcił za najbliższy róg. Nawet nie wiedział co zrobić, a choćby i wiedział, niewiele by go to obchodziło.

Chciałem pobiec za nim z krzykiem: „Parszywi gliniarze! Nic was nie obchodzi?” Chciałem ich zabić za to, że wgnietli mnie w jezdnię.

Ale uszła ze mnie chęć do życia. Stałem na krawężniku i patrzyłem na ciemną jezdnię, lecz nigdzie nie było śladu balonika. Wgnieciony w śmieci i pył ulicy Fort Greene zmieszał się z brudem Brooklynu.

Zawróciłem pod swój dom i usiadłem na schodkach. Stara prostytutka powlokła się ulicą w ciemność. Wiatr ciągle gwizdał i gnał jezdnią papiery i śmieci, przyklejając je do ogrodzenia parku. Pod spodem jeszcze jeden pociąg metra z łoskotem pomknął w ciemność. Bałem się. Ja, Nicky, bałem się. Drżałem nie z zimna, ale z lęku. Oparłem głowę na rękach i myślałem: „Wszystko przepadło. Jestem skazany. Tak, jak powiedział dr John. Nie ma nadziei dla Nicky’ego, tylko więzienie, krzesło elektryczne i piekło”.

Od tego dnia przestało mi zależeć na czymkolwiek. Oddałem prezesurę gangu znowu Izraelowi. Upadłem na dno. Głębiej już nie mogłem upaść. Nie było dla mnie żadnej nadziei. Mógłbym równie dobrze, jak wszyscy inni w getcie, zwrócić się ku strzykawce. Zmęczony byłem już tą ciągłą ucieczką. Czego mi było trzeba według sędziego? Miłości! Ale skąd wziąć na tym dniu miłość?

Nicky Cruz opowiada

Rozdział 10

Twarzą w twarz

Było to gorące popołudnie, w piątek, w lipcu 1958 roku. Siedziałem z Lydią i Izraelem na schodach przed swoim domem, kiedy zobaczyliśmy biegnących chłopaków.

– Hej, co się dzieje? – krzyknąłem do nich.

– Przed szkołą jest cyrk! – odkrzyknął jeden z nich.

Rozrywki są w Brooklynie rzadkie. Jest to jedna z przyczyn, dla których musieliśmy sami je sobie organizować w postaci bijatyk, narkotyków i seksu. Wszystko było lepsze niż beczynne siedzenie. Pobiegliśmy więc przez park do szkoły przy St. Edward Street.

Gdyśmy tam dotarli, przed szkołą nr 67 stał już spory tłum. Roztrącając dzieci przepchnęliśmy się do przodu, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Jakiś człowiek stał na hydrancie i grał na trąbce „Głos Jezusa słyhać”. Grał w kółko tę samą melodię. Obok niego na chodniku stał drugi mężczyzna. Nie widziałem jeszcze tak chudego, wątłego i mizernie wyglądającego człowieka. Ponad nim powiewała na kiju amerykańska flaga.

Trębacz w końcu przestał grać i tłum zaczął na niego krzyczeć. Zebrała się prawie setka chłopców i dziewcząt, blokując jezdnię i chodnik.

Chudy mężczyzna miał taboret od fortepianu, który dali mu ze szkoły. Wszedł na taboret i otworzył jakąś czarną książkę. Zaczęliśmy do niego krzyczeć. Stał tam z pochyloną głową i widać było, że się boi. Krzyki były coraz głośniejsze. W ścisku obejmowałem Lydię i próbowałem sięgnąć jej za dekolt swetra, a ona chichotała.

Nagle uświadomiłem sobie, że wszystko ucichło. Przestałem zajmować się Lydią i spojrzałem na tego człowieka na taborecie. Stał ze schyloną głową, trzymając przed sobą otwartą tę swoją czarną książkę. Ogarnęło mnie niesamowite uczucie, jak w domu, kiedy ojciec wykonywał swoje czarnoksiężski praktyki. Było dziwnie cicho, nawet samochody na Park Avenue, o kilka domów od nas, nie robiły żadnego hałasu, był to nieziemski spokój. Przestraszyłem się.

Opanował mnie dawny lęk, którego nie odczuwałem od czasu wstąpienia do Mau Mau. Był to ten sam lęk, z którym walczyłem w sądzie, stając przed sędzią. Ten sam, który czułem tego wieczora, kiedy szedłem do domu po dniu spędzonym z psychologiem sądowym. Za każdym razem udawało mi się od tego strachu uwolnić, uciec od niego. Ale teraz napełniał całe moje ciało i czułem, że ogarnia nawet duszę. Chciałem odejść stąd, uciec, ale wszyscy słuchali... czekali.

Nagle ten chudy człowiek podniósł głowę i głosem tak słabym, że ledwo go było słyhać, zaczął czytać z tej czarnej książki: „*Tak bowiem Bóg umiłował świat, że dał swego Jednorodzonego Syna, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne*”⁸.

⁸ Ewangelia wg św. Jana 3,16.

Zadrzałem ze strachu. Ten gość musiał być księdzem lub czarownikiem czy kimś w tym rodzaju. Mówił o miłości. Wiedziałem, co to „miłość”. Byłem w tej dziedzinie ekspertem. Wyciągnąłem rękę i uszczypnąłem Lydię w biodro. Popatrzyła na mnie:

– Słuchaj go, Nicky.

Nachmurzyłem się i znowu zwróciłem głowę w kierunku tego chudego człowieka. On powiedział coś o proszeniu o to, żeby zdarzył się cud. Nie wiedziałem co to cud, ale wszyscy słuchali i nie chciałem być inny.

Skończył mówić i stał na coś czekając. Potem powiedział, że chce rozmawiać z prezesami i wiceprezesami gangów. Poczujęm, że ten człowiek jest niebezpieczny. Wdzierał się do naszego świata, a ja nie chciałem, żeby się tu pchali jacyś obcy.

Mówił dalej:

– Jeśli jesteście tacy ważni i twardzi, nie boicie się chyba podejść tu i uściskać rękę jakiemuś chudemu pastrowi, prawda?

Tłum się poruszył. Ktoś z tyłu zawołał:

– Hej, Kasiarz, co jest, boisz się?

To było do Kasiarza, prezesa Kapelanów, naszego bratniego gangu.

Usłyszałem za sobą poruszenie tłumu. Obejrzałem się i zobaczyłem Kasiarza razem z Dylizansem i jeszcze dwoma czarnymi z ich gangu. Szli do chudego pastora, który zszedłszy z taboretu stał i na nich czekał.

Denerwowałem się coraz bardziej. Całkiem mi się to nie podobało. Rozejrzałem się, ale wszyscy się uśmiechali i rozstępowali, żeby przepuścić Kasiarza i Dylizansa.

Przywitali się z pastorem, a potem ten trębacz i pastor wzięli Kasiarza, Dylizansa i tych dwóch chłopaków, co z nimi byli, i podeszli razem do bramy szkoły. Stali tam i rozmawiali. Zostawiłem Lydię i podszedłem do Izraela.

– Co oni robią? – spytałem go.

Izrael nie odpowiedział. Miał jakąś dziwną minę.

Nagle zobaczyłem, że tamci klękają na ulicy. Kasiarz i Dylizans zdjęli kapelusze, trzymali je w rękach i klęczeli na chodniku. Potem podnieśli się i ruszyli z powrotem. Zawołałem na Kasiarza:

– Hej, Kasiarz, nawróciłeś się już?

Kasiarz był wielkim chłopem, miał około metr osiemdziesiąt pięć i ważył prawie dziewięćdziesiąt kilo. Odwrócił głowę i popatrzył na mnie tak, jak jeszcze nigdy przedtem. Twarz miał poważną, śmiertelnie poważną. Przeszył mnie wzrokiem i zrozumiałem, co chciał powiedzieć, chociaż nie wiedziałem, co mu się stało. Powiedział mi oczami: „Lepiej się odwal, Nicky, to nie jest odpowiednia chwila na wygłupy”.

Nagle ktoś do mnie zawołał:

– Hej, Nicky, pokaż, że nie jesteś gorszy. Chyba się nie boisz podejść, co?

Izrael uszczypnął mnie i kiwnął głową w kierunku tych dwóch ludzi.

– Chodź, Nicky. Idziemy.

Zobaczyłem, że mówi serio, i cofnąłem się. W tym wszystkim było coś złowróżbnego... coś niebezpiecznego i podstępного. Miało to posmak śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Tłum zaczął hałasować i krzyczeć:

– Hej, patrzcie na naszego przywódcę! On się boi tego chudego pastora!

Izrael pociągnął mnie za kurtkę.

– Chodź, Nicky, idziemy.

Nie miałem wyboru. Musiałem podejść i stanąć twarzą w twarz z tymi dwoma ludźmi.

Izrael podał im rękę. Ja ciągle się bałem i zwlekałem. Chudy mężczyzna podszedł do mnie i wyciągnął rękę.

– Nicky, nazywam się David Wilkerson. Jestem pastorem z Pensylwanii.

Popatrzyłem tylko na niego i powiedziałem:

– A idź, pastor, do diabła!

– Nie podobam ci się, Nicky – odpowiedział pastor – ale ja czuję do ciebie coś zupełnie innego: kocham cię. I nie tylko to. Przybyłem, żeby ci powiedzieć o Jezusie, który też cię kocha.

Czułem się jak schwytane zwierzę, które wsadzają do klatki. Za mną był tłum. Przede mną była uśmiechnięta twarz tego chudego człowieka mówiącego o miłości. Nikt mnie nie kocha. Nikt mnie nigdy nie kochał. Gdy tak stałem, w mojej pamięci pojawiła się ta chwila sprzed wielu lat, gdy usłyszałem, jak moja matka mówi mi: „Nie kocham cię, Nicky”. Pomyślałem: „Jeśli własna matka mówi ci, że cię nie kocha, to znaczy, że nikt cię nie kocha – i nigdy nie pokocha”.

Pastor ciągle stał z wyciągniętą ręką i uśmiechał się. Zawsze byłem dumny z tego, że się nie boję. Ale teraz bałem się. Bardzo bałem się tego człowieka, który chciał wsadzić mnie do klatki. Chciał zabrać mi przyjaciół. Chciał wszystko zniszczyć i dlatego nienawidziłem go.

– Jak się tylko do mnie zbliżysz, pastorku, zabiję cię – powiedziałem cofając się w stronę dającego mi poczucie bezpieczeństwa tłumu. Bałem się i nie wiedziałem jak sobie z tym poradzić.

Przepętniał mnie strach. Wpadłem nieomal w panikę. Prychnąłem gniewnie, odwróciłem się i poszedłem w tłum.

– Ten facet to komunista, chłopaki – krzyknąłem – zostawcie go, to komunista.

Nie wiedziałem, co to znaczy „komunista”, ale wiedziałem, że to jest coś, co się powinno ludziom nie podobać. Uciekłem i zdawałem sobie z tego sprawę. Ale nie umiałem walczyć w ten sposób. Gdyby on mnie zaatakował nożem, walczyłbym z nim. Gdyby przyszedł i prosił, błagał, wyśmiałbym go i kopnąłbym go w zęby. Ale on przyszedł i powiedział: „Kocham cię”. Jeszcze nikt nigdy mnie tak nie potraktował.

Przepchnąłem się przez tłum z podniesioną głową i wypiętą piersią. Chwyciłem Lydię za ramię i pociągnąłem ją za sobą ulicą St. Edward, byle dalej od szkoły.

Kilku chłopaków poszło za mną. Poszliśmy do naszej piwnicy i nastawiłem gramofon na cały głos. Próbowałem zagłuszyć brzmiące mi w uszach słowa: „Jezus cię kocha”. Dlaczego to tak bardzo wyprowadzało mnie z równowagi? Trochę tańczyłem z Lydią, wypilem pół butelki taniego wina i wypaliłem paczkę papierosów. Paliłem bez przerwy, odpalając jednego od drugiego. Lydia widziała, że jestem zdenerwowany.

– Nicky, a może powinieneś porozmawiać z pastorem? Może chrześcijaństwo nie jest takie złe jak myślisz?

Popatrzyłem na nią tak, że spuściła głowę.

Byłem nieszczęśliwy. I bałem się. Nagle w drzwiach zrobił się jakiś ruch. Popatrzyłem w tamtą stronę i zobaczyłem, że wchodzi ten chudy pastor. W swoim porządnym ubraniu, białej koszuli i eleganckim krawacie nie pasował do naszej brudnej piwnicy. Wszedł i spytał jednego z chłopaków:

– Gdzie jest Nicky?

Chłopak wskazał na drugi koniec piwnicy, gdzie siedziałem z głową opartą na rękach i papierosem zwisającym z kącika ust.

Wilkerson podszedł do mnie tak, jakby to była jego piwnica. Uśmiechał się szeroko. Znowu wyciągnął rękę i powiedział:

– Nicky, chciałem ci tylko ucisnąć rękę i...

Zanim zdążył dokończyć, uderzyłem go w twarz. Mocno. Próbował na siłę się uśmiechnąć, ale widać było, że zrobiło to na nim wrażenie. Nie cofnął się jednak i znowu strach chwycił mnie za gardło, tak że zrobiło mi się niedobrze. Żeby mu za to odpłacić, zrobiłem jedyną rzecz, jaka mi przyszła do głowy: plunąłem na niego.

– Nicky, Jezusa też opluwali, a on się modlił: „Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią”.

– Zjeżdżaj stąd, do diabła! – krzyknąłem i pchnąłem go w kierunku drzwi.
– Nicky, zanim odejdę, pozwól, że powiem ci jedną rzecz: Jezus cię kocha.
– Wynoś się, zwariowany pastore! Nie wiesz, co mówisz. Daję ci dobę na wyniesienie się z mojego rejonu, a jak nie, to cię zabiję.

Wilkerson cofał się do drzwi, ciągle się uśmiechając.

– Pamiętaj, Nicky, Jezus cię kocha.

Tego już było dla mnie za wiele. Schyliłem się, podniosłem pustą butelkę po winie i z całej siły cisnąłem nią o podłogę. Nigdy jeszcze nie byłem tak wytracony z równowagi.

Poniesiony ambicją skoczyłem do drzwi. Zdawałem sprawę, że wszystkie chłopaki zorientowały się, że ten facet mocno założył mi za skórę. Nie widziałem innego sposobu działania, jak działać twardo. Wiedziałem, że jeśli choć na chwilę okażę swoje prawdziwe uczucia, stracę cały gang.

– Durny, pomyłony czarownik – powiedziałem. – Jak tu jeszcze wróci, to go spalę.

Zatrzasnąłem za sobą drzwi i stanąłem na chodniku, patrząc, jak pastor odchodzi energicznym krokiem. „Zarozumialec” – pomyślałem. Ale jednak w głębi duszy czułem, że za tym dziwnym człowiekiem stoi jakaś prawda.

Odwróciłem się i ruszyłem w przeciwnym kierunku. Wszedłem do sali bilardowej, poprosiłem o kule i próbowałem skupić uwagę na końcu kija. Ale w uszach nie przestawał mi brzmieć głos chudego pastora mówiącego: „Jezus cię kocha”.

„Nic mnie to nie obchodzi – myślałem – On mnie nie przestraszy. Nikt mnie nie przestraszy”.

Zepsułem dwa kolejne uderzenia i rzuciłem kij na stół. „Jezus cię kocha” – brzmiało mi w uszach. Powiedziałem chłopakom, że źle się czuję, i poszedłem do domu.

Przestraszyłem się, że naprawdę jestem chory. Było wpół do jedenastej, a ja nigdy nie kładłem się do łóżka przed trzecią lub czwartą rano. Zamknąłem drzwi od pokoju na klucz. Drżąc podszedłem do łóżka i zapaliłem lampkę na stojącym obok stoliku. Wyjąłem z szafy rewolwer, załadowałem go dwoma nabojami i położyłem przy łóżku. Zrzuciłem z nóg buty i przebrałem się. Położyłem na stoliku paczkę papierosów, rzuciłem się na łóżko i zacząłem patrzeć w sufit. Wciąż słyszałem słowa Davida Wilkersona: „Jezus cię kocha, Nicky, Jezus cię kocha”.

Wyciągnąłem rękę, zgasiłem światło i zapaliłem papierosa. Paliłem jednego po drugim. Nie mogłem spokojnie uleżeć. Przewracałem się z boku na bok. Nie mogłem zasnąć. Mijały godziny. W końcu usiadłem, zapaliłem światło i popatrzyłem na zegarek. Była piąta rano. Przewracałem się na łóżku przez całą noc.

Wstałem, ubrałem się i schowałem rewolwer z powrotem do szafy. Wziąłem papierosy, zszedłem po schodach i otworzyłem frontowe drzwi domu. Niebo zaczynało szarzeć. W oddali słychać było jak wielkie miasto ziewa i przeciąga się przed nowym dniem.

Usiadłem na schodkach i oparłem głowę na rękach. „Jezus cię kocha... Jezus cię kocha... Jezus cię kocha...”.

Usłyszałem że przed domem zatrzymuje się samochód i trzaskają drzwiczki. Czyjaś ręka poklepała mnie po ramieniu. Podniosłem swoją zmęczoną głowę i zobaczyłem przed sobą chudego pastora. Uśmiechając się, powiedział:

– Cześć Nicky. Pamiętasz, co ci powiedziałem wczoraj wieczorem? Chciałem tylko wpaść i powiedzieć ci to jeszcze raz. Nicky, Jezus cię kocha.

Skoczyłem na równe nogi i zamachnąłem się. Wilkerson zmadrzał przez noc, bo odskoczył poza zasięg mojej ręki. Stałem warcząc jak zwierzę gotujące się do skoku. Wilkerson spojrzął mi prosto w oczy i powiedział:

– Mógłbyś mnie zabić, Nicky. Mógłbyś mnie pociąć na tysiąc kawałków i rozrzucić je po całej ulicy. Ale każdy kawałek wołałby, że Jezus cię kocha. I nigdzie przed tym nie uciekniesz.

Rzuciłem mu złowrogie spojrzenie, ale on mówił dalej:

– Nicky, nie boję się ciebie. Twoje słowa są groźne, ale w środku jesteś taki sam jak my wszyscy. Boisz się. Obrzydły ci własne grzechy. Jesteś samotny. Ale Jezus cię kocha.

Zaskoczyło mnie to. Skąd on wie, że jestem samotny? Nie wiedziałem, o czym mówi, kiedy powiedział „grzechy”. Bałem się przyznać do strachu. Ale skąd on wiedział, że jestem samotny? Zawsze był ze mną gang. Miałem każdą dziewczynę, jaką chciałem. Ludzie się mnie bali: kiedy widzieli, że nadchodzę, schodzili z chodnika na jezdnię. Byłem przywódcą gangu. Jak mógł pomyśleć, że jestem samotny? A jednak byłem. A teraz wiedział o tym ten pastor.

Próbowałem szydzić z tego, co mówi:

– Uważasz, że zmienisz mnie ot tak? – powiedziałem, pstrykając palcami. – Myślisz, że jak wysłucham tego, co powiesz, to złapię Biblię i będę z nią paradował jak pastor, a ludzie zaczną mówić: „Nicky Cruz to anioł! Święty!?”

Zdawałem sobie jednak sprawę, że on mówi poważnie, z głębi serca.

– Nicky, nie spałeś dużo tej nocy, prawda?

Znów mnie zaskoczył. Skąd wiedział, że nie spałem?

– Ja też niewiele spałem tej nocy, Nicky – ciągnął Wilkerson – tylko modliłem się za ciebie. Ale zanim to zrobiłem, porozmawiałem z twoimi chłopakami. Powiedzieli mi, że nikt się do ciebie nie zbliża. Wszyscy się ciebie boją. Ale ja, Nicky, przyszedłem ci powiedzieć, że komuś jednak na tobie zależy. Tym kimś jest Jezus. On cię kocha. – Popatrzył mi w oczy i dodał: – Pewnego dnia, i to już wkrótce, Duch Boży zajmie się tobą. Pewnego dnia przestaniesz uciekać i przybiegniesz do Niego.

Nie odezwałem się. Wstałem, odwróciłem się do niego plecami i wszedłem do domu, zamykając za sobą drzwi. Poszedłem do swojego pokoju, usiadłem na łóżku i wyjrzałem przez okno. Gdy popatrzyłem na dół, jego samochodu już nie było. Niebo na wschodzie zaczynało przybierać różowy odcień. Po drugiej stronie ulicy wielki budynek, w którym mieściło się Technikum Brooklyńskie, przesłaniał mi horyzont. Ale nagle, jak zapach morza dolatujący do kogoś, kto jest jeszcze wiele kilometrów od ujścia rzeki, ogarnęło mnie uczucie, że życie to nie tylko to. To więcej, niż te wznoszące się wysoko betonowe budynki, te ściany więzienia ze szkła i kamienia.

Pomyślałem o jego słowach: „Pewnego dnia przestaniesz uciekać i przybiegniesz do Niego”. Nie wiedziałem nawet, kim On jest. Pomyślałem jednak, siedząc tak na łóżku i wyglądając na zaśmieconą ulicę, po której niosły się odgłosy ciężarówek pędzących z rykiem pobliską główną ulicą, że On musi być jak słońce wynurzające się z oceanu w bezchmurny dzień. Albo jak gwiazda poranna wisząca na jaśniejącym niebie. Może... Kiedyś...

Chwila ta była bliżej, niż mogłem przypuszczać.

Przez następnych kilka dni nie udało mi się zapomnieć o tym człowieku występującym w imieniu Boga. To Izrael zdręczał mnie ciągłym mówieniem o nim. Ilekroć spotkaliśmy się, mówił coś o Bogu.

– Do diabła, Izrael, jak nie przestaniesz w kółko gadać o tym całym Bogu, to cię zabiję!

Ale Izrael nie przestawał mówić na ten temat i podejrzewałem, że ukradkiem widywał się z Wilkersonem. Nie podobało mi się to. Czułem, że Wilkerson jest człowiekiem, który może zniszczyć nasz gang. Teraz, kiedy zabrakło Manniego, został mi już tylko Izrael. I nawet on wydawał się ode mnie oddalać. Jego ciągłe powoływanie się na Wilkersona, ciągłe wyciąganie mnie na rozmowy doprowadzało mnie do rozpacz.

Nie mogłem tego dłużej znieść. Noc przed Czwartym Lipca, dniem w którym wszystkie gangi gromadziły się na Coney Island, Izrael spędził ze mną. Do późna próbował mnie przekonać, żebym nie jechał na Coney Island, tylko poszedł porozmawiać z Wilkersonem. Zatkaną sobie uszy próbując odgradzić się od jego ciągłej gadaniny. Wreszcie Izrael zasnął.

Leżałem w łóżku tępo patrząc w ciemny sufit, ogarnięty lękiem. Musiałem to przerwać. Musiałem zmusić Izraela do milczenia. Nie mogłem już więcej słuchać o Wilkersonie.

Sięgnąłem pod materac i zacisnąłem dłoń na drewnianej rękojeści schowanego tam szpikulca do rąbania lodu. Słyszałem głęboki oddech Izraela leżącego w łóżku obok. Im dłużej myślałem o tym, jak mi wierci dziurę w brzuchu gadaniem o Bogu, tym większa ogarniała mnie furia.

W końcu nie mogłem już dłużej wytrzymać.

– To cię odczy się mnie czepiać! – wrzasnąłem.

Wyrwałem szpikulca spod materaca i uderzyłem, mierząc w plecy Izraela.

Ten, obudzony moim krzykiem, poderwał się i szpikulca wbił się w materac z tyłu za nim.

Wyciągnąłem go i próbowałem ponownie uderzyć krzycząc:

– Powiedziałem ci, żebyś nie gadał o Bogu! Dlaczego gadałeś? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

W ślepej furii uderzałem gdzie popadnie.

Izrael rzucił się na mnie i, mocując się, stoczyliśmy się na podłogę. Rozciągnął mnie na wznak, usiadł na mnie okrakiem i przycisnął moje ręce do podłogi za głową.

– Dlaczego nie przestałeś gadać?! – krzyczałem ciągle.

– Co ci się stało?! – krzyknął Izrael. – Zwariowałaś? To ja, twój przyjaciel. Co ci się stało?

Nagle zorientowałem się, że krzycząc i walcząc ze mną, płakał. Łzy lały mu się po twarzy.

– Nicky, Nicky, przestań. Jestem twoim przyjacielem. Nie zmuszaj mnie, żebym ci zrobił krzywdę. Proszę cię, przestań. Jestem twoim przyjacielem. Kocham cię.

Właśnie tak powiedział. Spadło to na mnie tak, jakby mi wylał na twarz wiadro lodowatej wody. Powiedział to tak, jak mówił Wilkerson. Rozluźniłem chwyt i Izrael wydarł mi szpikulca z dłoni. Nigdy dotąd nie widziałem go płaczącego. Dlaczego płakał?

Trzymał szpikulca uniesiony nad moją twarzą. Ścisnął go w dłoni tak mocno, że widziałem w półmroku, jak zbiegały mu kostki palców. Mięśnie miał tak napięte, że drżał. Przez chwilę myślałem, że uderzy mnie nim w głowę, ale po chwili z całej siły rzucił go w koniec pokoju. Ciągle płacząc rzucił się na swoje łóżko.

Podniosłem się zagubiony, zażenowany i wyczerpany, co się ze mną dzieje? Przed chwilą próbowałem zabić swojego przyjaciela!

Wypadłem z pokoju i pobiegłem schodami na górę, na dach. Na dworze było ciemno i parno. Poszedłem po dachu do klatki, w której stary Gonzales trzymał swoje gołębie. Wyważyłem drzwiczki i złapałem jednego ptaka. Reszta, łopocząc skrzydłami i objając się o pręty klatki, uciekła w noc.

Przyciskając gołębia do nagiej piersi podszedłem do komina wentylacyjnego i usiadłem.

Ptaki! Nie cierpiałem ich. Takie swobodne. Boże, jak ja nienawidziłem wszystkiego co swobodne. Izrael zmierzał ku wolności. Czuję to. Ten ptak był wolny, ale ja byłem zamknięty w swojej klatce nienawiści i strachu.

Poczułem jak moje palce zaciskają się wokół głowy ptaka i odrywają ją od ciała. „Nie boję się”.

Ptak pisnął słabo i żałośnie, po czym drgnął w chwili gdy rozstały się kręgi jego szyi. „Patrz, mam, nie boję się”.

Straciłem panowanie nad sobą. Zaczęłem zginać szyję ptaka to w jedną, to w drugą stronę, aż poczułem, że skóra i kości popękały i wtedy jednym szarpnięciem oderwałem głowę od ciała. Ciepła krew trysnęła mi na ręce i pociekła po kolanach na smołowany dach. Trzymałem okrwawioną głowę w ręce, patrzyłem na nią i wołałem:

– Już nie jesteś wolny. Nikt nie jest wolny.

Cisnąłem głowę ptaka daleko od siebie i z całej siły rzuciłem ciągle jeszcze drgającym ciałem o dach. Nareszcie ten przeklęty ptak jest martwy, nie będzie mnie już nawiedzał we śnie.

Siedziałem na dachu to zasypiając, to budząc się. Ilekroć zasnąłem, znowu pojawiały się koszmary, jeszcze straszniejsze niż kiedykolwiek dotąd. O świcie wróciłem do swojego pokoju. Izraela już nie było.

Szukałem go prawie cały dzień. Wreszcie znalazłem siedzącego samotnie w piwnicy, w której urządzaliśmy imprezy. Wszyscy inni pojechali na Coney Island.

- Hej, chłopie, przepraszam za tę noc – zacząłem.
 - Nie przejmuj się tym – powiedział Izrael z uśmiechem.
 - Nie, stary, przykro mi. To do mnie niepodobne. Coś ze mną nie w porządku.
- Izrael wstał i udał, że wali mnie pięścią, w szczękę.
- Oczywiście, stary. Jesteś całkiem jak ja: kopnięty.

Resztę dnia spędziliśmy razem. Po raz pierwszy od trzech lat nie pojechałem Czwartego Lipca na Coney Island. W drugim tygodniu lipca 1958 Izrael przyszedł do mnie i powiedział, że Wilkerson organizuje wielkie zgromadzenie w St. Nicholas. Był tu, rozmawiał z Izraelem i zaprosił Mau Mau. Miał być specjalny autobus sprzed szkoły nr 67 i mieli zarezerwować dla nas specjalne miejsca na przedzie widowni. Izrael obiecał Wilkersonowi, że Mau Mau przyjdą.

Pokręciłem głową i wstałem ze schodków, żeby wrócić do domu. Nie chciałem mieć z tym nic wspólnego. Znowu zaczął we mnie falować strach i chwycił mnie za gardło tak mocno, że ledwo mogłem mówić.

- Hej, chłopie – zawołał Izrael, kiedy się odwracałem – chyba nie jesteś tchórzem?
- Trafił w moje słabe miejsce, w szczelinę w mojej zbroi. Odwróciłem się do niego.
- Nicky nie boi się nikogo... tego chudego pastora... ciebie... ani nawet Boga.
- A Izrael tylko stał z uśmiechem na tej swojej przystojnej twarzy.
- Wygląda mi na to, że się boisz albo coś takiego. Inaczej czemu byś nie miał iść?

Pamiętałem Furę i Dylizansa klęczących tam na chodniku przed szkołą. Wiedziałem, że jeśli mogło się to przydarzyć im... Znałem tylko jeden sposób: uciekać, bez przerwy uciekać. Ale ucieczka teraz, po tym jak Izrael rzucił mi wyzwanie, sprawiłaby wrażenie, że się boję. Naprawdę się boję.

- O której ma być ten autobus? – spytałem.
- O siódmej wieczorem – odpowiedział Izrael. – Spotkanie zaczyna się o dziewiętnastej trzydzieści. Przyjdiesz?

– Jasne, stary! Myślisz, że jestem tchórz albo co? Zbierzmy cały gang, jedźmy tam i rozwalmy tę budę.

Izrael kiwnął głową i odszedł kołysząc biodrami i tańcząc. Odwróciłem się i poszedłem na górę do swojego pokoju, dwa piętra wyżej. Czułem się chory.

Zamknąłem drzwi na klucz i rzuciłem się na łóżko. Sięgnąłem po marihuanowego skręta. A nuż mi to pomoże? Ale skrętów już nie było, więc zapaliłem zwykłego papierosa.

Myśli mknęły mi przez głowę jak woda przez otwartą bramę śluzy. Byłem przerażony. Papieros drżał mi w ręce. Popiół spadł mi na koszulę i stoczył się na brudną pościel. Bałem się wsiąść do tego autobusu. Najchętniej w ogóle nie opuszczałbym własnego rejonu. Myśl o konieczności wyjechania poza mały kawałek znajomego terenu napełniała moje serce przerażeniem. Bałem się, że jeśli znajdę się w tłumie, wtopię się weń, stanę się nikim. Wiedziałem, że kiedy znajdę się w hali, będę musiał coś zrobić, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Ale przede wszystkim bałem się tego, co widziałem wtedy tam, na ulicy. Bałem się, że ktoś lub coś większego i potężniejszego niż ja rzuci mnie na kolana wobec wszystkich i że będę płakał. Rozpaczliwie bałem się łez. Łzy były główną oznaką słabości, porażki, miękkości i dziecinnego charakteru. Nie płakałem od ósmego roku życia. Coś zmusiło do płaczu Izraela, ale nie mnie – nigdy.

Tak, jeśli nie pójdę, zostanę przez Izraela i resztę gangu napiętnowany jako tchórz. Nie mam wyboru.

Gorąco było tego lipcowego wieczora, kiedy wsiadaliśmy do autobusu. W środku było kilku mężczyzn w garniturach i w krawatach, którzy mieli pilnować porządku. Ale równie dobrze mogliby zostać w domu. Hałas w autobusie był ogłuszający.

Z moją paczką od razu poczułem się lepiej. To samotność w moim pokoju działała na mnie tak przygnębiająco. W autobusie było zupełnie inaczej. Wpakowało się do niego ponad pięćdziesięciu Mau Mau. Znękani mężczyźni w garniturach próbowali zaprowadzić jakiś porządek, ale w końcu machnęli ręką i pozwolili nam robić, co chcemy. Chłopcy rozpychali się, przeklinali na cały głos, otwierali okna, palili, pili wino i szarpali za sznur od dzwonka, wołając do kierowcy, żeby ruszał.

Kiedy zajechaliśmy przed halę, otwarliśmy zapasowe drzwi, a kilku nawet wylazło przez okna. Przed halą stało kilkanaście nastolatów w obcisłych szortach, z wielkimi dekolami. W wieczornej ciszy rozlegały się okrzyki w rodzaju: „Hej, dzidzia, zabawimy się?“, czy „Chodź ze mną, mała, idziemy na niezły ubaw“. Kilka dziewcząt dołączyło do nas i wmaszerowaliśmy do środka.

Razem z Izraelem wprowadziliśmy nasz pochód na widownię. Przy wewnętrznych drzwiach usiłował nas zatrzymać bileter. Zobaczyliśmy, że ludzie na sali zaczęli się odwracać i przyglądać jak szturmujemy foyer.

– Hej, człowieku, wpuść nas – powiedział Izrael – to my, Mau Mau. Sam pastor mnie zaprosił. Mamy zarezerwowane miejsca.

Z przodu sali zobaczył nas jeden z Kapelanów; wstał i krzyknął:

– Hej, Nicky, stary, chodźcie tu, te miejsca są dla was!

Przepchnąwszy się koło zdumionego i bezradnego biletera wpadliśmy na widownię.

Byliśmy ubrani w uniformy naszego gangu. Żaden z nas nie zdjął czarnego kapelusza. Przemaszerowaliśmy przejściem, głośno stukając laskami, gwizdząc i pokrzykując.

Rozejrzałem się i zobaczyłem członków wrogich gangów. Byli tu Biskupi, GGI, a także niektórzy z Widmowych Władców z Bedford Avenue Park. Widownia była prawie pełna i zapowiadała się rozróbą na całego. Zaczynało wyglądać na to, że może tu być całkiem niezłe.

Wrzawa była ogłuszająca. Zajęliśmy nasze miejsca i dołączyliśmy się do hałasów, gwizdząc, krzycząc i stukając laskami o podłogę.

Z boku jakaś dziewczyna zaczęła grać na organkach. Jakiś młody portorykański chłopak wstał, przycisnął ręce do piersi, odrzucił w tył głowę i zawołał:

– O Jeeezu! Zbaw moją wielką czarną duszę! – i opadł na krzesło wśród wrzasków i salw śmiechu gangów.

Koło organów stanęło kilkanaścioro chłopaków i dziewczyn i zaczęły robić „rybę”. Dziewczęta kręciły biodrami w rytmie dwa razy szybszym od tempa muzyki, a chłopcy krążyli wokół nich wyginając się w tańcu. Ich występy zostały nagrodzone oklaskami i okrzykami uznania. Organizatorzy już niemal nie panowali nad sytuacją.

Nagle na scenie pojawiła się jakaś dziewczyna. Podeszła do przodu, stanęła przed mikrofonem i trzymając ręce splecione przed sobą, czekała, aż ucichnie hałas. Ale hałas wzmógł się jeszcze bardziej. Ktoś krzyknął:

– Hej, mała, pokręć się trochę! A może byśmy się umówili, kochanie?

Jakiś chudzielec, którego nigdy dotąd nie widziałem, wstał, zamknął oczy, wyciągnął ręce i powiedział głosem Ala Jolsena:

– Maaamo!

Oklaski i gwizdy tłumu stały się jeszcze głośniejsze.

Dziewczyna na scenie zaczęła śpiewać. Nawet z naszych dobrych miejsc w trzecim rzędzie nie było jej w tym hałasie słychać. W czasie jej występu część dziewcząt i chłopców weszła na krzesła i zaczęła wirować w tańcu. Dziewczęta w swoich krótkich szortach i skąpych

bluzkach, a chłopcy w czarnych kurtkach Mau Mau, w spiczastych butach i kapeluszach ozdobionych zapawkami, a z przodu srebrnymi gwiazdami.

Dziewczyna skończyła śpiewać i nerwowo zerknęła za kulisy. Zaczęliśmy klaskać, krzyzczeć i domagać się drugiej piosenki. Ona jednak zeszła ze sceny i nagle pojawił się chudy pastor.

Nie widziałem go od czasu naszej utarczki przed kilkoma tygodniami. Serce uderzyło mi silniej i znowu przepełnił mnie strach. Przypominało to ciemną, posępną ogarniającą mnie całego chmurę. Izrael zerwał się.

– Hej, Davie! Tu jestem. Widzisz, powiedziałem ci, że przyjdę. I patrz, kto tu jest – dodał pokazując na mnie.

Musiałem coś zrobić, żeby nie zwariować ze strachu. Skoczyłem na równe nogi i krzyknąłem:

– Hej, pastarze... czego chcesz... nawrócić nas czy co?

Mau Mau wybuchnęli śmiechem i usiadłem poczuwszy się lepiej. Ciągłe jeszcze uznawali moje przywództwo. Pomimo tego, że byłem sparaliżowany strachem i przekazałem prezesurę Izraelowi. Wciąż jeszcze jestem ich liderem i wciąż jeszcze śmieją się z moich dowcipów. Znowu panowałem nad sytuacją.

Wilkerson zaczął mówić:

– To jest ostatni wieczór naszej, obejmującej całe miasto, krucjaty. Dziś zrobimy coś innego niż zwykle. Poproszę moich przyjaciół Mau Mau o zebranie datków.

Rozpętało się istne piekło. Członkowie gangów na sali dobrze nas znali. Poproszenie Mau Mau o zebranie datków było jak wynajęcie Kuby Rozpruwacza do pilnowania dzieci. Widownia zaczęła się śmiać i wrzeszczeć.

Ale ja w jednej chwili zerwałem się na nogi. Czekałem na okazję, żeby się popisać, żeby w jakiś efektowny sposób zwrócić na siebie uwagę. To było właśnie to. Nie mieściło mi się w głowie, że pastor mógł poprosić nas, ale jeśli chce, żebyśmy to zrobili, nie będziemy się wzbraniać.

Wskazałem jeszcze pięciu, w tym Izraela.

– Ty, ty, ty... idziemy.

Nasza szóstka wyszła przed rzędy krzeseł i ustawiła się szeregiem, twarzą do sceny. Za naszymi plecami zapadła cisza. Martwa cisza.

Wilkerson pochylił się i wręczył każdemu z nas duży karton po lodach.

– A teraz – powiedział – ustawcie się w szeregu, tu przed estradą. Organy zaczną grać, a ja poproszę ludzi, żeby tu podchodzili i składali ofiary. Potem przejdziecie za zasłonę i na górę, na scenę. Ja tu zaczekam, aż mi je przyniesiecie.

To było zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Nikt nie miał wątpliwości, co zrobimy. Każdy, kto nie wykorzystałby takiej sytuacji, byłby głupcem.

Datków zebrało się dużo. Przejścia były pełne podchodzących do przodu ludzi. Wielu dorosłych wrzucało do pudeł grube banknoty, inni dawali czeki. Skoro już mieliśmy zbierać te datki, zdecydowany byłem postarać się o to, żeby były one okazałe. Niektórzy członkowie gangów podchodzili tanecznym krokiem i albo udawali, że wrzucają pieniądze, albo próbowali coś z pudeł wyjąć. Kiedy zdarzało się coś takiego, wsuwałem rękę do kieszeni, jakbym sięgał po nóż i mówiłem:

– Hej, chwileczkę, stary. Zapomniałeś tu coś wrzucić.

Wtedy próbowali się śmiać, ale zaraz poznawali, że nie żartuję:

– Człowieku, pastor powiedział, żeby dawać... dasz czy mam powiedzieć swoim chłopakom, żeby ci to wykroili?

Prawie każdy dawał jakiś datek.

Kiedy już wszyscy wrócili, kiwnąłem głową i wyszliśmy z prawej strony widowni przez wiszące przy ścianie zasłony. Wprost nad naszymi głowami wielkie czerwone litery głosiły WYJŚCIE. Wszyscy widzieli ten napis i gdy zniknęliśmy za zasłoną, sala zaczęła się śmiać.

Z początku śmiech był cichy – tylko pojedyncze chichoty. Potem usłyszeliśmy jak się wzmagają, aż w końcu cała widownia zatrzęsała się od salw śmiechu z biednego pastora, którego wykiwali Mau Mau.

Staliśmy za kurtyną. Chłopcy patrzyli na mnie, czekając, żebym im powiedział, co mają robić. Umieliśmy porozumiewać się wzrokiem. Czekali na sygnał, na spojrzenie w kierunku wyjścia mówiące: „Wiejemy. Bierzymy tę forszę i dajemy stąd nogę”.

Ale coś w środku ciągnęło mnie w kierunku przeciwnym. Pastor mnie wybrał i okazał mi zaufanie. Mogłem zrobić to, czego się spodziewał po mnie tłum, albo postąpić tak, żeby nie zawieść zaufania, które pokładał we mnie pastor. Zaufanie pastora rozpało w mojej duszy jakąś iskrę. Zamiast wskazać wzrokiem na drzwi, pokręciłem głową: „nie”.

– Chodźcie – powiedziałem. – Zaniesiemy to temu chudemu pastorowi.

Chłopcy nie wierzyli własnym uszom, ale musieli zrobić to, co im kazałem. Gdy ruszyliśmy schodami na estradę, za mną szło dwóch chłopaków. Jeden z nich sięgnął do kartonu, wziął dwudziestodolarowy banknot i wsadził go do kieszeni kurtki.

– Hej, ty, co robisz, do diabła!?! Oddaj te pieniądze. One są pastora.

Chłopcy odwrócili się i popatrzyli na mnie z niedowierzaniem. – Nicky, nie gorączkuj się tak. Popatrz na tę całą forszę. Nikt się nie połapie. Nie wygłupiaj się, jest tego taka kupa, że wystarczy dla nas wszystkich i dla niego.

Sięgnąłem do kieszeni i błyskawicznym ruchem wyciągnąłem nóż. Otwarłem go z trzaskiem i powiedziałem:

– Człowieku, tutaj będzie twój cmentarz, jak nie położysz tego z powrotem.

Nie dyskutował ze mną dłużej, tylko pokornie wrzucił zmięty banknot do pudła.

– Czekaj, jeszcze nie koniec. – powiedziałem. – Ile masz w kieszeni forsy, spryciarzu?

– No, Nicky, daj spokój – zająknął się. – To moja forsa. Matka mi ją dała, żebym sobie kupił portki.

– Ile masz? – spytałem znowu, przykładając lśniące ostrze do jego grdyki.

Chłopak poczerwieniał, sięgnął do kieszeni i wyjął dwie dziesięciodolarówki i jedną pięciodolarówkę.

– Do pudła – powiedziałem.

– Człowieku, zwariowałaś czy co, moja stara żywcem obedrze mnie ze skóry jak to stracę.

– Chłopak prawie krzyczał.

– Wiesz, co ci powiem, spryciarzu? Jak nie wrzucisz, to obedrę cię ze skóry tu, na miejscu. Do pudła!

Chłopak popatrzył na mnie z niedowierzaniem. Nóż upewnił go, że nie żartuję. Zmiał banknoty i wrzucił je do pudła.

– A teraz idziemy – powiedziałem.

Gęsiego weszliśmy na estradę.

Wielu chłopaków zaczęło głośno wyrażać swój zawód. Już myśleli, że wystrychnęliśmy pastora na dudka, i teraz żalowali, że jednak nie zwialiśmy przez te drzwi, tak jak oni by to zrobili. Ale świadomość, że postąpiłem słusznie, uczciwie, obudziła we mnie ciepłe, przyjemne uczucie. Po raz pierwszy w życiu uczyniłem dobrze, bo chciałem uczynić dobrze. Było to bardzo przyjemne uczucie.

– Proszę, pastorze – powiedziałem. – To jest pana.

Czułem się nieswojo stojąc tak przed całą widownią. Ale gdy wręczyłem pastorowi pieniądze, w sali znowu zapadła cisza.

Wilkerson wziął od nas kartony i popatrzył mi prosto w oczy.

– Dziękuję, Nicky. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

Odwróciliśmy się i odmaszerowaliśmy na swoje miejsca. W sali było cicho jak makiem zasiał.

Wilkerson rozpoczął kazanie.

Mówił jakieś piętnaście minut. Wszyscy byli cicho, ale ja nie słyszałem ani słowa. Myślałem ciągle o tym ciepłym uczuciu, jakie mnie ogarnęło, gdy wręczałem mu te pieniądze. Wyrzucałem sobie w myślach, że nie umknąłem z łupem. Ale coś się we mnie zrodziło i czułem jak rośnie. Było to poczucie dobra, szlachetności, sprawiedliwości. Uczucie, którego nie doświadczyłem nigdy dotąd.

Z rozmyślań wyrwał mnie hałas z tyłu. Wilkerson doszedł w swym kazaniu do punktu, w którym mówił nam, że powinniśmy się wzajemnie kochać. Mówił, że Portorykańczycy powinni kochać Włochów, Włosi powinni kochać Murzynów, Murzyni powinni kochać białych i że wszyscy powinniśmy się wzajemnie kochać.

Za mną wstał Augie.

– Hej, pastarze, chyba jesteś kopnięty albo co? Chcesz, żebym kochał tych cholernych Włochów? Chyba zwariowałaś! Patrz tutaj – i podciągnąwszy koszulę wskazał na wielką purpurową szramę, którą miał na boku. – Dwa miesiące temu jeden z tych parszywych makaroniarzy wsadził mi kulę. Myślisz, że potrafię o tym zapomnieć? Zabiję tego sukinsyna, jak tylko go znowu zobaczę.

We włoskim sektorze jakiś chłopak poderwał się na równe nogi i jednym szarpnięciem rozerwał na sobie koszulę.

– Tak, widzisz to? – wskazał poszarpaną bliznę biegnącą wokół ramienia i w dół przez pierś. – Jeden czarnuch zajechał mnie brzytwą. Już ja ich wszystkich pokocham – ołowianą rurką.

Kolorowy chłopak z tyłu wstał i zawołał jadownicie:

– Hej, makaroniarzu, chcesz spróbować od razu?

Sala nagle napełniła się nienawiścią. Kolorowy chłopak od Kapelanów zerwał się przewracając krzesło i próbował wydostać się ze swojego rzędu w kierunku sektora Widmowych Władców. Bójka wisiała w powietrzu.

Fotoreporter jakiejś gazety pobiegł przejściem między krzesłami na przód widowni, odwrócił się i zaczął robić zdjęcia.

Izrael rzucił do niego trzech chłopaków ze skraju rzędu:

– Bierzcie go!

Chłopcy skoczyli i zaczęli się nim szamotać. Jednemu z nich udało się złapać aparat fotograficzny i rzucić go na podłogę. Gdy fotoreporter po niego sięgnął, jakiś chłopak z drugiej strony przejścia kopnął aparat po podłodze do przodu sali. Fotograf na czworakach pobiegł za aparatem. Już nieomal go dosięgał, gdy inny chłopak wykopnął mu go spod ręki w stronę ściany. Reporter podniósł się i pobiegł za aparatem, ale zanim zdążył się do niego zbliżyć, kolejny chłopak z całej siły kopnął aparat, który pojechał po wykładanej płytkami podłodze i trzasnął o betonową ścianę, popękany i bezużyteczny.

Wszyscy byliśmy na nogach. Atmosfera w sali naładowana była nienawiścią. Rozejrzałem się, szukając drogi do przejścia między sektorami. Zaczynała się awantura na całego.

Nagle coś zmusiło mnie do spojrzenia na Wilkersona. Stał spokojnie na estradzie, ze schyloną głową i dłońmi ciasno splecionymi pod brodą. Widać było, jak zbieleły mu kostki zaciśniętych palców. Poruszał wargami. Modlił się.

Coś mnie ścisnęło za serce. Zatrzymałem się. Dokoła trwał harmider, ale ja stałem i myślałem. Oto ten chudy człowiek stoi nieulętkły wśród grożącego mu niebezpieczeństwa. Skąd bierze swoją siłę? Dlaczego nie boi się tak jak my wszyscy? Poczulem wstyd i zażenowanie. Poczulem się winny.

O Bogu wiedziałem tylko tyle, ile mogłem się dowiedzieć obserwując tego człowieka. Pomyślałem o jednym jeszcze zetknięciu z Bogiem. Gdy byłem dzieckiem, rodzice wzięli

mnie do kościoła. Było tam pełno ludzi. Ksiądz coś mamrotał, a ludzie odpowiadali mu śpiewem. Była to okropna godzina. Wynudziłem się śmiertelnie i więcej tam nie poszedłem.

Osunąłem się na krzesło. Dokoła mnie wrzało. Izrael stał i patrząc na rzędy za nami krzyczał:

– Hej, spokój, posłuchajmy, co ma do powiedzenia pastor!

Mau Mau usiedli. Izrael dalej apelował o spokój. Hałas ucichł. Jak wynurzająca się z morza mgła, spokój rozprzestrzenił się na tylne rzędy, a stamtąd na balkony. I znowu nad halą zawisła martwa cisza.

Coś się ze mną działo. Przed oczyma zaczęły mi się przesuwać obrazy z przeszłości. Dzieciństwo. Nienawiść do matki. Pierwszy dzień w Nowym Jorku, gdy biegałem jak dzikie zwierzę wypuszczone z klatki. To było tak, jakbym siedział w kinie, w którym idzie film o moich postępach. Widziałem bójkę na noże... rany... nienawiść. To nieomal przekraczało moją wytrzymałość. Zupełnie nie docierało do mnie to, co się działo wokół mnie. Widziałem tylko własne wspomnienia. I im więcej mi się przypominało, tym bardziej rosło uczucie winy i wstyd. Bałem się otworzyć oczy ze strachu, że ktoś może w nie zajrzeć i zobaczyć to, co ja widzę. To było odpychające.

Wilkerson znów zaczął mówić. Mówił o odwróceniu się od swoich grzechów. Byłem w mocy potęgi milion razy silniejszej niż jakikolwiek narkotyk. Nie panowałem nad swoimi ruchami, czynami, słowami. Było to tak, jakbym został porwany przez jakiś rozszalały nurt. Nie miałem siły się temu opierać. Nie rozumiałem, co się we mnie dzieje. Wiedziałem tylko, że zniknął gdzieś strach.

Usłyszałem jak siedzący koło mnie Izrael wyciera nos. Za sobą słyszałem płaczących ludzi. Coś niesło się przez tę ogromną halę niczym wiatr poruszający wierzchołkami drzew. Nawet zasłony z boku sali zaczęły się ruszać i szeleścić, jakby pod wpływem tajemniczego oddechu.

Wilkerson znów mówił:

– On tu jest! On jest tu, w tej hali. Przybył specjalnie dla was. Jeśli chcecie, by wasze życie się odmieniło, teraz jest właściwy moment.

Po czym zawołał z mocą:

– Powstańcie, wszyscy, którzy chcecie przyjąć Jezusa Chrystusa i zmienić się – powstańcie! Wystąpcie naprzód!

Izrael wstał.

Zerwałem się. Odwróciłem się do gangu i kiwnąłem na nich.

– Chodźmy.

Chłopcy spontanicznie ruszyli ze swych miejsc do przodu. Poszło z nami ponad dwudziestu pięciu Mau Mau. Za naszym przykładem poszło ponad trzydziestu chłopaków z innych gangów.

Staliśmy przed estradą patrząc na Wilkersona. Pastor przerwał nabożeństwo i powiedział, żebyśmy przeszli z nim do pomieszczeń na zapleczu.

Izrael szedł przede mną ze spuszczoną głową, ocierając oczy chusteczką. Przeszliśmy przez drzwi i znaleźliśmy się na korytarzu prowadzącym do pomieszczeń szatni.

Stało tu kilkoro członków gangu i śmiało się.

– Hej, Nicky, co jest, stary, nawróciłeś się?

Popatrzyłem w ich kierunku. Jedna z dziewcząt wystąpiła i stanęła przed nami. Podciągnęła stanik i pokazała nam gołe piersi.

– Idźcie tam, idźcie, ale z tym się pożegnajcie.

Teraz wiem, że dziewczęta były zazdrosne. Czuły, że będą dzielić z Bogiem naszą miłość, a chciały ją mieć całą dla siebie. Tyle tylko rozumiały z miłości. Tyle i ja rozumiałem z miłości. Ale w tej chwili było mi wszystko jedno. Odsunąłem dziewczynę na bok, splunąłem na podłogę i powiedziałem:

– Niedobrze mi się robi, jak na ciebie patrzę.

Nie obchodziło mnie teraz nic prócz tego, że chcę być wyznawcą Jezusa Chrystusa – kimkolwiek by On był.

Jakiś człowiek mówił nam o chrześcijańskim życiu. Potem przyszedł Wilkerson i powiedział:

– Dobra, chłopaki, klękajcie na podłodze, tam gdzie każdy stoi.

Pomyślałem sobie, że pastor zwariował. Nigdy jeszcze przed nikim nie ukląłem. Ale jakaś niewidzialna siła popchnęła mnie w dół. Poczułem, że uginają mi się kolana. Nie mogłem ustać na nogach. Było to tak, jakby jakaś gigantyczna ręka pchała mnie w dół, aż moje kolana uderzyły o podłogę.

Dotknięcie twardej podłogi przywróciło mi poczucie rzeczywistości. Było lato, czas walk. Otworzyłem oczy i w myśli zapytałem samego siebie: „Co ty tutaj robisz?”. Koło mnie był Izrael. Płakał na głos. W tym całym napięciu roześmiałem się cicho.

– Hej, Izrael, nie nabierzesz mnie tym płaczem.

Izrael spojrział na mnie i uśmiechnął się przez łzy. I gdy patrzyliśmy na siebie, poczułem coś dziwnego. Uczułem jak łzy napełniają mi oczy i nagle, przelawszy się przez powieki, zaczynają płynąć po policzkach. Płakałem. Po raz pierwszy od dnia, w którym wyplakiwałem swoją krzywdę pod domem w Puerto Rico, płakałem.

Klęczeliśmy z Izraelem obok siebie i łzy lały się nam po twarzach strumieniami, a jednak równocześnie śmialiśmy się. Było to bardzo osobliwe uczucie.

Łzy i śmiech. Byłem szczęśliwy, a jednak płakałem. Zachodziło w moim życiu coś, nad czym absolutnie nie panowałem... i byłem z tego powodu szczęśliwy.

Nagle poczułem na głowie dłoń Wilkersona. Modlił się – modlił się za mnie. Łzy polały mi się z oczu jeszcze obficie. Skłoniłem głowę i w duszy mojej wymieszały się wstyd, skrucha i cudowna radość zbawienia.

– Dalej Nicky – powiedział Wilkerson – dalej, płacz. Wypłacz to przed Bogiem. Wołaj do Niego.

Otworzyłem usta, ale słowa, które się z nich wydobyły, nie były moimi słowami.

– O Boże, jeśli mnie kochasz, wejdź w moją duszę. Jestem zmęczony ucieczką. Wejdź w moją duszę i odmień mnie. Proszę Cię, odmień mnie.

To było wszystko. Ale ja poczułem się porwany z ziemi i uniesiony ku niebu. Marihuana! Seks! Krew! Wszystkie sadystyczne, niemoralne podniety całego życia, spotęgowane milion razy nie mogły równać się z tym, co czułem teraz. Dosłownie pogrążyłem się w miłości.

Gdy nieco ochłonęliśmy, Wilkerson przytoczył nam słowa Pisma Świętego: „*Dlatego jeśli ktoś pozostaje w Chrystusie, jest nowym stworzeniem. To, co dawne, przeminęło, a nastąpiło nowe*”⁹.

To miało sens. Po raz pierwszy w moim życiu miało to sens. Stałem się kimś nowym. Byłem Nickym, a równocześnie nie byłem Nickym. Było to tak, jakbym ja, żyjący w stary sposób, umarł, a jednocześnie żył w nowy sposób.

Szczęście. Radość. Zadowolenie. Ulga. Wolność. Cudowna, cudowna wolność.

Przestałem uciekać. Zniknął cały mój strach. Zniknęły moje trwogi. Zniknęła moja nienawiść. Kochałem Boga... Jezusa Chrystusa... i wszystkich, którzy mnie otaczali. Kochałem nawet siebie. Nienawiść, którą do siebie czułem, zmieniła się w miłość. Nagle zdałem sobie sprawę, że przyczyną, dla której traktowałem siebie samego tak okropnie, było to, że nie kochałem siebie naprawdę tak, jak Bóg chciał, żebym kochał.

Padliśmy sobie z Izraelem w objęcia. Spływającymi po twarzach łzami moczyliśmy sobie wzajemnie koszule. Kochałem go. Był moim bratem.

⁹ Drugi list św. Pawła do Koryntian 5,17.

Wilkerson wyszedł na chwilę, ale znów wrócił. Jego również kochałem. Tego chudego uśmiechniętego pastora, którego oplułem jeszcze kilka tygodni temu – kochałem go. Wilkerson powiedział:

– Nicky, Izrael, chciałbym wam dać Biblię. Mam też Biblię dla Mau Mau. Chodźcie ze mną, to wam je dam.

Poszliśmy za nim do drugiego pokoju. Tam, w pudłach leżały czarne książki. Pastor schylił się, wziął kieszonkowe wydanie Nowego Testamentu i podał je nam.

– Hej, Davie – spytałem – a te wielkie książki? Moglibyśmy dostać te duże? Chcemy, żeby wszyscy wiedzieli, że jesteśmy teraz chrześcijanami.

Wilkerson wyglądał na zaskoczonego. Te „wielkie książki” były rzeczywiście wielkie. To było wydanie Pisma Świętego w dużym formacie. Ale chłopcy chcieli je mieć i pastor chętnie nam je dał.

– Człowieku – powiedział Izrael uśmiechając się do mnie – i co powiesz? Dziesięciokilogramowa Biblia!

Rzeczywiście chyba tyle ważyła. Ale jej ciężar był mały w porównaniu z ciężarem, jaki tego wieczora zniknął z mojego serca, gdy moją duszę, oczyszczoną z grzechu, napęłniła miłość.

Późnym wieczorem wstępowałem na schody swojego domu jako zupełnie inny człowiek. Było kilka minut po jedenastej wieczorem – wcześniej jak na mnie – ale spieszo mi było znaleźć się w swoim pokoju. Nie musiałem już uciekać. Ulice już mnie nie ciągnęły. Nie potrzebowałem ciągłych dowodów na to, że inni uznają we mnie przywódcę gangu. Nie bałem się już nocy.

Podszedłem do szafy, zdjąłem kurtkę Mau Mau, buty i włożyłem je do torby. „Nie będę ich już potrzebował” – pomyślałem. Sięgnąłem na półkę i wziąłem rewolwer. Z przyzwyczajenia zacząłem wkładać nabój do magazynka, żeby na noc położyć broń na stoliku koło łóżka. Ale nagle sobie przypomniałem: Jezus mnie kocha. On mnie obroni. Wyjąłem naboje, umieściłem je z powrotem w pudełku i odłożyłem rewolwer na półkę. Rano odniosę go na policję.

Podszedłem do lustra. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Moja twarz rozjaśniona była światłem, którego nigdy dotąd nie widziałem. Uśmiechnąłem się do siebie:

– Hej, Nicky, patrz jaki jesteś przystojny. Szkoda, że musisz zrezygnować z tych wszystkich dziewczyn teraz, kiedy jesteś taki przystojny.

Roześmiałem się z tego. Ale byłem szczęśliwy. Brzemień strachu zniknęło. Mogłem się śmiać.

Ukląknąłem koło łóżka i odrzuciłem w tył głowę.

– Jezu...

I nic więcej.

– Jezu...

Aż wreszcie pojawiły się te słowa:

– Dziękuję Ci, Jezu... dziękuję.

Tej nocy po raz pierwszy, odkąd pamiętam, przyłożyłem głowę do poduszki i przespałem dziewięć wspaniałych godzin. Nie przewracałem się bezsennie z boku na bok. Nie bałem się dźwięków dobiegających spoza mojego pokoju. Nocne koszmary zniknęły.

Nicky Cruz opowiada

Rozdział 11

Wyjście z dżungli

Następnego dnia rano wyszedłem z domu i pobiegłem do chłopaków, którzy wczoraj w hali wystąpili naprzód. Powiedziałem im, żeby wzięli pistolety, naboje i przyszli do Parku Waszyngtona. Mieliśmy iść na komisariat.

Potem wróciłem do siebie, wsadziłem za pas rewolwer, wziąłem swoją wielką Biblię i poszedłem do parku na spotkanie z chłopakami.

Idąc przez Ft. Greene Place natknąłem się na starą Włoszkę, którą widywałem już poprzednio. Dawniej, widząc mnie, przechodziła na drugą stronę ulicy. Tym razem zbliżając się do niej podniosłem swoją wielką czarną księgę z wypisanym na okładce złotymi literami tytułem: Pismo Święte.

Wytrzeszczyła oczy na Biblię i spytała:

– Gdzieś ukradł Biblię?

Uśmiechnąłem się.

– Nie ukradłem. Jeden pastor mi ją dał.

Pokręciła głową.

– Nie wiesz, że nie wolno żartować z takich rzeczy? Bóg cię za to skarże.

– Nie kłamie. I Bóg mnie nie skarże, bo mi wybaczył. Idę teraz na komisariat oddać rewolwer.

Podciągnąłem koszulę, żeby zobaczyła wystający zza paska rewolwer.

Kobieta powoli, z niedowierzaniem wodziła wzrokiem od rewolweru do Biblii i z powrotem. W końcu jej twarz rozjaśniła się uśmiechem. Wyrzuciła ręce w górę i zawołała:

– Alleluja!

Uśmiechnąłem się i pobiegłem do Parku Waszyngtona.

Było tam około dwudziestu pięciu Mau Mau. Izrael ich ustawił i pomaszerowaliśmy ulicą St. Edward do osiedlowego posterunku policji na rogu Auburn Street.

Nie przyszło nam do głowy, co o naszym pochodzie mogą pomyśleć policjanci: dwudziestu pięciu członków najgroźniejszego w Brooklynie gangu maszeruje środkiem ulicy, niosąc cały arsenał broni i amunicji. Później wielokrotnie dziękowałem Bogu, że policjanci zobaczyli nas dopiero wtedy, gdy byliśmy już we drzwiach komisariatu. Jeśliby nas zobaczyli trochę wcześniej, zabarykadowaliby się i pewnie wystrzelaliby nas na ulicy.

Gdyśmy weszli, dyżurny sierżant skoczył na równe nogi i sięgnął po rewolwer.

– Co się tu dzieje, czego chcecie, chłopaki?

– Hej, spokojnie, człowieku – powiedział Izrael. – Nie przyszliśmy tu robić kłopot. Przyszliśmy oddać nasze rewolwery.

– Co?! – krzyknął sierżant – Co się tu u diabła dzieje? – odwrócił się i krzyknął przez ramię: – Poruczniku, lepiej niech pan tu zaraz przyjdzie!

Porucznik stanął w drzwiach.

– Co te chłopaki tu robią? – spytał sierżanta. – O co chodzi?

– Wszyscy oddaliśmy serce Bogu, a teraz chcemy oddać policji rewolwery – oznajmił mu Izrael.

– Tak – wtrącił się jeden z chłopaków – może się wam przydadzą, żeby z nich strzelać do niegrzecznych chłopców.

Roześmialiśmy się wszyscy, a porucznik zwrócił się do sierżanta.

– Nie zgrywają się? Lepiej weźcie kilku ludzi i sprawdźcie na zewnątrz. Może to jakaś zasadzka czy co.

Podszedłem i wyciągnąłem w jego kierunku swoją Biblię.

– Hej, poruczniku, niech pan popatrzy. Pastor dał nam te Biblie wieczorem, po tym jak wszyscy oddaliśmy serce Chrystusowi. Nie będziemy więcej członkami gangu. Jesteśmy już chrześcijanami.

– Co za pastor? – spytał porucznik.

– Człowieku, no, Davie Wilkerson. Ten chudy pastor co tu łązi i rozmawia ze wszystkimi gangami. Mieliśmy wczoraj wielkie spotkanie w hali St. Nicholas i wszyscy nawróciliśmy się do Boga. Jak pan nie wierzy, niech pan zadzwoni do pastora.

Porucznik zwrócił się do sierżanta:

– Macie numer tego pastora?

– Tak jest, panie poruczniku. On mieszka u państwa Ortez.

– Zadzwońcie do niego i powiedzcie mu, żeby jak najszybciej tu przyjechał. Możemy mieć poważne kłopoty. Jak to on coś tu namieszał, zamknę go, zanim zdąży policzyć do trzech.

Sierżant wykręcił numer i oddał słuchawkę porucznikowi.

– Pastor Wilkerson? Lepiej niech pan zaraz przyjedzie. Mamy tu pełen pokój Mau Mau i nie wiem o co chodzi.

Po krótkiej pauzie porucznik odłożył słuchawkę.

– Już jedzie. Ale zanim tu będzie, oddajcie mi wszyscy pistolety.

– Pewnie, generale – powiedział Izrael. – Potośmy właśnie tu przyszli.

Potem odwrócił się do chłopaków i powiedział:

– Dobra chłopcy. Podejdźcie tu i połóżcie pistolety na stole. Naboje też zostawcie. Policjanci nie wierzyli własnym oczom. Przez ten czas nadeszło jeszcze czterech gliniarzy i wszyscy stali patrząc z niedowierzaniem na rosnącą stertę rewolwerów, domowej roboty pistoletów i strzelb.

Gdy skończyliśmy, porucznik pokręcił głową. Zwracając się do Izraela, powiedział:

– Dobra. A teraz może byście powiedzieli, co się tu naprawdę dzieje?

Izrael ponownie opowiedział, co się zdarzyło w hali St. Nicholas. Powiedział mu, że staliśmy się chrześcijanami, i że chcemy żyć całkiem inaczej. Potem spytał, czy porucznik mógłby mu zostawić na Biblii swój autograf.

Uznaliśmy to za doskonały pomysł i stłoczyliśmy się wokół gliniarzy, prosząc o autografy na swoich Bibliach.

W tym momencie wbiegł David. Spojrzał tylko na nas i podszedł prosto do porucznika. Porucznik poprosił, żeby do tego pokoju przyszli wszyscy policjanci.

– Pastora – powiedział – pragnę uścisnąć panu dłoń.

Wilkerson rozejrzał się podejrzliwie, ale wyciągnął rękę i porucznik mocno ją uścisnął.

– Jak pan tego dokonał? – spytał. – Ci chłopcy są z nami na wojennej stopie i od lat mamy z nimi same kłopoty. I nagle dziś rano wszyscy przychodzą tu i wie pan, czego chcą?

Wilkerson pokręcił głową.

– Chcą żebyśmy złożyli autografy na ich Bibliach! Wilkerson nie mógł wydobyć głosu. Wreszcie wyjął:

– O co poprosiliście policjantów?

Otworzyłem swoją Biblię i pokazałem mu autograf porucznika na pierwszej stronie.

– Dzięki Bogu! – powiedział David. – Widzi pan, poruczniku? Bóg działa w Fort Greene!

Wyszliśmy wszyscy z komisariatu, zostawiając porucznika kręcącego w zdumieniu głową nad stertą leżących na stole pistoletów.

– Otoczyliśmy Wilkersona. Izrael powiedział:

– Hej, Davie, prawie całą noc czytałem Biblię. Patrz, jest tu o mnie. Co kawałek jest tu moje imię. Widzisz? Izrael. To ja. Jestem sławny.

Kilka tygodni później pan Arce, pastor hiszpańskiego kościoła, nazywającego się Iglesia de Dios – Juan 3,16 (Kościół Boży – Jana 3,16), wstąpił do mojego mieszkania. Właśnie był u mnie Izrael. Spędziliśmy razem wiele czasu czytając Biblię, spacerując i modląc się na głos do Boga. Pastor Arce chciał, żebyśmy nazajutrz wieczorem przyszli do jego kościoła i opowiedzieli o tym, jak staliśmy się chrześcijanami. Miało to być środowe nabożeństwo wieczorne i pastor obiecał wpaść po nas po drodze.

To było moje pierwsze prawdziwe kościelne nabożeństwo. Śpiewaliśmy prawie godzinę. Byłem z Izraelem na podium, a kościół był wypełniony po brzegi. Pastor Arce wygłosił najpierw swoje kazanie, a potem zawołał mnie bym złożył świadectwo.

Gdy skończyłem mówić, usiadłem w pierwszym rzędzie i słuchałem Izraela.

Po raz pierwszy słyszałem go przemawiającego publicznie. Stał na ambonie i jego przystojna twarz jaśniała miłością Chrystusa. Swoim łagodnym głosem zaczął opowiadać o zdarzeniach, które doprowadziły do tej przemiany. Chociaż przez ostatnich kilka tygodni codziennie przebywaliśmy razem, dzisiaj dostrzegłem u niego głębię uczuć i ekspresję, których wcześniej nie potrafiłem dostrzec. Jego słowa przeniosły mnie do tego wieczoru w hali St. Nicholas, kiedy Izrael z takim zapałem zareagował na Ewangelię. Myślałem o moim nastawieniu do Daviego. Nienawidziłem go. Bóg wie jak ja go nienawidziłem. Jak mogłem tak się mylić? Davie chciał jedynie, by za jego pośrednictwem mógł mnie pokochać Bóg. A ja plułem na niego, przeklinałem go, chciałem go zabić.

Izrael wypowiedział nazwisko Davida i to sprowadziło mnie z powrotem na ziemię.

– Wciąż jeszcze badałem szczerłość Wilkersona – mówił Izrael, opisując swoje uczucia po tym pierwszym ulicznym spotkaniu, podczas którego usłyszał Daviego jak przemawia do młodzieży.

Pewnego dnia Wilkerson przyszedł do mnie i poprosił, żebym go zaprowadził do innych przywódców gangów. Chciał ich zaprosić na spotkania, które prowadził w hali St. Nicholas.

Zaczęliśmy chodzić razem po brooklyńskich ulicach i pokazałem mu Małego Jo-Jo, który był prezesem Smoków z Coney Island, jednego z największych gangów ulicznych w mieście. Pokazałem mu go tylko. Nie chciałem, żeby Mały Jo-Jo wiedział, że to ja powiedziałem Daviemu o nim, bo Smoki były wielkimi wrogami Mau Mau.

Powiedziałem Daviemu, że idę do domu. Kiedy podszedł do Małego Jo-Jo, schowałem się za schodkami jakiegoś domu, żeby ich podsłuchać. Jo-Jo zmierzył go wzrokiem z góry na dół, a potem splunął mu na buty. Nie można facetowi mocniej okazać swojej pogardy. Jo-Jo nie odezwał się słowem, tylko splunął Daviemu na buty. Potem odwrócił się i usiadł na schodach.

Jo-Jo nie miał domu. Prawdę mówiąc w ogóle miał niewiele. Kiedy było ciepło, spał w parku, a kiedy padał deszcz albo robiło się zimno, nocował w metrze. Jo-Jo był prawdziwym włóczęgą. Zwykle kradł sobie ubranie z tych skrzyń na dary dla ubogich i nosił je, dopóki nie rozpadło się w strzępy. Wtedy kradł następne.

Tego dnia miał na sobie stare rozdeptane trampki, z których wystawały mu palce, i jakieś stare wielkie spodnie, które wisały na nim tak, jakby były uszyte na jakiegoś grubasa.

Doszedłem do wniosku, że jeśli Wilkerson coś udaje, to wszystko się wyda, kiedy spotka się z Jo-Jo. Jo-Jo potrafi wyczuć takiego typu. Jeśli Wilkerson udaje, Jo-Jo dźgnie go swoim majchrem.

Jo-Jo popatrzył na Wilkersona i powiedział: „Spadaj bogaczu. Nie jesteś stąd. Przyjechałeś do Nowego Jorku i dużo gadasz o Bogu zmieniającym ludzi. Masz nowe błyszczące buty i

nowe spodnie, a my nie mamy nic. Moja stara wykopała mnie, bo w naszej dziurze jest dziesięcioro dzieci, a nie ma pieniędzy. Człowieku, znam się na takich jak ty. Przychodzisz tu na wycieczki dobroczynne, jak te bogate typy, co jeżdżą autobusem po Bowery. Lepiej zjeżdżaj, zanim ktoś przedziurawi ci bandzioch”

Widziałem, że coś złapało Daviego za serce. Może wiedział, że Jo-Jo mówi prawdę. Potem opowiadał mi, że przypomniał sobie wtedy jedną rzecz o takim jednym generale, co się nazywał Booth. Ten generał powiedział: „Nie da się pokrzepić ludzkich serc miłością Boga, gdy ich stopy kostnieją z zimna”. Może nie przytaczam tego ściśle, ale w każdym razie David powiedział, że to właśnie przemknęło mu przez myśl. I wiecie, co zrobił? Tak jak stał, usiadł na tych schodach, zdjął buty i wręczył je Jo-Jo.

Mały Jo-Jo tylko popatrzył na Daviego i powiedział: „Co chcesz udowodnić, pastor? Że masz serce albo coś takiego? Nie mam ochoty wkładać twoich parszywych butów”.

Ale Davie nie namyślał się nad odpowiedzią. „Człowieku – powiedział – marudziłeś o butach, to je wkładaj albo przestań nudzić”.

Jo-Jo odpowiedział: „Nigdy żem nie miał nowych butów”.

A Wilkerson tylko powtórzył: „Włóż je”.

Więc Jo-Jo włożył buty Davida. Gdy to zrobił, Davie poszedł do swojego samochodu. Skuliłem się za schodami, gdy Jo-Jo ruszył ulicą za Daviem. Stary Davie był w skarpetkach i musiał przejść dwie przecznice żeby dotrzeć do samochodu, a ludzie się z niego śmiali. Wtedy zobaczyłem, że on nie udaje.

Izrael przerwał swoją opowieść i przełknął łzy.

– Nie trafiło do mnie nic z tego, co Davie mi powiedział. Ale ten facet nie udawał. Żył tak, jak nauczał. Przekonałem się wtedy, że nie oprę się sile, która zmusza człowieka do robienia czegoś takiego dla kogoś takiego jak Jo-Jo.

Po nabożeństwie, ciągle pod jego wrażeniem i pod wrażeniem siły, z jaką poczułem w sobie obecność Bożą, gdy mówiłem, ruszyłem powoli przez tłum. Ciągle jeszcze myślałem że być może Bóg chce, bym wygłaszał kazania. Czy to możliwe, żeby w ten właśnie sposób do mnie przemawiał? Nie wiedziałem tego, ale czułem, że muszę mieć trochę czasu, aby to przemyśleć. W przedsionku kościoła i na chodniku było jeszcze sporo ludzi, gdy wychodziłem na ulicę wymieniając po drodze uściski dłoni. W tym momencie ryknęły silniki dwóch samochodów stojących po drugiej stronie jezdni. Usłyszałem krzyk jakiejś kobiety. Zobaczyłem lufy rewolwerów wystawione przez okienka i rozpoznałem kilku Biskupów. Samochody gwałtownie odskoczyły od krawężnika i zaczęto z nich wściekle strzelać w moim kierunku. Ludzie przed kościołem padli na ziemię albo uciekali w panice do wnętrza usiłując schronić się przed tą strzelaniną. Kucnąłem za drzwiami. Jedna z kul rozpląszczyła się o ścianę koło mnie. Samochody zniknęły w ciemności.

Gdy ludzie się uspokoili, jakiś starszy mężczyzna podszedł do mnie i objął mnie ramieniem.

– Synu – powiedział – niech cię to nie zniechęca. Sam Jezus był kuszony na pustyni po swoim chrzcie. Powinieneś czuć się zaszczycony, że szatan cię wybrał, abyś był prześladowany. Przepowiadam ci, że jeśli wytrwasz, dokonasz dla Boga wielkich rzeczy.

Poklepał minie po ramieniu i zniknął w tłumie.

Nie wiedziałem co to znaczy „wytrwać”, ale chciałem dokonać dla Boga wielkich rzeczy. Nie byłem jednak zbyt przekonany o tym, żeby wysłanie przez szatana Biskupów, aby mnie zabili, było takim zaszczytem.

Wyglądało na to, że niebezpieczeństwo minęło, ruszyłem więc pieszo w długą drogę powrotną do domu. Pastor Arce odwiózł Izraela, ale ja chciałem iść pieszo. Musiałem pomyśleć. Pan Delago, który współpracował z Davidem Wilkersonem, zaprosił mnie na noc do siebie do domu. Był to uprzejmy, kulturalny, dobrze ubrany człowiek. Pomyślałem, że

musi być bardzo bogaty. Wstydząc się swoich złych manier i ubrania, odrzuciłem jego zaproszenie. Pan Delgado dał mi dolara i powiedział, żebym go powiadomił, jeśli będę potrzebował pieniędzy.

Podziękowałem mu i ruszyłem do domu. Przechodząc przez Vanderbilt Avenue zobaczyłem Locę stojącą przed swoim domem.

– Hej, Nicky, gdzie się podziewał tyle czasu? Ktoś mówił, że już nie jesteś w gangu. Czy to prawda?

Powiedziałem, że to prawda.

– Stary, brakuje nam ciebie. Jak ciebie nie ma, to już nie jest tak jak dawniej. Dlaczego nie wracasz?

Nagle ktoś chwycił mnie od tyłu.

– Hej, chyba rzeczywiście chcecie, żebym wrócił. Co?

Myślałem, że to ktoś z naszego gangu. Ale Loca zamarła z przerażenia. Odwróciłem głowę i poznałem Joego, Apacza któregośmy złapali i pobili.

Zacząłem mu się wrywać i wtedy zobaczyłem, że w prawej ręce ma nóż. Lewą ręką objął mnie od tyła za szyję i uderzył ponad moim ramieniem, mierząc w serce. Zasłoniłem się prawą ręką chcąc odparować cios ośmiocalowego ostrza, i nóż trafił mnie prosto w dłoń pomiędzy małym a serdecznym palcem. Ostrze przebiło mi dłoń na wylot i lekko drasnęło pierś.

Odwróciłem się i Joe znów uderzył.

– Tym razem cię zabiję – zaklął. – Jak myślisz, że uciekniesz przede mną chowając się za kościół, to się mylisz, kochany. Zrobię światu tę grzeczność i zabiję głupiego tchórza.

Krzyknąłem do dziewczyny:

– Uciekaj, to wariat!

Joe ruszył na mnie i uderzył mierząc w mój brzuch. Odskoczyłem i zerwałem antenę ze stojącego obok samochodu. Teraz mieliśmy równe szanse. W moich rękach antena była tak samo niebezpieczna jak nóż.

Okrażałem go, tnąc powietrze metalowym prętem. Czułem się znowu w swoim żywiole. Byłem pewien, że uda mi się go zabić. Z doświadczenia wiedziałem, jakie będzie jego następne posunięcie. Kiedy skoczy na mnie z nożem, zrobię unik i gdy będzie łapał równowagę, mogę go uderzyć na odlew i oślepić, a potem sparaliżować albo zabić drugim ciosem.

Trzymałem antenę w lewej ręce. Prawą, ociekającą krwią, trzymałem przed sobą, zasłaniając się przed nożem.

– Dalej kochasiu – szepnąłem. – Spróbuj jeszcze raz. Tylko jeden raz, bo to będzie ten ostatni.

Oczy Joego były zwężone od wściekłości. Wiedziałem, że będę go musiał zabić, bo tylko to go może powstrzymać.

Skoczył na mnie. Usunąłem się i nóż świsnął koło mojego brzucha. Teraz! Gdy łapie równowagę! Zamachnąłem się anteną, żeby ciąć nią w jego odsłoniętą twarz.

Nagle poczułem się tak, jakby uchwyciła mnie za rękę dłoń Boga. „Nadstaw drugi policzek”. Głos był tak rzeczywisty, jakby to mówił ktoś stojący obok mnie. Popatrzyłem na tego Apacza nie jak na wroga, ale jak na człowieka. Zrobiło mi się go żal, że stoi tak tutaj na ulicy z nienawiścią wypisaną na twarzy i zionie przekleństwami. Zobaczyłem siebie sprzed kilku tygodni stojącego na ciemnej ulicy i próbującego zabić wroga.

Pomodliłem się. Po raz pierwszy pomodliłem się o siebie:

– Boże, pomóż mi.

Apacz złapał równowagę i popatrzył na mnie.

– Co mówisz?

Powiedziałem to znowu:

– Boże, pomóż mi.

Joe stanął jak wryty i wytrzeszczył na mnie oczy.

Nadbiegła Loca i wcisnęła mi w rękę szyjkę rozbitej butelki od whisky.

– Haratnij go tym, Nicky.

Joe rzucił się do ucieczki.

– Rzuć tym w niego, Nicky, rzuć tym!

Zamachnąłem się, ale zamiast rzucić butelką za uciekającym Apaczem, cisnąłem nią o ścianę domu.

Potem wyjąłem chusteczkę i zawinałem w nią moją paskudnie krwawiącą rękę. Krew przesiąkła przez cienką szmatkę. Loca popędziła na górę, do swojego pokoju, i przyniosła mi duży ręcznik, żeby krew miała w co wsiąkać. Chciała mnie odprowadzić do domu, ale powiedziałem, że dam sobie radę i poszedłem.

Bąłem się iść do szpitala, lecz wiedziałem, że potrzebują pomocy. Stałem z upływu krwi. Musiałem przejść przez Park Waszyngtona, od strony Fulton Place, żeby dotrzeć do szpitala Cumberland. Musiałem tam dojść, zanim bym się wykrwawił. Gdy stałem na rogu De Kalb, koło straży pożarnej, i czekałem na zmianę świateł, zaczęło mi się mącić przed oczyma i doszedłem do wniosku, że muszę przejść przez ulicę zanim zemdleję.

Zatoczyłem się na jezdnię między samochody. W tym momencie usłyszałem wołanie i jeden z Mau Mau wybiegł na jezdnię, żeby mi pomóc. Był to Tarzan, prawdziwy wariat, który nosił wielki meksykański kapelusz.

– Co chcesz zrobić, Nicky, popełnić samobójstwo?

Myślał, że zwariowałem, bo oddałem serce Bogu.

– Człowieku, jestem ranny. Ciężko ranny. Pomóż mi dojść do mieszkania Izraela, dobra?

Tarzan poszedł ze mną do domu Izraela. Weszliśmy na piąte piętro, do jego mieszkania. Gdy stukaliśmy w drzwi, była już północ.

Matka Izraela otworzyła nam i zaprosiła mnie do środka. Widziała, że jestem ranny. Izrael wyszedł z pokoju. Popatrzył na mnie i zaczął się śmiać.

– Człowieku, co ci się stało?

– Jeden Apacz mnie przebił.

– No wiesz, stary, nigdy bym nie przypuścił, że coś takiego może się kiedyś przytrafić tobie.

Matka Izraela przerwała nam i zaczęła nalegać, żebym poszedł do szpitala. Izrael z Tarzanem pomogli mi zejść i zaprowadzili do znajdującego się obok szpitala, do izby przyjęć w nagłych wypadkach. Tarzan zgodził się wziąć mój portfel z tym jednym dolarem i powiedzieć mojemu bratu, Frankowi, co mi się przytrafiło. Izrael czekał, dopóki lekarz nie obejrzy mi ręki. Miałem przecięte ścięgna i chcieli mnie uśpić i operować. Gdy mnie wywożono, Izrael powiedział poważnie:

– Nie martw się, stary. Dostaniemy tego, kto to zrobił.

Chciałem mu powiedzieć, że nie musimy się już mścić, że Bóg się nami zaopiekuje. Ale cicho zamknęły się za mną drzwi.

Wcześniej rano Izrael przyszedł do mnie do szpitala. Ciągle jeszcze byłem oszołomiony po narkozie, ale zorientowałem się, że coś się w jego wyglądzie zmieniło. Wreszcie udało mi się całkiem otworzyć oczy i zobaczyłem, że ogolił sobie całą głowę.

– Hej, łysek, co jest? – wymamrotałem.

Izrael miał znów swój dawny wyraz twarzy.

– Człowieku, najpierw o mało co nas nie zastrzelili przed kościołem, a teraz ciebie zranili nożem. Ten interes Jezusa jest dla nienormalnych. Ten facet nie miał prawa tak cię potraktować. Dostanę go za ciebie.

Byłem coraz przytomniejszy. Uniosłem się na łóżku i powiedziałem:

– Człowieku, nie możesz tego zrobić. Mogłem sam go dostać wtedy wieczorem, ale zostawiłem to w rękach Boga. Jeśli wrócisz na ulicę, już nigdy się nie wycofasz. Pamiętajsz, co Davie powiedział o przyłożeniu ręki do pługa?¹⁰ Człowieku, zrób tak jak ja i porzuć walkę.

Usiłując usiąść na łóżku zauważyłem, że z Izraelem przyszedł Lydia i Loretta.

Opadłem na łóżko, wciąż jeszcze osłabiony z upływu krwi i od narkozy. Rękę od czubków palców po łokieć miałem zabandażowaną.

Loretta, ładna czarnowłosa Włoszka, z którą kilkakrotnie się umawiałem, powiedziała:

– Nicky, Izrael ma rację. Ci faceci przyjdą do szpitala i zabiją cię, jeśli nie wrócisz do gangu. Zróbmy tak, jakby się nic nie zmieniło. Wyzdrowiejesz i wrócisz do Mau Mau. Będziemy na ciebie czekać.

Odwrociłem się i popatrzyłem na Lydię.

– Czy ty też tak uważasz? – spytałem.

Lydia zwiesiła głowę.

– Nicky, muszę ci o czymś powiedzieć. Wstyd mi, że mówię o tym dopiero teraz, zamiast dawno temu. Od dwóch lat jestem chrześcijanką.

– Co?! – popatrzyłem na nią z niedowierzaniem – Chcesz mi powiedzieć, że cały ten czas byłaś chrześcijanka i nigdy mi o tym nie mówiłaś? Jak mogłaś być chrześcijanką i robić te wszystkie rzeczy, które robiłaś? Pomyśl o tym, co robiliśmy razem. Nie opowiadaj mi tu, że jesteś chrześcijanką. Chrześcijanie tak nie postępują. Oni nie wstydzą się Boga. Nie wierzę ci.

Lydia zagryzła dolną wargę, do oczu napłynęły jej łzy i zaczęła miać w rękę brzeg prześcieradła.

– Wstyd mi, Nicky. Bałam się powiedzieć ci o Chrystusie. Bałam się, że jeśli ci powiem, że jestem chrześcijanką, nie zechcesz mnie już więcej.

Izrael podszedł do łóżka.

– No, już dobra, Nicky. Jesteś po prostu wytracony z równowagi. Niedługo poczujesz się lepiej. Loretta i ja uważamy, że powinienes wrócić do gangu. Nie wiem jak Lydia. Ale przemyśl to i nie martw się. Porozmawiam z chłopakami i dopadniemy tego, co ci to zrobił.

Odwrociłem się od nich. Loretta podeszła i pocałowała mnie w policzek.

Gdy Lydia nachyliła się, żeby mnie pocałować, poczułem gorące łzy.

– Przepraszam, Nicky, wybacz mi.

Nie odpowiedziałem. Lydia pocałowała mnie i uciekła. Usłyszałem jak zamykają się za nimi drzwi.

Gdy wyszli, odczuwałem niemal fizyczną obecność szatana w moim pokoju. Mówił do mnie za pośrednictwem Izraela i Loretty. Posługiwał się moim rozczarowaniem do Lydii. Szeptał: „Nicky, jesteś głupcem. Oni mają rację. Wróć do gangu. Przypomnij sobie jak słodko jest być w ramionach pięknej dziewczyny. Zdradziłeś swój gang, ale na powrót nie jest jeszcze za późno”.

Gdy diabeł tak mnie kusił, weszła pielęgniarka z obiadem na tacy. Ciągłe słyszałem diabelski szept: „Wczoraj wieczorem po raz pierwszy nie oddałeś, gdy cię ktoś uderzył. Ale z ciebie tchórz. Wielki bohater Nicky Cruz płacze w hali St. Nicholas. Ucieka przed Apaczem i pozwala mu odejść. Baba. Dureń. Tchórz”.

– Panie Cruz – powiedziała pielęgniarka stając koło łóżka – jeśli się pan odwróci, będę mogła ustawić tacę z obiadem.

Podskoczyłem na łóżku. Uderzyłem w tacę wytrącając ją z rąk pielęgniarki na podłogę.

– Zjeżdżaj stąd do diabła!

¹⁰ Ewangelia wg św. Łukasza 9,62: „Jezus mu jednak powiedział: Każdy kto przykłada rękę do pługa i ogląda się za siebie, nie nadaje się do Królestwa Boga”.

Chciałem powiedzieć coś jeszcze, ale nie mogłem. Wszystkie przekleństwa znikły. Nie potrafiłem nawet o nich pomyśleć. Siedziałem tylko z otwartymi ustami i nagle łzy napłynęły mi do oczu i pociekły strumieniami po twarzy.

– Przepraszam, przepraszam – załkałem. – Proszę zadzwonić do pastora. Proszę poprosić tu pastora Arce’a.

Pielęgniarka spokojnie pozbierała talerze i poklepała mnie po ramieniu.

– Zaraz do niego zadzwonię. Proszę się położyć i odpocząć.

Położyłem się na poduszce i szlochałem. Wkrótce przyszedł pastor Arce i zaczął się ze mną modlić. W trakcie modlitwy poczułem jak odstepuje ode mnie dręczący mnie dotychczas zły duch. Pastor powiedział, że przyśle do mnie rano pana Delgado i dopilnuje, żebym miał opiekę.

Wieczorem, gdy pielęgniarka pomogła mi zmienić bluzę od piżamy, ukląknęłam koło łóżka. Po południu na drugim łóżku w moim pokoju położyli jeszcze kogoś, ale myślałem, że on śpi. Zaczęłam modlić się na głos, bo tylko tak umiałem. Nie wiedziałem, że można modlić się w myśli. Sądziłem, że trzeba modlić się „do Boga”, a jedyny sposób, w jaki potrafiłem to robić, polegał na mówieniu do Niego – głośnym mówieniu. Zaczęłam się więc modlić.

Prosiłem Boga, żeby wybaczył chłopakowi, który mnie zranił, i aby ochraniał go od złego, dopóki ten chłopak nie dowie się o Jezusie. Prosiłem Boga, by wybaczył mi to, jak odnosiłem się do Lydii, i to, że wytrąciłem tacę z rąk pielęgniarki. Powiedziałem Mu, że pójdę wszędzie, gdzie On zechce, i zrobię wszystko, czego ode mnie zażąda. Przypomniałem Mu, że nie boję się umrzeć, ale prosiłem Go, aby pozwolił mi żyć wystarczająco długo, bym mógł kiedyś opowiedzieć o Jezusie rodzicom.

Długo klęczałem, zanim wczółgałem się znowu do łóżka i zasnęłam.

Następnego dnia ubierałem się przed wyjściem ze szpitala, kiedy mężczyzna w łóżku obok szepnął coś i kiwnął, żebym podszedł bliżej. Był to stary człowiek. Miał rurkę w gardle, był blady, drżał i mógł mówić tylko trochę szeptem.

– Nie spałem wieczorem – szepnął.

Zażenowany, uśmiechnąłem się niemądrze.

– Dziękuję – powiedział mężczyzna. – Dziękuję ci za twoją modlitwę.

– Ale ja nie modliłem się dla pana – wyznałem. – Myślałem, że pan śpi. Modliłem się dla siebie.

Starzec chwycił moją zdrową rękę swymi zimnymi, wilgotnymi palcami. Chwył ten był bardzo słaby, ale poczułem że ma to być silny uścisk.

– O, nie, mylisz się. Modliłeś się dla mnie. I ja się modliłem. Modliłem się po raz pierwszy od wielu, wielu lat. Ja też chcę robić to, co Jezus mi każe. Dziękuję ci.

Gdy mówił, po jego wymizerowanych, zapadłych policzkach stoczyły się wielkie łzy.

– Niech pana Bóg błogosławi – powiedziałem i wyszedłem.

Nigdy w życiu nie próbowałem nikomu udzielać pomocy duchowej. Nawet teraz nie umiałbym tego zrobić. Ale poczułem, mocno i wyraźnie, że Duch Boży udzielił jej za moim pośrednictwem. I rad byłem z tego.

Pan Delgado czekał na mnie w hallu. Zapłacił już mój rachunek i poprowadził mnie do swojego samochodu.

– Telefonowałem wczoraj wieczorem do Davida Wilkersona – powiedział. – Jest w Elmirze, prowadzi tam cykl spotkań. Chce, żebym przywiózł tam jutro ciebie i Izraela.

– Davie wspominał mi o tym podczas naszego ostatniego spotkania – zauważyłem. – Ale Izrael wrócił do gangu. Myślę, że nie pojedzie.

– Pojadę porozmawiać z nim dziś wieczorem – powiedział pan Delgado. – Ale chciałbym, żebyś dziś był u mnie w domu. Tam będziesz bezpieczny. A jutro wcześniej rano pojedziemy do Elmiry.

Uśmiechnąłem się w duchu na myśl o tym, że pojedę na spotkanie z Daviem do Elmiry. Do tej właśnie miejscowości chciała mnie posłać policja, ale z zupełnie innego powodu. Resztę dnia spędziłem modląc się za Izraela, żeby nie wracał do gangu, tylko pojechał ze mną do Elmiry.

Na drugi dzień rano wstaliśmy wcześniej i pojechaliśmy przez miasto w kierunku Brooklynu i osiedla Fort Greene. Pan Delgado powiedział, że Izrael zgodził się pojechać z nami i ma na nas czekać na rogu Myrtle i De Kalb o siódmej. Ale gdy przyjechaliśmy na umówione miejsce, Izraela już tam nie było. Poczułem gwałtowny skurcz żołądka. Okrążyliśmy cały kwartał, ale Izraela nie było widać. Pan Delgado stwierdził, że nam się śpieszy, ale możemy jeszcze przejechać koło mieszkania Izraela na St. Edward Street, naprzeciwko szkoły nr 67 i zobaczyć, czy go tam gdzieś nie ma. Pojechaliśmy, lecz nie było widać ani śladu Izraela. Pan Delgado ciągle popatrywał na zegarek i wreszcie powiedział, że musimy już jechać.

– Nie moglibyśmy jeszcze tylko raz objechać ten kwartał dookoła? – spytałem. – Może go przeoczyliśmy?

Pan Delgado powiedział:

– Słuchaj, Nicky, wiem, że kochasz Izraela i boisz się, że wróci do gangu. Ale on musi nauczyć się czasem za siebie odpowiadać. Powiedział, że spotka się z nami o siódmej rano i nie ma go tu. Okrążymy kwartał jeszcze raz, ale do Elmiry jest sześć godzin jazdy, a David oczekuje nas o drugiej po południu.

Przejechaliśmy jeszcze raz ulicą, po czym ruszyliśmy przez Bronx, żeby zabrać Jeffa Moralesa. Jeff to był portorykański chłopak, który chciał zostać pastorem. David poprosił pana Delgado o zabranie go, żeby tłumaczył moje słowa, gdy będę przemawiał w kościele.

Gdy wyjechaliśmy z miasta, odczułem ulgę. Oparłem się wygodnie i odetchnąłem. Było mi lekko. Ale głęboko, na dnie serca, czułem smutek, że zostawiliśmy Izraela; miałem jak najgorsze przeczucia co do jego przyszłości. Nie wiedziałem wówczas, że miałem go ujrzeć dopiero po sześciu latach.

Wieczorem David przedstawił mnie ludziom w Elmirze i opowiedziałem w jaki sposób zostałem chrześcijaninem. David powiedział, żebym zaczął od początku i opowiadał wszystkim jak było. Nie byłem pewien szczegółów i niezbyt dobrze pamiętałem niektóre zdarzenia z mego życia. Zorientowałem się szybko, że Bóg nie tylko pozbawił mnie dawnych ciągotek, ale również zatarł w mojej pamięci wiele wspomnień. Jednak opowiedziałem całą historię najlepiej jak umiałem. Wielokrotnie wyprzedzałem swojego tłumacza i Jeff mówił:

– Wolniej, Nicky, pozwól mi mówić.

Ludzie śmiali się i płakali, a potem, wezwani, tłumnie ruszyli do przodu oddać serca Chrystusowi. Gdy ujrzałem jak za moim pośrednictwem działa Bóg, wzmocniło się we mnie uczucie, że żywa mnie do stanu duchownego.

Następnego dnia miałem okazję dłużej rozmawiać z Davidem. Spytał mnie, czy poważnie myślę o zostaniu pastorem. Odpowiedziałem, że nic nie wiem o tej pracy i ledwo mówię po angielsku, ale czuję, że Bóg położył dłoń na moim życiu i wie gdzie mnie w tym kierunku. David powiedział, że zrobi wszystko, co będzie w jego mocy, żeby załatwić mi przyjęcie do szkoły.

Szkoła! Od trzech lat nie chodziłem do szkoły, z której wyrzucono mnie z hukiem.

– Davie, nie mogę wrócić do szkoły. Dyrektor powiedział, że jeśli kiedykolwiek tam wrócę, odda mnie gliniarzom.

David roześmiał się.

– Nie do tej szkoły, Nicky. Do szkoły biblijnej. Chciałbyś pojechać do Kalifornii?

– Gdzie?

– Do Kalifornii, na zachodnim wybrzeżu.

– Czy to jest koło Manhattanu? – spytałem.

Wilkerson wybuchnął śmiechem.

– Och, Nicky, Nicky. Pan Bóg będzie miał z tobą dużo pracy. Ale myślę, że ma dość siły, by ją wykonać. A ty tylko czekaj i przyglądaj się. Jako pastor osiągniesz wspaniałe wyniki. Jestem o tym głęboko przekonany.

Pokręciłem głową. Słyszałem, że gliniarze z Manhattanu są równie niemili, jak ci z Brooklynu. Jeśli miałem iść do szkoły, to lepiej, żeby to było gdzieś daleko od Nowego Jorku.

Davie chciał, żebym został w Elmirze, dopóki nie nadejdzie odpowiedź ze szkoły biblijnej, która, jak się później dowiedziałem, mieściła się w La Puente, w Kalifornii, niedaleko Los Angeles. Była to trzyletnia szkoła biblijna dla chłopców i dziewcząt, którzy chcieli przysposobić się do duchownego stanu, a nie było ich stać na pójście do koledżu. Oczywiście nie ukończyłem szkoły średniej, ale David wysłał do nich pocztą lotniczą list z prośbą, żeby pomimo wszystko mnie przyjęli. Nie robił tajemnicy z mojej poprzedniej kariery, ale pisał im o moich marzeniach i ambicjach i prosił, żeby przyjęli mnie na próbę, mimo tego że dopiero przed kilkoma tygodniami zostałem chrześcijaninem.

Tymczasem w Elmirze nie działo się zbyt dobrze. Ktoś rozpuścił plotkę, że wciąż jeszcze jestem przywódcą gangu i przyjechałem tu zorganizować gang. Davida to rozgoryczyło. Wiedział, że możemy mieć z tego powodu kłopoty. Zostałem u niego na noc, ale bałem się, że ludzie mogą mu mieć to za złe. Postanowiliśmy modlić się o to.

Tej nocy David mówił ze mną o chrzcie w Duchu Świętym. Słuchałem uważnie, ale nie rozumiałem, co usiłuje mi przekazać. Czytał mi fragmenty Pisma Świętego: z Dziejów Apostolskich, z Pierwszego Listu do Koryntian, z Listu do Efezjan. Wyjaśniał, że gdy człowiek jest już zbawiony, Bóg chce napełnić go swoją siłą. Mówił o nawróceniu Szawła w dziewiątym rozdziale Dziejów Apostolskich – że po trzech dniach od nawrócenia Szawła otrzymał chrzest w Duchu Świętym i został napełniony nową mocą.

– Tego właśnie ci potrzeba, Nicky – powiedział – Bóg chce napełnić cię mocą i dać ci szczególne dary.

– O jakich darach myślisz? – spytałem.

Otworzył Pismo Święte na wersetach 8-10, dwunastego rozdziału Pierwszego Listu do Koryntian i opowiedział mi o dziewięciu darach Ducha.

Otrzymują je ci, którzy są ochrzczeni w Duchu Świętym. Możesz nie otrzymać wszystkich z nich, ale otrzymasz niektóre. My, zielonoświątkowcy, uważamy, że każdy, kto jest ochrzczony w Duchu, mówi językami.

– Chcesz powiedzieć, że będę w stanie mówić po angielsku bez żadnej nauki? – spytałem zdumiony.

David chciał mi powiedzieć coś jeszcze, ale zamknął Pismo Święte.

– Pan powiedział apostołom, żeby czekali cierpliwie, a otrzymają moc. Nie chcę, aby w twoim przypadku dokonano się to zbyt pośpiesznie. Będziemy czekać, aż Pan ochrzci cię, gdy będziesz gotów przyjąć ten chrzest. Na razie mamy inny problem i musimy się w tej sprawie modlić – powiedział Davie i wyłączył światło.

– Jeśli Bóg da mi nowy język, mam nadzieję, że to będzie włoski. Znam świetną dziewczynę, Włoszkę, i na pewno mógłbym...

Przerwała mi poduszka Wilkersona, która przeleciała przez pokój i trafiła mnie w głowę.

– Spać, Nicky. Już prawie dzień, a połowa miasta uważa, że jesteś przywódcą gangu. Jeśli Bóg da ci nowy język, byłoby lepiej, żeby cię rozumieli ci ludzie tutaj, kiedy będziesz im mówił, że naprawdę nie jesteś mordercą.

Następnego dnia David wrócił z porannego spotkania z zatroskaną twarzą.

– Nie jest za dobrze, Nicky. Trzeba będzie, żebyś wyjechał dziś przed wieczorem, ale nie mam pojęcia, gdzie – prócz Nowego Jorku – mogę cię posłać.

– Myślisz, że Pan słyszał nasze modlitwy wczoraj wieczorem? – spytałem.

David był zgorzony.

– Oczywiście, że tak. Dlatego właśnie się modlę: bo wierzę, że On mnie słyszy.

– Modliłeś się, żeby Bóg się mną zaopiekował?

– Wiesz, że tak.

– No to czemu tak się niepokoisz?

David stał i patrzył na mnie przez chwilę, po czym powiedział:

– Chodź, pójdziemy na śniadanie. Jestem strasznie głodny. Ty chyba też?

O drugiej po południu zadzwonił telefon w naszym pokoju w motelu. Telefonował pastor kościoła, w którym David wygłaszał kazania. W gabinecie pastora była kobieta, która chciała porozmawiać z nami obydwoma. David powiedział, że zaraz będziemy.

Gdy weszliśmy, pastor przedstawił nas 72-letniej pani Johnson, która przyjechała prosto z domu położonego dwieście mil stąd, na północy stanu Nowy Jork. Pani Johnson powiedziała, że nocą przemówił do niej Duch Święty. Przeczytała o mnie w gazetach i potem Duch Święty oznajmił jej, że mam kłopoty i że ona musi po mnie przyjechać.

Spojrzałem na Davida. Po jego twarzy spływały wielkie łzy.

– Pani może i nazywa się Johnson, ale moim zdaniem nazywa się pani Ananiasz.

Pani Johnson popatrzyła na Davida ze zdumieniem.

– Nie rozumiem – stwierdziła.

Do rozmowy włączył się tutejszy pastor:

– On ma na myśli Ananiasza wspomnianego w 9 rozdziale Dziejów Apostolskich, którego poruszył i posłał Duch Święty, aby pomógł Pawłowi.

Pani Johnson uśmiechnęła się.

– Wiem tylko, że Bóg polecił mi przyjechać i zabrać tego chłopca ze sobą do domu.

David kazał mi się przygotować do wyjazdu z tą panią. Powiedział, że za kilka dni powinien dostać odpowiedź z La Puente, a wtedy po mnie pośle. Nie chciało mi się jechać, ale dowiedziawszy się o tym, co stało się poprzedniego wieczora, i widząc co się działo w tym momencie, bałem się zostać.

Dwa tygodnie później zadzwonił do mnie David. Był podekscytowany. W Instytucie Biblijnym byli tak zaintrygowani perspektywą mojego przyjazdu, że zgodzili się odstąpić od zwykłych wymagań i przyjąć mnie na pełnoprawnego studenta. David powiedział, żebym złapał autobus do Nowego Jorku, bo jutro mam wyjechać do Kalifornii.

Tym razem nie miałem nic przeciwko powrotowi do Nowego Jorku. Przypomniałem sobie jazdę z doktorem Johnem i moje przygnębienie z powodu tego, że znowu wpadam w tę pułapkę. Ale ta pułapka już nie istniała. Tym razem kroczyłem drogą, która miała wyprowadzić mnie z tej dżungli.

Musiałem odczekać pięć godzin, zanim mógł po mnie przyjechać David. Zgodziłem się posiedzieć w poczekalni, żeby uniknąć kłopotów. Kłopoty same mnie jednak znalazły. Przybrały postać dziesięciu Wicekrólów, którzy w milczeniu stanęli wokół mnie, gdy siedziałem i czytałem gazetę.

– Hej, patrzcie, jaki przystojniak – powiedział jeden z nich, robiąc aluzję do mojego garnituru i krawata.

– Hej, lalusi, jesteś poza swoim terytorium. Nie wiesz, że to jest rejon Wicekrólów?

Nagle jeden z nich powiedział:

– Chłopaki, wiecie kto to jest? To ten wariat z Mau Mau, który został kaznodzieją.

Inny podszedł i szturchnął mnie palcem w twarz.

– Hej, kaznodziejo, mogę cię dotknąć? Może mi trochę twojej świętości zostanie na palcu.

Odrąciłem jego rękę.

– Chcesz zdechnąć? – warknąłem. Odezwał się we mnie dawny Nicky. – Spróbuj mnie jeszcze raz dotknąć, to cię wykończę.

– Oj! – chłopak podskoczył, udając przestach. – Wygląda jak kaznodzieja, ale mówi jak... – i tu użył nieprzyzwoitego wyrazu.

Zanim się spostrzegłem, zerwałem się i wbiłem mu pięść w brzuch. Gdy zgiął się od ciosu, uderzyłem go pięścią w tył głowy. Chłopak padł nieprzytomny na podłogę. Jego kumple tak byli zaskoczeni, że stanęli jak wryci. Ludzie na dworcu autobusowym rozbiegli się i pochowali za ławki. Wycofałem się do drzwi.

– Spróbujcie się ruszyć, to pozabijam wszystkich. Idę po Mau Mau. Będę tu za godzinę i wykończę wszystkich Wicekrólów.

Wiedzieli, że nie żartuję. Wiedzieli też, że Mau Mau byli dwa razy silniejsi i okrutniejsi od nich. Spojrzeli po sobie i zaczęli się wycofywać w kierunku drugich drzwi, unosząc swojego bezwładnego kumpla.

– Niedługo wrócę! – krzyknąłem. – Lepiej zjeżdżajcie stąd i nie zatrzymujcie się ani razu, bo nie pożyczycie długo.

Wybiegłem w kierunku najbliższej stacji metra. Ale po drodze minąłem hiszpański kościół. Coś mnie zmusiło do zwolnienia i odwrócenia się. Powoli wszedłem po schodach i przez otwarte drzwi do środka. „Może najpierw powinienem, się pomodlić? – pomyślałem. – Później pójdę po Mau Mau”.

Lecz w kościele zapomniałem o Mau Mau i Wicekrólach. Zacząłem myśleć o Jezusie. A potem o oczekującym mnie nowym życiu. Ukląkłem z przodu i minuty płynęły mi jak sekundy. W końcu ktoś dotknął mojego ramienia. Obejrzałem się. Za mną stał Wilkerson.

– Kiedy nie znalazłem cię na dworcu autobusowym, od razu pomyślałem, że będziesz tutaj – powiedział.

– Naturalnie – odpowiedziałem. – A gdzie miałbym być, z powrotem w gangu? Wilkerson roześmiał się i poszliśmy do samochodu.

Nicky Cruz opowiada

Rozdział 12

Zagubiony w szkole

Instytut Biblijny w La Puente w Kalifornii był mały i bezpretensjonalny. Zajmował niewielką przestrzeń zaraz za miastem. Większość z siedemdziesięciorga studentów Instytutu mówiła po hiszpańsku i wychowała się w skromnych warunkach.

Steve Morales i ja przylecieliśmy z Nowego Jorku samolotem. Szkoła bardzo różniła się od wszystkiego, co znałem. Regulamin był bardzo surowy i dyscypliny przestrzegano skrupulatnie. Zajęcia lekcyjne ściśle wypełniały czas od wtorku do soboty. Większość studentów mieszkała w położonej na terenie szkoły bursie urządzonej z koszarową prostotą.

Uptynęło kilka miesięcy zanim przywykłem do Instytutu. Dotychczas zawsze robiłem wszystko po swojemu, a tu, w Instytucie, wszystko odbywało się według dzwonka, od pobudki o szóstej rano do gaszenia światła o wpół do dziesiątej wieczorem. Zupełnie nie było wolnego czasu i musieliśmy, oprócz sześciu godzin w klasie, poświęcać dwie godziny dziennie modlitwie.

Najbardziej dokuczało mi to, że nie mogłem rozmawiać z dziewczynami. Było to surowo zabronione i mogliśmy porozumiewać się jedynie ukradkiem, przed lub po zajęciach, albo przy myciu naczyń podczas stałych dyżurów w kuchni.

Jednak filozofia szkoły polegała na nauce posłuszeństwa i dyscypliny, i chociaż przychodziło mi to z trudnością, takiego właśnie treningu potrzebowałem. Mniejsza dyscyplina pozostawiłaby mi zbyt dużo swobody.

Posiłki zaspokajały głód, ale trudno by je było nazwać smacznymi. Zwykle na śniadanie była gorąca papka z mąki kukurydzianej i tost, a raz na tydzień dostawaliśmy jajko. Taki wikt był jednak bezsprzecznie elementem naszej edukacji, ponieważ większość z nas miała być hiszpańskimi pastorami wśród biednej ludności i utrzymywać się, chcąc nie chcąc, z bardzo skromnych środków.

Nauczyciele okazywali mi wiele cierpliwości. Nie umiałem zachowywać się jak należy i czułem się bardzo niepewnie. Próbowałem to nadrabiać impertynencją i popisywaniem się.

Pamiętam jak pewnego dnia rano, w trzecim miesiącu szkoły, nauczyciel prowadził nas w przydługą trwającą modlitwie rozpoczynającą zajęcia. Od kilku tygodni wodziłem wzrokiem za ładną, czarnowłosą, bardzo pobożną Meksykanką, która siedziała przede mną, ale nie udawało mi się zwrócić na siebie jej uwagi. W połowie modlitwy delikatnie usunąłem jej krzesło, uważając że teraz to już na pewno dziewczyna mnie dostrzeże. Po „amen” wszyscy usiedli. Rzeczywiście, dostrzegła mnie. Usiadłszy z rozmachem na podłodze odwróciła się i spojrzała na mnie oczyma ciskającymi pioruny. Dusząc się ze śmiechu schyliłem się, żeby jej pomóc. Rzuciła mi wściekłe spojrzenie i wstała bez pomocy. Nie odezwała się ani słowem i jakoś przestało mi się to wszystko wydawać śmieszne. Dziewczyna szarpnęła krzesło na swoje miejsce i po drodze rozmyślnie uderzyła mnie jego kanciastą nogą w gołeń. Nie przypuszczam, żeby coś jeszcze mogło tak bardzo boleć. Poczulem jak krew odpływa mi z twarzy, myślałem, że zemdleję. Klasa roześmiała się. Wreszcie odzyskałem władzę nad sobą i popatrzyłem na nią. Obrzuciła mnie spojrzeniem, które mogłoby wypalić

dziurę w pancerzu czołgu. Uśmiechnąłem się słabo, ale czułem się tak, jakbym miał za chwilę zwymiotować. Dziewczyna odwróciła się, usiadła i znieruchomiła, wpatrując się w profesora.

Profesor odchrząknął i powiedział:

– Teraz, gdy już skończyliśmy poranną modlitwę możemy zaczynać. Pierwszy będzie odpowiadał pan Cruz.

Popatrzyłem na niego niepewnie, bez słowa.

– Panie Cruz! – powiedział profesor – mam nadzieję, że jest pan przygotowany do dzisiejszej lekcji.

Próbowałem coś odpowiedzieć, ale noga bolała mnie tak bardzo, że nie mogłem mówić.

– Panie Cruz, pan wie, jaka jest kara za nieprzygotowanie się do zajęć? Wiem, że ma pan trudności z językiem i że pana umysł nie jest jeszcze wdrożony do rozumowania kategoriami akademickimi. Wszyscy staramy się okazywać panu cierpliwość, ale jeśli nie będzie pan przejawiał dobrej woli, będę zmuszony postawić panu zero i oblać pana z tego przedmiotu. Pytam ponownie: czy przygotował się pan do zajęć?

Kiwnąłem głową i wstałem. Głowę miałem zupełnie pustą. Pokuśtykałem na środek sali i stanąłem twarzą do klasy. Popatrzyłem na tę ładną dziewczynę z ciemnymi oczyma. Uśmiechnęła się słodko i otworzyła zeszyt tak, żebym widział strona po stronie sporządzone starannym pismem notatki na temat, z którego właśnie miałem odpowiadać. Spojrzałem na profesora i powiedziałem słabym głosem:

– Przepraszam.

Wybiegłem z klasy do swojej sali.

Zrobiłem z siebie całkowitego durnia. Myślałem, że mogę się zgrywać i wszyscy będą się śmiali, jak w gangu. Ale ci ludzie byli inni. Tolerowali mnie, ponieważ litowali się nade mną. Nie umiałem się dostosować. Byłem wyrzutkiem.

Usiadłem na skraju łóżka i napisałem długi list do Davida Wilkersona. Napisałem, że jest tu ciężko, a ja, przyjeżdżając tutaj, popełniłem błąd. Przykro mi, że go zawiodłem, ale obawiam się, że jeśli zostanę w szkole, narobię mu kłopotów. Poprosiłem, żeby przysłał mi bilet na samolot do domu. List wysłałem ekspresem do domu Wilkersona w Pensylwanii.

Odpowiedź nadeszła po tygodniu. Niecierpliwie rozerwałem kopertę i znalazłem króciutki list:

Drogi Nicky,

Ciesz się, że tak dobrze ci idzie. Miłuj Boga i unikaj szatana. Niestety, akurat nie mamy na koncie pieniędzy. Napisz do Ciebie później, kiedy ich trochę zgromadzimy.

Twój przyjaciel, David

Poczułem się przybity, rozstrojony i zawiedziony. Tym razem wysłałem ekspres do pana Delgado. Wiedziałem, że on ma pieniądze, ale bałem się mu napisać, że tak mi w szkole ciężko. Napisałem, że moja rodzina w Puerto Rico potrzebuje pieniędzy i muszę pojechać do domu, żeby pójść do pracy i im pomóc.

Od roku nie miałem od rodziny żadnych wiadomości, ale nie umiałem wymyślić niczego innego, co brzmiałoby prawdopodobnie i od razu by się nie wydało.

Po tygodniu dostałem ekspres od Delgado:

Drogi Nicky,

Miło mi, żeś do mnie napisał. Wysłałem pieniądze Twojej rodzinie, możesz więc zostać w szkole. Niech Cię Bóg błogostawi.

Tego dnia wieczorem poszedłem porozmawiać z dziekanem Lopezem. Opowiedziałem mu o swoich problemach. Buntuję się przeciwko wszystkiemu i wszystkim. Wczoraj była moja kolej sprzątnięcia sali wykładowej, a ja rzuciłem miotłą o podłogę i powiedziałem, że przyjechałem do Kalifornii, by chodzić do szkoły, a nie żeby pracować jak niewolnik. Ciągłe chodzę charakterystycznym krokiem chłopaka z gangu. Wiem, że nie powinienem nawet myśleć tak, jak myślał dawny Nicky, ale nic na to nie umiem poradzić. Kiedy inni chłopcy próbowali się za mnie modlić, odtrąciłem ich i powiedziałem, że są dla mnie zbyt dobrzy. Jestem oszustem. Gangsterem. Oni wszyscy są święci. Chcieli modlić się za mnie i położyć na mnie ręce, ale ja nie pozwoliłem im się do siebie zbliżyć.

Siedziałem w małym gabinecie dziekana, ocierałem gorzkie łzy i błagałem o pomoc. Dziekan Lopez był drobnym śniadym mężczyzną. Słuchał kiwając głową i w końcu sięgnął po swoją, noszącą ślady częstego używania, Biblię, przywaloną wielką stertą oczekujących na ocenę prac studentów.

– Nicky, musisz przyjąć Ducha Świętego. Zostałeś zbawiony i chcesz naśladować Chrystusa, ale nigdy w życiu nie osiągniesz prawdziwego zwycięstwa, jeśli nie otrzymasz chrztu w Duchu Świętym.

Siedziałem i słuchałem dziekana Lopeza, który z otwartą Biblią w ręce opowiadał mi o wspianym zwycięstwie, jakie mogę osiągnąć, jeśli otrzymam Ducha Świętego.

– W pierwszym rozdziale Dziejów Apostolskich apostołowie byli w twojej sytuacji, Nicky. Byli zbawieni, ale nie mieli wewnętrznej siły. Byli uzależnieni od fizycznej obecności osoby Jezusa Chrystusa, który dawał im siłę. Byli napełnieni siłą wtedy, gdy byli blisko Niego. Ale z dala od Niego byli bezsilni. Tylko raz Ewangelia zaświadcza o uzdrowieniu dokonany przez Jezusa nie w obecności uzdrawianego. Było to w przypadku sługi setnika¹¹. Ale nawet wówczas setnik musiał przyjść do Jezusa, aby mogła urzeczywistnić się jego wiara. U Mateusza jest napisane, że Jezus posłał dwunastu uczniów, dając im moc nad nieczystymi duchami, aby je wyganiali i aby uzdrawiali wszelką chorobę¹². Ale nawet z Jego pełnomocnictwem wciąż nie mieli siły niezbędnej do fizycznego działania. Stwierdzenie tego faktu znajduje się dalej w tej samej ewangelii, gdy pewien człowiek przyprowadza do Jezusa syna z prośbą o uzdrowienie i mówi, że przyprowadził go był już do Jego uczniów, ale nie byli w stanie go uzdrowić.

Słuchałem uważnie, a dziekan kartkował swoją podniszczoną Biblię z biegłością znawcy.

– W ogrodzie Getsemani Jezus odszedł od uczniów, aby się modlić. Ale gdy tylko zniknął im z oczu, stali się bezsilni. Prosił ich, by czuwali i wyglądali żołnierzy, ale oni zamiast tego posnęli.

Pomyślałem: „To ja. Wiem, czego On chce ode mnie, ale nie mam siły tego zrobić. Kocham Go i chcę Mu służyć, ale jestem bezsilny”. Dziekan mówił gładząc palcami Biblię, jakby dotykał dłoni starego przyjaciela. Gdy mówił o swoim drogim Panu, w jego oczach lśniły łzy:

– Dalej, przypomnij sobie, co działo się później tego wieczora, kiedy Piotr został na zewnątrz pałacu. Gdy zabrano jego Pana, Piotr utracił siłę. Stał się duchowym tchórzem. Nawet wobec służącej zaklinał się i wypierał znajomości z Nim.

Lopez gwałtownie zaczerpnął powietrza. Wielkie łzy pojawiły się w jego oczach i spadły na żółte karty otwartej Biblii.

¹¹ Ewangelia wg św. Mateusza 8,5-13; por. Jan 4,46-53.

¹² Ewangelia wg św. Mateusza 10,1.
Ewangelia wg św. Mateusza 17,14-15.
Ewangelia wg św. Mateusza 26,36.40.
Pierwszy list św. Pawła do Koryntian 12,3.

– Och, Nicky, jakież to typowe dla nas wszystkich. Jakie tragiczne! Jak okropnie tragiczne było to, że w godzinie próby On musiał cierpieć samotnie. Gdybyż Bóg pozwolił mi być tam, cierpieć z Nim... umrzeć z Nim. A jednak, Nicky, obawiam się, że mógłbym zachować się jak Piotr, bo Duch Święty jeszcze nie przyszedł i, zdany na swe własne siły, ja również bym go opuścił.

Dziewkan musiał przerwać, bo głos odmówił mu posłuszeństwa. Wyjął z kieszeni chusteczkę i głośno wysiakał nos.

Otworzywszy ponownie Biblię na Dziejach Apostolskich podjął przerwany wątek:

– Nicky, pamiętasz, co się stało po ukrzyżowaniu?

Pokręciłem głową. Niewiele wiedziałem z Pisma Świętego.

– Wszyscy uczniowie dali za wygraną. Powiedzieli, że już po wszystkim, i chcieli wracać do swoich rybackich łodzi. Jedyna moc, jaką mieli, była mocą pochodzącą z fizycznej obecności Jezusa, w którym mieszkał Duch Boży. Ale po zmartwychwstaniu Jezus polecił uczniom wrócić do Jerozolimy i czekać, dopóki nie otrzymają nowej mocy, obiecanej mocy Ducha Świętego.

Ostatnią obietnicą Jezusa, daną jego wyznawcom, było to, że otrzymają moc. Popatrz tutaj, w Dziejach Apostolskich – dziewkan trzymał Pismo Święte tak, żeby z drugiej strony biurka mógł czytać razem z nim – *„Ale gdy Duch Święty zstąpi na was, weźmiecie Jego moc i będziecie Moimi świadkami w Jeruzalem i w całej Judei, w Samarii i aż po krańce ziemi”* (1,8).

– Widzisz, Nicky, to nie jest rozkaz, aby iść i świadczyć. To jest obietnica udzielenia mocy. A gdy apostołowie otrzymali moc, chcąc nie chcąc stali się świadkami. Otrzymali moc w chrzcie Duchem Świętym. Duch Święty zstąpił z nieba w potężny, wspaniały sposób i napełnił każdego z apostołów tą samą mocą, jaką napełniony był Jezus.

Poruszyłem się na krześle.

– Jeśli Bóg zsyła swego Ducha – zapytałem – dlaczego nie zesłał go mnie?

– O, zesłał – odpowiedział dziewkan. Wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem za swoim małym biurkiem.

– Zesłał! Tyś go tylko jeszcze nie otrzymał.

– Zesłał go, otrzymałem go – jaka to różnica?

– Duch Boży jest w tobie, Nicky. Wszedł w twoje życie w ten wieczór w hali St. Nicholas. *„Nikt też nie może powiedzieć: Jezus jest jego Panem, inaczej, jak tylko dzięki Duchowi Świętemu.* To Duch Święty uświadomił ci twoje grzechy. To Duch Święty dał ci moc przyjęcia Jezusa za swego Pana. To Duch Święty otworzył przed tobą drzwi szkoły. Ale nie pozwoliłeś mu napełnić cię zupełnie.

– Co mam zrobić? – spytałem wprost. – Próbowałem oczyścić duszę pozbywając się moich wszystkich grzechów. Prosiłem i modliłem się, ale nic się nie wydarzyło.

Dziewkan uśmiechnął się.

– To nie jest coś, co może zrobić człowiek, Nicky. Człowiek po prostu go otrzymuje.

Pokręciłem głową. Ciągle nic nie rozumiałem.

Dziewkan Lopez znowu wziął do ręki Biblię i jednym ruchem otworzył ją na Dziejach Apostolskich.

– Pozwól, że opowiem ci o człowieku nazywanym Szawłem. Szawel wybierał się na „wielką rozróbę” do Damaszku i po drodze został powalony przez Ducha Chrystusowego¹³. Później został ochrzczony w Duchu i został kaznodzieją. Tym razem moc nadeszła przez położenie na nim rąk.

¹³ Dzieje Apostolskie 9,3-5.

Dzieje Apostolskie 9,17.

– Czy w ten sposób ja mogę to otrzymać? – spytałem. – Ktoś może położyć na mnie ręce i będę ochrzczony w Duchu Świętym?.

– Może się to stać w ten sposób – odpowiedział dziekan Lopez – albo możesz otrzymać chrzest będąc całkiem sam. Ale gdy się to już stanie, twoje życie odmieni się na zawsze.

Przerwał, popatrzył mi prosto w oczy i powiedział:

– Świat potrzebuje twojego głosu, Nicky. Są setki tysięcy młodych ludzi w całej Ameryce, żyjących dalej tam, gdzie żyłeś ty – i tak jak żyłeś ty. Są w szponach strachu, nienawiści i grzechu. Potrzebują silnego, proroczego głosu, który będzie wznosił się ze slumsów i gett, wskazując ich Chrystusowi, który może wydobyć ich z niedoli. Oni nie będą słuchać dzisiejszych elokwentnych kaznodziejów. Nie będą słuchać nauczycieli z seminariów duchownych i szkół biblijnych. Nie będą słuchać działaczy społecznych. Nie będą słuchać zawodowych głosicieli ewangelii. Nie będą chodzić do wielkich kościołów, a jeśli nawet pójdą, nie będą tam mile widziani. Potrzebują proroka wyrosłego wśród nich samych, Nicky. I od tej chwili będę się modlił, żebyś ty został tym prorokiem. Mówisz ich językiem. Mieszkałeś tam, gdzie oni mieszkają. Jesteś taki jak oni. Nienawidziłeś tak, jak oni nienawidzą. Bałeś się tak, jak oni się boją. A teraz Bóg dotknął twojej duszy i wyprowadził cię z tego rynsztoka, abyś mógł wzywać innych do wstąpienia na Drogę Krzyża.

Nastąpiła długa chwila świętej ciszy. Potem dziekan odezwał się znowu.

– Nicky, chcesz, żebym modlił się o to, byś otrzymał Ducha Świętego?

Myślałem długo, po czym odpowiedziałem:

– Nie. Czuję, że to jest coś, co muszę otrzymać sam. Jeśli mam działać bez pomocy, muszę to otrzymać bez pomocy. Wierzę, że On napęlni mnie, kiedy będzie gotów... bo ja już jestem gotów.

Dzekan Lopez spojrział na mnie i uśmiechnął się.

– Jesteś mądry, młody Nicky. Te słowa mogą pochodzić jedynie od Ducha Świętego. Szybko zbliża się czas, kiedy twoje życie całkowicie się odmieni. Będę się modlił za ciebie tak, jak ty modlisz się za siebie.

Popatrzyłem na zegar ścienny. Spędziłem u dziekana cztery godziny. Była druga w nocy.

Następnych pięć nocy poświęciłem żarliwej modlitwie w kaplicy. Dnie miałem wypełnione zajęciami szkolnymi, ale nocą szedłem do kaplicy błagać Boga o udzielenie mi chrztu w Duchu Świętym. Nie umiałem się modlić inaczej niż na głos i robiłem to coraz głośniejsze i głośniejsze. Klęczałem przed podium i krzychałem do Boga:

– Ochrczuj mnie, ochrczuj mnie, ochrczuj mnie!

Ale nic się nie działo. To było tak, jakby kaplica była szczelnie zamkniętą skrzynią i moje modlitwy nie mogły dotrzeć do niebios. Noc po nocy chodziłem do kaplicy, klęczałem i biłem pięściami w balustradę przed podium krzyżąc:

– Ochrczuj mnie, Boże! Proszę Cię, ochrczuj mnie, żebym mógł mieć moc Chrystusa!

Próbowałem nawet wymawiać słowa w jakimś nieznanym języku, ale nic mi nie wychodziło.

W piątkową noc, po tygodniu bezowocnych modłów po cztery do pięciu godzin, byłem już całkiem wyczerpany i bliski załamania. O północy opuściłem kaplicę i szedłem powoli przez dziedziniec, gdy usłyszałem za budynkiem szkolnym czyjś krzyk. Pobiegłem co sił w nogach za róg i wpadłem na Roberto, byłego narkomana.

– Hej, Roberto! Roberto! Co się stało?

Roberto uniósł ręce ku niebu i krzyknął:

– Chwała Bogu! Chwała Bogu! Chwała Bogu!

– Co się stało? Dlaczego jesteś taki szczęśliwy?

– Zostałem ochrzczony w Duchu Świętym. Dziś w nocy, właśnie kilka minut temu, modliłem się i Bóg dotknął mojej duszy i napęlnił mnie radością i szczęściem. Nie mogę się

powstrzymać. Muszę iść, powiedzieć światu. Chwała Bogu, Nicky, chwała Jego cudownemu imieniu!

Roberto pobiegł przez dziedziniec podskakując i krzyząc:

– Alleluja! Chwała Bogu!

– Hej, poczekaj chwilę! – krzyknąłem za nim. – Roberto! Roberto! Gdzie otrzymałeś chrzest? Gdzie byłeś, kiedy to się stało?

Roberto odwrócił się i z uniesieniem pokazał na szkolny budynek.

– W tej dużej sali. Byłem na środku, klęczałem i On napełnił mnie żarem. Alleluja! Chwała Bogu!

Dłużej już go nie słuchałem. Na złamanie karku pognałem do tej sali. Jeśli On spłynął na Roberta, może jeszcze jest i może spłynie na mnie? Wpadłem do budynku i pobiegłem korytarzami do dużej sali. Ostro zahamowałem przed drzwiami i zajrzałem do środka. Było tam ciemno i cicho.

Powoli wszedłem do ciemnego wnętrza sali i po omacku, pomiędzy krzesłami i stolikami, przeszedłem do przodu. Ukląknąłem obok stolika, przy którym ta ładna ciemnooka dziewczyna z takim rozmachem usiadła na podłodze, kiedy zabrałem jej krzesło. Nie traciłem czasu na odtworzenie sobie w pamięci całego tego zdarzenia. Tradycyjnym gestem złożyłem ręce, uniosłem twarz ku sufitowi i wykrzyknąłem głośno:

– Boże, to ja, Nicky! Ja też tu jestem. Ochrczuj mnie!

Trwałem w oczekiwaniu. Nic się nie stało.

„Może mówię do niewłaściwej osoby – pomyślałem. – Spróbuję jeszcze raz”.

– Jezu – krzyknąłem z całych sił. – To ja, Nicky Cruz. Jestem tu, w sali w La Puente. Czekam, żebyś mnie ochrczył Twoim Duchem. Pozwól mi otrzymać Twój chrzest.

Nadzieja moja była tak silna, że omal nie uniosłem się nad podłogę. Usta miałem otwarte w gotowości do mówienia językami. Napiąłem mięśnie nóg, by móc w każdej chwili zerwać się i pobiec jak Roberto. Ale nic się nie działo. Nic. Cisza. Podłoga była coraz twardsza i zaczynały mnie boleć kolana. Powoli wstałem i zniechęcony poszedłem przez ciemny dziedziniec do sypialni.

W powietrzu unosił się zapach kwitnącego jaśminu. Pod nogami czułem wilgotną od wczesnej rosy trawę. Z zarośli dobiegał krzyk samotnego lelka, a skądś z daleka słychać było niskie dudnienie diesla wywożącego z doliny swój nocny ładunek. Księżyc wśliznął się za ciemną chmurę niczym uwodzicielska kobieta wycofująca się do swojego pokoju i zamykająca za sobą drzwi. W chłodnym nocnym powietrzu unosił się zapach jaśminu i gardenii, a światło ulicznych latarni mrugało, gdy przesłaniały je liście poruszanych przez wiatr palm. W raję Boga byłem samotny.

Cicho wśliznąłem się do sypialni i po omacku trafiłem do łóżka. Położyłem się na wznak, z rękami pod głową, i zacząłem patrzeć w ciemność. Słyszałem ciche oddechy chłopców.

– Boże! – załkałem i poczułem jak gorące łzy napływają mi do oczu i spływają koło uszu na poduszkę. – Przez tydzień prosiłem Cię, a Ty mi odmówiłeś. Nie jestem dobry. Wiem, dlaczego mnie nie napełniłeś. Nie jestem dość dobry. Przy innych ludziach zachowuję się jak dureń. Nie wiem nawet jak trzymać nóż i widelec. Nie umiem dobrze czytać i nie umiem myśleć na tyle szybko, żeby im dorównać. Znam tylko gang. Jestem tutaj tak nie na miejscu, tak jestem brudny i grzeszny. Chcę być dobry. Ale nie mogę być dobry bez Twojego Ducha, a Ty mi go nie dasz, bo nie jestem dość dobry.

Stanął mi przed oczyma mój dawny pokój przy Fort Greene Place 54 i mimowolnie się wzdrygnąłem.

– Nie chcę wracać, Boże, ale po prostu nie daję sobie tutaj rady. Ci wszyscy chłopcy i dziewczęta są tak pobożni i świątobliwi, a ja jestem tak ohydny i grzeszny. Potrafię dostrzec, kiedy jestem nie na miejscu. Jutro wracam.

Przewróciłem się na bok i zapadłem w niespokojny sen.

Na drugi dzień wróciłem po zajęciach do sali, żeby się spakować. Postanowiłem wymknąć się poza teren szkoły i udać się w długą drogę do domu autostopem. Pozostawanie tutaj nie miało sensu.

Gdy siedziałem na łóżku i rozmyślałem, przeszkodził mi jeden ze studentów mieszkających poza terenem szkoły.

– A, jesteś Nicky! Właśnie chciałem się z tobą zobaczyć.

Pomyślałem sobie: „A ja z tobą właśnie nie chciałem się zobaczyć”.

– Nicky – ciągnął chłopak radośnie – mamy w punkcie misyjnym przy alei Guava studium biblijne i nabożeństwo. Chcę, żebyś tam ze mną poszedł.

Pokręciłem głową.

– Nie dzisiaj, Gene. Jestem zmęczony i mam jeszcze dużo nauki. Poproś jakiegoś innego chłopaka.

– Ale nie ma tu innych chłopaków – powiedział i klepnął mnie w ramię – a oprócz tego Duch Święty powiedział mi, żebym przyszedł po ciebie.

– Hmm, Duch Święty, co? A mnie Duch Święty powiedział, żebym został tutaj i odpoczął, bo się zmęczyłem gadając do Niego przez cały tydzień. A teraz idź już sobie i pozwól mi odpoczywać.

Położyłem się na łóżku i odwróciłem do niego plecami.

– Nie wyjdę stąd bez ciebie – powiedział z uporem i usiadł na podłodze po turecku.

Zirykowało mnie to. Ten chłopak ma źle w głowie. Czyż nie widzi, że nie mam ochoty iść?

– No dobra – westchnąłem – pójdę z tobą. Ale nie dziw się, jeśli zasną w czasie nabożeństwa.

– Chodźmy – powiedział Gene wesoło i pociągnął mnie za rękę. – Jesteśmy już spóźnieni, a ja mam wygłosić kazanie.

Postanowiłem, że pójdę z nim, a po nabożeństwie wymknę się i wyjadę z miasta autostopem. Upchnąłem po kieszeniach szczotkę do zębów i kilka niezbędnych drobiazgów. Doszedłem do wniosku, że resztę rzeczy mogę tu zostawić. I tak nie były zbyt wiele warte.

Przybyliśmy do misyjnego punktu około wpół do ósmej wieczór. Wzniesiono go z brązowej, suszonej na słońcu cegły, wewnątrz był otynkowany. Na prostych drewnianych ławkach siedzieli prości Meksykanie.

„Wreszcie jestem w dobrym towarzystwie – pomyślałem. – Chociaż nawet ci ludzie są lepsi niż ja. Oni przynajmniej przyszli tutaj z własnej woli, a ja przyszedłem, bo mnie zmuszono”.

Gene mówił około piętnastu minut, po czym wezwał do wyjścia do przodu. Siedziałem w ostatnim rzędzie koło siwego mężczyzny, od którego mocno czuć było brudem i potem. Jego ubranie było tak brudne, jakby przyszedł tu prosto od roboty na jakiejś farmie, nie umywszy się nawet. Kiedy Gene głosił, ten stary człowiek zaczął cicho płakać.

– Jezu, Jezu, Jezu – powtarzał szeptem – dzięki Ci, Jezu, o dzięki Ci Jezu!

Coś poruszyło się w mojej duszy. Było to tak, jakby ktoś odkręcił kurek – na początek trochę. I wtedy zacząłem być napełniany.

– Dziękuję Ci Jezu – modlił się koło mnie stary farmer – dzięki Ci.

– O Boże! – zaszlochałem – O Jezu, Jezu, Jezu!

Zaciskałem zęby i próbowałem to powstrzymać, ale tama pękła i pobiegłem przejściem między ławkami do przodu, potykając się i zataczając, aż upadłem na z gruba ciosaną balustradę przed podium i wybuchnąłem niepowstrzymanym płaczem.

Poczułem na głowie dłoń Gene'a.

– Nicky – ledwo słyszałem jego głos przez moje łkania – Nicky, Bóg nie chciał pozwolić ci uciec dzisiejszej nocy. Jego Duch przyszedł do mnie przed godziną i posłał mnie do twojej

sali, żebym cię przyprowadził na to nabożeństwo. Wiedziałem, że chcesz uciec. On wysłał mnie, żebym cię powstrzymał.

Skąd on wiedział? Nikt o tym nie wiedział. Nikt, oprócz Boga.

– Bóg wysłał mnie do ciebie, Nicky. Wszyscy chłopcy i nauczyciele w szkole modlili się za ciebie. Czujemy, że Bóg położył na tobie swoją dłoń w zdumiewający, cudowny sposób. Czujemy, że On wkrótce skieruje cię na drogę wspaniałego budzącego respekt duszpasterstwa. Kochamy cię. Kochamy cię. Kochamy cię.

Łzy płynęły mi strumieniami. Chciałem mówić, ale nie mogłem. Poczułem jak Gene schodzi z podium, obejmuje mnie ramieniem i klęka obok mnie.

– Czy mogę się za ciebie modlić, Nicky? Czy mogę się modlić, żeby Chrystus ochrzcił cię swoim Duchem Świętym?

Próbowałem odpowiedzieć, ale rozplakałem się jeszcze bardziej. Kiwnąłem głową i wydałem kilka śmiesznych odgłosów, które Gene wziął za zgodę.

Nie usłyszałem jego modlitwy. Nie wiem nawet, czy w ogóle się modlił. Niespodzianie otwarłem usta i popłynęły z nich najpiękniejsze dźwięki, jakie kiedykolwiek słyszałem. Poczułem jakąś siłę oczyszczającą mnie całego od wewnątrz od palców nóg do czubka głowy. Język, w jakim słauiłem Boga, nie był ani angielskim, ani hiszpańskim. Był to jakiś nie znany mi język. Nie miałem pojęcia, co mówię, ale wiedziałem, że chwałę Przenajświętszego Boga słowami, których nigdy bym sam nie użył.

Nie czułem upływu czasu ani twardych, nieheblowanych desek pod kolanami. Modliłem się do Boga tak, jak zawsze pragnąłem się modlić i nie miałem zamiaru przestać. Zdawało mi się, że upłynęło zaledwie kilka chwil, gdy poczułem, że Gene dotknął mojego ramienia i potrząsnął mną.

– Nicky, już późno. Musimy wracać do szkoły.

– Nie, tu jest dobrze – usłyszałem swój głos – pozwól mi zostać tu na zawsze.

– Nicky – nalegał Gene – musimy iść. Możesz skończyć, kiedy wrócimy, ale musimy już jechać do szkoły.

Podniosłem wzrok. W kościele nie było nikogo prócz nas dwóch.

– Ojej, gdzie się wszyscy podziali?

– Człowieku, jest jedenasta wieczór. Poszli ponad godzinę temu.

– To znaczy, że modliłem się przez dwie godziny? – spytałem z niedowierzaniem.

– Dziękuję Ci Jezus! Dziękuję Ci! – wykrzykiwałem, gdy pobieглиśmy do samochodu.

Gene wysadził mnie przed bursą i odjechał. Wpadłem do sali, zaświciłem światło i zacząłem na cały głos śpiewać: *Święty, Święty, Święty, Boże Niezmierzony!*

– Hej, co się dzieje? Co się stało? – zaczęli krzyczeć moi współmieszkańcy. – Zgaś światło! Ależ z ciebie wariat! – Zgaś światło!

– Cicho! – krzyknąłem. – Dziś jest moje święto! Nie wiecie, co mi się przydarzyło, ale ja wiem i będę dziś śpiewał: *Niebiański blask wypełnił duszę mą...*

Ze wszystkich stron posypał się na mnie grad poduszek.

– Zgaś światło!

Ale ja wiedziałem, że w mojej duszy zapłonęło światło, które nigdy nie zgaśnie. Będzie płonać zawsze.

Tej nocy miałem znowu sen, pierwszy od czasu, kiedy zostałem zbawiony. Śniło mi się, że stoję na szczycie wzgórza koło Las Piedras w Puerto Rico, na którym stałem już wiele razy przedtem w dręczących mnie dawniej snach. Popatrzyłem w niebo i ujrzałem znajomy kształt ptaka. Zadrżałem i spróbowałem się obudzić. O Boże, nie pozwól im zacząć od nowa, proszę Cię. Ale ptak był coraz bliżej. Jednak tym razem nie był to ten beznogi ptak, nawet nie gołąb. To była synogarlica, która delikatnie usiadła na mojej głowie. Po chwili obraz rozwiązał się i zapadłem w głęboki, krzepiący sen.

Nicky Cruz opowiada

Rozdział 13

Gdzie boją się pojawić anioły

Dni, które potem nastąpiły, pełne były radości i triumfu. Pierwszą zmianą, jaką zauważyłem, była zmiana w moim zachowaniu. Nie zachowywałem się już jak ulicznik. Stałem na baczność w czasie modlitwy, modląc się razem z prowadzącym. Zamiast zachowywać się impertynencko, zacząłem okazywać innym szacunek. Odnosiło się to zwłaszcza do tej siedzącej przede mną dziewczyny z pięknymi czarnymi oczyma.

Dowiedziałem się, że ma na imię Gloria. W dniu, kiedy opisałem klasie moją drogę do Chrystusa, Gloria podeszła do mnie i uścisnęła mi dłoń z dystynkcją i godnością:

– Niech cię Bóg błogosławi, Nicky. Modliłam się o ciebie.

Miałem powody przypuszczać, że modliła się raczej, abym padł trupem, ale przekonałem się, że szczerze cieszyła się z tego, iż Bóg mnie dotknął. Widać to było w jej pięknym uśmiechu i czarnych oczach, które lśniły jak gwiazdy o północy. Po tygodniu nabrałem już na tyle śmiałości, że spytałem ją, czy pójdzie ze mną na nabożeństwo misyjne, które prowadziliśmy w małym kościółku niedaleko koledżu. Gloria kiwnęła głową z uśmiechem, od którego pojawiły się na jej policzkach dołeczki.

Przez ten rok wiele razy chodziliśmy razem na nabożeństwa. Choć zawsze byliśmy z grupą, wiele się o Glorii dowiedziałem. Urodziła się w Arizonie. Jej ojciec był Włochem, a matka Meksykanką. Przeprowadzili się do Kalifornii, gdy Gloria miała pięć lat. Rodzice otworzyli bar w Oakland. W ostatniej klasie szkoły średniej Gloria została zbawiona i postanowiła wstąpić do szkoły biblijnej. Jej pastor, wieloletni Sixto Sanchez, poradził jej, aby napisała do Instytutu Biblijnego. Została przyjęta i jesienią przyjechała do szkoły.

Gdy zbliżał się koniec roku szkolnego, spostrzegłem, że przeżywa jakąś głęboką wewnętrzną rozterkę. Wyraźnie dawała się jej we znaki surowa dyscyplina szkoły. Z końcem roku powiedziała mi, że wątpi, aby wytrzymała tu przez następny rok, więc nie wróci do szkoły. Zasmuciło mnie to, ale uprosiłem ją, żeby do mnie napisała.

Pierwsze lato spędziłem w Los Angeles. Zabrali mnie do siebie pewni przyjaciele. Ale bardzo tęskniłem za Glorią. Gdy jesienią rozpoczął się rok szkolny, z radością znalazłem oczekujący na mnie list. Gloria dotrzymała obietnicy.

Częściowo przedstawiła mi motywy, które skłoniły ją do porzucenia szkoły.

Moje doświadczenia różnią się od twoich, Nicky – pisała. – Mimo że rodzice prowadzili bar, byłam wychowana w dobrej, moralnej atmosferze. Gdy zostałam zbawiona, zaczęłam popadać w skrajność. Nauczono mnie, że grzechem jest postępować tak, jak postępuje świat. Przestałam się malować, nie chciałam nosić kostiumu kąpielowego i nawet biżuterii. Odrzucałam wszystko. Gdy poszłam do szkoły, było jeszcze gorzej. Byłam bliska załamania. Chciałam ci to powiedzieć, ale ani razu nie byliśmy sami. Mam nadzieję, że zrozumiesz i będziesz się za mnie modlił. Ale nie wrócę już do szkoły....

Drugi rok w szkole biblijnej upływał mi szybko. Moje stopnie poprawiły się, koledzy zaczęli mnie akceptować. Kilka razy miałem okazję wygłaszać kazanie w czasie ulicznych nabożeństw i opowiadać o swoim nawróceniu w kilku okolicznych kościołach.

W kwietniu dostałem list od Davida Wilkersona. Ciągłe mieszkał w Pensylwanii, ale chciał, żebym wrócił tego lata do Nowego Jorku i działał wśród brooklyńskich gangów. Miał zamiar wynająć mieszkanie na Clinton Avenue, pomiędzy Fulton a Gates, i uzyskał zapewnienie od Thurmana Faisona i Luisa Delgado, że jeśli przyjadę, będą ze mną pracować. Pieniądzy nie ma za dużo, ale będziemy mieli gdzie mieszkać i dostaniemy po siedem dolarów tygodniowo.

Tego samego dnia wieczorem, po zajęciach, poszedłem do gabinetu dziekana i zamówiłem rozmowę z Davidem na jego koszt. Telefon dzwonił długo. Wreszcie odezwał się zaspany głos i mruknął, że zgadza się przyjąć rozmowę na swój rachunek.

– Hej, Davie, to ja, Nicky. Skończyłeś już kolację?

– Nicky, czy wiesz, która godzina?

– Jasne stary. Dziesiąta wieczór.

– Nicky... – w jego głosie pojawił się tylko ślad zniecierpliwienia – może w Kalifornii jest dziesiąta, ale tutaj jest pierwsza i Gwen, i ja śpimy już od dwóch godzin. A teraz obudziłeś też dziecko.

– Ale, Davie, ja tylko chciałem ci przekazać dobrą nowinę. Usłyszałem przez telefon jak płacze dziecko.

– A cóż to jest aż takie dobre, że nie może poczekać do rana?

– To nie może czekać, Davie. Przyjeżdżam do Nowego Jorku, żeby pracować z tobą przez lato. Bóg powiedział mi, że chce, żebym pojechał.

– To wspaniale, Nicky. Naprawdę. Jestem poruszony. Gwen tak samo. I dziecko też. Wyślę ci bilet na samolot. Dobranoc.

Całą noc nie spałem robiąc plany na czas pobytu w Nowym Jorku.

Wyjazd do mojego miasta pozwolił mi dostrzec jak się zmieniłem. Jakby całe moje życie stało się intensywniejsze, nabrało nowego sensu. Gdy zaczęliśmy podchodzić do lądowania na nowojorskim Idlewild Airport, od wspomnień i z podekscytowania serce zaczęło mi bić żywiej. Dostrzegłem na horyzoncie sylwetkę Empire State Building, a potem most Brooklyński. Nie zdawałem sobie dotąd sprawy z tego, jak wielkie jest to miasto zajmujące setki mil kwadratowych. Moje serce przepełniło się miłością i współczuciem dla milionów ludzi pode mną, uwięzionych w asfaltowej dżungli grzechu i rozpacz. Gdy okrążyliśmy miasto, oczy zalały mi łzami. Byłem samotny, ale szczęśliwy. Bałem się, ale niecierpliwie oczekiwałem. Byłem w domu.

David czekał na mnie na lotnisku. Objęliśmy się i zapłakaliśmy, nie wstydząc się swych łez. Objąwszy mnie ramieniem, David prowadził mnie do samochodu, entuzjastycznie opowiadając o swoim nowym marzeniu.

Słuchałem jak mówi o swych planach na przyszłość: o nowym Centrum Młodzieżowym. Ale widział jednocześnie, że coś mnie nurtuje, i w końcu wyhamował na tyle, żeby spytać, o czym myślę.

– Davie, co z Izraelem? Gdzie jest? Czy wszystko u niego w porządku?

David zwiesił głowę, a po chwili popatrzył na mnie ze smutkiem.

– Nie, Nicky. Nie wszystko jest w porządku. Nie pisałem ci o tym, bo bałem się, że cię to zniechęci. Chyba mogę ci to już powiedzieć, żebyś mógł razem ze mną modlić się w tej sprawie.

Usiedliśmy w rozgrzanym samochodzie stojącym na parkingu przy lotnisku i David opowiedział mi o Izraelu.

– Izrael poszedł do więzienia. Współuczestniczył w morderstwie, w grudniu, kiedy pojechałeś do szkoły. Od tego czasu jest w więzieniu.

Serce mi załomotało i poczułem jak zimny pot oblewa mi dłonie. Z trudem odetchnąłem.

– Opowiedz mi wszystko co wiesz, Davie. Muszę to usłyszeć.

– Nie wiedziałem o niczym aż do chwili, kiedy było już po wszystkim i Izrael został przeniesiony do więzienia w Elmirze. Pojechałem do Nowego Jorku, żeby zobaczyć się z matką Izraela. Płakała, kiedy ze mną rozmawiała. Powiedziała, że Izrael bardzo się zmienił, odkąd przyjął Chrystusa, ale potem, po tym rozczarowaniu, wrócił do gangu.

– Po jakim rozczarowaniu? – spytałem.

– Nie wiesz?

– Mówisz o tym napadzie na mnie z nożem? Izrael powiedział wtedy, że znajdzie typa, który to zrobił.

– Nie, to było coś o wiele gorszego. Jego matka powiedziała mi, że w dniu, w którym wyszedłem ze szpitala, przyszedł do nich pan Delgado i poprosił Izraela, żeby na drugi dzień pojechał z tobą do mnie, do Elmiry. Izraela bardzo to podekscytowało i powiedział, że pojedzie. Na drugi dzień matka zbudziła go o czwartej rano, wyprasowała mu ubranie i spakowała walizkę. Izrael poszedł na Flatbush Avenue i czekał od szóstej do dziewiątej rano. Jakoś się rozminęliście. Izrael wrócił do domu, rzucił walizkę i powiedział matce, że wszyscy chrześcijanie to banda oszustów. Tego samego dnia wrócił do gangu.

Poczułem jak do oczu napływają mi łzy.

– Szukaliśmy go – powiedziałem – szukaliśmy go wszędzie. Chciałem jeszcze zostać i go szukać, ale pan Delgado powiedział, że musimy jechać. Och, David, gdybyśmy o tym wiedzieli. Jeślibyśmy tylko szukali trochę dokładniej i trochę dłużej, może Izrael byłby teraz ze mną w szkole.

David wysiąkał nos i mówił dalej.

– Po powrocie do gangu, razem z czterema innymi zastrzelił przed Penny Arcade jednego dzieciaka z Południowej Ulicy Aniołów. Chłopak zginął na miejscu. Izrael przyznał się do współdziałania w morderstwie i został skazany na pięć lat więzienia stanowego. Ciągle tam jest.

Nastąpiła długa chwila milczenia. W końcu spytałem Davida, czy ma jakieś wiadomości od Izraela albo czy widział go od czasu, kiedy ten poszedł do więzienia.

– Pisałem do niego, ale okazało się, że on nie może odpisywać. Wolno mu pisać tylko do najbliższej rodziny. Jego korespondencja musi przechodzić przez ręce więziennego kapelana. Modliłem się za niego przez całe lato i w końcu pojechałem do Elmiry, żeby go odwiedzić. Właśnie przygotowywali się do przeniesienia go do obozu pracy w Comstock i pozwolili mi tylko na kilkuminutowe widzenie. Zdaje się, że jakoś sobie radzi, ale ma do odsiedzenia jeszcze ponad trzy lata.

Długo siedzieliśmy w milczeniu, aż w końcu powiedziałem:

– Myślę, że powinniśmy się pomodlić za Izraela.

David schylił się nad kierownicą i zaczął się głośno modlić. Ja odwróciłem się, ukląknę na podłodze i oparłem łokcie na fotelu. Ponad piętnaście minut modliliśmy się tak na tym parkingu. Kiedy skończyliśmy, David powiedział:

– Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy teraz zrobić dla Izraela, ale miasto pełne jest innych jemu podobnych, których ciągle jeszcze możemy ocalić dla Jezusa Chrystusa. Czy jesteś gotów podjąć pracę?

– Jedźmy – powiedziałem, ale wiedziałem, że moja praca nie będzie zakończona do czasu, aż będę mógł uwolnić Izraela.

David uruchomił silnik i wyjechał z parkingu na zatłoczone nowojorskie ulice. Pałem się do pracy dla Pana.

– Chcę jutro odwiedzić moich starych kumpli z gangu – powiedziałem jakby od niechcenia. – Chcę powiedzieć im o Jezusie.

David pokiwał głową, skręcił z głównej ulicy i zatrzymał się na czerwonym świetle. Potem popatrzył na mnie i powiedział:

– Nie śpieszyłbym się tak bardzo na twoim miejscu, Nicky. Dużo się zmieniło od dnia twojego wyjazdu. Pamiętasz jak było, gdy stałeś się chrześcijaninem? Ledwo uszedłeś z życiem. Na twoim miejscu byłbym ostrożny. Jest dość do zrobienia nawet bez wtrącania się w sprawę Mau Mau. Tylko głupcy idą tam, gdzie boją się pojawić anioły.

Zapaliło się zielone światło i ruszyliśmy, szerokim łukiem wyprzedzając autobus.

– Może jestem głupcem, Davie, ale tym razem jestem głupcem dla Jezusa. On pójdzie ze mną i ochroni mnie. Anioły może boją się chodzić po rejonie Mau Mau, ale ja będę szedł z Jezusem.

David uśmiechnął się i kiwnął głową. Skręciliśmy w Clinton Avenue. David zahamował przed jednym z domów i powiedział:

– On jest twoim przewodnikiem, Nicky, nie ja. Rób, co On ci mówi, a będziesz odnosił same sukcesy. Chodź, chcę cię poznać z Thurmanem i Luisem.

Nazajutrz nastąpił ten wielki dzień. Większą część nocy nie spałem, tylko się modliłem. Rano ubrałem się w garnitur, włożyłem krzykliwy krawat, wsadziłem pod pachę swoją nową Biblię w skórzanej oprawie i ruszyłem przez miasto na osiedle Fort Greene. Szedłem zobaczyć się z Mau Mau.

Miasto niewiele się zmieniło. Kilka starych domów przeznaczono do rozbiórki i zabito deskami drzwi i okna, ale prócz tego wszystko było tak, jak przed dwoma laty, kiedy wyjeżdżałem. Za to ja się zmieniłem. Przybrałem na wadze, ostrzygłem się – ale największa zmiana zaszła wewnątrz mnie. Byłem całkiem nowym Nickym. Gdy szedłem przez park Waszyngtona, serce zaczęło mi bić szybciej. Szukałem Mau Mau, ale po raz pierwszy zacząłem się zastanawiać, jak ich powitam i co oni powiedzą, gdy mnie zobaczą. Jak im się przedstawić? Nie bałem się, tylko pragnąłem mądrości, aby sprostać sytuacji ku chwale Bożej.

Wyszedłszy z parku, zobaczyłem grupę Mau Mau opartych o ścianę domu. Przemknęły mi przez myśl słowa Davida: „Tylko głupcy idą tam, gdzie boją się pojawić anioły”, ale szybko pomodliłem się na głos do Ducha Świętego, by mi towarzyszył i podeszedłem do znudzonej grupy.

Chłopców było kilkunastu. Zobaczyłem wśród nich Williego Corteza. Klepnąłem go w ramię i powiedziałem:

– Willie, stary, cześć...

Willie odwrócił się i wytrzeszczył na mnie oczy.

– Niemożliwe, Nicky?

– Tak, to ja, chłopie.

– Człowieku, wyglądasz jak święty albo co...

– Nie gorączkuj się, stary. Właśnie przyjechałem z Kalifornii. Wiedzie mi się doskonale. Jestem chrześcijaninem i chodzę do szkoły.

Willie złapał mnie za ramiona i zaczął mną obracać przyglądając mi się ze wszystkich stron.

– Chłopie, Nicky, nie do wiary. Nie do wiary.

Potem zwrócił się do reszty chłopaków, którzy przyglądali się nam z zaciekawieniem i powiedział:

– Hej, chłopaki, kapelusze z głów! To jest Nicky. Był naszym prezesem. Był wielkim rozrabiaką. Za jego czasów Mau Mau przeżywali wielkie dni. A on był najtwardszy z nich wszystkich.

Chłopcy zdjęli kapelusze. Prócz Williego Corteza nie znałem żadnego z nich. Chłopcy przeważnie byli młodszy. O wiele młodszy. Ale słowa Williego zrobiły na nich wrażenie. Słyszeli o mnie i stłoczyli się koło mnie z wyciągniętymi rękami.

Objąłem Williego ramieniem i uśmiechnąłem się do niego:

– Słuchaj, Willie, przejdźmy się po parku. Chcę z tobą pogadać.

Odeszliśmy od grupy i weszliśmy do parku Waszyngtona. Willie szedł powoli obok mnie, z rękami w kieszeniach, szurając butami po betonie.

– Willie – przerwałem ciszę – chcę ci powiedzieć, co zrobił dla mnie Chrystus.

Willie nie podniósł głowy, ale szedł ze mną dalej, a ja mówiłem. Powiedziałem mu jak czułem się przed dwoma laty jako członek gangu i jak oddałem serce Chrystusowi. Opowiedziałem mu jak Bóg wyprowadził mnie z dzikiej betonowej dżungli do miejsca, gdzie stałem się twórczą istotą ludzką.

Willie przerwał mi i usłyszałem, że głos mu drży.

– Hej, Nicky, daj spokój, dobra? Jak tak mówisz, to mi się źle robi. Coś mi się w środku dzieje. Nie jesteś już tym samym starym Nickym. Napędzasz mi stracha.

– Masz rację, Willie. Coś mnie odmieniło. Krew Chrystusa obmyła mnie i odmieniła. Jestem innym człowiekiem. Nie boję się już. Nie czuję już nienawiści. Teraz odczuwam do wszystkich miłość. Do ciebie też, Willie. I chcę ci powiedzieć, że Jezus również cię kocha.

Wskazałem Williemu ławkę, koło której przechodziliśmy. Willie usiadł i popatrzył na mnie.

– Nicky, powiedz mi coś jeszcze o Bogu.

Po raz pierwszy w życiu zdałem sobie sprawę z tego, jak ważne jest, abym mówił swoim przyjaciołom o Chrystusie. Widziałem w twarzy Williego samotność, nieświadomość, strach. Był taki, jaki ja byłem przed dwoma laty. Ale teraz chciałem mu powiedzieć jak może się z tego wydobyć.

Usiadłem obok niego i otworzyłem Biblię w miejscu, które zaznaczyłem czerwonym ołówkiem. Monotonnie przeczytałem fragmenty dotyczące ludzkich grzechów. Gdy przeczytałem: „Zapłatą bowiem za grzech jest śmierć”¹⁴, Willie popatrzył na mnie ze strachem.

– Co ty gadasz, Nicky? Skoro jestem grzesznikiem i Bóg mnie zabije za moje grzechy, to co ja mogę zrobić? Chciałem powiedzieć, że muszę coś zrobić, chłopie. Co mam zrobić?

Zerwał się z ławki i popatrzył na mnie rozszereżonymi oczyma.

– Siadaj, Willie. Jeszcze nie skończyłem. Pozwól mi dokończyć. Bóg cię kocha. Nie chce, żebyś poszedł do piekła. Posłał swojego jedyne Syna, który zapłacił za twoje grzechy. Posłał Jezusa za ciebie na śmierć, żebyś mógł otrzymać życie wieczne. I jeśli Go przyjmiesz, wyznasz mu swoje grzechy, On cię zbawi.

Willie opadł na ławkę ze zdesperowanym wyrazem twarzy. Siedziałem, patrzyłem na niego i oczy napełniły mi się łzami. Mocno zacisnąłem powieki i zacząłem się modlić, ale łzy wydostały mi się na policzki i popłynęły w dół. Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że Willie też płacze.

– Willie, wiesz, co to znaczy opamiętać się?

Willie przecząco pokręcił głową.

– To znaczy zmienić się. Zawrócić. Willie, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chcę, żebyś coś zrobił. To może urazić twoją dumę. Ale chcę się za ciebie pomodlić. Czy uklękiesz?

Nie wiedziałem, czy Willie się na to zgodzi – przed naszą ławką ciągle przechodzili ludzie. Jednak Willie kiwnął głową i bez wahania ukląkł w tej alejce. Popatrzawszy w górę powiedział:

– Nicky, jeśli Bóg mógł zmienić ciebie, może zmienić i mnie. Czy pomodlisz się za mnie?

¹⁴ List św. Pawła do Rzymian 6,23.

Położyłem rękę na jego głowie i zacząłem się modlić. Czułem jak drży pod moją ręką, i słyszałem jak łka. On też się zaczął modlić. Obaj modliliśmy się głośno – bardzo głośno. Wołałem przez łzy:

– Boże! Odmień Williego. Odmień mojego przyjaciela Williego. Zbaw go. Pozwól mu być przewodnikiem, za którym przyjdą do Ciebie inni.

Willie modlił się głośno, z wysiłkiem.

– Jezu... Jezu... Ratuj mnie! Ratuj mnie... – łapał powietrze gwałtownymi haustami i płakał wykrzykując: – Jezu, ratuj mnie!

Zostaliśmy w parku do wieczora. O zmierzchu Willie poszedł do swego domu, obiecawszy przyprowadzić do mnie na drugi dzień resztę gangu. Stałem i patrzyłem jak znika w mroku. Nawet z tyłu widać było różnicę. Coś poprzez mnie przepłynęło do Williego Corteza. Wracając tego wieczora na Clinton Avenue chyba nie szedłem... Płynąłem w powietrzu, każdym tchnieniem chwalać Boga. Przypomniało mi się jak biegałem po wielkiej łące przed naszym domem w Puerto Rico i machając rękami próbowałem latać jak ptak. Teraz uniosłem głowę i głęboko odetchnąłem. Nareszcie wzleciałem.

Resztę lata spędziłem z gangiem, wygłaszając uliczne kazania i pracując z poszczególnymi osobami. Wyznaczałem sobie ścisłe posty, powstrzymując się od jedzenia od szóstej rano w środy do szóstej rano we czwartki. Odkryłem, że gdy poszczę i spędzam czas na modlitwie, zdarzają się w moim życiu ważne rzeczy. Pisałem również do Glorii i ostatnio jej listy zaczęły nabierać ciepłego, przyjaznego tonu, jakby pisanie do mnie sprawiało jej przyjemność. Ciągle jeszcze nie sprecyzowała swoich planów na nadchodzący rok i wiele czasu spędzałem modląc się za nią.

Na dwa tygodnie przed moim powrotem do szkoły, jeden z biznesmenów z komitetu Davida przyszedł do mnie z czekiem. Powiedział, że chcą mi dać nagrodę za pracę, którą wykonałem, i sugerują, żebym kupił za to bilet do Puerto Rico i przed powrotem do szkoły odwiedził rodziców. Nie mogli mi sprawić większej radości.

Przyleciałem do San Juan w poniedziałek po południu i najbliższym autobusem pojechałem do Las Piedras.

Było już prawie całkiem ciemno, gdy wysiadłem z autobusu i ruszyłem przez miasteczko w kierunku znajomej ścieżki, prowadzącej przez porośniętą trawą zbocze do stojącego na szczycie wzgórza białego drewnianego domu. Tysiące wspomnień przelatywało mi przez głowę i serce biło mi żywiej. Ktoś krzyknął:

– To Nicky, to Nicky Cruz!

Zobaczyłem człowieka, który pobiegł przede mną na szczyt wzgórza, żeby powiedzieć moim rodzicom, że przyjechałem do domu. W chwilę później gwałtownie otworzyły się drzwi. Wybiegło z nich czterech chłopców i popędziło w dół zbocza. Nie widziałem ich pięć lat, ale rozpoznałem: to byli moi bracia. Za nimi biegła moja matka w powiewającej na wietrze spódnicy. Upuściłem walizkę i pobiegłem im naprzeciw. Wpadliśmy sobie w objęcia wśród okrzyków i łez radości. Chłopcy rzucili się na mnie i przewrócili mnie na ziemię, mocując się ze mną radośnie. Mama uklękła obok mnie, obejmując mnie za szyję i obsypując pocałunkami.

Podniosłem się z ziemi. Dwaj moi młodszy bracia podbiegli do mojej walizki i potaszczyli ją do domu. Spoglądając za nimi, ujrzałem stojącą samotnie wysoką i wyprostowaną postać ojca, który patrzył w moją stronę. Powoli ruszyłem w jego kierunku. Ojciec stał niewzruszony, wyprostowany i uważnie mi się przyglądał. Zacząłem biec i ojciec powoli ruszył w dół po schodach, aż wreszcie i on zaczął biec i spotkał mnie przed domem. Chwyciwszy mnie w objęcia swoich niedźwiedzich ramion, podniósł z ziemi i mocno przycisnął do piersi.

– Witaj w domu, ptaszku, witaj w domu.

Frank napisał do rodziców, że całkiem się zmieniłem i że jestem w szkole w Kalifornii. Rozeszła się wieść, że jestem chrześcijaninem, i wielu wierzących z Las Piedras przyszło wieczorem do naszego domu, żeby się ze mną zobaczyć. Powiedzieli mi, że inni też chcą się ze mną widzieć, ale boją się przyjść do „domu czarownika”. Wierzą, że mój ojciec umie rozmawiać ze zmarłymi i zabobonny strach nie pozwala im zbliżyć się do naszego domu. Chcą jednak zorganizować nabożeństwo w domu jednego z chrześcijan i proszą mnie, żebym wygłosił kazanie i złożył świadectwo. Powiedziałem im, że poprowadzę nabożeństwo, ale odbędzie się ono w moim domu. Popatrzyli po sobie i ten, który im przewodził, powiedział:

– Ale, Nicky, wielu naszych ludzi boi się demonów. Boją się twojego ojca.

Powiedziałem im, że wszystkim się zajmę i że jutro wieczorem zorganizujemy w moim domu wielkie chrześcijańskie nabożeństwo.

W jakiś czas później, tego samego wieczora, ojciec, usłyszawszy o naszych planach, gwałtownie zaprotestował.

– Nie dopuszczę do tego. Nie będzie żadnego chrześcijańskiego nabożeństwa w moim domu. Ci ludzie mnie zrujniają. Jeśli odprawimy tu chrześcijańskie nabożeństwo, inni nigdy już tu nie przyjdą. To mnie wykończy jako spirytystę. Stanowczo zabraniam.

Matka zaczęła się z nim spierać.

– Nie widzisz jak Pan odmienił twego syna? Coś musi w tym być. Kiedy go widziałeś ostatnim razem był jak zwierzę. Teraz jest kaznodzieją, chrześcijańskim pastorem. Będziemy tu mieli nabożeństwo i ty na nim będziesz.

Matka rzadko przeciwstawiała się ojcu, ale gdy już to zrobiła, zawsze stawiała na swoim. Tak było i tym razem Następnego wieczora dom pełen był ludzi ze wsi. Przyjechało też kilku pastorów z pobliskich miasteczek. Było gorąco jak w łaźni. Stałem w pokoju pełnym ludzi i opowiadałem, w jaki sposób stałem się chrześcijaninem. Zacząłem szczegółowo opowiadać o tym, jak byłem w mocy diabła i jak zostałem z niej uwolniony mocą Chrystusa. Ludzie żywo reagowali na moją opowieść: pomrukiwali z uznaniem, od czasu do czasu wydawali okrzyki i klaskali z uciechy, gdy opisywałem różne zdarzenia z mojego życia.

Pod koniec nabożeństwa poprosiłem, żeby skłonili głowy. Następnie wezwałem tych, którzy chcą uznać Chrystusa za swego Zbawcę, aby wystąpili do przodu i uklękli, po czym zamknąłem oczy i zacząłem się po cichu modlić.

Usłyszałem jak ludzie się poruszili i niektórzy podchodzą do przodu. Usłyszałem jak klękają przede mną i płaczą. Stałem bez ruchu, z zamkniętymi oczyma i twarzą wzniesioną ku niebu. Czulem jak pot spływa mi po twarzy, plecach i nogach. Ociekałem potem z gorąca, które mnie oblało, gdy wygłaszałem kazanie. Ale czulem, że Bóg działa, i nie przerywałem modlitwy.

Wtedy usłyszałem jak na podłodze przede mną zaczęła się modlić jakaś kobieta. Głos był mi znajomy. Otworzyłem oczy z radosnym niedowierzaniem. Przede mną klęczała z twarzą ukrytą w spódnicy moja matka oraz dwaj moi młodsi bracia. Ukląkłem przed nią i objąłem ramionami jej łkającą postać.

– Och, Nicky, synu mój, synu mój, ja też w Niego wierzę. Chcę, by był Panem mojego życia. Obrzydły mi śmiertelne demony, złe duchy i chcę, aby Jezus był moim Zbawcą.

Matka zaczęła się modlić, a ja słyszałem ten sam głos, który kiedyś wypędził mnie do mojego pokoju, a później pod dom, wykrzykujący w dzikiej furii: „Nienawidzę cię!” – teraz słyszałem ten głos wołający do Boga o zbawienie i szloch mną wstrząsnął, gdy matka modliła się o darowanie jej win.

– Proszę Cię, kochany Boże, wybac mi, że zawiodłam swojego syna. Wybac mi, że wypędziłam go z domu. Wybac mi moje grzechy i to, że nie wierzyłam w Ciebie. Wierzę. Teraz wierzę w Ciebie. Zbaw mnie, o Boże, zbaw mnie!

Rozpostarłem ramiona i objąłem moich dwóch młodszych braci, jednego piętnastoletniego, drugiego szesnastoletniego. Spleceni mocnym uściskiem modliliśmy się, klęcząc na podłodze i chwaliлиśmy Boga.

W końcu wstałem i popatrzyłem na ludzi. Przybyło wielu innych. Klęczeli na podłodze, modlili się i płakali. Chodziłem od jednego do drugiego i kładąc kolejno rękę na ich głowach modliłem się. Gdy skończyłem i się odwróciłem, zobaczyłem na drugim końcu pokoju, pod ścianą, samotną, wysoką, wyprostowaną postać mojego ojca, górującą się nad pochylonymi głowami. Nasze spojrzenia spotkały się na dłuższą chwilę i spostrzegłem, że ojcu wyraźnie zadrgała broda. Oczy napełniły mu się łzami – ale gwałtownie się odwrócił i wyszedł z pokoju.

Ojciec nigdy otwarcie nie uczynił wyznania wiary. Ale od tego dnia wyraźnie złagodniał, i nigdy więcej nie odbył się w domu Cruzów seans spirytystyczny. Dwa dni później wróciłem do Nowego Jorku, a w następnym tygodniu jeden z miejscowych pastorów ochrzcił moją matkę i dwóch braci.

Został mi niecały tydzień do wyjazdu do Kalifornii, na ostatni rok szkoły. W przeddzień wyjazdu miało się odbyć wielkie zgromadzenie młodzieży w kościele Iglesia de Dios – Juan 3,16. Dołożyliśmy wszelkich starań, by się tam zjawili Mau Mau. Steve, ich nowy prezes, z którym się zaprzyjaźniłem, powiedział, że jeśli ja wybieram się na to nabożeństwo, on dopilnuje, żeby gang zjawił się tam również.

Gdy przed nabożeństwem stałem w przedsionku, oglądając stare dziury po pociskach sprzed dwóch lat, zaczęli się schodzić Mau Mau. Przyszło ich ponad osiemdziesięciu pięciu. Kościółek był wypełniony szczelnie. Gdy Mau Mau weszli, krzyknąłem do nich:

– Hej, chłopaki, to jest rejon Boga. Zdejmijcie kapelusze.

Posłuchali bez słowa. Chłopak stojący po przeciwnej stronie przedsionka z dziewczyną z gangu, zawołał:

– Hej, Nicky, mogę tu obejmować swoją dziewczynę? – Tak, chłopie – odkrzyknąłem. – Nie krępuj się, tylko bez całowania i przytulaniek.

Reszta chłopaków ryknęła śmiechem i weszliśmy do środka.

Na zakończenie nabożeństwa pastor poprosił mnie, abym opowiedział zebrany jak stałem się chrześcijaninem. Odwróciłem się i popatrzyłem na chłopaków. Wiedziałem, że jutro wyjeżdżam, i nagły dreszcz przebiegł mi po plecach.

Gdy tu wrócę, niektórzy z chłopców będą już martwi albo w więzieniu. Zacząłem mówić. Mówiłem tak, jak umierający do umierających. Zapomniałem o skrępowaniu i otwarłem przed nimi serce. Już dwie godziny byliśmy w kościele, a ja mówiłem jeszcze czterdzieści pięć minut. Nikt się nie ruszył. Kiedy skończyłem, łzy lały mi się strumieniami po twarzy i błagałem ich, by powierzyli się opiece Boga. Trzynastu chłopców wystąpiło i uklękło przed podium. Gdybyż tu był Izrael...

Jednym z chłopców, którzy wyszli do przodu, był mój stary przyjaciel, Hector Huragan. Pamiętam jak wprowadzałem go do gangu i jak stoczyliśmy „uczciwą walkę” i on uciekł, kiedy zobaczył, że chcę go zabić za to, że ukradł mi budzik. A teraz Huragan klęczał przed podium.

Po nabożeństwie wracałem idąc w kierunku Fort Greene z Huraganem. Był on wojennym doradcą w gangu Mau Mau. Ponieważ to za moją przyczyną Hector znalazł się w gangu, poczuwałem się do odpowiedzialności za jego los. Spytałem go, gdzie mieszka.

– Mieszkam w opuszczonym domu.

– Chłopie, a dlaczego już nie mieszkasz ze starymi? – spytałem.

– Wywalili mnie. Wstydzą się mnie. Pamiętasz, ja byłem jednym z tych chłopaków, którzy wystąpili z tobą i Izraelem wtedy w hali St. Nicholas. Kilka tygodni później namówiłem moich starych, żeby poszli ze mną do kościoła i oni się nawrócili. Wszyscy zaczęliśmy

aktywnie działać w kościele. Ja pracowałem z młodzieżą. Wystąpiłem z gangu i w ogóle zrobiłem wszystko tak jak ty i Izrael. Ale ten kościół był za bardzo sztywny. Ja chciałem robić zabawy dla młodzieży, a oni nie byli za tym. W końcu zniechęciłem się i wystąpiłem z kościoła.

Dalej wszystko poszło jak zwykle. Po jakimś czasie Hector spotkał się z Mau Mau i namówili go do powrotu do gangu, tak samo jak próbowali do tego namówić mnie. Powiedzieli mu, że chrześcijanie to ciemniaki, niedojdy i baby, i że gang jest jedyną grupą, która ma właściwą odpowiedź na to, co niesie z sobą życie. Dosłownie nawrócili go do gangu. Nastąpiła seria aresztowań. Rodzice próbowali z nim rozmawiać, ale on był uparty jak koziół. W końcu tak wyprowadził tym rodziców z równowagi, że powiedzieli mu, iż albo będzie się zachowywał zgodnie z uznawanymi przez nich zasadami, albo musi się wynieść. Hector wolał się wynieść i zamieszkał w starym opuszczonym domu.

– Czasem chodzę głodny – powiedział – ale wolę głodować, niż poprosić o coś ojca. To prawdziwy wapniak. Chce tylko chodzić do kościoła i czytać Biblię. Byłem taki sam, ale teraz wróciłem tam, gdzie jest moje miejsce: do Mau Mau.

Znaleźliśmy się przed domem, w którym mieszkał Hector. Wszystkie okna były zabite deskami. Hector powiedział, że od tyłu, w jednym miejscu można podważyć deskę i przedostać się do środka. On śpi na podłodze, na tekturach.

– Huragan, a czemu dzisiaj wystąpiłeś naprzód? – spytałem, mając na myśli jego reakcję na moje wezwanie.

– Wyszedłem, bo w środku chcę być dobry, Nicky. Chcę naśladować Boga. Ale nie mogę znaleźć właściwego wyjścia z sytuacji. Za każdym razem, kiedy zwracam się do Niego, a potem się odwracam, robi się gorzej. Szkoda, że nie jesteś w gangu, Nicky. Może mógłbym wrócić do Chrystusa, gdybyś tu był.

Usiedliśmy na krawężniku i gadaliśmy do białego świtu. Usłyszałem jak zegar na wieży wybił czwartą.

– Huragan, czuję że każe mi to powiedzieć ci Duch Boży: Zegar właśnie wybił czwartą. Jest późno. Ale jeśli oddasz swoje serce Jezusowi, On przyjmie cię z powrotem. Jest późno, ale nie za późno. Czujesz się winny, ale Bóg ci wybaczy. Czy chcesz teraz przyjść do Jezusa?

Hector oparł głowę na rękach i zaczął płakać. Ale wciąż kręcił głową i mówił.

– Nie mogę, nie mogę. Chcę tego, ale wiem, że jeśli to zrobię, jutro znowu wrócę do gangu. Nie mogę. Po prostu nie mogę.

Powiedziałem mu:

– Hector, jeśli nie przyjdiesz teraz do Chrystusa, nie przeżyjesz roku. Za rok o tej porze nie będziesz już żył. Zabiją cię.

Gdy to mu prorokowałem, moje serce przepelnione było słowami, które nie pochodziły ode mnie.

Hector pokręcił głową.

– Co się ma stać, to się stanie, i nic na to nie mogę poradzić.

Stanąłem przed Hectorem i położywszy mu ręce na głowie modliłem się, aby Bóg zmiękczył jego zatwardziałe serce, by mógł wrócić do Chrystusa. Kiedy skończyłem, podaliśmy sobie ręce.

– Huragan, mam nadzieję, że cię zobaczę, kiedy wrócę. Ale mam przeczucie, że jeśli nie zwrócisz się znowu do Chrystusa, już nigdy cię nie zobaczę.

Na drugi dzień odleciałem do Kalifornii. Nie wiedziałem wtedy jak trafna była moja przepowiednia.

Nicky Cruz opowiada

Rozdział 14

Gloria!

Lato w Nowym Jorku przeobraziło mnie, zmieniło moje zapatrywania, mój punkt widzenia. Wróciłem do Kalifornii zdecydowany poświęcić się kaznodziejstwu.

Ale dopiero po przybyciu do szkoły dowiedziałem się, jakie spotkało mnie szczęście: Przyjechała Gloria, żeby kontynuować naukę. Dopiero gdy ją ujrzałem, zdałem sobie sprawę z tego, jak bardzo mi jej brakowało.

Jednak sytuacja w szkole była wciąż okropna. Wszystko zorganizowane było jakby specjalnie w ten sposób, żeby trzymać nas z daleka od siebie. Regulamin był taki sam jak przed dwoma laty, kiedy napotykaliliśmy na podobne przeszkody. Rozmowy przy stole ograniczone były do: „Podaj mi sól”, a sokołe oczy profesorów obserwowały każde nasze poruszenie na terenie szkoły. Chociaż nie cierpiałem dyżurów w kuchni, zacząłem się zgłaszać do nadobowiązkowego mycia naczyń, żeby być bliżej Glorii. Atmosfera w hałaśliwej kuchni daleka była od intymności, ale zorientowałem się, że mogliśmy prowadzić na wpół intymne rozmowy, gdy oboje pochylaliśmy się nad zlewozmywakiem – ja z rękami zanurzonymi po łokcie w gorącej, mydlanej wodzie, a Gloria zajęta płukaniem i wycieraniem.

Po kilku miesiącach zorientowałem się, że jestem w Glorii coraz bardziej zakochany. Moje oceny wciąż się poprawiały, dostałem wilczego apetytu, co częściowo należało bez wątpienia tłumaczyć dodatkowym ruchem, którego zażywałem nad zlewozmywakiem. Ale dręczyło mnie to, że nie mogę wyrazić swojej miłości. Ilekroć choć przez chwilę byliśmy sam na sam, ktoś nam przeszkadzał. Próbowałem wcześniej przychodzić do klasy, ale zawsze gdy właśnie chciałem zacząć z Glorią poważną rozmowę, wchodził któryś z naszych kolegów. Doprowadzało mnie to do rozpacz. I mimo hiszpańskiego pochodzenia stwierdziłem, że nieomal niemożliwe jest wprawienie się w romantyczny nastrój nad zlewem pełnym brudnych naczyń, w kuchni, wśród śpiewających religijne pieśni studentów.

Pewnego dnia wieczorem otrzymałem pozwolenie na pójście do miasta. Wszedłem do pierwszej napotkanej budki telefonicznej, zatelefonowałem do szkoły i poprosiłem o połączenie z numerem telefonu, stojącego w sali Glorii. Gdy odezwała się opiekunka sali, przykryłem mikrofon chusteczką do nosa i niskim basem poprosiłem pannę Steffani. Nastąpiła chwila ciszy, po czym usłyszałem, jak opiekunka szepcze do Glorii:

– To chyba twój ojciec.

Usłyszawszy mój jękający się przez telefon głos, Gloria zachichotała. Byłem zrozpaczony.

– Muszę być z tobą – wybąkałem.

– Co masz na myśli, Nicky? – wyszeptła Gloria, pamiętając, że niby rozmawia z ojcem.

Jąkałem się, mamrotałem i nie mogłem się wystąpić. Moje doświadczenie w kontaktach z dziewczynami ograniczało się do terenu gangu i naprawdę nie wiedziałem jak rozmawiać z dziewczyną tak niewinną i czystą jak Gloria.

– Myślę, że gdybyśmy mogli się zobaczyć w cztery oczy, wyjaśniłbym ci to lepiej – powiedziałem. – Może lepiej wróć do swojego pokoju i przestanę ci zawracać głowę.

– Nickyyyyy! – krzyknęła Gloria. – Nie waż się odkładać słuchawki!
Usłyszałem jak inne dziewczęta w sali zachichotały. Ale Gloria była zdecydowana wydusić ze mnie to, co miałem do powiedzenia.

– Cicho! Dowiedzą się, że to ja – powiedziałem.

– Nie obchodzi mnie, kto się o tym dowie. A teraz powiedz mi wreszcie, co masz do powiedzenia.

Przez dłuższą chwilę szukałem właściwych słów, aż w końcu powiedziałem:

– Myślę, że byłoby fajnie, gdybyś ze mną w tym roku chodziła.

Powiedziałem to. Nareszcie wydobyłem to z siebie. Stałem, powstrzymując oddech, i czekałem na jej reakcję.

– Chodzić z tobą? Co to znaczy: „chodzić z tobą”?

Gloria znowu krzyczała i tym razem usłyszałem głośny śmiech dziewcząt.

Czułem jak oblewam się rumieńcem, chociaż stałem w budce telefonicznej o pół mili od Glorii.

– Myślałem sobie tylko, że spytam cię, czy będziesz ze mną chodziła.

Gloria znowu zaczęła mówić szeptem.

– Masz na myśli, że chcesz, żebym była twoją dziewczyną?

– Tak, to właśnie mam na myśli – powiedziałem.

Stałem w tej budce czerwony jak burak, chętnie zapadłbym się pod ziemię.

Domyśliłem się, że Gloria całkiem zbliżyła usta do mikrofonu, bo słyszałem wyraźnie jej oddech.

– Och, tak, Nicky. To byłoby cudownie. Czułam, że nie na darmo Bóg zetknął nas ze sobą. Napiszę długi list i podam ci jutro podczas śniadania.

Gdy odłożyłem słuchawkę, długo stałem w budce. Noc była ciepła, ale ja byłem zlany zimnym potem i ręce trzęsły mi się jak galareta.

Później dowiedziałem się, że kiedy Gloria odłożyła słuchawkę, opiekunka sali popatrzyła na nią uważnie i spytała surowo:

– Glorio, czemuż to twój ojciec telefonuje o tej porze i pyta, czy będziesz z nim chodziła?

Jedna z dziewcząt powiedziała ze śmiechem:

– Bo jej ojciec ma na imię Nicky.

Cały pokój wybuchnął śmiechem, a śniada twarz Glorii pokryła się ciemnym rumieńcem. Nieczęsto dziewczyna przy czterdziestu przysłuchujących się temu koleżankach proszona jest przez mężczyznę jej marzeń, aby z nim „chodziła”. Oburzona opiekunka dała im trzy minuty na położenie się do łóżek. Ale Gloria przez pół nocy, przy słabym, padającym z ulicy świetle, z głową ukrytą pod poduszką, pisała do mnie swój miłosny list. Był całkowicie nieczytelny, ale był to najmiłszy ze wszystkich listów, jakie kiedykolwiek otrzymałem.

Kilka tygodni później zwrócił się do mnie jeden z naszych nauczycieli, Esteben Castillo, z propozycją żebym mu pomagał w rozpoczęciu pracy misyjnej w San Gabriel, niedaleko szkoły. Powiedział, że wybrał jeszcze siedmioro innych studentów. Mieliśmy pracować wspólnie podczas weekendów. Pan Castillo odkrył zamknięty i opuszczony kościół. Studenci mieli w sobotę chodzić po okolicy i pukać do wszystkich drzwi, zapraszając ludzi na nabożeństwa. Prócz tego mieli zająć się sprzątnięciem kościoła i uczeniem w szkółce niedzielnej, a profesor Castillo miał wygłaszać kazania i pełnić funkcję pastora.

Czułem się zaszczycony tą propozycją. A jeszcze bardziej się ucieszyłem, gdy profesor mrugnął i powiedział, że do pracy w tej grupie zaprosił również Glorię.

– Jest pan bardzo mądrym nauczycielem, señor Esteben – uśmiechnąłem się do niego. – Sądzę, że uda nam się wykonać wspaniałą pracę dla naszego Pana z tą znakomitą grupą, którą pan wybrał.

– Prawdopodobnie po zakończeniu pracy dla Pana znajdziesz trochę czasu na inne ważne sprawy – uśmiechnął się profesor.

Najwyraźniej rozeszła się już wieść, że Gloria zgodziła się ze mną chodzić... to znaczy być moją dziewczyną. Byłem głęboko wdzięczny temu mądrymu, wyrozumiałemu nauczycielowi, który pomógł naszej miłości rozwinąć się i zakwitnąć tak, jak to zamierzył Bóg.

Przez najbliższy miesiąc w każdą sobotę pracowaliśmy w małym misyjnym kościele i chodziliśmy od drzwi do drzwi, zapraszając ludzi na niedzielne nabożeństwa. W końcu udało nam się znaleźć czas dla siebie. Widywaliśmy się codziennie, ale zawsze w czyjejś obecności. Teraz wreszcie po raz pierwszy mieliśmy spędzić trzy wspaniałe, nieprzerwane godziny sam na sam. Gloria przygotowała suchy prowiant na obiad i po całym przedpołudniu zapraszania ludzi na nabożeństwa poszliśmy do małego parku zjeść i porozmawiać.

Zaczęliśmy oboje naraz, po czym roześmialiśmy się zakłopotani.

– Ty pierwszy, Nicky. Ja będę słuchać – powiedziała Gloria.

Mijały minuty i kwadranse, a my siedzieliśmy i rozmawialiśmy. Pragnąłem opowiedzieć jej o sobie wszystko, aż do najdrobniejszych szczegółów. Mówiłem i mówiłem, a ona, oparta o pień wielkiego drzewa, z uwagą słuchała. Nagle uświadomiłem sobie, że ja ciągle mówię, a ona tylko słucha.

– Przepraszam cię, Glorio, ale tyle mi leży na sercu i chcę, żebyś się o wszystkim dowiedziała... o dobrym i o złym – Pragnę się podzielić z tobą każdą chwilą swojej przeszłości. Wybacz mi, że tyle mówię. Teraz ty. Powiedz mi wszystko, co leży ci na sercu.

Gloria zaczęła mówić, z początku powoli, ale potem słowa przychodziły jej coraz łatwiej i w końcu całkiem otworzyła przede mną swoje serce. W pewnym momencie zawahała się i ucichła.

– Co się stało, Glorio? Powiedz.

– Stałam się zimna, Nicky. Zdałam sobie z tego sprawę, kiedy wróciłam do szkoły i spostrzegłam w tobie zmianę. Jesteś inny. Nie jesteś niemądry ani niepewny jak dawniej. Dorosteś, stałeś się dojrzały i głęboko uduchowiony. Widzę w tobie duszę, która oddała się Bogu. I, Nicky... – jej oczy napełniły się łzami – ja, ja... pragnę tego samego. Pragnę tego spokoju. Ja duchowo uschłam. Chociaż Bóg mnie uleczył i przywiódł z powrotem do szkoły, ciągle jestem duchowo zimna. Próbuję się modlić, ale nic się nie dzieje. Jestem pusta. Martwa. Pragnę tego, co widzę w tobie.

Podparła głowę rękami. Przysunąłem się i niezręcznie objąłem ją ramieniem. Gloria odwróciła się do mnie i ukryła twarz na mojej piersi. Obydwoma ramionami objąłem jej szlochającą postać i zacząłem głaskać ją dłonią po włosach. Gloria odwróciła mokrą od łez twarz ku mojej i nasze wargi spotkały się w długim miłosnym pocałunku.

– Kocham cię, Nicky – wyszeptała mi do ucha wilgotnymi wargami. – Kocham cię całym sercem.

Długo jeszcze siedzieliśmy bez ruchu pod tym rozłożystym drzewem, mocno objęci, jak dwie winorośle, które, razem splecione, pną się ku niebu.

– Glorio, chcę się z tobą ożenić. Pragnę tego od dawna. Chcę resztę życia spędzić z tobą. Nie mogę ci niczego ofiarować. Ciągle grzeszyłem, ale Bóg mi wybaczył. I jeśli ty również możesz znaleźć w swoim sercu przebaczenie dla mnie, chcę, żebyś została moją żoną.

Poczułem jak objęła mnie mocniej, kryjąc twarz na moim ramieniu.

– O tak, kochany. O tak. Jeśli Bóg pozwoli, będę twoja na zawsze.

Uniosła głowę i nasze wargi spotkały się w następnym pocałunku. Przechyliłem się do tyłu pociągając ją za sobą. Położyliśmy się w trawie, mocno objęci ramionami.

Poczułem piekące ukłucia na moich nogach. Bóg był blisko, ale we mnie ciągle jeszcze tkwiła przeszłość. Przemknęła mi przez głowę myśl, że Gloria jest jednym z najpiękniejszych boskich stworzeń. Czy miałem ją splugawić grzesznymi żądzami? Piekące ukłucia czułem na moich nogach coraz wyżej i stawało się to coraz trudniejsze do zniesienia.

Nagle zerwałem się odpychając Glorię tak, że aż potoczyła się w trawę.

– Nicky! – krzyknęła. – Co się stało?

– Mrówki!!! – wrzasnąłem. – Miliony mrówek! Oblazły mnie całego!

Zacząłem wściekle uderzać się dłońmi po nogach. Zrzuciłem buty. Nie zdało się to na nic. Moje skarpetki pokryte były tysiącami małych, czerwonych, pełzających demonów. Dosięgły one już moich kolan, a teraz pełzły wyżej. Wyglądało na to, że żadne klepanie nie powstrzyma ich bezlitosnych ataków i marszu w górę. Gloria patrzyła zdumiona jak biegam w kółko bijąc się dłońmi i drapiąc po nogach.

– Odwróć się! Odwróć się! – wrzasnąłem – prędko! Nie patrz na mnie!

Gloria odwróciła się do mnie tyłem i spoglądała na park.

– Nicky... – zaczęła i obejrzała się.

– Odwróć się! Nie patrz! – wrzasnąłem. Gloria zorientowała się, co chcę zrobić, i posłusznie odwróciła się do mnie plecami.

Długo trwało, zanim udało mi się strząsnąć wszystkie mrówki. Niektóre próbowały wgrzyźć mi się w skórę. Spodnie musiałem wytrzepać o drzewo.

W końcu mogłem powiedzieć Glorii, że może już się bezpiecznie odwrócić. Poszliśmy z powrotem do szkoły. A raczej Gloria szła, bo ja kuśtykałem. Ona śmiała się, a ja starałem się nie okazać, że mnie to złości. Nie widziałem w tym wszystkim nic śmiesznego.

Zostawiłem Glorię przed drzwiami budynku dziewcząt i możliwie najprostsza drogą poszedłem do siebie, żeby wziąć prysznic. Stojąc pod zimną wodą i wcierając mydło w czerwone ślady ukąszeń pokrywające nogi, dziękowałem Bogu za Glorię i za opiekuńczą moc Jego Ducha.

– Boże – powiedziałem w gęsty deszcz wody tryskającej z prysznic – wiem, że ona jest dla mnie. Dowodzą tego te mrówki. Chwalę Twe imię, że mi to pokazałeś i błagam, byś już nigdy więcej nie musiał tego robić.

Nazajutrz była niedziela, na którą miałem wyznaczone kazanie w San Gabriel. Opowiadając o swoim nawróceniu grupce prostych ludzi, którzy przyszli na nabożeństwo, czułem namaszczenie Ducha Świętego. Pod koniec zaprosiłem wiernych do wyjścia do przodu. Wtedy zobaczyłem, że, podniósłszy się ze swojego miejsca w tyle tej małej salki, podchodzi Gloria. Szła patrząc mi w oczy, po czym uklękła i schyliła głowę w modlitwie. Ukląknęłam obok niej, a senor Castillo położył nam dłonie na głowach i zaczął się modlić. Poczulem jak zaciska się na mojej ręce dłoń Glorii, gdy jej serce napętniał Boży Duch. Spoczęła na nas obojgu ręka Boga.

Na Boże Narodzenie pojechałem z Glorią do niej do Oakland. Postarała się o mieszkanie dla mnie u swoich przyjaciół, bo jej rodzice niezbyt byli przychylni jej studiom w Instytucie Biblijnym. Pastor Glorii, pan Sanchez, załatwił mi pracę kaznodziei w małym hiszpańskojęzycznym kościele o nazwie Misja Betania. Dni spędzałem z Glorią, a wieczorami wygłaszałem kazania. Nic nie mogło mnie bardziej uszczęśliwić.

Podczas ostatniego roku studiów, wiosną, otrzymałem od Davida następny list. Pisał, że kupuje stary duży dom na Clinton Avenue, żeby otworzyć ośrodek dla nastolatków i narkomanów. Proponował mi, żebym po otrzymaniu dyplomu wrócił do Nowego Jorku i podjął pracę w tym ośrodku, który nazwał Centrum Młodzieżowym¹⁵.

Omówiłem to z Glorią. Wyglądało to tak, jakby Pan narzucał nam swoje plany. Uważaliśmy, że możemy ze ślubem poczekać jeszcze rok, dopóki Gloria nie skończy szkoły. Ale teraz otwierały się przed nami nowe perspektywy i wszystko wskazywało na to, że Bóg chce, abym wrócił do Nowego Jorku. Ale wiedziałem, że nie mogę wrócić bez Glorii.

¹⁵ Oryginalna nazwa ośrodka: Teen Challenge Center.

Napisałem do Davida, że będę musiał się o to modlić. Napisałem mu też, że Gloria i ja chcemy się pobrać. Wilkerson odpisał, że poczeka na moją odpowiedź i że Gloria również byłaby mile widziana.

Zdecydowaliśmy się pobrać w listopadzie i w miesiąc później zjawiliśmy się w Nowym Jorku, żeby przyjąć ofertę Wilkersona i podjąć pracę w Centrum Młodzieżowym.

Wielka, dwupiętrowa rezydencja przy Clinton Avenue 416 mieściła się w środku bogatej niegdyś części Brooklynu, kilka przecznic od osiedla Fort Greene. Latem byli tu studenci, którzy pomogli doprowadzić dom do porządku i rozpocząć pracę duszpasterską. David znalazł młode małżeństwo, które, zamieszkawszy w tym domu, zaczęło pełnić rolę jego administratorów. Przygotowali oni dla mnie i Glorii maleńkie mieszkanie przy garażu na zapleczu domu.

Mieszkanie było bardzo ciasne i bez żadnych wygód. Prysznic był w głównym budynku, a jedynym miejscem do spania była kanapa, ale czuliśmy się tu jak w niebie. Mieliśmy siebie i mieliśmy gorące pragnienie służenia Bogu. Kiedy David zaczął mnie przeproszać, że nie udało się załatwić dla nas wygodniejszego pomieszczenia, przypomniałem mu, że służenie Jezusowi to nie poświęcenie, tylko zaszczyt.

Przed samymi świętami Bożego Narodzenia znowu odwiedziłem rejon Mau Mau. Ciężko mi było na sercu z powodu Hectora Huragana, i teraz, kiedy wróciłem do Brooklynu na stałe, chciałem go odnaleźć i popracować nad nim indywidualnie. Napotkawszy w cukierni grupę Mau Mau, spytałem ich:

– Gdzie jest Huragan?

Chłopcy popatrzyli po sobie i jeden z nich powiedział:

– Pogadaj ze Stevem, naszym prezesem, on ci powie, co się stało.

Bąłem się tego, co usłyszę, ale poszedłem do Steve'a do domu.

– Co się stało z Hectorem? – spytałem po przywitaniu się.

Steve pokiwał głową i popatrzył na ścianę.

– Chodźmy na dół, to ci powiem. Nie chcę, żeby moja stara to słyszała.

Zeszliśmy na dół i stanęliśmy w bramie, żeby mieć osłonę przed zimnym wiatrem, kiedy Steve będzie mi opowiadał.

– Po tej rozmowie z tobą, przed twoim wyjazdem do Kalifornii, Hector zrobił się bardzo niespokojny. Bardzo niecierpliwy. Nigdy takiego go nie widziałem. Mieliśmy wielką bitwę z Apaczami i Hector bił się jakby oszalał. Chciał zabić każdego, kto mu się nawinął pod rękę, nawet Mau Mau. W trzy miesiące po tym dostał.

– Jak to się stało? – spytałem, czując jak żal ściska mi serce i przygnięta pierś, zmuszając do łapania powietrza płytkimi haustami. – Kto to zrobił?

– Huragan, Gilbert, oraz jeszcze dwóch chłopaków i ja poszliśmy zabić jednego Apacza. Mieszkał sam na czwartym piętrze. Potem się okazało, że to nie był ten, o którego nam chodziło. Ale Huragan był zdecydowany zabić tego chłopaka i poszliśmy z nim, żeby mu pomóc. Huragan miał rewolwer. Zapukał do drzwi. Było ciemno. Ale chłopak był sprytny. Uchylił drzwi, wyjrzał na korytarz i zobaczył Huragana z rewolwerem. Wtedy wyskoczył z bagnetem długim na pół metra i wyrzucił nim w żarówkę. To była jedyna żarówka u sufitu, a on ją rozbił. Nic nie było widać. A ten jak wariat machał i dźgał tym bagnetem. Huragan trzy razy strzelił z rewolweru i usłyszeliśmy wrzask: „Zabił mnie! Zabił mnie!”. Nie wiedzieliśmy kto to i myśleliśmy, że Huragan zabił tego Apacza. Zwialiśmy po schodach na dół, na ulicę.

Steve odwrócił się i popatrzył na klatkę schodową, żeby sprawdzić, czy ktoś nie podsłuchuje.

– Kiedy byliśmy już na ulicy, zobaczyliśmy, że nie ma z nami Huragana. Gilbert pobiegł z powrotem na górę i znalazł go stojącego pod ścianą, przebitego na wylot tym bagnetem. Gilbert mówił, że ten bagnet wystawał Huraganowi z pleców. Ten Apacz uciekł do swojego

pokoju i zamknął drzwi na klucz. Hector był przerażony i płakał. Opierał się o ścianę, z tym bagnetem całym wbitym w brzuch i błagał Gilberta, żeby mu nie dał umrzeć. Mówił, że boi się umrzeć. Krzyczał coś o bijącym zegarze, a potem upadł na podłogę, na rękojeść bagnetu i umarł.

W gardle mi wyschło i miałem takie uczucie, jakbym miał język oblepiony watą. Wyjąkałem:

– Czemuście go tam zostawili?

– Bo wszyscy się baliśmy. Wpadliśmy w panikę. Nigdy jeszcze nie wiedzieliśmy nikogo tak umierającego. Rozbiegliśmy się w różne strony. Przyjechali gliniarze, ale nie było żadnych dowodów i puścili tego Apacza. Mocno nas to roztrzęsło.

Odwróciłem się i chciałem odejść. Wtedy Steve zapytał:

– Nicky, jak myślisz, co on miał na myśli, kiedy mówił o tym bijącym zegarze?

Pokręciłem głową.

– Nie wiem. No to cześć.

Wracałem na Clinton Avenue jak oczadziały. Każdy krok brzmiał mi w uszach niczym uderzenie zegara na wieży przy Hatburn Avenue; słyszałem swój głos mówiący do Hectora Huragana: „Jest późno, Hector, ale nie za późno. Lecz jeśli nie oddasz serca Bogu, nie zobaczę cię już nigdy”.

– Mocny Boże – wyszeptalem – nie pozwól mi nigdy więcej odejść od któregoś z mych przyjaciół, zanim nie doprowadzę sprawy do końca.

Zacząłem pracę z pensją 10 dolarów tygodniowo, plus mieszkanie i wyżywienie. W mieszkaniu przy garażu nie było kuchni, więc na posiłki chodziliśmy do głównego budynku. Oboje z Głorią uwielbialiśmy gorącą hiszpańską kuchnię, a ponieważ w Centrum jedzenie było z konieczności dość jednostajne, trwoniliśmy większość z naszych dziesięciodolarowych tygodniówek na hiszpańskie potrawy.

To był nasz jedyny luksus. Rozpoczęliśmy pracę na ulicach. Wilkerson napisał rozprawę, którą nazwaliśmy „Rozprawa o tchórzostwie”. Była ona adresowana do nastolatków i wzywała ich, żeby nie byli tchórzami, tylko przyjęli Chrystusa. Rozdawaliśmy to tysiącami na ulicach Brooklynu i Harlemu.

Od razu stało się jasne, że naszym głównym zadaniem będzie praca z narkomanami. Wielu członków gangów, uprzednio zadowolających się marihuaną i winem, przeszło teraz na heroinę.

Działaliśmy „na bezczelnego”. Podchodziliśmy do grupki chłopaków stojących na rogu i mówiliśmy:

– Cześć, chłopaki, chcecie rzucić nałóg?

Niemal zawsze słyszeliśmy odpowiedź:

– No pewnie, chłopie, ale jak?

– Wpadnij do Centrum Młodzieżowego na Clinton. Będziemy się za ciebie modlić. Wierzymy, że Bóg wysłuchuje modlitw. Z Bożą pomocą możesz rzucić nałóg.

Dawaliśmy im egzemplarz „Rozprawy o tchórzostwie”.

– Naprawdę? Tak to wygląda? No to może kiedyś zadzwonię do ciebie albo wpadnę.

Z początku szło nam opornie. Większość czasu spędzaliśmy po prostu stojąc na rogach ulic i rozmawiając. Narkomani nie pracują. Oni zdobywają pieniądze drogą kradzieży, rabunku, rozbojów ulicznych. Wyrywają kobietom torebki. Włamują się do mieszkań, kradną meble i sprzedają je. Kradną bieliznę ze sznurów, mleko sprzed drzwi i w ogóle wszystko, co daje pieniądze na trwanie w nałogu. W całym Williamsburgu ośmio-, dziesięcioosobowe grupki stoją na rogach i planują napady albo się naradzają, jak się pozbyć skradzionych przedmiotów.

Przed Świętami Bożego Narodzenia miałem w Centrum pierwszego nawróconego. Na imię miał Pedro, był członkiem gangu Mau Mau. Był to wysoki kolorowy chłopak. Żył z mężatką. Pewnego dnia jej mąż zaczepił go w barze i Pedro uderzył go nożem. Tamten był członkiem Skorpionów, gangu z drugiego końca miasta. Pedro dowiedział się, że tamten gang się do niego wybiera. Pewnego wieczora odszukałem Pedra, wysłuchałem jego opowieści i zaproponowałem mu schronienie w Centrum. Pedro zgodził się chętnie. W trzy dni po przeprowadzeniu się do Centrum przyjął Chrystusa i ofiarował serce Panu.

Przez następne trzy miesiące nie rozstawaliśmy się z Pedrem ani na chwilę. Gloria i ja spędzaliśmy pierwsze małżeńskie święta Bożego Narodzenia goszcząc w naszym malutkim mieszkanku Pedra. Jadł z nami każdy posiłek. Chodził z nami wszędzie. W czasie weekendów jeździliśmy metrem do różnych kościołów na nabożeństwa. Pedro zawsze jechał z nami.

Pewnego wieczora poszedłem spać jak zwykle późno. Gloria leżała już w pościeli rozłożonej na naszej kanapie we frontowym pokoiku. Myślałem, że już śpi, i rozbierałem się cicho, żeby jej nie budzić. Wsunąwszy się pod kołdrę, delikatnie objąłem ją ramieniem i wtedy zorientowałem się, że Gloria płacze. Czułem jak drży od tłumionego szlochu.

– Hej, mała, co się stało?

Gloria wybuchnęła płaczem. Leżałem obok niej, pocieszałem i głaskałem po plecach, dopóki nie uspokoiła się na tyle, że mogła mówić.

– O co chodzi, Glorio? Źle się czujesz czy co?

– To nie to, Nicky. Nie rozumiesz tego i nigdy nie zrozumiesz.

– Czego nie rozumiem? – byłem zaskoczony jej niechętnym tonem.

– To ta pijawka! – rzuciła Gloria ze złością. – Ta pijawka Pedro! Czy on nie może pojąć, że ja chcę od czasu do czasu побыć z tobą sama? Jesteśmy dopiero cztery miesiące po ślubie, a on musi łaźać za nami krok w krok. Chyba by się razem z nami kąpał, gdyby nie to, że w łaźience mieści się tylko jedna osoba.

– Gloria, daj spokój – zacząłem ją uspokajać – to zupełnie do ciebie niepodobne. Powinnaś być dumna. To nasz pierwszy nawrócony. Powinnaś dziękować Panu.

– Ale, Nicky, nie chcę przez cały czas się tobą dzielić. Wyszłam za ciebie, jesteś moim mężem i powinnam choć raz na jakiś czas móc побыć z tobą bez tego uśmiechniętego, stale za nami łażącego i powtarzającego: „Chwała Bogu” Pedra

– Chyba nie mówisz tego poważnie?

– Mówię najzupełniej poważnie. Któreś z nas musi odejść. Albo jesteś moim mężem, albo śpij sobie z Pedrem. Nie żartuję. Nie możesz mieć nas obojga naraz.

– Ale posłuchaj, kochanie, jeśli wyślemy go z powrotem na ulicę, wróci prosto do gangu albo go zabiją Skorpiony. Musimy go tu trzymać.

– Jeśli on wróci do gangu, to znaczy, że coś jest nie w porządku z twoim Bogiem. W końcu jakiemu Bogu Pedro się ofiarował? Bogu, który przestaje się nim interesować przy pierwszych kłopotach? Nie wierzę w to. Wierzę, że jeśli ktoś się nawrócił, Boga stać na zatrzymanie go na zawsze. A jeśli mamy przy każdym z tych typów, których tu zapraszasz bawić się w niańkę, to ja się wynoszę.

W miarę jak mówiła, Gloria coraz bardziej podnosiła głos.

– Ależ, Glorio, to jest mój pierwszy nawrócony.

– Może właśnie o to chodzi, że on jest twoim nawróconym. Gdyby on był nawróconym Boga, nie musiałbyś się tak martwić o to, że wróci do gangu.

– No cóż, może masz rację. Ale pomimo wszystko musimy zapewnić mu jakieś mieszkanie. I pamiętaj, Glorio, że Pan powołał mnie do tej pracy, a ty zgodziłaś się pójść ze mną.

– Ależ, Nicky, ja tylko nie chcę być zmuszona do nieustannego dzielenia się tobą.

Przytuliłem ją mocno do siebie.

– Teraz nie musisz się mną dzielić. A jutro porozmawiam z Pedrem, może wymyślimy coś dla niego zamiast tego ciągłego chodzenia z nami. W porządku?

– W porządku – mruknęła Gloria kładąc mi głowę na ramieniu i przytulając się do mnie.

Sonny zjawił się ostatniego kwietnia, razem z zapowiedzią majowego śniegu. Był pierwszym narkomanem, nad którym pracowałem.

Wieczorem wszedłem do kaplicy i zauważyłem bladego chłopaka siedzącego na brzegu ostatniego rzędu krzesel. Poznałem, że to narkoman. Podeszedłem i usiadłem obok niego. Objąłem go ramieniem i powiedziałem mu wprost:

– Wiem, że jesteś narkomanem. Widzę, że bierzesz od lat i nie możesz zerwać z nałogiem. Myślisz, że to nikogo nie obchodzi. Pozwól sobie powiedzieć, że Boga to obchodzi. On może ci pomóc.

Patrzący dotychczas ponuro w podłogę chłopak podniósł głowę i spojrzał na mnie bez wyrazu. W końcu powiedział, że ma na imię Sonny. Dowiedziałem się potem, że wychował się w religijnym domu, ale uciekł i niezliczoną ilość razy był w więzieniu za narkomanie i złodziejstwo. W więzieniu był kilkakrotnie poddawany kuracji odwykowej metodą nagłego odstawienia narkotyku, ale nie pozbył się nałogu.

Sonny miał oryginalny sposób zdobywania pieniędzy na narkotyki. Jego kumpel podbiegał do jakiejś kobiety i wyrywał jej torebkę. Kiedy kobieta zaczynała krzyczeć, podchodził Sonny i mówił:

– Proszę nie krzyczeć. Znam tego złodzieja. Odzyskam pani torebkę. Proszę tutaj czekać, zaraz wrócę.

Kobieta przestawała wzywać policję i stała czekając na Sonny'ego, który biegł do swojego kolegi i dzielił się z nim zdobyczą.

Ukląkłem koło Sonny'ego na podłodze kaplicy i powiedziałem:

– Chcę się za ciebie pomodlić. W twoim życiu brak Jezusa.

Poczułem jak fala współczucia zalewa mi serce i zacząłem ze łzami się modlić:

– Boże, pomóż temu człowiekowi. On umiera. Jedynie Ty możesz mu pomóc. On potrzebuje nadziei, miłości. Proszę Cię, pomóż mu.

Kiedy skończyłem, Sonny powiedział:

– Muszę już iść do domu.

– Odprowadzę cię.

– Nie – powiedział Sonny z lękiem – nie możesz.

Wiedziałem, że ma zamiar po wyjściu od nas zrobić sobie zastrzyk.

– No to zostaniesz tutaj – powiedziałem.

– Nie – powiedział znowu – muszę iść do sądu. Mają mnie wsadzić do więzienia. Nawet nie wiem, po co tu przyszedłem.

– Przyszedłeś tu, bo Bóg cię tu skierował – powiedziałem. – Bóg posługuje się mną, żeby ci pomóc. Zostań dziś na noc tu u nas, w Centrum, a jutro pójde z tobą do sądu.

Ale Sonny powiedział, że musi iść do domu. Obiecałem, że przyjdę po niego o ósmej rano.

Na drugi dzień rano poszedłem z Sonnym do sądu. Na schodach sądowego budynku powiedziałem:

– Sonny, będę się modlił, żeby Bóg skłonił sędziego do odroczenia sprawy o dwa miesiące, byś mógł zerwać z nałogiem i znaleźć Chrystusa. Może potem sędzia całkiem cię uwolni.

Sonny prychnął ironicznie:

– No, jeszcze czego. Ten parszywy sędzia nigdy niczego nie odracza. Wsadzi mnie do paki, zanim wybije południe. Posiedź tu, to zobaczysz.

Zatrzymałem się i zacząłem się głośno modlić:

– Boże, proszę cię w imię Jezusa, abyś zesłał swego Ducha Świętego, który natchnie sędziego do odroczenia rozprawy Sonny’ego, żeby Sonny mógł zostać chrześcijaninem. Dziękuję Ci za wysłuchanie mojej modlitwy. Amen.

Sonny popatrzył na mnie jak na wariata. Pociągnąłem go za rękę:

– Chodźmy posłuchać jak sędzia odracza rozpatrzenie twojej sprawy.

Weszliśmy na salę rozpraw. Sonny poszedł do przodu, by zgłosić swoje przybycie sekretarzowi sądu. Potem zajął miejsce wśród innych oskarżonych, a ja usiadłem z tyłu.

Sędzia rozpatrzył trzy sprawy i każdego z tych chłopaków skazał na długi pobyt w areszcie. Kiedy sędzia wydał wyrok na trzeciego z nich, ten zaczął wrzeszczeć. Wskoczył na stół i próbował dosięgnąć sędziego, krzycząc, że go zabije. Wszyscy na sali zerwali się z miejsc. Policjanci ściągnęli chłopaka na dół i zakuli go w kajdanki. Kiedy wywlekli go bocznymi drzwiami, sędzia zmarszczył brwi i powiedział:

– Następną sprawą.

Sonny wstał i w napięciu czekał. Sędzia przekartkował akta sprawy, po czym spojrzał na Sonny’ego znad okularów i powiedział:

– Nie wiadomo czemu akta twojej sprawy są niekompletne. Zgłosisz się znowu za 60 dni.

Sonny obejrzał się i popatrzył na mnie z niedowierzaniem. Uśmiechnąłem się i dałem mu znak, żeby do mnie poszedł. Oczekiwało nas trudne zadanie, musieliśmy zaczynać.

Pozbywanie się nałogu metodą nagłego odstawienia heroiny jest trudną do wyobrażenia męczarnią. Przygotowałem dla Sonny’ego pokój na drugim piętrze Centrum. Wiedząc, że potrzebny będzie stały nadzór, uprzedziłem Glorię, iż najbliższe trzy dni spędzę z Sonnym. Ustawiłem gramofon z płytami o treści religijnej i postanowiłem siedzieć w tym pokoju obok Sonny’ego, dopóki tego z siebie nie wykrzyczy.

Pierwszego dnia Sonny nie mógł usiedzieć na miejscu: nerwowo chodził po pokoju tam i z powrotem, mówił dużo i szybko. Wieczorem zaczął dygotać. Siedziałem przy nim przez całą noc. Miał paskudne ataki dreszczy i trząsał się tak, że szczękały mu zęby i wibrował cały pokój. Chwilami wyrwał mi się i pędził do drzwi, ale zamknąłem je na klucz i nie mógł uciec.

Na drugi dzień o świcie dreszcze zelzały i udało mi się sprowadzić go na dół, na lekkie śniadanie. zaproponowałem mu spacer wokół budynku, ale ledwo wyszliśmy na zewnątrz, Sonny zaczął wymiotować. Pochylony nisko nad chodnikiem trzymał się za brzuch i wymiotował. Chwyciłem go i wyprostowałem, ale on wyrwał mi się, na chwiejnych nogach wszedł na jezdnię i tam upadł. Odciągnąłem go do krawężnika i trzymałem jego głowę na swoich kolanach, dopóki nie minęły torsje i nie odzyskał trochę sił. Potem wróciliśmy do naszego pokoju na trzecim piętrze, żeby czekać i modlić się.

Gdy nadeszła noc, Sonny zaczął krzyczeć:

– Nicky, nie mogę już. Za głęboko w tym siedzę. Muszę sobie zrobić zastrzyk.

– Nie, Sonny. Przejdziemy przez to razem. Bóg da ci do tego siłę.

– Nie chcę siły. Chcę zastrzyku. Muszę go mieć! Pozwól mi, Nicky, pozwól, proszę cię. Nie trzymaj mnie tutaj. Na miłość Boską, puść mnie! Pozwól mi wyjść.

– Nie, Sonny, ze względu na miłość Boską nie puszcze cię. Jesteś Mu drogi. Chce się tobą posłużyć, ale nie może tego zrobić, dopóki jesteś w mocy tego demona. W imię Boga będę cię tutaj trzymał, dopóki nie zostaniesz uzdrowiony.

Siedziałem z nim przez całą tę długą noc, w czasie której Sonny oblewał się zimnym potem i torsje wstrząsały nim tak silnie, że omal nie wywróciły mu żołądka na drugą stronę. Ocierałem mu twarz wilgotnymi ręcznikami, puściłem głośno gramofon i śpiewałem na głos razem z Beverly Shea i Statesman Quartet.

Przez następny dzień chodziłem jak śnięty. Jeszcze raz próbowałem wmusić w niego trochę jedzenia, ale zwrócił je od razu. Usiadłem koło jego łóżka i modliłem się aż do zachodu słońca.

Sonny zapadł w nerwowy sen, jęczał i rzucał się na łóżku. Dwukrotnie zrywał się i próbował biec ku drzwiom. Za drugim razem musiałem go złapać i siłą zaciągnąć do łóżka.

Okolo północy, siedząc na krześle koło jego pościeli, poczułem jak ogarnia mnie czarna chmura snu. Próbowałem zwalczyć senność, ale nie spałem już od czterdziestu dwóch godzin. Wiedziałem, że jeśli teraz zasnę, Sonny może się wymknąć i już nigdy nie wrócić. Byliśmy blisko zwycięstwa, ale nie mogłem już dłużej walczyć. Poczułem jak głowa opada mi na piersi. „Tylko na chwilę zamknę oczy...”.

Obudziłem się nagle, przestraszony. Niesamowita poświata ulicznych lamp napełniała ten duży pusty pokój na drugim piętrze domu. Byłem przekonany, że spałem nie więcej niż kilka sekund, ale coś wewnątrz mówiło mi, że jednak to trwało o wiele dłużej. Spojrzałem na łóżko Sonny’ego. Było puste. Zmięta kołdra leżała w nogach. Sonny zniknął!

Serce skoczyło mi do gardła. Zerwałem się na równe nogi, chcąc biec do drzwi. W tym momencie go spostrzegłem. Klęczał na podłodze przy oknie. Z ulgą podszedłem do okna i ukląknę na gołej drewnianej podłodze koło Sonny’ego. Padał lekki wiosenny śnieg, skrzył się w świetle ulicznych lamp. Jezdnie i chodniki tworzyły jeden nieskalanie biały dywan, a gałęzie drzew za oknem, z właśnie zaczynającymi się pojawiać delikatnymi, drobnymi pączkami, iskrzyły się drobnym białym śniegiem. W świetle latarni każdy opadający płatek lśnił swoim własnym blaskiem. Przypominało to obrazek ze świątecznej, bożonarodzeniowej kartki.

Sonny powiedział:

– To piękne. Niewiarygodnie piękne. Nigdy nie widziałem niczego tak pięknego. A ty?

Przyjrzałem mu się uważnie. Wzrok miał bystry, a głos spokojny. Twarz mu jaśniała, przestał bełkotać i mówił wyraźnie. Uśmiechnął się do mnie:

– Bóg jest dobry, Nicky. Jest wspaniały. Dziś w nocy uwolnił mnie od losu gorszego niż piekło. Wyswobodził mnie z niewoli.

Popatrzyłem przez okno na roztaczający się przede mną obraz czystego piękna i wyszeptałem:

– Dziękuję Ci, Panie, dziękuję Ci.

I usłyszałem, jak Sonny mówi półgłosem:

– Dziękuję Ci.

Po raz pierwszy zostawiłem Sonny’ego samego i poszedłem po świeżym śniegu do swojego mieszkania. Szedłem z gołą głową. Bezszelstnie padające płatki śniegu osiadały mi na włosach i delikatnie skrzypiały pod moimi stopami, gdy wchodziłem na drewniane schodki. Delikatnie zastukałem i Gloria mi otworzyła.

– Która godzina? – spytała sennie.

– Koło trzeciej rano – odparłem. Stojąc w drzwiach przytuliłem ją mocno i patrzyliśmy jak delikatny drobny śnieg pada bezgłośnie na ziemię, pokrywając mroczną brzydotę piękną osłoną czystej niewinności.

– Sonny przyszedł do Chrystusa – powiedziałem. – W Jego Królestwie narodziło się nowe życie.

– Dzięki Ci, Jezu – powiedziała cicho Gloria.

Przez długą chwilę staliśmy i patrzyliśmy na roztaczającą się przed nami panoramę piękną. Potem poczułem, że Gloria obejmuje mnie mocniej.

– Sonny nie jest jedynym nowo powstałym życiem. Nie miałam ci kiedy powiedzieć, byłeś tak zajęty przez trzy ostatnie dni, ale we mnie też jest nowe życie. Będziemy mieli dziecko.

Porwałem ją w objęcia, przepelniony radością i miłością.

– Och, Glorio, kocham cię! Tak cię kocham!

Schyliłem się i delikatnie objawszy jej nogi w kolanach podniosłem ją z ziemi. Nogą otworzyłem sobie drzwi. Zamknęły się za nami, pograżając pokój w zupełnej ciemności. Podszedłem do kanapy i ostrożnie położyłem tam Glorię. Usiadłem obok niej i leciutko

przyłożyłem głowę do jej mięciutkiego brzuszka, tuląc się jak najbliżej ukrytego tam nowego życia. Gloria zaczęła gładzić mnie obiema rękami po twarzy i głowie. Wtedy wzięło nade mną górę zmęczenie i zapadłem w głęboki, spokojny sen.

Wkrótce po nawróceniu Sonny wprowadził nas w mroczny, podziemny świat wielkiego miasta; świat narkomanów, prostytutek i zatwardziałych kryminalistów.

Gloria i ja spędziliśmy na ulicach wiele godzin rozdając nasze traktaty i liczba mieszkańców Centrum powiększała się. Mieliśmy jednak bardzo niewiele nastolatków. Większość stanowili dorośli. Wydzieliliśmy drugie piętro dla kobiet. Gloria pracowała z dziewczętami, a ja z mężczyznami, chociaż jako kierownik byłem odpowiedzialny za obie grupy.

David przeprowadził się do domu na Staten Island i kiedy był tylko na miejscu, pojawiał się codziennie, aby pilnować spraw Centrum. Kupiliśmy dziewięcioosobowy mikrobus i Gloria wspólnie z jednym z chłopców dwa razy w tygodniu jechała po członków gangów, których przywoziła do Centrum na nabożeństwa.

Pedro wynajął sobie pokój w Jersey, ale Sonny został u nas do września, kiedy to wyjechał do Instytutu Biblijnego w La Puente. Tego samego lata zwolnił się pokój na pierwszym piętrze Centrum i tam się przeprowadziliśmy. Na tym samym piętrze, nieco dalej, była sypialnia męska. Na dole mieliśmy biuro, kuchnię i jadalnię oraz duży pokój, którego używaliśmy jako kaplicy. Miałem nadzieję, że przeprowadzka do dużego budynku zmniejszy napięcie nerwowe Glorii. Jednak przebywanie w jednym domu z czterdziestoma narkomanami nie daje możliwości zażywania ciszy i spokoju.

Gloria nadal żyła w napięciu. Mieliśmy bardzo mało czasu na życie osobiste, bo jeśli tylko nie spałem, byłem z narkomanami. Pod koniec 1962 roku musiałem nagle wyjechać do Puerto Rico. Mama przysłała do Franka telegram: zmarł ojciec. Frank, Gene i ja, zabrawszy żony, poleciliśmy do Puerto Rico, gdzie prowadziłem żałobne nabożeństwo na pogrzebie ojca. Przyjechałem jako chrześcijański pastor i chociaż ojciec nigdy otwarcie nie zaakceptował Chrystusa jako Syna Bożego, pochowałem go pewien, że w jego życiu nastąpiła zmiana, i że Bóg w swoim niezmiernym miłosierdziu będzie go w stanie osądzić według jego serca. „Wielki” zmarł, ale wspomnienie o ojcu, którego nauczyłem się kochać, pozostało w moim sercu żywe.

Alicja Anna urodziła się w styczniu 1963 roku. Pomogła wypełnić pustkę samotnego życia Glorii, która w długie dni miała teraz kogo obdarzać swoją miłością. Tęskniłem do tego, żeby być z nimi, ale moje pragnienie pomagania narkomanom trzymało mnie poza domem od świtu do północy. Ostrzegłem Glorię, żeby nikomu nie pozwalała brać na ręce dziecka, bo chociaż kochałem tych narkomanów, wiedziałem, że umysły poważnie uszkodzone przez narkotyki są zdolne do wszystkiego.

Ale nigdy się nie dowiedziałem, ile razy Gloria zasypiała w samotności naszego mieszkania we łzach. Bez wątplenia to Bóg wybrał ją na moją towarzyszkę. Takiego życia nie byłaby w stanie znieść żadna inna kobieta.

Nicky Cruz opowiada

Rozdział 15

Droga do piekła

Przez kilka dni nie było mnie w mieście, a kiedy wróciłem, Gloria powiedziała mi o Marii. Dwudziestoosmioletnia Maria przysłała prosto z ulicy, na współ zamarznęta, z ostrymi objawami głodu heroinowego, na krawędzi śmierci. Gloria poprosiła mnie, abym tego wieczora pamiętał o niej szczególnie, ponieważ miałem prowadzić nabożeństwo w naszej małej kaplicy.

Po nabożeństwie Gloria przyprowadziła ją do mojego gabinetu. Maria, wciąż jeszcze z objawami heroinowego głodu, mówiła niewyraźnie, zacinając się.

– Dziś wieczorem – powiedziała – doznałam niezwykłego uczucia: zapragnęłam uwolnić się od mojego bezwartościowego życia. Kiedy wygłaszałeś kazanie, poczułam, że naprawdę wolę śmierć niż to moje okropne życie. Ale równocześnie, po raz pierwszy w życiu, pragnęłam żyć. Nie mogę tego zrozumieć.

Wyjaśniłem jej, że doznała tego, co Biblia nazywa „opamiętaniem się”.

– Mario, nie możesz odczuć miłości Boga, dopóki nie zapragniesz, aby umarła dawna Maria. Czy chcesz, aby w twoim życiu narkotyki i prostytutka zostały oddane śmierci, pogrzebane i na zawsze zapomniane?

– O, tak, tak, tak! – zaszlochała Maria. – Zrobię wszystko, żeby się z tego wyrwać.

– Czy pragniesz umrzeć dla siebie samej? – pytałem dalej.

– Tak – odparła, powstrzymując łzy. – Nawet to...

– A więc opowiem ci o miłości tak pięknej, tak cudownej, tak wspaniałej, że może nawet osobę taką jak ty uczynić czystą i niewinną. Opowiem ci o Jezusie.

I przez najbliższe dziesięć minut mówiłem jej o doskonałej miłości Bożej, wylanej na nas w osobie Jezusa Chrystusa.

Maria ukryła twarz w dłoniach i szlochała. Podeszedłem do niej i położyłem rękę na jej ramieniu.

– Mario, uklęknij i módlmy się...

Zanim zdążyłem dokończyć zdanie, Maria klęczała już na podłodze. Uczułem, że tama piekła. Maria narodziła się do nowego życia w Jezusie Chrystusie.

W miesiąc później weszła do mojego gabinetu. Targał nią głód narkotyku i chciała odejść z Centrum. Jej chłopak, Johnny, odpowiedział już na zew narkotyku i przed kilkoma dniami, w środku nocy, opuścił Centrum.

Wstałem i zamknąłem drzwi.

– Mario – powiedziałem – nie ma dla mnie rzeczy ważniejszej niż twoja przyszłość. Porozmawiamy o tym, co zaszło w twoim życiu.

Maria nie wahała się ani chwili. Zaczęła od momentu, kiedy miała 19 lat i skończyła szkołę średnią. Pozwoliłem jej opowiadać.

– To Johnny nauczył mnie palić marihuanę. Moje przyjaciółki opowiadały mi, jak to jest, kiedy się pali. Powiedziały, że wszystko jest w porządku, dopóki się nie przejdzie na coś mocniejszego. Johnny zawsze miał skręty. Uważałam, że to fajna rzecz.

Maria przerwała i zamyśliła się, wspominając tamte pierwsze dni, kiedy dopiero zaczynała zstępować do tego piekła, a ja pomyślałem, jak podobna jest jej historia do opowieści tuzinów narkomanów przychodzących do Centrum. Dziewięćdziesiąt procent z nich zaczynało od skręta z „trawy”, a później stopniowo przechodziło na silniejsze narkotyki. Wiedziałem z góry, co Maria powie, ale czułem, że musi to z siebie wyrzucić.

– Opowiedz mi o tym, Mario. Co było dalej?

Maria poprawiła się w fotelu, zamknęła oczy i zaczęła opowiadać historię swojego życia.

– Czułam jak moje kłopoty gdzieś odlatują – powiedziała. – Raz czułam, że się unoszę wiele kilometrów nad ziemią, a raz znowu, że się rozdzielałam: palce odłączają się od dłoni i ulatują w przestrzeń, dłonie oddalają się od przegubów, ręce i nogi opuszczają moje ciało. Rozpadałam się na milion kawałków i z powiewem wiatru ulatywałam w dal.

Przerwała znowu, ogarnięta wspomnieniami.

– Ale „trawa” mi nie wystarczała. Pobudziła tylko żądzę czegoś mocniejszego. Byłam „na psychicznym głodzie”.

Pierwszą „szprycę” zrobił mi Johnny. Gadał o tym od kilku tygodni. Pewnego dnia od rana płakałam. Było mi bardzo źle i Johnny podszedł do mnie z igłą do zastrzyków i łyżką. Wiedziałam, co chce zrobić, ale on był tak pewien, że mi to pomoże, że mu pozwoliłam. Nie wiedziałam wtedy, co to narkomania. A on mnie zapewniał, że nic mi nie będzie.

Zacisnął mocno pas dookoła mojego ramienia ponad łokciem, aż nabrzmiała mi pod skórą żyła. Wysypał białą, podobną do cukru zawartość małej torebki na łyżkę. Zakraplaczem do oczu dodał wody, a potem podsunął pod łyżkę zapałkę i zagotował płyn. Znowu wziął zakraplacz i wciągnął do niego rozpuszczoną heroinę. Potem z wprawą wbił koniec igły do żyły i wycisnął ten czarodziejski płyn z zakraplacza do igły. Odłożył zakraplacz i kiwał igłą w mojej ręce, dopóki roztwór nie wpłynął w żyły. Gdy wyciągał igłę, nie czułam niczego. Nie zdawałam sobie sprawy, że właśnie stałam się jedną z tych, którzy „biorą w kanał”.

– Johnny, robi mi się niedobrze – powiedziałam. – Wszystko w porządku, mała – powiedział Johnny – niczym się nie przejmuj, niedługo „odpalisz”. Ja ci to obiecuję, a ja zawsze dotrzymuję obietnic. Prawda?

Ale ja go nie słuchałam. Dostałam mdłości i zanim zdążyłam się podnieść, zwymiotowałam na podłogę. Opadłam z powrotem na łóżko i zaczęłam trząść się i pocić. Johnny siedział koło mnie i trzymał mnie za rękę. Wkrótce odprężyłam się i ogarnęła mnie fala przyjemnego ciepła. Wydawało mi się, że zaczynam unosić się pod sufit. Przed oczyma miałam uśmiechniętą twarz Johnny’ego, który pochylił się nade mną i szepnął:

– No jak, mała?

– Super – odpowiedziałam szeptem – po prostu wspaniale.

Zacząłam swoją drogę do piekła.

Przez tydzień nie brałam heroiny. Ale następnym razem, gdy Johnny mi ją zaproponował, zgodziłam się chętnie. Kolejny raz nastąpił po trzech dniach. Potem Johnny nie musiał mi już proponować zastrzyku – sama go prosiłam. Nie wiedziałam wtedy jeszcze, że stałam się narkomanką... że jestem w „ciągu”.

Pewnego dnia Johnny przyszedł do domu, a ja właśnie zaczynałam się trząść. Poprosiłam go o „szprycę”.

– Słuchaj, mała, kocham cię i tak dalej, ale to kosztuje kupę forsy, wiesz?

– Wiem, Johnny, ale muszę mieć szprycę.

Johnny uśmiechnął się.

– Nie mogę, mała. Dziewczyno, zaczynasz mnie sporo kosztować.

– Proszę cię, Johnny – zaczęłam go błagać – nie drocz się ze mną. Nie widzisz, że muszę dostać szprycę?

Johnny ruszył do drzwi.

– Dziś nie. Po prostu wypoć to z siebie. Nie mam czasu ani forsy.

– Johnny! – zaczęłam krzyczeć. – Nie zostawiaj mnie. Na miłość Boską, nie odchodź!
Ale on wyszedł. Usłyszałam jak przekręcił klucz w zamku.

Próbowałam się opanować, ale nic na to nie mogłam poradzić. Podeszłam do okna i zobaczyłam Johnny'ego na dole, na rogu, rozmawiającego z kilkoma dziewczynami. Wiedziałam, co to za jedne. Pracowały dla Johnny'ego. Mówił, że są z jego „stajni”. Były to prostytutki kupujące od niego narkotyki za pieniądze otrzymane za swoje usługi. Johnny dbał o to, żeby zawsze miały heroinę, a one za prowizję rozprawdzały ją pomiędzy swoich klientów.

Stałam tam przy oknie i patrzyłam jak Johnny sięga do kieszeni płaszcza i daje jednej z dziewczyn małą białą torebkę. Wiedziałam, co w niej jest. Patrzyłam jak on rozdaje heroinę i ledwo to wytrzymywałam. Dlaczego on to daje jej, a nie mnie? Boże, jak ja tego potrzebowałam!

Nagle usłyszałam swój krzyk:

– Johnny, Johnny!

Krzyczałam przez okno na cały głos. Johnny popatrzył w górę, po czym ruszył z powrotem w kierunku domu. Kiedy wszedł, leżałam na łóżku trzęsąc się i łkając. Zupełnie przestałam nad sobą panować.

Johnny zamknął za sobą drzwi. Usiadłam na łóżku i próbowałam coś powiedzieć, ale zanim zdążyłam wydobyć głos, on podszedł do mnie i poczułam grzbiet jego ręki uderzającej mnie w usta.

– Co robisz, u diabła! – krzyknął. – Chcesz, żeby mnie nakryli, czy co?

– Johnny, proszę cię, pomóż mi. Potrzebuję tego. Widziałam jak dajesz to tym dziewczynom. Dlaczego nie chcesz dać mnie? Proszę cię!

Wpadłam w rozpacz. Trzęsłam się i szlochałam. Czułam smak krwi płynącej mi z kącika ust, ale nie obchodziło mnie to. Chciałam tylko zastrzyku.

Johnny uśmiechnął się.

– Słuchaj, mała. Ty jesteś inna od tych suk z ulicy. Ty masz klasę. Ale tego nie dostaje się za darmo. To kosztuje, i to słono. Te dziewczyny tam na dole pracują na swoją część. A ty co robisz za swoją? No?

– Będę pracować. Zrobię wszystko, co mi każesz.

Poczułam, że podnosi się ku mnie podłoga. Osunęłam się do jego stóp i chwyciłam go za nogi, żeby nie upaść na twarz.

– Masz na myśli, że chcesz zarabiać dla mnie na ulicy? – przerwał, po czym podjął z entuzjazmem. – Mogłabyś to robić, mała. Wiem, że jak zechcesz, to potrafisz. Mała, byłabyś dziesięć razy lepsza od tamtych dziewczyn. Faceci staliby do ciebie w kolejce, a przy okazji moglibyśmy zarobić kupę forsy. No jak? Robiłbym forszę i kupował ci tyle „hery”, ile byś chciała. Już nigdy nie musiałabyś przez to przechodzić. No co? Chcesz?

– Tak, Johnny, tak, tak, tak. Tylko zrób mi zastrzyk.

Johnny podszedł do kuchenki. Wyjął swoją łyżkę i zapalił gaz. Wysypał na łyżkę trochę białego proszku i potrzymał nad płomieniem. Nappełnił zakraplacz i podszedł do miejsca, w którym kuliłam się na podłodze.

– Mała, dziewczyno, dla nas obojga zaczyna się niebo. Kiedy jesteś ze mną, osiągniemy księżyc.

Poczułam jak igła wbija mi się w żyłę. Drzenie ustało niemal natychmiast – w kilka sekund. Johnny pomógł mi się podnieść i zaprowadził do łóżka, gdzie zapadłam w głęboki sen. Ale Johnny nie miał racji. To nie był początek nieba. To był początek długiego, przeraźliwego koszmaru, który miał się ciągnąć przez osiem okropnych lat. Nie niebo, ale piekło.

Piekło to bezdenne przepaść, w której się spada, ciągle w dół i w dół, i nigdy nie osiąga się dna. Przy grzeźnięciu w narkomanie nie ma okazji, żeby się zatrzymać i zastanowić. Nie ma sposobu, żeby powstrzymać upadek. Ja spadałam.

Johnny nie mógł mnie wykorzystywać, dopóki nie zostałam narkomanką. Ale kiedy stałam się niewolnicą narkotyków, stałam się też jego niewolnicą. Musiałam robić to, czego on chciał, a on chciał, żebym była prostytutką i przynosiła mu pieniądze. Zaopatrywał mnie w heroinę, ale widziałam, że to niezupełnie było takie niebo, jakie mi obiecywał.

Przede wszystkim wkrótce się przekonałam, że Johnny ma też inną kobietę. Wiedziałam, że nie ma zamiaru się ze mną żenić, ale nie przyszło mi do głowy, że utrzymuje inną kobietę. Zostałam o tym powiadomiona w brutalny sposób.

Poprzedniej nocy miałam mały ruch, więc wstałam zaraz po południu, żeby pochodzić po sklepach. Lubiłam wyjść i zapomnieć kim jestem, udawać, że jestem taka sama jak inni ludzie. Stałam na rogu Hicks i Atlantic czekając na zielone światło, kiedy nagle ktoś chwycił mnie za ramię i pociągnął tak mocno, że obróciłam się o 180 stopni.

– Ty jesteś Maria, co?

Przede mną stała śniada kobieta z długimi czarnymi włosami opadającymi na ramiona. Oczy jej ciskały pioruny. Zanim zdążyłam jej odpowiedzieć, powiedziała:

– Tak, to ty. Widziałam cię już kiedyś. To ty kręcisz z moim chłopcem. Ja ci pokażę, ty tania dziwko.

Próbowałam się od niej odsunąć, ale ona uderzyła mnie w twarz. Zapaliło się zielone światło i ludzie przepychali się koło nas, ale ja nie miałam zamiaru dać się byle komu bezkarnie w taki sposób poszturchiwać. Zapałam ją za włosy i równocześnie popchnęłam do tyłu.

Wrzasnęła dziko:

– Ty brudna wywłoko! Ja ci dam spać z moim chłopcem! Zabiję cię!

Wpadła w szal. Rzuciła we mnie torebką, ale uchyliłam się. Popchnęłam ją ciałem i zatoczyła się, uderzając o poręcz zejścia do metra. Usłyszałam jak, uderzywszy kręgosłupem o twardą żelazną rurę, zachłysnęła się powietrzem.

Chwyciłam ją za głowę i zaczęłam ją spychać ponad poręczą w dół, ku czarnym stopniom, wiodącym do metra. Staralam się dosięgnąć paznokciami jej oczu, bo wiedziałam, że tam ją najbardziej zabolę. Nagle ona wbiła w moją dłoń zęby. Krzyknęłam z bólu, szarpnęłam rękę i poczułam jak jej zęby rozrywają mi ciało.

Odkoczyłam. Ktoś złapał mnie od tyłu i tłum nas rozdzielił. Mężczyzna, który mnie chwycił, odwrócił mnie i popchnął na jezdnię. Potoczyłam się i upadłam. Ludzie wciąż tłoczyli się wokół tamtej kobiety, a ja puściłam się biegiem przez jezdnię i dalej chodnikiem, drugą stroną ulicy.

Nie obejrzałam się ani razu, tylko pobiegłam prosto do domu, obmyłam rękę i poprosiłam dziewczynę mieszkającą naprzeciwko, żeby mi ją zabandażowała. Wieczorem byłam znowu na ulicy... Nigdy więcej nie zobaczyłam tej kobiety.

Ale od tego czasu nie poczuwałam się już do żadnych zobowiązań wobec Johnny'ego. Wiedziałam, że mogę dostać towar od któregośkolwiek z tuzina facetów i każdy z nich będzie zadowolony, że dla niego pracuję. Tak zaczął się ten długi koszmar. Żyłam po kolei z różnymi mężczyznami. Wszyscy byli narkomanami. Ja sprzedawałam swoje ciało, a oni chodzili kraść.

Nauczyłam się pracować na spółkę z innymi dziewczynami. Wynajmowałyśmy pokój na noc. Potem szłyśmy na ulicę i czekałyśmy. Miałyśmy trochę stałych klientów, ale przeważnie byli to całkiem obcy mężczyźni. Murzyni, Włosi, Azjaci, Portorykańczycy, biali... ich pieniądze miały ten sam kolor.

W niektóre noce nie trafiało mi się nic, a czasem, kiedy noc była dobra, miałam dziewięciu do dziesięciu klientów. Ale w tym okresie na utrzymanie się w „ciągu” potrzebowałam już 40

dolarów dziennie, a to znaczyło, że muszę mieć co najmniej pięciu klientów każdej nocy, żeby być na chodzie.

To było istne piekło. W ciągu dnia, kiedy mogłam pospać, zrywałam się z krzykiem z okropnych snów. Byłam więźniem własnego ciała, a sama sobie byłam więziennym strażnikiem. Nie było ucieczki od tego strachu, plugastwa i ohydy grzechu.

Bałam się pijaków. Niektórzy byli zboczeńcami i sadystami. Kilku dziewczynom zdarzyło się, że były torturami zmuszane do nienaturalnych stosunków. Jedna trafiła na faceta, którego podniecało bicie dziewczyny pasem. Był mocno podpity i zanim doszli do pokoju, trząśł się z niecierpliwości. Kazał się jej rozebrać, a potem wziął jej biustonosz, przywiązał jej ręce do klamki i bił ją pasem po brzuchu i piersiach, aż zemdlała od krzyku.

Wolałam korzystać z pokoju, który wynajmowałam. Czasami mężczyzna chciał, żebym szła do jego mieszkania albo pokoju hotelowego. Nieraz to byli biznesmeni, którzy przyjechali w interesach albo na konferencję. Ale ja się bałam iść z mężczyzną do jego pokoju. Zdarzały się okropne rzeczy, a niektóre dziewczyny w ogóle nie wracały.

Niektórzy nie chcieli iść do mojego pokoju, bojąc się, że zostaną „obrobieni”. Woleli, żebym wsiadła do ich samochodu.

Po kilku nieprzyjemnych doświadczeniach przestałam się na to godzić.

Jeden wywiózł mnie na drugi koniec miasta i potem całą noc wracałam metrem do domu. Inny zawiózł mnie w jakieś odludne miejsce. Był pijany i zażądał, żebym mu zwróciła jego pieniądze. Kiedy odmówiłam, przyłożył mi pistolet do głowy i pociągnął za spust. Pistolet nie wypalił i uciekłam, ale nigdy już więcej nie wsiadłam do niczyjego samochodu.

Kłopoty miałam nie tylko z facetami z ulicy. Miałam też ciągłe problemy z policją. Przez osiem lat, kiedy zażywałam heroinę, byłam jedenaście razy w więzieniu. Najdłużej siedziałam sześć miesięcy. Zamykali mnie za wszystko. Za kradzieże w sklepach i za okradanie ludzi. Za narkomanię. Za włóczęgostwo. I oczywiście za prostytutkę.

Nienawidziłam więzień. Kiedy pierwszy raz poszłam do więzienia, wciąż płakałam. Obiecałam sobie, że nigdy więcej nie zrobię niczego, za co mogliby mnie jeszcze kiedyś zamknąć. Ale w cztery miesiące później znowu trafiłam do więzienia. Dziesięć razy tam wracałam.

Policja nie dawała mi spokoju. Jeden gliniarz przychodził co kilka dni, kiedy byłam na ulicy, i próbował mnie namówić, żebym z nim poszła. Ale wiedziałam, że nie zarobię u niego ani centa i nie dałam się namówić.

Heroina zaczęła mnie wykańczać. Pamiętam swoje pierwsze przedawkowanie. Jeszcze pracowałam i wprowadziłam się z powrotem do matki. Odeszłam od Johnny'ego. Matka pracowała w fabryce, a ja w biurze. Powiedziałam matce, że muszę sobie kupić coś nowego do ubrania i uprosiłam ją, żeby wzięła pożyczkę z banku.

Pierwszego dnia przyszłam wcześniej z pracy i wzięłam te pieniądze z komody. Poszłam do Harlemu, do znajomego handlarza, kupiłam towar i schowałam go w biustonoszu. Potem poszłam kilka przecznic dalej, do jednej piwnicy, gdzie mieszkali narkomani, których znałam. Byłam wykończona. Roztrzęsiona. Naciągnęłam „szprycę” z kapsla od butelki i wstrzyknęłam sobie do żyły. Od razu poczułam, że coś jest nie w porządku. Zakręciło mi się w głowie i zemdlałam. Pamiętam, że ktoś szarpał się ze mną, próbując mnie postawić na nogi. Chyba się przestraszyli, kiedy nie reagowałam. Ktoś zdarł ze mnie biustonosz, wyciągnął resztę „H”, a potem wywlócił mnie z piwnicy i zostawił leżącą bezwładnie na chodniku.

Kiedy się ocknęłam, byłam w Bellevue. Policja znalazła mnie i zabrała do szpitala. Ktoś mnie obrobił. Zniknęły wszystkie moje pieniądze. Trzej gliniarze stali koło mojego łóżka i wszyscy naraz zadawali mi pytania. Powiedziałam im, że piłam i ktoś mi coś wsypał do kieliszka. Ale oni wiedzieli. I spowodowali, że lekarz napisał na mojej karcie „przedawkowanie”. To było pierwsze z trzech.

Ostatnie omal mnie nie zabiło.

Siedziałam w swoim pokoju i piłam. Połączenie taniego wina z przedawkowaniem heroiny zwałało mnie z nóg.

Zasnęłam, upadłam na łóżko i wpadł mi we włosy papieros. Pamiętam, że śniło mi się coś dziwnego. Śniło mi się, że sięgnęła mnie ręka Boga i zaczęła mną potrząsać... i nie przestawała trząść. Pamiętam, jak powiedziałam: „Do diabła, Boże, daj mi spokój, przestań mnie trząść”. Ale On nie przestał. I obudziłam się.

Wydawało mi się, że coś jest nie tak, ale nie wiedziałam co. Wtedy poczułam, że coś śmierdzi. To był smród przypalonego mięsa. Próbowałam wstać, ale upadłam na podłogę. Podczołgałam się do lustra, podciągnęłam się w górę i popatrzyłam na siebie. Nie poznałam swojej twarzy. Byłam łysa. Spłonęły mi całe włosy. Twarz miałam pokrytą bąblami i miejscami zwęgloną. Uszy były prawie zupełnie spalone. Dymiło się z nich tak, jak z przypalonych tostów. Ręce miałam poparzone i w miejscach, którymi podświadomie próbowałam stłumić ogień, pokryte bąblami.

Zaczęłam krzyczeć. Mężczyzna mieszkający naprzeciwko usłyszał mój histeryczny krzyk i wiedząc, że jestem narkomanką, wyszedł na korytarz i zaczął łomotać w moje drzwi.

Zataczając się podeszłam do drzwi i chciałam je otworzyć, ale kiedy złapałam za gałkę, skóra z dłoni przylepiła się do metalu, zesza z rąk i nie mogłam tej gałki obrócić.

Temu mężczyźnie udało się jakoś otworzyć drzwi od zewnątrz. Chciał mnie zawieźć do szpitala, ale się nie zgodziłam. Upadłam z powrotem na łóżko i poprosiłam go, żeby mnie zaprowadził do mieszkania mojej przyjaciółki Inez. Zaprowadził mnie tam i zostałam u niej na noc.

Ale miałam oparzenia drugiego i trzeciego stopnia i ból stał się nie do zniesienia. Bałam się szpitala. Byłam tam już kiedyś. Wiedziałam, że głęboko siedzę w nałogu, i zdawałam sobie sprawę, że jeśli tam pójdę, będę musiała pożegnać się z heroiną i odwyknąć metodą nagłego odstawienia. Nie wierzyłam, że mogę to wytrzymać. Chyba bym umarła. A bałam się umierać.

Ale rano Inez zmusiła mnie, żebym jednak poszła do szpitala. Nie musiała się za bardzo wysilać. Zdałam sobie sprawę z tego, że jeśli się nie zgodzę, to umrę.

W szpitalu byłam półtora miesiąca, dopóki nie zagoiły się oparzenia. Kiedy mnie wypuścili, wróciłam na ulicę. Pierwszy zastrzyk wzięłam czterdzieści pięć minut po wyjściu ze szpitala, a wieczorem ruszyłam na obchód swojego rejonu. Tylko że teraz było gorzej, przez te blizny od poparzeń. Nikt mnie nie chciał. Ubranie miałam całe powypalane papierosami i poplamione kawą. Byłam brudna i śmierdziałam. Czasem szłam ulicą i dusiłam się od kaszlu. I prawie dostawałam bzika od narkotyków.

Jeden Hiszpan, Rene, często rozmawiał ze mną na ulicy. Kiedyś handlował narkotykami, ale zetknął się z ludźmi z Centrum Młodzieżowego i skończył z heroiną. Został chrześcijaninem i od kilku miesięcy chodził za mną, żebym przyszła tu i też skończyła z nałogiem.

Pewnego zimnego wieczora, w marcu, strasznie mnie ciągnęło do zastrzyku. Powlokłam się ulicą za róg, na Clinton 416, i upadłam w hallu koło biurka.

Tego dnia siedział tam Mario. Zawołał Glorię, a ona delikatnie mnie podniosła i podtrzymując poprowadziła do tych drzwi obok biurka. Weszłyśmy do kaplicy.

– Uklęknij, Mario – powiedziała Gloria. – Uklęknij i módl się.

Byłam jak w letargu i myślałam, że umieram. Ale jeśli trzeba się modlić, żeby wyżyć, zrobię to. Uklękłam na podłodze za jedną z ławek, ale nagle – tak, że nie zdążyłam się schylić – zaczęłam wymiotować. Zabrudziłam sobie cały przód bluzki i zanieczyściłam podłogę. Zaczęłam płakać, trząść się i upadłam, wsadzając obie ręce we własne wymiociny.

Zobaczyłam, że podchodzą do mnie inne znajdujące się w kaplicy dziewczyny. Poznałam między nimi kilka znajomych z więzienia, ale teraz były inne. Wszystkie wyglądały jak anioły, wolno płynęły ku mnie między ławkami i krzesłami. Uśmiechały się. Ich twarze

promieniały. Oczy im błyszczały, ale nie od „trawy”, ani „H”, tylko od wewnętrznej jasności, której odbłask padał na mnie.

Byłam oszołomiona i kręciło mi się w głowie. Gloria była przy mnie i zdawałam sobie sprawę, że klęczy w moich wymiotach. Odwróciłam głowę, żeby zapłakać, ale znowu zaczęłam wymiotować.

Dziewczyny zgromadziły się wokół mnie i słyszałam jak się modlą. Gloria wstała i poczułam na głowie jej dłoń. Jakaś siła, elektryczna, duchowa siła spływająca z delikatnych rąk Glorii w moje poparzone ciało przepływała przeze mnie i nieomal unosiła mnie nad podłogę.

Usłyszałam muzykę. Kilka dziewcząt zaczęło śpiewać. Zadrżałam i znowu zwymiotowałam.

– Błagam, połóżcie mnie do łóżka...– wyjąkałam.

Poczułam silne ręce jednej z dziewczyn, która chwyciwszy mnie pod pachy pomogła mi wstać i nieomal zaniósła po schodach na górę. Myślałam, że chcą mnie utopić. Pomyślałam, że to pewnie kupa wariatek i chcą mnie zabić. Ale tak się źle czułam, że było mi już wszystko jedno.

Dziewczyny delikatnie poprowadziły mnie pod prysznic i umyły. Po raz pierwszy od kilku miesięcy byłam cała czysta i od razu poczułam się lepiej. Potem pomagały mi się wytrzeć, ubrały mnie w czystą bieliznę i zaprowadziły do składanego łóżka w sali pełnej takich łóżek.

– Mogę zapalić? – spytałam jednej z dziewczyn.

Gloria odpowiedziała:

– Niestety, Mario, my tu nie palimy. Ale masz tu cukierka. Spróbuj, powinno ci to pomóc.

Upadłam na łóżko i zaczęłam się trząść. Dziewczyny na zmianę nacierały mi palce. Za każdym razem, kiedy prosiłam o papierosa, Gloria wkładała mi w usta następny cukierek.

Siedziały przy mnie przez dwa dni i dwie noce. Nieraz w nocy budziłam się z drżeniem i widziałam koło swego łóżka Glorię czytającą Biblię albo modlącą się na głos. Ani chwili nie byłam sama.

Trzeciego wieczora Gloria powiedziała:

– Mario, chcę żebyś zeszła do kaplicy na nabożeństwo.

Byłam słaba, taka słaba. Ale zeszłam do kaplicy i usiadłam z tyłu.

Tego wieczora ty miałeś kazanie. Po tym kazaniu przyszłam do tego pokoju, uklęknęłam tutaj i wypłakałam przed Bogiem to, co leżało mi na sercu.

Maria przestała mówić. Głowę miała pochyloną, a oczy skierowane na Biblię leżącą na moim biurku.

– Mario – szepnąłem – czyż Bóg nie usłyszał twego płaczu?

Maria podniosła głowę.

– O tak, Nicky. Nigdy w to nie wątpiłam. Ale kiedy pociąg do narkotyków się wzmacnia, mam ochotę się poddać – po jej policzku stoczyła się łza. – Módl się za mnie. Z Bożą pomocą poradzę sobie z tym.

Nicky Cruz opowiada

Rozdział 16

Z Chrystusem w Harlemie

Dawid był przeważnie w rozjazdach, rekrutując pracowników na lato i zbierając pieniądze na Centrum. W miarę upływu czasu miał coraz mniej osobistych kontaktów z narkomanami i znalazł się w sytuacji administratora – w roli, której, co było widać, wcale nie pragnął, ale do której zmusiły go okoliczności.

Większość naszej pracy w terenie wykonywaliśmy podczas ulicznych nabożeństw i spotkań na rogach ulic. Prawie codziennie ustawialiśmy nasze podium i głośniki w którymś z nowojorskich gett.

Pewnego dnia Mario, ja i jeszcze kilka osób pojechaliśmy naszym mikrobusem do serca hiszpańskiego Harlemu. Rozdawaliśmy nasze traktaty próbując ściągnąć trochę ludzi na nabożeństwo uliczne, ale prawie nikt się nami nie zainteresował.

Mario powiedział do mnie:

– Ściągnę tu kupę ludzi.

– Dzisiaj nic z tego nie będzie – odpowiedziałam. – Nikogo to nie interesuje. Możemy spokojnie się spakować i jechać do domu.

– Nie – powiedział Mario. – Będziemy tu mieli tłum. Ustawiaj głośniki. Nie minie godzina i będziemy tu mieli takie wielkie zgromadzenie, jak jeszcze nigdy.

– Człowieku, jak chcesz mieć zgromadzenie bez ludzi? Dziś ich to po prostu nie interesuje.

– Nic się nie bój. Zostaw to mnie – powiedział Mario uśmiechając się skromnie, po czym pobiegł i zniknął za rogiem.

Zaczęliśmy ustawiać sprzęt. Pracowaliśmy kierowani wyłącznie wiarą. Czułem się jak Noe budujący swoją arkę na suchym szczycie góry. Ale stukaliśmy zawzięcie młotkami, wierząc, że Bóg ześle ulewę.

I zesłał. Skończyliśmy w piętnaście minut i znowu stanąłem na rogu, rozdając traktaty, kiedy zobaczyłem nadbiegającą w moim kierunku gromadę chłopaków. Wywijali pałkami, kijami baseballowymi i wrzeszczeli na całe gardło. Odwróciłem się, chcąc wracać na podium i wtedy zobaczyłem drugą gromadę chłopaków, nadciągającą z przeciwnej strony, z wrzaskiem i wywijaniem kijami. „Muszę stąd zwiewać – pomyślałem. – Te chłopaki będą się prać”. Ale było już za późno. Otoczyły mnie wrzeszczące, rozpychające się łokciami gangi. Czekałem kiedy rozpocznie się walka.

Nagle zobaczyłem Maria nadbiegającego zaułkiem między blokami i krzyczącego w kierunku pożarowych schodków:

– Hej, słuchajcie wszyscy! Za piętnaście minut będzie przemawiał przywódca okrutnego gangu Mau Mau z Brooklynu. Chodźcie go posłuchać! Chodźcie posłuchać wielkiego Nicky’ego Cruza, najgroźniejszego człowieka w Brooklynie! Przyjdźcie przygotowani na wszystko! To niebezpieczny morderca!

Chłopcy wysypywali się z domów, zbiegali po przeciwpożarowych schodkach i pędzili w moją stronę. Tłocząc się wokół mnie, wołali:

– Gdzie jest Nicky? Chcę go zobaczyć. Gdzie jest ten przywódca Mau Mau?

Mario podszedł do mnie uśmiechając się od ucha do ucha.

– Widzisz? Mówiłem ci, że zwołam tu tłum.

Rozejrzeliśmy się. Rzeczywiście, Mario zwołał tłum. Na ulicy kotłowało się chyba z 300 chłopaków. Pokręciłem głową.

– Mam nadzieję, że nas tu nie pozabijają. Człowieku, te chłopaki są zdolne do wszystkiego.

Jeszcze dysząc po biegu, Mario wciąż się uśmiechał.

– Dalej, kaznodziejo, czekają na ciebie wierni.

Nie otarłszy nawet spoconej twarzy, wspiał się na podium, podszedł do mikrofonu i wyciągnął rękę, dając znać, że chce przemawiać. Chłopcy uciszyli się, a on rozpoczął w taki sposób, w jaki konferansjer podczas karnawału zwraca uwagę ludzi na coś, co się dzieje w innej sali.

– Panie i panowie. Dziś jest wielki dzień! Będzie do was mówił przywódca słynnych z okrucieństwa Mau Mau, najniebezpieczniejszy człowiek w Nowym Jorku, postrach młodych i starych. Tylko że on już nie jest przywódcą. Jest byłym przywódcą. I dziś powie wam, dlaczego nie jest już w gangu i dlaczego przeszedł na stronę Jezusa. A teraz oddaję głos samemu NICKY'EMU CRUZOWI, eks-przywódcy gangu Mau Mau!

Gdy Mario wykrzykiwał zakończenie swojej zapowiedzi, wskoczyłem na podium i stanąłem przed mikrofonem. Chłopcy z tłumy zaczęli krzyczeć i klaskać. Stałem na podium, uśmiechałem się i machałem ręką, a oni bili mi brawo. Wielu z nich znało mnie albo czytało o mnie w gazetach. Około dwustu dorosłych zgromadziło się za młodzieżą. Zajechały dwa samochody policyjne – po jednym z każdej strony tłumy.

Wyciągnąłem ramiona, a krzyki, gwizdy i oklaski umilkły. W jednej chwili tłum się uciszył.

Gdy zacząłem mówić, czułem się szczególnie natchniony przez Ducha Świętego. Słowa przychodziły mi lekko i bez wysiłku.

– Byłem przywódcą Mau Mau. Widzę, że słyszeliście o mnie.

Tłum znowu wybuchnął spontanicznymi oklaskami. Wyciągnąłem ręce i zapadła cisza.

– Dzisiaj chcę wam powiedzieć, dlaczego jestem byłym przywódcą. Jestem byłym przywódcą, bo Jezus zmienił moje serce. Pewnego dnia, na zgromadzeniu ulicznym, takim samym jak to, słuchałem jednego pastora opowiadającego o kimś, kto może zmienić moje życie. On mi powiedział, że Jezus mnie kocha. A ja nie wiedziałem nawet, kto to jest Jezus. I wiedziałem, że nikt mnie nie kocha. Ale Davie Wilkerson powiedział mi, że Jezus mnie kocha, i moje życie się odmieniło. Poświęciłem się Bogu i On dał mi nowe życie. Kiedyś byłem taki jak wy: biegałem po ulicach, spałem na dachach. Wywalili mnie ze szkoły za bójki. Poszukiwała mnie policja i wiele razy byłem zatrzymywany, trafiałem do aresztu. Bałem się. Ale wtedy Jezus odmienił moje życie. Nadał mu nowy sens. Nie palę już „trawy”, nie biję się i nie zabijam. Nie leżę nocami bojąc się zasnąć. Nie dręczą mnie już nocne koszmary. Teraz gdy gdzieś przechodzę, ludzie do mnie zagadują. Policja mnie szanuje. Jestem żonaty i mam małe dziecko. Ale przede wszystkim jestem szczęśliwy i już nie uciekam.

Tłum słuchał z uwagą. Skończyłem mówić i wezwałem do wystąpienia wszystkich, którzy chcą zmienić swoje życie.

Po moich słowach dwudziestu dwóch chłopców wystąpiło przed tłum i uklękło. Zacząłem się modlić.

Skończyłem i rozejrzałem się. Policjanci wyszli z samochodów i stali z czapkami w rękach, pochyliwszy głowy. Podniosłem twarz ku niebu. Nad Harlemem świeciło słońce.

Hiszpański Harlem stał się naszym ulubionym miejscem organizowania ulicznych zgromadzeń. Tutaj udawało się nam ściągać więcej słuchaczy, a potrzeba Ewangelii była tu

widoczniejsza niż w innych miejscach, w których wygłaszaliśmy kazania. Stale przypominałem naszej grupie, że „gdzie pomnożył się grzech, tam szczególnie zaobfitowała łaska”¹⁶.

Glorii trudno było się pogodzić z hiszpańskim Harlemem. Nie mogła się przyzwycząić do niezbyt miłych zapachów. Usiłowała nie zachowywać się jak snobka, ale znoszenie niektórych placów targowych przekraczało jej wytrzymałość. Nawet mnie było trudno przyzwycząić się do much rojących się nad mięsem, owocami i jarzynami.

A do tego ten zapach narkotyków. Narkomani wydzielają zapach mułu. A kiedy są w gromadzie, zwłaszcza w czasie letnich upałów, ten zapach staje się nie do zniesienia.

W czasie tych pierwszych miesięcy wygłaszania ulicznych kazań nauczyliśmy się wielu rzeczy. Nauczyliśmy się, że największe sukcesy osiągają ci, którzy trafili do nas z ulicy i mogą z pierwszej ręki przedstawić opowieść o odmieniającej, przeobrażającej mocy Jezusa Chrystusa. Moje kazania do narkomanów nie miały takiego powodzenia, jak kazania byłych narkomanów. Okazali się oni najlepszymi kaznodziejami. Ich szczere, rzetelne, nieskładne opowieści wywierały ogromny wpływ na innych narkomanów. Coraz częściej zaczynaliśmy ich z sobą zabierać, żeby przemawiali. To jednak rodziło pewne problemy.

Wielokrotnie podczas ulicznych zgromadzeń narkomani z ulicy próbowali kusić naszych i ich dręczyć. Stojąc przed nimi zapalali marihuanowe skręty i umyślnie dmuchali im dymem w twarz. Widziałem nawet, jak jeden z nich wyciągnął strzykawkę, pakiecik heroiny i machał tym przed twarzą jednego z naszych narkomanów, mówiąc:

– Hej, mały, nie tęsknisz za tym? Chłopie, to jest życie! Musisz spróbować.

Pokusa była ogromna, ale te dusze były osłonięte tarczą mocy Boga.

Okazało się, że zwłaszcza Maria nie wstydzi się stanąć przed gromadą jej byłych towarzyszy, prostytutek i narkomanów, świadcząc o łasce Bożej. Gdy opowiadała o Bogu, który jest bliskim, osobistym przyjacielem, który pod postacią swego Syna, Jezusa Chrystusa, chodzi nieprzyjaznymi ulicami tego miasta dotykając ludzi w ich grzechu i uzdrawiając ich, jej proste słowa często wzruszały zgromadzonych do łez. Większość z nich nigdy nie zetknęła się z takim Bogiem. Bóg, o którym słyszeli, jeśli w ogóle o nim słyszeli, był Bogiem surowym, rzucającym klątwy na grzeszników i smaganiem ustawiającym ich w szereg jak policjant. Albo, być może, utożsamiali Boga z zimnymi i ceremonialnymi rytuałami, które widywali w kościołach.

Pewnego dnia były członek gangu, młody Murzyn, człowiek, który do niedawna zażywał heroinę, opowiadał o swoim dzieciństwie. Mówił, że kiedy miał trzynaście lat, musiał odejść z domu, bo w mieszkaniu było za ciasno. Mówił o tym, że z jego matką żyli różni mężczyźni. Opowiadał o noclegach na dachach i w metrze. Wyznał, że często musiał żebrać, kraść albo prosić obcych o jedzenie. Nie miał żadnego domu. Za ustęp służyły mu dachy i zaułki między blokami. Żył na ulicy jak dzikie zwierzę.

Gdy to mówił, jakaś stara kobieta z tyłu zaczęła płakać. Nieomal wpadła w histerię. Omijając zgromadzony tłumek podszedłem do niej, aby ją pocieszyć. Kiedy się trochę uspokoiła, powiedziała mi, że ten chłopak mógłby być jej synem. Wygnała z domu na ulicę pięciu synów i nie może już znieść poczucia winy. Zgromadziliśmy się dokoła niej i modliliśmy się za nią, a ona, odrzuciwszy w tył głowę i wzniosłszy oczy ku niebu, z płaczem prosiła Boga, by jej wybaczył i ochroniał synów, gdziekolwiek teraz są. Bóg zesłał tej kobiecie ukojenie jeszcze tego samego popołudnia, ale krzywda wyrządzona przez nią synom była już nie do naprawienia. A w tysiącach innych przypadków krzywdy wciąż są wyrządzane. Czuliśmy się tak, jakbyśmy próbowali osuszyć ocean, wybierając łyżką wodę z fal przypiływu. Wiedzieliśmy jednak, że Bóg nie oczekuje od nas zbawienia świata, tylko świadectwa i wiary. I to było naszym celem.

¹⁶ List św. Pawła do Rzymian 5,20.

Pewnego czwartkowego wieczoru zwołaliśmy uliczne zgromadzenie w rogu dziedzińca jednej ze szkół w hiszpańskim Harlemie. Kończył się gorący, letni dzień. Zebrało się dużo osób, aby posłuchać skocznych hiszpańskich pieśni chóralnych i żywej muzyki religijnej rozlegającej się z naszych głośników.

Tłum był podekscytowany i rozbawiony. Gdy muzyka stała się żywsza, część naszych chłopców i dziewcząt podeszła do mikrofonu i zaczęła śpiewać i klaskać do taktu. Ale z boku zobaczyłem jakiś ruch. To grupa „małych ludzi” zaczęła w rytm muzyki tańczyć. Kilkoro dzieci tańczyło kręcąc biodrami i przytupując. Część zgromadzonych zebrała się wokół nich i zaczęła ich dopingować, śmiejąc się i klaszcząc. Opuściłem swoje miejsce i poszedłem tam:

– Hej, dzieciaki, skąd wam przyszło do głowy tutaj tańczyć? To jest rejon Jezusa.

Jeden z nich odpowiedział:

– Tamten gość nam zapłacił, żebyśmy tańczyli. Widzisz? Dał nam dziesiątaka.

Pokazał szczupłego młodego człowieka, około dwudziestu ośmiu lat, który stał na uboczu. Podeszedłem do niego, żeby z nim porozmawiać. Kiedy zobaczył, że się zbliżam, sam zaczął skakać w rytm muzyki.

Próbowałem coś powiedzieć, ale on ciągle tańczył: podskakiwał, kręcił biodrami i strzelał obcasami, mówiąc:

– Chłopie, to mocna muzyka, cza-cza-cza.

Kręcił się po ulicy, klepał rękami po udach, odrzucał głowę do tyłu jak nienormalny i podśpiewywał:

– Bi-bop, cza-cza-cza... dam-di-dam-dam... swing, chłopie, swing.

W końcu udało mi się wtrącić:

– Hej, człowieku, chcę cię o coś zapytać.

Nie przerywając tańca wyśpiewał:

– No, staruszk, czego chcesz?... czego chcesz? Bi-bop, didam-dam... czego chcesz?

– Dałeś tym dzieciakom pieniądze, żeby tańczyły i przeszkadzały nam w nabożeństwie? – spytałem. – Moja cierpliwość się kończyła.

Okręcił się w kółko i powiedział:

– Właśnie, chłopie, tym razem masz takiego gościa, jakiego ci trzeba. Jestem wasz człowiek... da-da-di-da...

Kręcił się, cmokał i wymachiwał nogami aż do wysokości głowy.

Pomyślałem, że to wariat.

– Dlaczego? – krzyknąłem do niego. – I w ogóle, co ci się człowieku stało?

– Bo wy się nam nie podobacie. Nie podobają się nam chrześcijanie. Nie. Nie. Nie. Nie podobają się nam chrześcijanie. Da-da-dam-di-dam.

Straciłem cierpliwość.

– Dobra, stary – powiedziałem zaciskając pięści i ruszając ku niemu. – Dokończymy tego nabożeństwa, a ty będziesz siedział cicho, bo jak nie, to tak tobą rąbnę o tę ścianę, że zamkniesz się na dobre.

Zobaczył, że nie żartuję, ale nie od razu przestał się wygłupiać. Wymownym gestem zatkał sobie usta dłonią i popatrzył na mnie sponad niej z udanym strachem. Ale przestał tańczyć i uspokoił się.

Wróciłem do mikrofonu i wygłosiłem kazanie o tym, co przeżyłem dorastając w Nowym Jorku. Mówiłem o brudzie, nędzy, hańbie i grzechu, których pełne było moje życie. Mówiłem o grzechu, jaki popełniają rodzice pozwalający swoim dzieciom rosnać w takim grzechu. Prosiłem ich usilnie, aby dawali swoim dzieciom dobry przykład.

Gdy mówiłem, ludzie zaczęli zdejmować nakrycia głowy. Jest to najlepsza oznaka poważania i szacunku. Zauważyłem łzy w oczach wielu ze zgromadzonych, tu i ówdzie

pojawiły się chusteczki. Wiedziałem, że moc Chrystusa oddziałuje w szczególny sposób, ale nie spodziewałem się, że za chwilę objawi się ona z taką siłą.

Zauważyłem pośród płaczących starego człowieka, niewątpliwie alkoholika. Młoda, stojąca blisko podium dziewczyna ukryła twarz w dłoniach i uklękła gołymi kolanami na twardej, brudnej nawierzchni dziedzińca. Od naszej grupy oderwała się jedna z dziewcząt, zbliżyła się do niej i uklękła obok, modląc się razem z nią. Mówiłem dalej.

Było jasne, że na tym zgromadzeniu objawiła się moc Świętego Ducha. Gdy zakończyłem kazanie i wezwałem do wystąpienia tych, którzy pragną otworzyć swe serca na przyjęcie Chrystusa, zobaczyłem na skraju zgromadzenia narkomana, który w przystępie rozpaczy sięgnął do kieszeni koszuli, wyciągnął kilka pakietków z heroiną, rzucił je na ziemię i zaczął po nich deptać, krzycząc:

– Przeklinam cię, parszywy proszku! Zrujnowałeś moje życie! Przez ciebie odeszła ode mnie żona, pomarły dzieci. Wysłałeś moją duszę do piekła! Przeklinam cię! Przeklinam cię!

Upadł na kolana płacząc i kiwając się w przód i w tył z twarzą ukrytą w dłoniach. Pośpieszył ku niemu ktoś z członków naszej grupy. Podeszło też do niego dwóch naszych narkomanów. Jeden położył mu rękę na głowie, drugi ukląkł. Cała trójka modliła się głośno, a narkoman płacząc prosił Boga o przebaczenie. Kiloro narkomanów wystąpiło i uklękło na jezdni przed mikrofonem. Chodziłem od jednego do drugiego, kładłem im ręce na głowach i modliłem się, zupełnie nie uświadamiając sobie hałasu jadących ulicą aut i spojrzeń zaciekawionych gapiów.

Po nabożeństwie zebraliśmy tych, którzy wystąpili, i opowiedzieliśmy im o Centrum. Zaprosiliśmy ich do nas na okres zrywania z nałogiem. Zawsze znajdowało się kilku chętnych do pójścia z nami od razu. Inni wahali się albo odmawiali. Niektórzy z nich przychodzili po kilku dniach i prosili, żeby ich przyjąć.

Kiedy ludzie się rozeszli, poskładaliśmy sprzęt i zaczęliśmy ładować go do mikrobusu. Jeden z chłopców, którzy przedtem tańczyli na jezdni, zaczął mnie ciągnąć za rękaw płaszcza. Spytałem go, czego chce, a on powiedział, że chce ze mną mówić”ten co tańczył”. Na moje pytanie, gdzie jest ten człowiek, chłopak pokazał na nieoświetlony zaułek między blokami, po drugiej stronie ulicy.

Było już ciemno i nie miałem ochoty wchodzić w zaułek, w którego mroku czaił się wariat. Powiedziałem chłopcu, że chętnie porozmawiam z tym człowiekiem tutaj, w świetle ulicznych latarni.

Chłopak poszedł, ale za chwilę wrócił. Byliśmy już prawie całkiem spakowani. Chłopak kręcąc głową powiedział, że ten człowiek jest zbyt zakłopotany, żeby wyjść na światło.

Już chciałem powiedzieć chłopcu: „Nie ma mowy”, kiedy przypomniałem sobie jak David Wilkerson przyszedł do mnie do piwnicy, w której schowałem się po pierwszym ulicznym nabożeństwie. Przypomniałem sobie jak wszedł bez lęku i powiedział: „Nicky, Jezus cię kocha”. To od jego współczucia i braku lęku rozpoczęła się moja droga do uznania Chrystusa za swego Zbawcę.

Popatrzyłem w czarne niebo i powiedziałem Panu, że jeśli chce, bym poszedł porozmawiać z tym szalonym „tancerzem”, pójdę. Ale pójdę w Jego Duchu, a nie z moją mocą i władzą, i oczekuję, że On pójdzie przede mną – zwłaszcza w tym ciemnym zaułku.

Przeszedłem przez ulicę i zatrzymałem się u wylotu zaułka. Wyglądał jak wejście do grobowca. Pomodliłem się szeptem: „Panie, naprawdę ufam, że wszedłeś tam przede mną” i wszedłem w ciemność, macając ręką po ceglanej ścianie.

Wówczas usłyszałem tłumiony płacz. Ruszyłem naprzód i w mroku dostrzegłem go: siedział w kucki, kuląc się wśród śmierdzących pojemników na odpadki. Głową wcisnął między kolana, jego ciałem wstrząsały konwulsyjne łkania. Zbliżyłem się i ukląknę obok niego. Okropny smród z pojemników zapierał dech. Ale przede mną był człowiek potrzebujący pomocy i chęć jej udzielenia była silniejsza od smrodu tego zaułka.

– Pomóż mi, proszę cię, pomóż mi – wyszlochał mężczyzna. – Czytałem o tobie w gazetach. Słyszałem, że się nawróciłeś i byłeś w szkole biblijnej. Pomóż mi, proszę cię.

Nie mieściło mi się w głowie, że to ten sam człowiek, który tak niedawno tańczył i śpiewał na ulicy, próbując przeszkodzić nam w nabożeństwie.

– Czy Bóg mi wybaczy? Powiedz mi, czy upadłem już zbyt nisko? Czy On mi wybaczy? Pomóż mi, proszę cię.

Powiedziałem mu, że Bóg mu wybaczy. Byłem tego pewien. Przecież i mnie wybaczył. Poprosiłem tego człowieka, żeby opowiedział o sobie. Klęczałem obok niego w brudnym zaułku, a on opowiadał historię swojego życia.

Pewnego razu poczuł, że Bóg powołuje go do stanu duchownego. Zrezygnował z pracy i wstąpił do szkoły biblijnej, żeby zostać pastorem. Jednak po powrocie do Nowego Jorku spotkał kobietę, która tak zawróciła mu w głowie, że porzucił swoją żonę. Żona i dwoje dzieci błagali go, żeby ich nie opuszczał. Przypominali mu jego śluby przed Bogiem i małżeńską przysięgę. Ale on był jak opętany przez demona. Porzucił żonę i zamieszkał z tamtą. Po dwóch miesiącach ona go zostawiła, mówiąc, że już ją zmęczył i że już jej nie bawi. On zupełnie się rozkleił i teraz pali „trawę”, zażywa „prochy”. Spytałem go, co zażywa. Powiedział, że bierze bombitas (dezoxy), nembies, tuinal i seconal (barbiturany). Potem powiedział, że czuje jak traci rozum.

– Chciałem was stąd wypłoszyć – jęczał. – Dlatego właśnie tak się zachowywałem tam, na ulicy, i na dziedzińcu szkoły. Bałem się. Bałem się Boga, bałem się stanąć z Nim twarzą w twarz. Chcę wrócić do Boga. Chcę wrócić do swojej żony i dzieci, ale nie wiem jak. Będziesz się za mnie modlił?

Uniósł głowę, a ja ujrzałem oczy pełne cierpienia i winy, błagające o pomoc.

Pomogłem mu wstać. Wyszliśmy z zaułka na ulicę, do mikrobusu. Sześcioro nas weszło do środka. On usiadł na jednym ze środkowych miejsc i opuścił głowę na oparcie stojącego przed nim fotela. Zaczęliśmy wszyscy głośno się za niego modlić. On też się modlił. Nagle zdałem sobie sprawę, że recytuje Pismo Święte. Pamięć podsunęła mu wyuczone kiedyś w szkole biblijnej słowa Psalmu 51, modlitwę Króla Dawida, gdy popełnił cudzołóstwo z Batszebą i wysłał jej męża na śmierć w bitwie. Nigdy nie odczułem tak blisko mocy Boga, jak wówczas, gdy ten był pastor, który później był sługą szatana, otrzymał Ducha Chrystusowego i z płaczem wyznając swój grzech prosił o przebaczenie słowami Pisma Świętego:

*Boże, zmiłuj się nade mną, w swojej łaskawości,
Odpuść moje winy w swoim wielkim miłosierdziu!
Obmyj mnie zupełnie z winy mojej
i oczyść mnie z mojego grzechu.
Bo znam swoje winy,
I ciągle pamiętam o swoim grzechu.
Zgrzeszyłem przeciw Tobie samemu
I na Twoich oczach zło czyniłem.
Bądź sprawiedliwy w swoim wyroku
I prawy w swoim sądzie.
Oto zrodziłem się obciążony winą,
Moja matka w grzechu mnie poczęła.
Ty oto kochasz ukrytą prawdę,
Pozwól mi poznać nieznaną mądrość.
Pokrop mnie hyzopem, a będę czysty,
Oczyść mnie, a stanę się bielszy od śniegu.
Pozwól mi usłyszeć radość i wesele,*

*Niech się ucieszą kości, które zgruchotałeś.
Nie zwracaj już uwagi na moje grzechy
I przebaczone wszystkie moje przewinienia.
Boże, stwórz we mnie czyste serce
I odnow we mnie siłę ducha.
Nie odtrącaj mnie od swojego oblicza,
Nie odbieraj mi swojego świętego ducha.
Przywróć mi radość twojego zbawienia,
Niech wstąpi we mnie duch ochoczy!
Chcę nieprawych nauczać dróg Twoich,
By nawrócili się grzesznicy do Ciebie.
Boże, uwolnij mnie od krwi, Boże, moje zbawienie,
A mój język będzie wystawiał Twoją sprawiedliwość.¹⁷*

Zamilkł. W mikrobusie panowała cisza. I wtedy Gloria cichym, pięknym głosem wypowiedziała jeszcze jeden werset tego psalmu:

*Moja ofiara, Boże, to skrucha.
Ty, Boże nie pogardzisz sercem pokornym i żałującym.**

Wszyscy podnieśliśmy się z kolan. Mężczyzna wycierał chusteczką oczy i nos. My też pociągaliśmy nosami i sięgaliśmy po chusteczki.

Mężczyzna zwrócił się do mnie:

– Ostatnie dziesięć centów dałem tym zwariowanym dzieciakom, żeby tańczyły na ulicy. Czy dałbyś mi ćwierćdolarówkę, żebym mógł zadzwonić do żony i miał na metro? Jadę do domu.

Moją zasadą było nigdy nie dawać pieniędzy narkomanom ani alkoholikom. Wiedziałem, że niemal bez wyjątku te pieniądze pójdą na narkotyki czy alkohol. Ale to właśnie był wyjątek. Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem mojego ostatniego dolara. Mężczyzna, z twarzą mokrą jeszcze od łez, wziął banknot i objął mnie za szyję. Potem kolejno objął wszystkich pozostałych.

– Skontaktuję się z wami – powiedział. – Przyjdę.

Przyjechał. Po dwóch dniach przyprowadził do Centrum żonę i dwoje dzieci, żeby ich nam przedstawić. Jego twarz promieniała jasnością, której nie są w stanie wywołać narkotyki. Była to światłość pochodząca od Boga.

¹⁷ Psalm 51,3-16.

Psalm 51,19.

Nicky Cruz opowiada

Rozdział 17

Przez ciemną dolinę

Chyba nie da się umieścić pod jednym dachem czterdziestu narkomanów i nie mieć z nimi żadnych problemów, zwłaszcza jeśli nadzoruje ich zupełnie niedoświadczony personel. Jedynie Duch Święty chronił Centrum Młodzieżowe od eksplozji. Siedzieliśmy na beczce z prochem; każde z nas mogło zapalić lont jakiegoś psychopatycznego umysłu i przenieść nas wszystkich do niebytu. Naszą jedyną nadzieją było trzymanie się tak blisko Boga, jak to tylko było możliwe.

Trudno było odróżnić tych, którzy naprawdę szukali naszej pomocy, od tych, którzy udawali, bo większość z nich umiała artystycznie kłamać. Zarabiali na życie opowiadając zmyślane historie. Ale ufaliśmy im, na ile było można.

Byłem zwolennikiem skrupulatnego przestrzegania dyscypliny i wkrótce przekonałem się, że większość z nich nie odrzuca jej, jeśli jest ona słuszna i sensowna. Prawdę mówiąc, nawet im się podobała, ponieważ dawała im solidną podstawę działania, silne poczucie przynależności. Wiedziałem jednak, że nie wszyscy z nich odczuwają to tak samo.

David zgadzał się z moją filozofią. Ale nieprzyjemna konieczność nieustannego karcenia tych, którzy zakłócali porządek, zaczęła mi bardzo ciążyć. Wielokrotnie musiałem w środku nocy wstawać z łóżka, aby przywrócić spokój czy nawet usunąć kogoś za nieprzestrzeganie regulaminu.

Spadł na mnie obowiązek podejmowania większości istotnych dla Centrum decyzji. Musieliśmy też przyjąć dodatkowych pracowników, przeważnie wprost po koledżu. Zacząłem ostro odczuwać brak odpowiedniego wykształcenia i poczułem się zagrożony. Prawie zupełnie nie znałem się na formalnościach związanych z administrowaniem nieruchomością, a jeszcze mniej na psychologicznych aspektach międzyludzkich relacji, co było niezbędne, aby utrzymywać właściwą atmosferę i porozumiewać się z moimi współpracownikami. U niektórych z nich wyczułem zawiść i zacząłem dostrzegać stopniowe pogarszanie się wzajemnych stosunków.

Kiedy David przychodził do Centrum, próbowałem mu wyjaśnić, że mam problemy, które przekraczają moje kompetencje, ale on zawsze mi odpowiadał:

– Na pewno dasz sobie z tym radę, Nicky. Mam duże zaufanie do twoich zdolności.

Jednak problemy wciąż narastały, jak zbierające się na horyzoncie chmury przed burzą.

Jesienią poleciałem z Davidem do Pittsburgha, żeby przemawiać w obejmującej swym zasięgiem całe miasto krucjacie Kathryn Kuhlman. Miss Kuhlman prowadzi jedną z największych na świecie natchnionych przez Ducha Świętego służb duszpasterskich. Swą działalnością, za pośrednictwem Fundacji Kathryn Kuhlman, obejmuje wszystkie części świata. Miss Kuhlman odwiedziła kiedyś Centrum Młodzieżowe i żywo zainteresowała się moją pracą. Pokazałem jej miasto i zaprosiłem do getta.

– Dziękuję Bogu, że wyprowadził Pana z tych slumsów – powiedziała mi potem miss Kuhlman. – Ilekroć nie będzie Pan sobie mógł poradzić z jakimś problemem, proszę się ze mną skontaktować.

Pomyślałem sobie teraz, że będąc w Pittsburghu spróbuję z nią porozmawiać, bo zaczęło mi być coraz ciężiej na sercu. Jednak oszołomił mnie rozmach imprezy. Wieczorem, za pośrednictwem mojego przyjaciela, Jeffa Moralesa, który przyjechał z nami w roli tłumacza, przemawiałem w wielkiej hali do kilku tysięcy osób, opowiadając im historię swojego życia. Po nabożeństwie poszliśmy na obiad do małej restauracji, ale nie miałem okazji, żeby porozmawiać z miss Kuhlman sam na sam. Wyjechałem więc z Pittsburgha jeszcze bardziej załamany brakiem umiejętności rozstrzygnięcia własnych problemów.

Do stycznia 1964 roku Centrum rozrosło się tak bardzo, że nie dało się już dłużej trzymać kobiet na drugim piętrze posesji Clinton 416. Poczyniliśmy kroki w celu wynajęcia znajdującego się naprzeciwko domu, aby przeznaczyć go dla kobiet. Zdawałem sobie sprawę z tego, że za moimi plecami konspirują niektórzy narkomani, zmuszeni przeze mnie do przestrzegania dyscypliny. Ponadto przyjęliśmy do Centrum kilka lesbijek, które nieustannie sprawiały nam kłopoty. Stale bałem się, że mogą próbować uwieść którąś z niedoświadczonych dziewcząt z koledżów, przyjętych do pracy w charakterze opiekunek sal.

Kierowanie narkomanami przypominało gaszenie mokrym ręcznikiem pożaru lasu. Ilekroć opanowałem jedną sytuację, pojawiała się nowa wymagająca niezwłocznej interwencji. Przejmowałem się tym wszystkim coraz bardziej i kiedy jakiś narkoman wracał do swego poprzedniego życia, bardzo to przeżywałem.

Gloria ostrzegała mnie, żebym nie próbował brać wszystkiego na swoje barki, ale odpowiedzialność bardzo mi ciążyła.

Wtedy przyszła do Centrum Quetta. Była to lesbijka „on” i kiedyś „ożeniła się” z inną dziewczyną. Nosiła męskie ubrania, buty i nawet bieliznę. Miała niewiele ponad trzydzieści lat, bardzo jasną karnację i kruczoczarne włosy, ostrzyżone po męsku. Była to wiotka, smukła, atrakcyjna dziewczyna, bardzo bezpośrednia.

Quetta była znaną postacią wśród nowojorskich handlarzy narkotyków. Przez całe lata prowadziła w swoim mieszkaniu „strzelnicę”¹⁸. Mężczyźni i kobiety przychodzili tu nie tylko kupować heroinę, ale i brać udział w orgiach seksualnych. Quetta dostarczała wszystkiego, co było potrzebne: strzykawek, łyżek, heroiny, „prochów”, a tym, którzy mieli nienaturalne skłonności – mężczyzn i kobiety. Okropność.

Kiedy policja zrobiła nalot na mieszkanie Quetty, aresztowała dwanaście osób, w tym dwie zawodowe prostytutki, i znalazła dziesięć kompletów „sprzętu” (łyżka, igła i zakraplacz). Policjanci dosłownie zdemolowali mieszkanie zdzierając tapety i zrywając podłogi, aż znaleźli skrytkę z narkotykami wartymi tysiące dolarów.

Quetta przyszła do Centrum w okresie warunkowego zawieszenia kary. Przedstawiłem jej regulamin obowiązujący w Centrum i powiedziałem, że ma się ubrać w kobiecy strój i pozwolić odrosnąć włosom. Co więcej, nie wolno jej będzie znaleźć się sam na sam z żadną inną narkomanką, gdy nie będzie w pobliżu którejś z pracownic Centrum.

Quetta czuła się tak źle, że zgodziła się na wszystko. Prócz tego wydawało się, że jest zadowolona, iż nie musi iść do więzienia. Nie minął nawet tydzień, gdy uczyniła wyznanie wiary i całe jej zachowanie wskazywało na to, że się nawróciła.

Wkrótce jednak przekonałem się, że było to fałszywe nawrócenie. Choć Quetta wielokrotnie występowała na naszych ulicznych zgromadzeniach opowiadając o swoim nawróceniu, wyczuwałem w niej coś fałszywego.

¹⁸ W języku angielskim słowo „strzał” (shot) jest potocznie używane na określenie zastrzyku, a przez narkomanów – na określenie zastrzyku heroiny. Stąd „strzelnica” (shooting-gallery) oznacza lokal, do którego przychodzi się na zastrzyki heroinowe.

Dwa tygodnie później jedna z opiekunek sal przyszła do mnie wcześniej rano. Była biała jak płótno i trzęsła się jak liść.

– Co się stało, Diano? Wejdz i usiądź.

Diana była naszą nową pracownicą. Była to wiejska dziewczyna z Nebraski, właśnie ukończyła szkołę biblijną.

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć – wyjąkała. – Chodzi o Quettę i Lilly.

Lily była narkomanką przebywającą w Centrum dopiero od tygodnia. Chodziła na nabożeństwa, ale do niczego wobec się Boga nie zobowiązywała. Poczułem w ustach suchość.

– Co zrobiły?

Diana zaczerwieniła się i zwiesiła głowę.

– Dzisiaj w nocy, koło dwunastej, były razem w kuchni. Weszłam tam przypadkiem i... Nicky... one... one...

Głos się jej załamał ze wstydu i zakłopotania.

– Całą noc nie mogłam zasnąć. Co robić?

Wstałem z krzesła i zacząłem chodzić koło biurka tam i z powrotem.

– Idź tam i powiedz im, że chcę je tu natychmiast widzieć – warknąłem przez zaciśnięte zęby. – To miejsce jest poświęcone Panu. Nie możemy tu tolerować takich rzeczy.

Diana poszła, a ja usiadłem za biurkiem i ukrywając twarz w dłoniach, rozpaczliwie modliłem się o mądrość. Gdzie popełniłem błąd? Pozwoliliśmy Quettie publicznie opowiadać o tym, ile dał jej pobyt w Centrum. Gazety wydrukowały tę historię, nadając jej duży rozgłos. Quetta występowała nawet w kościołach, mówiąc o zmianie, jaka nastąpiła w jej życiu.

Czekałem ponad godzinę, po czym poszedłem zobaczyć, co je zatrzymuje. Diana wyszła mi naprzeciw, spotkaliśmy się na schodach.

– Odeszły. Obie. Przestraszyły się i powiedziały, że odchodzą. Nie udało nam się ich zatrzymać.

Odwrociłem się i powoli wróciłem do Centrum. Odczułem to jako osobistą klęskę. Przez trzy dni Gloria modliła się ze mną, a gdy zamartwiałem się, że najwyraźniej nie potrafię dotrzeć do tych narkomanów z posłannictwem prawdy, mówiła mi:

– Nicky, nawet Jezus miał złych uczniów. Przypomnij sobie tych wszystkich, którzy wytrwali i osiągnęli to, do czego dążyli. Przypomnij sobie Sonny'ego, który w szkole biblijnej uczy się na pastora. Pomyśl o Marii i o cudownej zmianie w jej życiu. Przypomnij sobie, co Bóg zrobił dla ciebie. Czyżbyś zapomniał jak sam zostałeś zbawiony? Jak możesz wątpić w Boga i zniechęcać się tymi odosobnionymi niepowodzeniami?

Gloria miała rację, ale ja nie byłem w stanie pozbyć się przygnębienia. W miarę upływu lata czułem się coraz bardziej winny. Czułem, że nic mi się nie udaje. Straciłem kontakt z większością pracowników. David wciąż we mnie wierzył, ale ja dotkliwie odczuwałem ciągłe niepowodzenia w Centrum. Byłem coraz bardziej napięty. Gloria wciąż usiłowała wydobyć mnie z depresji, ale nic mi się nie udawało.

Jedynym jasnym punktem było przybycie Jimmy'ego Baeza. Jimmy był narkomanem od ośmiu lat. Wszedł do Centrum poprosić o lekarstwo, bo myślał, że to jest szpital.

– Nie mamy tu żadnych lekarstw prócz Jezusa – powiedziałem do niego.

Jimmy pomyślał, że zwariowałem.

– Człowieku, myślałem, że tu jest klinika. Jesteście kupą wariatów.

Rozejrzał się nerwowo i chciał wyjść z mojego pokoju.

– Siadaj, Jimmy. Chcę z tobą porozmawiać. Chrystus może cię zmienić.

– Nikt nie może mnie zmienić – mruknął Jimmy. – Próbowałem i nie potrafię tego rzucić.

Wstałem zza biurka i poszedłem do niego. Położyłem mu dłonie na głowie i zacząłem się modlić. Jimmy zadrżał i upadł na kolana, wzywając Boga. Od tego dnia nigdy już nie chciał wstrzyknąć sobie heroiny.

– Widzisz? – powiedziała Gloria, gdy opowiedziałem jej o nawróceniu Jimmy’ego. – Bóg pokazuje ci, że wciąż może się tobą posłużyć. Jak możesz jeszcze w Niego wątpić? Dlaczego nie działasz? Od kilku miesięcy ani razu nie byłeś na wieczornym nabożeństwie ulicznym. Zabierz się do pracy dla Boga i jak dawniej poczujesz, że kieruje tobą Duch Święty.

Wziąłem sobie jej radę do serca i zgodziłem się poprowadzić uliczne nabożeństwa w ostatnim tygodniu sierpnia. Pierwszego wieczora ustawiliśmy nasze podium w Brooklynie. Zacząłem się modlić. Był gorący, parny wieczór, ale ludzi zgromadziło się dużo i słuchali z uwagą. W kazaniu włożyłem całą duszę i czułem, że moje słowa trafiają do słuchaczy. Zbliżając się do końca, wezwałem do wystąpienia wszystkich, którzy chcą otworzyć swoje serce na przyjęcie Boga.

Nagle, popatrzawszy na tylne szeregi zgromadzonych, zobaczyłem jego. Tej twarzy nie pomyliłbym z żadną inną. To był Izrael. Przez te wszystkie lata modliłem się, szukałem, rozpytywałem ludzi... i oto nagle jest – twarz w tłumie.

Serce mi załomotało. Chyba Bóg go tu przysłał. Wzywając ludzi do wystąpienia poczułem jak serce napęla mi się dawnym żarem. Wyglądało na to, że Izrael słucha uważnie, wyciągając szyję, by nie uronić żadnego słowa. Zagrała fisharmonia i zaczął śpiewać dziewczęcy tercet. Zobaczyłem, że Izrael odwraca się i odchodzi.

Zeskoczyłem z podium i zacząłem rozpaczliwie przepychać się przez tłum, próbując dogonić Izraela, zanim go stracę z oczu.

– Izrael! Izrael! – krzyknąłem za nim. – Czekał, czekał!

Zatrzymał się i odwrócił. Od chwili, gdy widziałem go ostatni raz, minęło sześć lat. Izrael przybrał na wadze i wyglądał dojrzałej. Ale jego przystojna twarz była jakby wyrzeźbiona w marmurze, a oczy zapadnięte i smutne.

Objąłem go za szyję i próbowałem pociągnąć z powrotem w stronę tłumy. Ale on nie ruszył się z miejsca.

– Izrael! – krzyknąłem tryskając radością. – To naprawdę ty? – odskoczyłem na odległość wyciągniętych rąk i przyglądałem mu się. – Gdzieżeś był? Gdzie mieszkasz? Co robisz? Opowiedz mi wszystko. Dlaczego nie skontaktowałeś się ze mną? Szukałem cię po całym Nowym Jorku. To najwspanialszy dzień w moim życiu.

Izrael patrzył na mnie chłodno, z dystansem, zachowywał się powściągliwie i z rezerwą.

– Muszę już iść, Nicky. Miło mi było znowu cię zobaczyć.

– Musisz iść? Nie widziałem cię sześć lat. Codziennie się za ciebie modliłem. Pójdiesz do mnie do domu.

Zacząłem ciągnąć go za ramię, ale on pokręcił głową i wysunął je z mojej dłoni. Zdążyłem tylko poczuć pod skórą jego silne mięśnie.

– Kiedy indziej, Nicky. Nie dzisiaj – zbył mnie i chciał odejść.

– Hej, poczekaj chwilę. Co ci się stało? Jesteś moim najlepszym przyjacielem. Nie możesz tak po prostu odejść.

Izrael obejrzał się i zmroził mnie zimnym i twardym spojrzeniem swoich stalowoszarych oczu.

– Później, Nicky! – rzucił z wściekłością. Odwrócił się energicznie i ruszył chodnikiem w ciemność.

Stałem i wołałem go zrozpaczony, ale on ani razu się nie obejrzał, tylko odszedł w ciemność, z której przybył.

Wróciłem do Centrum załamany. W przygnębieniu poszedłem wąskimi schodami na drugie piętro, wszedłem do jednego z wąskich pokojów poddasza i zamknąłem za sobą drzwi.

– Boże! – krzyknąłem rozdzierająco. – Co ja zrobiłem? Izrael jest zgubiony i to moja wina. Wybacz mi.

Osunąłem się na podłogę i zacząłem okropnie płakać. Biłem rękami w ścianę w wielkiej rozpacz. Ale nie otrzymałem odpowiedzi. Dwie godziny przesiedziałem w tym rozgrzanym pokoiku na poddaszu, coraz bardziej wyczerpany fizycznie, emocjonalnie i duchowo.

Wiedziałem, że muszę opuścić Centrum. Czułem, że moja służba duszpasterska się skończyła. Nie udawało mi się nic, do czego się zabierałem. Wszystko, czego się tknąłem, wychodziło źle. Quetta. Lilly. Teraz Izrael. Nie miało sensu dalsze prowadzenie walki przekraczającej moje siły. Nie miało sensu nawet pozostawanie duchownym. Byłem skończony. Pobity. Pokonany. Podniosłem się z kolan i stałem spoglądając przez małe okienko poddasza na ciemne niebo.

– Boże, przegrałem. Myliłem się. Wierzyłem w siebie, a nie w Ciebie. Jeśli to jest przyczyna, dla której sprawiłeś, by tak się stało, chcę wyznać swój okropny grzech. Poniż mnie. Zabij mnie, jeśli musisz. Ale, dobry Boże, nie wyrzucaj mnie na śmietnik!

Szloch znowu wstrząsnął moim ciałem. Stałem w drzwiach i obejrzałem się. W pokoju panowała cisza. Nie wiedziałem, czy On mnie usłyszał czy nie. Ale teraz nie było to już ważne. Zrobiłem wszystko, co umiałem.

Wróciłem na dół, do mieszkania. Gloria położyła już dziecko spać i uprzątała stół po swojej kolacji. Zamknąłem drzwi i podszedłem do krzesła. Zanim zdążyłem usiąść, znalazła się przede mną. Objęła mnie i przytuliła. Nie wiedziała o niczym, co zdarzyło się na ulicy i w pokoju na górze, ale byliśmy jednym ciałem i poczuła, że coś mnie zraniło. Stała więc przy mnie, by podtrzymać mnie na duchu i dodać siły, gdy mi jej zabrakło.

Z całej siły przycisnąłem ją do siebie, oparłem głowę na jej ramieniu i z moich oczu znowu popłynęły łzy. Długo staliśmy ciasno objęci, a ja trząsałem się od płaczu. W końcu uspokoiłem się. Ująłem jej twarz w dłonie, uniosłem w górę i zająłem jej głęboko w oczy. Były pełne łez, jak głębokie źródła kryształowo czystej wody. Ale to nie był płacz. Gloria łagodnie się uśmiechała. To miłość płynąca z jej serca wzbierała w oczach i spływała łzami po jasnobrazowych policzkach.

Mocno obejmowałem swymi dłońmi jej twarz. Gloria była piękna. Piękniejsza niż kiedykolwiek. Uśmiechnęła się, jej wargi rozchyliły się i dotknęły moich w długim, delikatnym pocałunku. Poczułem słony smak własnych łez i wilgotne ciepło jej ust na moich.

– To już koniec, Glorio. Jestem skończony. Odchodzę. Może stałem się pyszny. Może zgrzeszyłem. Nie wiem. Ale wiem, że Duch Święty mnie opuścił. Jestem jak Samson idący przeciw Filistynom bez pomocy Boga. Nic mi nie wychodzi. Niszczę wszystko, czego dotknę.

– O co chodzi, Nicky? – jej głos brzmiał miękko i delikatnie. – Co się stało?

– Dziś widziałem Izraela. Po raz pierwszy od sześciu lat zobaczyłem swojego najbliższego przyjaciela. A on odwrócił się do mnie plecami. To przeze mnie jest taki, jaki jest. Gdybym go nie zostawił samego w mieście sześć lat temu, pracowałby dzisiaj u mojego boku. A tak spędził pięć lat w więzieniu i dzisiaj jest zgubiony. Boga to już nie obchodzi.

– Nicky, to jest prawie bluźnierstwo – powiedziała Gloria łagodnie. – Nie możesz winić siebie za to, co stało się z Izraelem. Tamtego dnia, kiedy wyjeżdżałeś z miasta, byłeś tylko przestraszonym dzieciakiem. To nie twoja wina, że nie spotkałeś się z Izraelem. Nie masz racji obwiniając się. I jak możesz mówić, że Boga to już nie obchodzi? Obchodziło go to na tyle, że cię zbawił.

– Nie rozumiesz – powiedziałem kręcąc głową. – Od kiedy Davie powiedział mi, że Izrael wrócił do gangu, czyniłem sobie wyrzuty. Nosilem w sercu ciężar swojej winy. Dzisiaj ujrzałem go, a on odwrócił się do mnie plecami. Nie chciał nawet ze mną rozmawiać. Gdybyś mogła zobaczyć jego twarde, zimne wzrok!

– Ależ Nicky, nie możesz zrezygnować teraz, kiedy Bóg właśnie zaczyna działać...

– Jutro składam rezygnację – przerwałem jej. – Nie ma tu dla mnie miejsca. Nie ma dla mnie miejsca wśród duchownych. Nie jestem dość dobry. Jeśli zostanę, zniszczę całe

Centrum. Jestem jak Jonasz. Może nie wiedząc o tym ciągle uciekam od Boga. Trzeba mnie wyrzucić za burtę, rybie na pożarcie. Jeśli się mnie nie pozbędą, zatonię cały statek.

– Nicky, to jest szalona mowa. Szatan ci podszeptuje te słowa – powiedziała Gloria, na krawędzi płaczu.

Cofnąłem się.

– Dobrze. Siedzi we mnie szatan. Ale i tak zrezygnuję.

– Mógłbyś chociaż najpierw porozmawiać z Daviem.

– Próbowałem ze sto razy. Ale on jest zawsze za bardzo zajęty. Myśli, że sobie ze wszystkim poradzę. A ja już dłużej nie mogę. Nie nadaję się i najwyższy czas, żeby sobie to wyraźnie powiedzieć. Nic mi się nie udaje... nic.

Gdy poszliśmy spać, Gloria objęła mnie i zaczęła mnie głaskać po głowie.

– Nicky, zanim zrezygnujesz, obiecaj mi coś! Zadzwoń do Kathryn Kuhlman i porozmawiaj z nią. Dobrze?

Kiwnąłem głową na znak, że się zgadzam. Moja poduszka była mokra od łez, gdy usłyszałem szept Glorii:

– Nicky, Bóg się nami zaopiekuje.

Wcisnąłem głowę w poduszkę pragnąc, by Bóg nigdy już nie pozwolił słońcu wzejść na rozpoczęcie nowego dnia w moim życiu.

W tych dniach pełnych ciemności i niezdecydowania, pojawiła się samotna, jasna gwiazda, pod postacią wysokiej, pełnej godności pani, która zdawała się roztaczać wokół siebie aurę obecności Ducha Świętego. Już sama przeprowadzona nazajutrz z miss Kuhlman rozmowa telefoniczna poprawiła mój nastrój. Miss Kuhlman nalegała, żebym zanim podejmę ostateczną decyzję, przyjechał na jej koszt do Pittsburgha.

Poleciałem tam nazajutrz. Byłem zdziwiony, że miss Kuhlman nie próbuje mnie namawiać do pozostania w Centrum. Zamiast tego powiedziała:

– Być może Bóg kieruje cię do innej pracy duszpasterskiej, Nicky. Może wiedzie cię przez mroczną dolinę, by wyprowadzić w blask słoneczny po jej drugiej stronie. Po prostu nie odwracaj wzroku od Jezusa. Nie poddawaj się goryczy i zniechęceniu. Bóg położył na tobie swoją dłoń. On cię nie opuści. Pamiętaj, Nicky, że gdy idziemy przez tę dolinę, On idzie z nami.

Pomodliliśmy się wspólnie i miss Kuhlman modliła się o to, żeby Bóg, jeśli chce, bym opuścił Centrum Młodzieżowe, otaczał mnie dalej obłokiem zniechęcenia. Jeśli chce, abym został, niech podniesie ten obłok, żebym poczuł się swobodnie i mógł dalej działać w Nowym Jorku.

Wróciłem tam na drugi dzień rano, wdzięczny za przyjaźń i okazanie mi zaufania przez tę łaskawą i energiczną chrześcijankę.

Tej nocy, gdy dziecko już spało, usiadłem przy kuchennym stole i znów rozmawiałem z Glorią. Chciałem wyjechać. Zaczęlibyśmy wszystko od nowa, może w Kalifornii. Gloria powiedziała, że pójdzie za mną, gdziekolwiek ja pójdę. Jej wielka miłość i zaufanie dodały mi nowych sił. Zanim poszedłem spać, wziąłem kartkę papieru, ogryzek ołówka i napisałem rezygnację.

Był to niewesoły weekend. W poniedziałek rano, kiedy w Centrum zjawił się David, wręczyłem mu swoją rezygnację i czekałem, dopóki jej nie przeczyta.

David opuścił głowę.

– Czy to ja cię zawiodłem, Nicky? – spytał łagodnie. – Żyłem w takim pośpiechu, że nie było mnie tutaj, gdy mnie potrzebowałeś? Chodźmy do biura i porozmawiajmy.

W milczeniu poszedłem za nim korytarzem do biura. Zamknął za nami drzwi i popatrzył na mnie z głębokim smutkiem na twarzy.

– Nicky, nie wiem, co się za tym kryje. Ale wiem, że ja jestem tym, którego głównie należy za to winić. Codziennie wyrzucałem sobie, że nie spędzam z tobą więcej czasu. Ale byłem tak zajęty zbieraniem pieniędzy na Centrum. Nie miałem czasu nawet dla rodziny. Legło to na moich barkach ciężkim brzemieniem. Zanim więc zaczniemy rozmawiać, chcę cię poprosić, abys mi wybaczył to, że cię zawiodłem. Wybaczysz mi, Nicky?

Opuściłem głowę i kiwnąłem nią bez słowa. David westchnął głęboko i opadł na krzesło.

– Mów, Nicky.

– Już za późno na rozmowy, Davie. Nieraz próbowałem z tobą rozmawiać. Teraz czuję, że tak właśnie muszę postąpić.

– Ale dlaczego, Nicky, dlaczego? Co jest przyczyną tej nagłej decyzji?

– Ona nie jest nagła, Davie. Dojrzywała przez długi czas. I wyrzuciłem z siebie wszystko, co leżało mi na sercu.

– Nicky – powiedział David i popatrzył mi przenikliwie prosto w oczy – wszyscy z nas przeżywają okresy depresji. Zdarzało się, że ja kogoś zawiodłem albo że ktoś zawiódł mnie. Nieraz chciałem się poddać. Nieraz znalazłem się z Eliaszem pod krzakiem jałowca, płacząc: „Wielki już czas, o Panie! Odbierz mi życie”¹⁹. Ale, Nicky, ty chodziłeś tam, gdzie boją się pojawić aniołowie. Nie jestem w stanie pojąć, że mógłbyś uciekać z powodu tych drobnych niepowodzeń.

– Dla mnie one nie są drobne, Davie. Przykro mi, ale już się zdecydowałem.

Nazajutrz wsadziłem Glorię i Alicję do samolotu do Oakland, a w dwa dni później poleciałem do Houston, żeby wywiązać się z mojej ostatniej umowy dotyczącej wygłoszenia kazań. Był sierpień 1964 roku. W Centrum Młodzieżowym spędziłem dwa lata i dziewięć miesięcy.

W Houston wstyd mi było powiedzieć, że odszedłem z Centrum. Ale mówiłem bez żaru i moje słowa nie sprawiły należytego wrażenia. Spieszno mi było jechać do Kalifornii, do Glorii.

Lećąc na drugi koniec kraju, powoli zacząłem sobie zdawać sprawę z tego, że nie lecę już na koszt Centrum. Zaoszczędziliśmy bardzo mało pieniędzy, a bilety lotnicze i koszty przeprowadzki pochłonęły niemal wszystko. Odczułem lęk i niepewność. Przestraszyłem się.

Przypomniało mi się jak ludzie próbowali wciskać mi do ręki pieniądze, kiedy przemawiałem na zlotach i konferencjach. Dziękowałem im wtedy i prosiłem, żeby wystawiali czeki na Centrum Młodzieżowe. Nie chciałem niczego dla siebie. Centrum było całym moim życiem. Może to wygląda dziwnie, ale nawet jeszcze w Houston mówiłem ludziom, żeby wypisywali czeki na Centrum, choć wiedziałem, że pieniędzy wystarczy mi ledwo na najbliższe kilka dni.

Gloria wyszła po mnie na lotnisko. Wynajęła już małe mieszkanie. Byliśmy w niezbyt wesołym nastroju. Oddałem Bogu prawie sześć lat życia i czułem, że On teraz się ode mnie odwrócił. Powinienem machnąć na to ręką, porzucić duszpasterstwo i zacząć od początku w jakiejś innej dziedzinie. Słońce zanurzyło się w Pacyfiku i cały mój świat pogrążył się w ciemności.

Nie miałem pojęcia ku czemu się zwrócić. Nic mnie nie nęciło. Nie chciałem nawet iść z Glorią do kościoła – wolałem siedzieć w domu i patrzeć w ścianę. Gloria próbowała się ze mną modlić, ale ja nie widziałem dla siebie żadnej nadziei i odtrącałem jej pomoc mówiąc, że ona może się modlić, ale ja jestem pusty.

W pierwszych tygodniach po naszym przyjeździe rozeszła się wieść, że wróciłem do Kalifornii. Zaczęły napływać zaproszenia do wygłaszania kazań w różnych kościołach. Szybko zmęczyło mnie ciągłe odmawianie i wynajdywanie różnych wykrętów. Powiedziałem

¹⁹ Pierwsza Księga Królewska 19,4.

w końcu Glorii, żeby nie przyjmowała więcej żadnych zamiejscowych rozmów i nie odpowiadała na nadchodzące codziennie listy.

Ale nasza sytuacja finansowa stawała się rozpaczliwa: skończyły się wszystkie nasze oszczędności, a Gloria nie mogła znaleźć pracy.

Doprowadzony do ostateczności, przyjąłem zaproszenie do wygłoszenia kazania podczas krucjaty młodzieżowej. Byłem duchowo zimny. Po raz pierwszy w życiu poszedłem na kazalnicę nie pomodliwszy się.

Siedząc na podium byłem zdumiony tym, jak bardzo jestem twardy i zimny. Wstrząsnęło mną moje wyrachowanie. Ale byłem w rozpaczliwej sytuacji. Skoro Bóg, jak to odczuwałem, zawiodł mnie w Nowym Jorku, nie poczuwałem się już do obowiązku zabiegania modlitwą o Jego błogosławieństwo. Jeśli mi zapłaca – wezmę. Nic prostszego.

Ale z Bogiem nie było to takie proste. Niewątpliwie planował On dla mnie coś o wiele większego niż tylko przyjęcie czeku za wygłoszenie kazania. Kaznodziejstwo jest dla Niego świętą sprawą i dlatego obiecuje: „*Słowo, które wychodzi z ust moich, nie wraca do Mnie bezowocne*”²⁰.

Gdy wezwałem do wystąpienia tych, którzy chcą oddać serce Chrystusowi, zdarzyło się coś, na co nie byłem przygotowany. Najpierw młody, kilkunastoletni chłopak wystąpił z tłumu, przyszedł do przodu i uklęknął. Potem podszedł inny, z końca sali. Potem ruszyło ich więcej, aż wreszcie przejścia między ławkami były wypełnione młodymi ludźmi podchodzącymi do balustrady przed podium, by oddać swoje dusze Jezusowi Chrystusowi. Zgromadziło się ich tak wielu, że spora część z nich musiała stać za tymi, którzy klęczeli ciasno obok siebie przy balustradzie. Z tyłu kościoła zobaczyłem ludzi padających na kolana i wołających do Boga. Klękało ich coraz więcej. Nie zdarzyło mi się być na nabożeństwie, na którym zgromadzeni tak silnie odczuliby obecność Ducha Świętego.

Bóg chciał mi coś powiedzieć – nie szeptem, a grzmiącym głosem. Mówił mi, że jest dalej na swym tronie. Dawał mi znać, że chociaż ja Go zawiodłem, On nie zamierza mnie zawieść. Mówił mi w nie budzący wątpliwości sposób, że mnie nie odrzuca... że ciągle jeszcze ma dla mnie zadanie, nawet jeśli ja nie chcę go wykonywać.

Poczułem, że drżą mi kolana i chciałem przytrzymać się kazalnicy. Nagle oczy napełniły mi się łzami i ja, kaznodzieja podczas tego nabożeństwa, niepewnym krokiem podszedłem i ukląknęłam za odgradzającą podium balustradą. Tam, z sercem pełnym skruchy, otworzyłem swoją duszę przed Bogiem i ponownie ofiarowałem mu swoje życie.

Po nabożeństwie wsiedliśmy z Gloria do samochodu stojącego na kościelnym parkingu. Wcześniej planowaliśmy zjeść coś w mieście i pojechać gdzieś na spacer, ale teraz postanowiliśmy wrócić prosto do domu.

Gdy weszliśmy do mieszkania, upadłem na kolana. Gloria uklękła obok mnie i oboje płacząc wznosiliśmy modły do Boga. I wiedziałem. Wiedziałem, że na tym nie koniec. Wiedziałem, że wszystkie rzeczy łączą się w działaniu dla dobra tych, którzy kochają Boga. Spojrzałem przez łzy i nagle uświadomiłem sobie, że On jest koło mnie. Czułem Jego obecność, nieomal słyszałem jak mówi: „*Lecz choćbym nawet szedł mroczną doliną, zła się nie ulękę, bo Ty jesteś ze mną. Twoja łaska i kij pasterski są mi pocieszeniem*”²¹.

Szliśmy ciemną doliną. Ale Jego łaska przeprowadziła nas przez nią i teraz światło jutrzeńki zaśniło na odległych szczytach gór, zwiastując nadejście nowego dnia.

²⁰ Księga Izajasza 55,11.

²¹ Psalm 23,4.

Nicky Cruz opowiada

Rozdział 18

W rejonie Jezusa

Przełom nastąpił tuż przed świętami Bożego Narodzenia, kiedy otrzymałem zaproszenie od grupy świeckich osób, znanej jako Międzynarodowa Społeczność Biznesmenów Pełnej Ewangelii²². Właśnie za pośrednictwem tej grupy ofiarnych biznesmenów zaczęły napływać dla mnie ze szkół średnich i college'ów zaproszenia do wygłaszania kazań. Moje kruczaty, w większości finansowane przez kościoły różnych wyznań, były jednym pasmem sukcesów – przemawiałem nieraz do tłumów liczących po dziesięć tysięcy ludzi.

Codziennie dziękowałem Bogu za Jego dobroć. Ale wciąż nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Moja dusza rwała się do czegoś, czego sam nie mogłem sobie uświadomić. Z dnia na dzień byłem coraz bardziej niespokojny.

Wówczas spotkałem Dana Malachuka, wysokiego, otwartego na świat biznesmena z New Jersey, który nieświadomie uzmysłowił mi przyczynę mojego niepokoju. Wspomnił kiedyś w rozmowie, że rozumie moje pierwotne pragnienie pracy z „małymi ludźmi”. Nie podjąłem wówczas tego tematu, ale utkwiło mi to w pamięci.

Pamiętałem własne dzieciństwo. Jeśliby wtedy ktoś zainteresował się mną na tyle, żeby poprowadzić mnie do Chrystusa, to kto wie...

Omówiłem to z Glorią. Wprawdzie Bóg wykorzystywał moje świadectwa podczas wielkich kruczat, ale ilekroć zobaczyłem w gazecie artykuł o dzieciach aresztowanych za wacanie kleju albo palenie marihuany, czułem w sercu ból. Wciąż się modliliśmy, by Bóg wskazał nam sposób dotarcia do tych dzieci.

Kilka miesięcy później Dan pomógł nam zorganizować czterodniową kruczatę w Seattle. Dotychczas zawsze przemawiałem za pośrednictwem tłumacza, Jeffa Moralesa, który przeprowadził się do Kalifornii, żeby móc jeździć ze mną na duże zgromadzenia, podczas których słuchacze mieli kłopoty ze zrozumieniem mojego akcentu. Ale gdy było już tylko pół godziny do wyjazdu na lotnisko, Jeff zadzwonił, by mi powiedzieć:

– Nicky, leżę w łóżku z zapaleniem płuc. Doktor nie chce mnie puścić. Będziesz musiał radzić sobie sam.

Stojąc na podium przed baterią mikrofonów i kamer telewizyjnych, przyjrzałem się tłumowi. Czy ci ludzie rozumieją mój portorykański akcent? Czy będą się śmiali z moich błędów gramatycznych? Odchrząknąłem nerwowo i otworzyłem usta, żeby przemówić. Ale zamiast wydobyć słowa, tylko zachrypiałem. Znowu odchrząknąłem wydając z siebie coś w rodzaju „uuuggghhhlllkkfg”.

²² W oryginale: *Full Gospel Business Men's Fellowship International* – założone z początkiem lat pięćdziesiątych XX wieku przez Demosa Shakariana towarzystwo, mające na celu szerzenie ewangelicznych zasad życia w codziennym, świeckim życiu.

Tłum poruszył się, ale uprzejmie czekał na ciąg dalszy. To było beznadziejne. Przywykłem mieć koło siebie Jeffa. Skłoniłem głowę, prosząc o siłę: „Drogi Panie, jeśli mogłeś obdarzyć mnie nie znanym ludziom językiem, bym słał Twoje imię, ufam, że obdarzysz mnie zrozumiałą mową, bym mógł tym młodym ludziom powiedzieć o Tobie”.

Podniosłem głowę i zacząłem mówić. Z moich ust z nadnaturalną mocą popłynęły najważniejsze słowa. Jeffa zastąpił Jezus i wiedziałem, że od tej chwili, ilekroć będę mówił dla Niego, nie będę potrzebował tłumacza.

Po ostatnim nabożeństwie przyszedł do mnie do hotelu Dan.

– Nicky, łaska Boża objawia się w zdumiewający sposób. Ludzie zebrali ofiarę miłości w kwocie 3000 dolarów, żebyś je spożytkował na swoje duszpasterstwo.

– Dan, ja nie mogę przyjąć tych pieniędzy.

Dan rozwalił się na kanapie, jakby był u siebie, i zrzucił z nóg buty.

– Nicky – powiedział – to nie są pieniądze dla ciebie. One są na działalność Boga za twoim pośrednictwem.

– I mogę ich użyć w taki sposób, jaki mi się wyda zgodny z życzeniem Boga? – spytałem.

– Właśnie – powiedział Dan.

– W takim razie użyję ich dla „małych ludzi”. Chcę założyć ośrodek pomocy tym dzieciom.

– Wspaniale! – Dan zerwał się z kanapy. – Nazwij go Ośrodek Dla Młodzieży²³.

I na tym stanęło. Wróciłem do Kalifornii z tymi trzema tysiącami dolarów, zdecydowany otworzyć ośrodek, do którego mógłbym sprowadzać z ulicy małych ludzi i pozyskiwać ich dla Chrystusa.

Otworzyliśmy nasz ośrodek we Fresno, przy North Broadway 221. Wystąpiliśmy o oficjalne zezwolenie, po czym wywiesiłem na bramie tablicę: Ośrodek Dla Młodzieży. Kierownik – Nicky Cruz.

Od razu zacząłem przeczesywać ulice. Pierwszego dnia znalazłem jedenastoletniego chłopca siedzącego w bramie. Usiadłem obok niego i spytałem jak się nazywa.

Spojrzał na mnie spod oka i powiedział:

– Ruben. A czemu chcesz wiedzieć?

– Tak sobie – odpowiedziałem – wyglądasz na samotnego, to pomyślałem, że z tobą pogadam.

Chłopak wyznał mi niechętnie, że jego ojciec jest narkomanem. On sam wahał klej właśnie wczoraj. W szóstej klasie porzucił szkołę. Wysłuchawszy go, powiedziałem, że otwieram ośrodek dla chłopaków takich jak on i spytałem, czy chciałby pójść zamieszkać ze mną?

– Poważnie? Chcesz, żebym poszedł do ciebie?

– Jasne – powiedziałem. – Ale najpierw musimy porozmawiać z twoim tatą.

– Do diabła – odpowiedział jedenastoletek – mój stary będzie zadowolony, że się mnie pozbywa. Nie z nim to trzeba załatwiać, tylko z moim kuratorem.

Kurator był zachwycony takim obrotem sprawy i tego samego wieczora Ruben wprowadził się do nas.

W ciągu najbliższych kilku tygodni znaleźliśmy jeszcze dwóch chłopców. Zapisaliśmy ich wszystkich do szkoły i codziennie czytaliśmy wspólnie Pismo Święte. Początkowo Ruben sprawiał nam sporo kłopotów, ale pod koniec drugiego tygodnia, w trakcie jednego z czytań Biblii, złożył wyznanie wiary. Następnego dnia po powrocie ze szkoły poszedł prosto do swojego pokoju i zabrał się do studiowania Biblii. Gloria mrugnęła do mnie.

– Czy mógłbyś oczekiwać lepszego dowodu, że to nawrócenie było prawdziwe? – spytała.

²³ W oryginale: *Outreach for Youth*.

Ja jednak nie potrzebowałem żadnego dowodu. Czułem jak dręczący mnie dotąd niepokój zaczyna znikać.

W miarę upływu czasu zaczęły do nas dzwonić doprowadzone do rozpaczy matki, które mówiły, że zupełnie nie mogą sobie poradzić z dziećmi, i prosiły, żebyśmy przyjęli je do siebie. W kilka tygodni mieliśmy już komplet, a telefon ciągle dzwonił. Gloria i ja spędzaliśmy dużo czasu na modlitwach, prosząc Boga, żeby nami pokierował.

Pewnego dnia, wcześniej rano, po kilku zaledwie godzinach snu, obudził mnie dzwonek telefonu. Namacałem słuchawkę. Dzwonił Dan Smith, działacz Społeczności Biznesmenów Pełnej Ewangelii, oddziału we Fresno.

– Nicky, Bóg kieruje nami w nieodgadniony sposób. Natchnął mnie myślą, bym ci pomógł utworzyć zarząd. Rozmawiałem z Earlem Draperem, księgowym, oraz z pastorem Paulem Evansem i dyrektorem lokalnej stacji telewizyjnej H. J. Keenerem. Chcemy z tobą pracować, jeśli nas zechcesz.

To była odpowiedź na nasze modlitwy. Ta grupka biznesmenów i ludzi wolnych zawodów skupiła się wokół naszego ośrodka, żeby pomóc w zarządzaniu nim.

W tym samym miesiącu, jakiś czas później, przyłączył się do naszej grupy Dave Carter, który rozpoczął pracę z chłopcami. Poznałem Dave'a, wysokiego, spokojnego czarnoskórego mężczyznę, gdy był przywódcą jednego z nowojorskich gangów. Po nawróceniu Dave poszedł do szkoły biblijnej, a ponieważ nie był związany rodziną, mógł wiele czasu poświęcać na indywidualne rozmowy ze spragnionymi miłości chłopcami. Prócz niego przyjęliśmy jeszcze dwie młode Meksykanki – Frances Ramirez i Angie Sedillos – bo brakowało nam trochę kobiecej ręki i pomocy w prowadzeniu sekretariatu.

Ostatni członek naszego personelu był mi szczególnie bliski. Był to Jimmy Baez. Jimmy właśnie skończył szkołę biblijną i ożenił się z cichą dziewczyną o łagodnym głosie. Przychodził do nas, żeby poprowadzić nasze sprawy administracyjne, ale dla mnie był kimś więcej: chodzącym dowodem na to, jak wielka jest transformująca siła Jezusa Chrystusa. Trudno było uwierzyć, że ten przystojny młody człowiek o wyglądzie intelektualisty, w okularach w ciemnej oprawie, jest tym samym wątłym, wycieńczonym wyrostkiem, który przyczołgał się do Centrum Młodzieżowego wstrząsany dreszczami heroinowego głodu, prosząc o narkotyki.

Podążaliśmy naprzód z sercami pełnymi wiary w Boga i rękami zajętymi pracą z „małymi ludźmi”. Bóg nam błogosławił i nie byłem przygotowany na następne jego cudowne niespodzianki. Ale dla miłujących Boga niespodziankom przynoszonym przez jutro nie ma końca.

Tej jesieni Dan Malachuk zorganizował mi serię wystąpień w Nowym Jorku. Dan czekał na mnie na lotnisku. Pojechaliśmy do miasta przez ciągnące się całymi kilometrami dzielnice slumsów. Siedziałem skulony na przednim siedzeniu samochodu Dana i patrzyłem na umykające za oknami getto. Serce mi się ścisnęło. Nie byłem już częścią tego getta, ale ono wciąż było częścią mnie. Zacząłem się zastanawiać, co się dzieje z moimi starymi przyjaciółmi, a zwłaszcza z Izraelem. „Jezu – modliłem się – daj mi jeszcze jedną szansę przemówienia do niego”.

Wieczorem, po nabożeństwie, Dan przyszedł ze mną do hotelu. Gdy wchodziliśmy do pokoju, zadzwonił telefon.

Podniosłem słuchawkę. Po drugiej stronie ktoś długo milczał, aż wreszcie usłyszałem cichy, ale znajomy głos:

– Nicky, to ja, Izrael.

– Izrael! – krzyknąłem – dzięki Bogu! Moja modlitwa została wysłuchana. Gdzie jesteś?

– Jestem w domu, Nicky. W Bronksie. Właśnie przeczytałem w gazecie, że jesteś w Nowym Jorku i zadzwoniłem do twojego brata, Franka. Powiedział mi, że mogę cię złapać w hotelu.

Chciałem coś powiedzieć, ale mi przerwał:

– Nicky, ja... ja... ciekaw jestem, czy nie dałoby się spotkać z tobą, skoro już jesteś w Nowym Jorku, po prostu żeby pogadać o dawnych czasach.

Nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Odwróciłem się do Dana:

– To Izrael. Chce się ze mną spotkać.

– Poproś go, żeby przyszedł jutro wieczór na kolację – powiedział Dan.

Długo oczekiwane spotkanie starych przyjaciół zostało ustalone na następny dzień, na szóstą. Modliłem się przez całą noc, prosząc Boga, by dał mi słowa, które mogłyby przeniknąć do serca Izraela i zwrócić je ku Chrystusowi.

Razem z Danem przemierzaliśmy hotelowy hol od wpół do szóstej do siódmej wieczorem. Izrael się nie zjawiał. Serce podeszło mi do gardła, kiedy wspomniałem ten poranek sprzed dziewięciu lat, gdy rozminęliśmy się po raz pierwszy.

Nagle zobaczyłem go. Jego regularne rysy, głęboko osadzone oczy, falujące włosy. Zupełnie się nie zmienił. Nie mogłem mówić, łzy napłynęły im do oczu.

– Nicky – powiedział Izrael zdławionym głosem i chwycił moją dłoń. – Nie mogę w to uwierzyć.

Nagle obaj naraz zaczęliśmy się śmiać i mówić, zupełnie nie zważając na przechodzących obok nas ludzi. Po długiej chwili Izrael usunął się na bok i powiedział:

– Nicky, przedstawiam ci moją żonę, Rosę.

Obok niego stała drobna, urocza portorykańska dziewczyna, z szerokim uśmiechem na pięknej twarzy. Wyciągnąłem rękę, by ująć jej dłoń, ale ona objęła mnie za szyję i mocno ucałowała w policzek. Potem mrugnęła do mnie i powiedziała łamaną angielszczyzną:

– To jakby ja zna cię. Ja była mieszkając z tobą cały ten czas. Izrael mówi o tobie dużo te trzy lata.

Zeszliśmy do Hay Market Room na kolację. Izrael i Rosa zawahali się i zobaczyłem, że coś ich zaniepokoiło.

– Hej, Izrael, co ci jest, stary? Dan za wszystko płaci. Chodźcie.

Izrael spojrział na mnie z zakłopotaniem i odciągnął mnie na bok.

– Nicky, takie luksusowe miejsce to nie dla mnie. Nigdy nie byłem w takiej frymuśnej knajpie. Nie wiem, co tu się robi.

Objąłem go ramieniem:

– Ja też nie wiem, co tu się robi – powiedziałem. – Po prostu zamów najdroższe danie i pozwól temu „Wesołemu Zielonemu Olbrzymowi” za to zapłacić – uśmiechnąłem się, pokazując na Dana.

Po kolacji pojechaliśmy windą na czternaste piętro, do mojego pokoju. Izrael odprężył się i opowiadając o swoim domu w getcie znowu wyglądał jak dawniej.

– Nie jest to najprzyjemniejsze miejsce do mieszkania – powiedział. – Musimy trzymać naczynia w lodówce, żeby nie dostały się do nich karaluchy. Ale mogłoby być gorzej. Na dole przychodzą ze śmietnika szczury i kłają w nocy dzieci.

Przerwał i myślał o czymś przez chwilę.

– To tak, jakby się było przykutym – powiedział. – Nie da się uciec. To jest złe miejsce do wychowywania dzieci. W tamtym tygodniu trzy dziewczynki z mojego bloku, po około dziewięć lat każda, zostały zgwałcone za rogiem. Boimy się wypuszczać dzieci na ulicę. Już mi to obrzydło. Chcę wyjechać. Ale...

Głos mu się załamał. Wstał z krzesła i popatrzył na rozjarzoną wieżę Empire State Building.

– Ale gdzieś trzeba mieszkać, a gdziekolwiek indziej czynsz jest za wysoki. Może na drugi rok... Może na drugi rok uda nam się przeprowadzić w jakieś przyjemniejsze miejsce. Nie wiedzie mi się najgorzej. Zacząłem od pomywacza, a teraz jestem już urzędnikiem na Wall Street.

– Ale kiedy się już przeprowadzisz, to co dalej? – przerwałem mu.

Odwrócił się i popatrzył na mnie zaskoczony.

– Co powiedziałeś? – spytał.

Wiedziałem, że nadszedł czas, żeby pogrzebać w przeszłości.

– Izrael, powiedz mi, co ci nie wyszło?

Izrael podszedł do kanapy, na której siedziała Rosa, i nerwowo usiadł obok niej.

– Nie boję się o tym mówić. Chyba nawet potrzebuję tego. Nigdy nie mówiłem o tym Rosie. Pamiętasz ten dzień, po twoim wyjściu ze szpitala, kiedy ty i ten człowiek mieliście po mnie przyjechać?

Kiwnąłem głową. To wspomnienie było dla mnie bolesne.

– Czekałem tam trzy godziny. Czułem się jak dureń. Obrzydli mi chrześcijanie i tego samego dnia wieczorem wróciłem do gangu.

Przerwałem mu:

– Izrael, przykro mi, szukaliśmy cię...

Pokręcił głową.

– Jakie to ma znaczenie? To było tak dawno. Gdybym z tobą pojechał, może wszystko poszłoby inaczej? Kto wie...

Przerwał na chwilę, po czym podjął opowieść.

– Potem wpadliśmy w te kłopoty z Aniołami z Południowej Ulicy. Ten typ wlaź w nasz rejon i powiedzieliśmy mu, że nie chcemy tu mieć żadnych obcych. On zaczął podskakiwać, no i dostał. Zaczął zwiewać i pięciu z nas zaczęło go gonić aż do rejonu Południowej Ulicy i złapaliśmy go przy Penny Arcade. Wyciągnęliśmy go stamtąd i zaczęliśmy się z nim bić. Od razu zobaczyłem, że jeden z naszych chłopaków ma ten pistolet w ręku i strzela. Paco zaczął się wygłupiać: złapał się za brzuch i wołał: „Och, trafił mnie! Trafił mnie!”. Zaczęliśmy się wszyscy śmiać. I wtedy ten obcy upadł na ziemię. On naprawdę dostał. Nie żył. Widziałem w jego głowie dziurę.

Izrael przerwał. W ciszy słycać było tylko pomruk ruchliwej ulicy, stłumiony wysokością, na której był nasz pokój.

– Uciekliśmy. Czterech nas złapali. Piątemu się udało. Ten, który pociągnął za spust, dostał dwadzieścia lat. Reszta z nas dostała od pięciu do dwudziestu.

Przerwał i spuścił głowę.

– To było pięć lat piekła.

Wyprostował się znowu i mówił dalej:

– Żeby wyjść z więzienia, musiałem sobie załatwić specjalny „papier”. – Co za „papier”? – przerwał mu Dan. – Komisja Warunkowych Zwolnień powiedziała mi, że zostanę zwolniony wtedy, gdy udowodnię, że czeka na mnie praca. Powiedzieli, że muszę wrócić do swojego dawnego domu. Nie chciałem wracać do Brooklynu. Chciałem zacząć wszystko od początku gdzie indziej, ale oni powiedzieli, że muszę wracać do domu. Więc załatwiłem sobie „papier” przez jednego narkomana, który ze mną siedział. On znał takiego człowieka, który miał fabrykę ubrań w Brooklynie i ten człowiek powiedział mojej matce, że obieca mi pracę, jeśli matka zapłaci mu 50 dolarów. Matka dała mu te pieniądze i on napisał list, że jak wyjdę z więzienia, to mam pracę. To był jedyny sposób na to, żeby dostać jakąś pracę. No bo kto przyjmie do roboty faceta prosto z więzienia? – I dostałeś tę pracę? – spytał Dan. – Nie – powiedział Izrael. – Mówiłem, że to był tylko „papier”. Nie było dla mnie żadnej roboty. To był tylko sposób, żeby się wydostać z więzienia. No więc wyszedłem z więzienia i poszedłem do biura pośrednictwa pracy i nakłamałem im o swojej przeszłości. Myślicie, że przyjęliby

mnie, jeśli bym im powiedział, że właśnie wczoraj wyszedłem z więzienia? Dostałem robotę jako pomywacz, a potem z tuzin innych prac. I zawsze kłamałem. Musi się kłamać, żeby dostać pracę. Jeśli by mój obecny szef dowiedział się, że kiedyś siedziałem, wywaliłby mnie, mimo że minęły już cztery lata, odkąd wyszedłem, i od tego czasu dobrze pracuję. Więc kłamię. Wszyscy kłamią.. – A kurator sądowy ci nie pomógł? – spytał Dan. – Tak, to był jedyny facet, który naprawdę próbował. Ale co mógł zrobić? Miał jeszcze ze stu innych chłopaków pod opieką. Nie, musiałem to załatwić sam i jak na razie jakoś sobie radzę. W pokoju zapadła cisza. Rosa przez cały ten czas siedziała koło Izraela w milczeniu. Nigdy dotąd nie słyszała nic od niego o tym rozdziale jego życia. – Izrael, pamiętasz jak poszliśmy szukać Widmowych Władców i wpadliśmy w zasadzkę? – spytałem.

– Pamiętam – Izrael kiwnął głową.

– Tamtej nocy uratowałeś mi życie. Dziś ja chcę ci oddać taką samą przysługę. Chcę ci dać coś, co uratuje twoje życie.

Rosa wzięła Izraela pod ramię i oboje popatrzyli na mnie z oczekiwaniem.

– Izrael, jesteś moim najlepszym przyjacielem. Jak wiesz, w moim życiu nastąpiła zmiana. Dawny Nicky umarł. Ten człowiek, którego dzisiaj widzisz, to nie jest żaden Nicky. To Jezus Chrystus, który we mnie mieszka. Czy pamiętasz ten wieczór w hali St. Nicholas, kiedy oddaliśmy nasze serca Panu?

Izrael przytaknął i spuścił wzrok.

– Tego wieczora Bóg wszedł do twojego serca, Izrael. Wiem to. Bóg zawarł z tobą układ. I On dalej ze swej strony dotrzymuje warunków tego układu. Nie opuścił cię. Uciekałeś przez te wszystkie lata, ale On ciągle cię nie odstępował.

Sięgnąłem po swoją Biblię.

– W Starym Testamencie jest historia człowieka o imieniu Jakub. On też uciekał przed Bogiem. Aż pewnej nocy, takiej samej jak ta dzisiejsza, pobił się z aniołem. Anioł zwyciężył i Jakub poddał się Bogu. I tej nocy Bóg zmienił jego imię. Odtąd nie miał już się nazywać Jakub, tylko Izrael, a „Izrael” oznacza „ten, który chodzi z Bogiem”.

Zamknąłem Biblię i zrobiłem pauzę. Izrael miał w oczach łzy, a Rosa ścisnęła go mocno za rękę. Zacząłem mówić dalej.

– Przez całe lata nie spałem, tylko leżałem, modliłem się za ciebie i myślałem, jak by to było wspaniale, gdybyś ty działał u mojego boku – nie tak jak dawniej, ale pracując dla Boga. Chcę, żebyś przyszedł do rejonu Jezusa.

Izrael popatrzył na mnie oczyma pełnymi łez. Potem odwrócił głowę i spojrzał na Rosę. Zaintrygowana Rosa zaczęła rozmawiać z nim po hiszpańsku. Cały czas mówiłem po angielsku i teraz zdałem sobie sprawę, że Rosa nie wszystko zrozumiała z tego, co powiedziałem. Pytała teraz Izraela, czego chce. Izrael powiedział jej, że chce, żeby oddali swe serca Chrystusowi. Mówił szybko po hiszpańsku, wyznając jej swoje pragnienie powrotu do Boga – jak Jakub dawno, dawno temu. Pytał ją, czy pójdzie z nim.

Rosie rozbłyły oczy, uśmiechnęła się i przytaknęła.

– Chwała Bogu! – zawołałem. – Uklękajcie obok kanapy, a ja się pomodlę.

Izrael i Rosa uklękli obok kanapy, Dan zsunął się z krzesła i ukląkł po drugiej stronie pokoju. Położyłem ręce na ich głowach i zacząłem się modlić, najpierw po angielsku, potem po hiszpańsku, przerzucając się z jednego języka na drugi. Czuję jak Duch Boży przepływa przez moje serce i poprzez moje ramiona i palce wlewa się w ich dusze. Modliłem się, prosząc Boga, by im wybaczył i przyjął ich do swego Królestwa.

Była to długa modlitwa. Kiedy skończyłem, usłyszałem jak zaczyna się modlić Izrael. Z początku wolno, potem coraz żywiej i głośniejsze wołał:

– Panie, wybacz mi. Wybacz mi. Wybacz mi.

Potem jego modlitwa zmieniła się i poczułem jak wstrząsa nim przepływająca przez jego ciało nowa siła, gdy wołał:

– Panie, dziękuję Ci!

Dołączyła się do niego Rosa:

– Dziękuję Ci, Boże, dziękuję.

Dan wsadził Izraela i Rosę do taksówki i zapłacił z góry należność za ich przejazd do domu, do Bronksu. Gdy odjechali, powiedział ocierając oczy:

– Nicky, to był najwspanialszy wieczór w moim życiu i czuję, że Bóg pośle Izraela do Kalifornii, żeby z tobą pracował.

Kiwnąłem głową. Może rzeczywiście tak będzie. Bóg decyduje o wszystkim według własnego uznania.

Epilog

Pewnego wiosennego dnia, pod wieczór, Nicky i Gloria siedzieli na schodkach ośrodka przy North Broadway 221 patrząc jak Ralphie i Karl koszą trawę w zapadającym zmierzchu. Zbliżał się czas wieczornego zgromadzenia w getcie. Z podwórka dobiegały rozradowane głosy Dave'a Cartera i Jimmy'ego Baeza, śmiejących się z Allena, Joeya i Kirka, którzy grali w krykieta. Było już po kolacji i w domu Francie i Angie nadzorowali pozostałych chłopców przy wieczornym sprzątaniu. Alicja i mała Laura, która miała już szesnaście miesięcy, bawiły się bez troski na równo skoszonym trawniku.

Siedząca jeden stopień niżej Gloria patrzyła z opiekuńczą czułością na swojego śniadego, opartego o słupek poręczy męża, siedzącego z przymkniętymi oczyma, jakby pogrążonego w świecie marzeń. Sięgnawszy ręką, dotknęła jego kolana.

– Kochanie, co się stało? O czym myślisz?

– Co? – spytał sennie, niechętnie odrywając się od swoich myśli.

– Pytałam, o czym rozmyślasz. Ciągłe jeszcze uciekasz? Mamy ośrodek dla „małych ludzi”, Izrael i Rosa mieszkają we Fresno i służą Panu, Sonny jest pastorem dużego kościoła w Los Angeles, Jimmy pracuje z tobą, a Maria służy Bogu w Nowym Jorku. W przyszłym tygodniu lecisz głosić do Szwecji i Danii. O czym ciągle marzysz? Czego jeszcze mógłbyś chcieć od Boga?

Nicky wyprostował się, zajrzał głęboko w pytające oczy swojej towarzyszki, po czym powiedział z namysłem:

– Nie chodzi o to, czego ja chcę od Boga, kochanie, tylko czego On chce ode mnie. Nasza działalność dotyka tylko powierzchni problemu.

Zamilkł. Ciszę przerywały jedynie odgłosy wesołej zabawy wokół domu.

– Ale to nie jest tylko twoje zadanie, Nicky – powiedziała Gloria, wciąż patrząc na niego z przejęciem. – To jest zadanie wszystkich chrześcijan, wszędzie.

– Wiem o tym – odparł Nicky. – Ale nie przestaję myśleć o tych wielkich kościołach w śródmieściu, które przez cały tydzień stoją puste. Czy nie byłoby wspaniałe, gdyby te nie używane sale mogły się zmienić w sypialnie, w których mieszkałyby setki niekochanych dzieci i nastolatków ze slumsów? Każdy kościół mógłby się stać takim prowadzonym przez ochotników ośrodkiem...

– Nicky – przerwała Gloria ściskając jego kolano – jesteś marzycielem. Sądziś, że ci ludzie z kościołów zechcą zmienić swoje piękne budynki w domy dla zbłąkanych i bezdomnych dzieci? Oni chcą pomóc, ale tak, żeby to ktoś robił za nich. Oburzają się, jeśli pijak zakłóci ich nabożeństwo. Wyobrażasz sobie, co by powiedzieli, jeśli przyszli w niedzielę rano do kościoła i zobaczyli swoje świątynie zbezczeszczone przez łóżka, a eleganckie, wychuchane sale kościelne pełne byłych narkomanów? Nie, Nicky, jesteś marzycielem. Ci ludzie nie chcą sobie zabrudzić rąk. Buntują się przeciwko plamieniu ich dywanów brudem bosych stóp.

Nicky pokiwał głową.

– Oczywiście masz rację. Zastanawiam się, co by uczynił Jezus. Czy zabrudziłby sobie ręce?

Przerwał i w zamyśleniu patrzył na odległe góry.

– Pamiętasz jak w tamtym roku jechaliśmy do Point Loma nad zatoką San Diego? Pamiętasz tę wielką latarnię morską? Przez całe lata wprowadzała statki do portu. Ale teraz jest inaczej. Czytałem w tamtym tygodniu, że jest za dużo smogu i muszą zbudować nową latarnię morską, na dole, blisko wody, żeby światło mogło świecić poniżej smogu.

Gloria słuchała z uwagą.

– Oto, co się teraz dzieje – ciągnął Nicky. – Kościół ze swym gorejącym światłem dalej stoi wysoko. Ale mało kto je widzi, bo czasy się zmieniły i jest za dużo smogu. Potrzebne jest nowe światło, świecące przy ziemi – na dole, gdzie są ludzie. Nie można być tylko stróżem latarni morskiej. Trzeba jeszcze dbać o światło. Nie, nigdzie już nie uciekam. Chcę tylko być tam, gdzie się to wszystko dzieje.

– Wiem – powiedziała Gloria, a w jej głosie słychać było głęboką dumę i zrozumienie. – I właśnie tego dla ciebie chcę. Ale może będziesz musiał zdać się na własne siły. Wiesz o tym, prawda?

– Nie tylko na własne – powiedział Nicky, kładąc dłoń na jej ramieniu. – Będę chodził po rejonie Jezusa.

Śmiech chłopców na podwórzu zabrzmiał głośniejsz: skończyli grać i ruszyli do domu. Karl i Ralphie podnieśli swoje Biblie i usiedli na krawężniku przed domem.

Nicky spuścił głowę i spojrzał spod oka na Glorię.

– Miałem dziś telefon od pewnej matki z Pasadeny – przerwał i znowu spojrzał na Glorię, ale ona bez ruchu czekała na ciąg dalszy. – Jej dwunastoletni syn został zatrzymany przez policję za handel marihuaną. Jej mąż chce, żeby go wsadzili do więzienia – głos mu się załamał. – Ale my już nie mamy miejsca i brak nam pieniędzy.

Siedzieli w milczeniu. Nicky patrzył na małego skaczącego w trawie wróbla. Oczy napełniły mu się łzami na myśl o nieznanym dziecku... tak podobnym do tysięcy innych... głodnym miłości... narażającym się na więzienie, żeby zwrócić na siebie choć trochę uwagi... szukającym czegoś prawdziwego... szukającym Jezusa, a nie wiedzącym o tym.

Gloria przerwała jego rozmyślenia.

– Nicky – powiedziała miękko, splatając swoje palce z jego palcami – co masz zamiar zrobić?

Nicky uśmiechnął się i spojrzał jej w twarz, mówiąc:

– Mam zamiar zrobić to, czego chciałby ode mnie Jezus. Mam zamiar się w to wmieszać.

– Och, Nicky, Nicky – powiedziała Gloria i opłotła ramionami jego nogi – Kocham cię! Zawsze znajdzie się miejsce dla jednego więcej. A Bóg z pewnością zadba o nasz byt.

Jimmy wycofał mikrobus z podjazdu. Chłopcy weszli do środka, żeby pojechać nim na nabożeństwo uliczne w getcie. Nicky podał rękę Glorii i pomógł jej wstać.

– Vamanos! Biegniemy. Czas pracować dla Jezusa!

Zbliżał się czas audycji i miałam właśnie wyjść ze swego gabinetu do mieszczącego się na drugim końcu korytarza radiowego studia, gdy wszedł Nicky Cruz. Rozejrzał się, aby się upewnić, że prócz nas nie ma nikogo w pokoju, zamknął drzwi i stanął w milczeniu przede mną zgarbiony, z rękami wepchniętymi głęboko w kieszenie. Jego twarz była niemal bez wyrazu, chociaż, gdy mu się uważnie przyjrzałam, zauważyłam oznaki tłumionych emocji.

– Proszę! – powiedział lakonicznie i powoli zaczął wyciągać ręce z kieszeni. Przez moment nie wiedziałam, czego mam się spodziewać!

Wówczas Nicky zaczął układać przede mną najdziwniejszy zbiór przedmiotów, jaki kiedykolwiek widziałam. Jeden po drugim kładł je na stole, wymieniając ich nazwy: domowej roboty pistolet, przerażająco wyglądającą parę żelaznych kastetów, wykładany kością nóż sprężynowy, dwa ołowiane ciężarki, pomysłowo przymocowane na końcu rzemienia, oraz „sprzęt”: igłę, zakraplacz i miseczkę z kapsli od butelki – nieodłączne instrumenty narkomana.

– To były narzędzia mojego rzemiosła – powiedział z oczyma błyszczącymi stanowczością. Popatrzył na stół i dotknął każdego z tych przedmiotów, jakby się z nimi żegnając. – Z nich żyłem. Od nich zależało moje życie. Ale nie potrzebuję ich już. Daję je Jemu.

Gdyby to było możliwe, włożyłby je w poranione gwoździami ręce Pana Jezusa. Dawał je mnie jako komuś w rodzaju powiernika. I teraz z kolei ja musiałam tłumić wzruszenie.

Wciąż jeszcze mam tę niezwykłą kolekcję i od czasu do czasu wyciągam ją, żeby przypomnieć sobie o Nicky Cruzie, i o tym, kim był wcześniej... a także o Bogu, którego miłosierdzie i łaska uczyniły z Nicky'ego tego, kim jest dzisiaj.

Kathryn Kuhlman
Pittsburgh, Pensylwania

Od Jamie Buckingham

Gdy zdecydowałem się na to przedsięwzięcie, Catherine Marshall zauważyła, że pisanie tego rodzaju książki jest jak ciąża. Będę musiał nosić to brzemię aż do rozwiązania. W tym przypadku nie tylko ja miałem je nosić, ale i cała moja rodzina oraz Kościół Tabernacle Baptist, gdzie byłem pastorem. Moi parafianie odcierpieli wszystkie poranne mdłości, bóle porodowe, a nawet kilka fałszywych porodów. Zarówno jednak członkowie kościoła jak i rodzina, zdawali sobie sprawę z tego, że książka została poczęta z Ducha Świętego i pisana była wśród łez i modlitw, bo miała się ukazać dla Bożej chwały. Do czasu jej ukończenia wierni dali mi wolne od moich obowiązków duchownego, a kilkoro z nich z wielkim poświęceniem organizowało akcję przepisywania manuskryptu na maszynie.

Rodzicami chrzestnymi byli John i Tibby Sherrillowie oraz wydawcy czasopisma „Guidepost”. Sugestie i zaufanie Johna sprawiły, że podjąłem się tej pracy, a krytyczne uwagi Sherrillów pozwoliły nadać ostateczny kształt początkowo okrutnej, ale ogólnie rzecz biorąc pięknej historii Nicky’ego Cruza.

Prawdziwą lokomotywą tego przedsięwzięcia była Patsy Higgins, która zaofiarowała swe usługi ku chwale Boga. Żyła tą książką, była krytykiem i maszynistką, wykazując niezwykle talent do cięć i przeróbek, co można przypisać jedynie darowi od Boga.

Książka zaś przeczy jednej z podstawowych reguł literackiego rzemiosła: opowieść urywa się bez eleganckiego zakończenia. Ilekroć rozmawiałem o tym z Nickym, opowiadał mi jakieś fantastyczne nowe zdarzenie ze swego życia. Ale to już był materiał na następną książkę, a może nawet na kilka książek. „Uciekaj mały, uciekaj”, pozostaje możliwie najwierniejszą opowieścią dwudziestu dziewięciu lat życia młodego człowieka, który najwspanialsze dni ma wciąż jeszcze przed sobą.

*Jamie Buckingham
Eau Galie, Floryda*

Od autora strony

Dlaczego powstała strona promująca książkę „Nicky Cruz opowiada”? Bo tak jak Nicky Cruz, ja również nie znałem Bożej miłości, a im więcej jej szukałem tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że ona nigdy nie istniała... Zdaję sobie sprawę, jak trudno uwierzyć w to, że Bóg zmienił Nicky Cruza, ale to prawda... Bóg dzisiaj ma moc zmienić życie każdego człowieka!

Dlaczego ta książka do Ciebie trafiła? Ponieważ Bóg bardzo Cię kocha! Bóg posyła swoje dzieci, aby przypominały światu, że On istnieje, że kocha każdego człowieka, że istnieje prawdziwa radość i sens życia!

Celem moim nie jest namawianie Cię do jakiegokolwiek wyznania czy kościoła. Moim celem jest to, abyś właśnie dzięki tej książce uwierzył w Boga z całego serca. Nieważne czy uczęszczasz do kościoła, czy nie. Nie ma na świecie kościoła, który zapewniłby Ci zbawienie! Tylko Twoja osobista relacja z Bogiem ma moc to uczynić. Dlatego ważne jest abyś każdego dnia miał z Nim osobistą relację, abyś poznawał Go poprzez Biblię oraz w modlitwach mówił Mu o swoich problemach. A On zmieni Twoje życie... tak jak zmienił życie Nicky'ego... tak jak zmienił życie milionów ludzi na świecie!

Jeżeli jednak odrzucasz Boga, to wiedz, że On nadal będzie Cię kochał. Nawet gdybyś był największym wrogiem Boga tu na ziemi, to On jednak zawsze będzie Cię kochał i czekał na Twój powrót...

Ja nie znam Twojego serca. Być może nie jesteś dziś gotowy uwierzyć w Jezusa z całego serca. Być może nie jesteś gotowy poprosić Go, aby stał się Twoim Panem i Zbawicielem. Jednak mam dla Ciebie dobrą nowinę - Biblia mówi, że nawet gdybyś całe życie żył bez Bogu, ale na łożu śmierci wyznasz szczerze: „Boże przebac mi wszystkie moje grzechy, obmyj mnie swoją świętą krwią, wejdź do mojego serca i bądź moim Panem i Zbawicielem” - to będziesz zbawiony. Dla Boga liczy się szczerota Twojego serca i żal za grzechy a nie Twoje upadki. To nie uczynki zapewnią Ci niebo, tylko szczerota wiara w Jezusa! Zastanów się jednak, czy będziesz miał okazję wyznać te słowa na łożu śmierci? Pomyśl o tym jak kruche jest życie? Dziś żyjesz, ale czy masz pewność, że ujrzysz następny dzień?

Zapraszam również do przeczytania książki – „Krzyż i sztylet”. Jest to historia Nicky'ego, napisana z punktu widzenia Davida Wilkersona, człowieka którego Bóg posłał do Nowego Jorku, aby przekazał członkom gangów młodzieżowych wieść o tym, że Jezus żyje i ma moc wyzwolić z grzechu każdego, kto Mu zaufa. Jeżeli podobała Ci się książka „Nicky Cruz opowiada” to tym bardziej polecam „Krzyż i sztylet”. Książka jest w całości na poniższej podstronie:

http://nickycruz.ovh.org/krzyz_sztylet.html

Nicky Cruz w dalszym ciągu służy Bogu (ur. 1938) dlatego polecam również filmy i reportaże przedstawiające ewangelizację z udziałem Nicky Cruza na całym świecie, w tym również w Polsce. Są one dostępne na poniższej podstronie:

http://nickycruz.ovh.org/nickycruz_video.html

Jeżeli masz jakiegokolwiek pytania lub chcesz opowiedzieć o tym, jak historia Nicky'ego wpłynęła na Twoje życie to napisz na adres: yarekshalom@wp.pl

Od wydawcy polskiego

Dzięki książce „Krzyż i sztylet” Dawida Wilkersona, amerykańskiego małomiasteczkowego kaznodziei przejętego losem młodzieży żyjącej w betonowej dżungli Nowego Jorku lat pięćdziesiątych oraz zrealizowanemu na jej podstawie filmowi pod tym samym tytułem, z Patem Boonem w roli pastora Wilkersona, Nicky Cruz, nawrócony młodociany gangster, stał się znaną postacią.

W roku 1986 zorganizowano w naszym kraju kilka dużych spotkań ewangelizacyjnych z udziałem Dawida Wilkersona. Odbyły się one w miejscach publicznych, takich jak: krakowska Hala Wisły, katowicki Spodek, warszawski Torwar i wrocławska Hala Ludowa. Dwa lata później na podobnych spotkaniach mówcą był Nicky Cruz. Ten był szef okrutnego młodzieżowego gangu, po swoim nawróceniu i po jakimś czasie przygotowań i nauki, podjął posługę ewangelizowania. Zapraszano go, by przemawiał na spotkaniach dla młodzieży. Dzielił się tam świadectwem swojego nawrócenia i głosił Chrystusa. Jego autobiograficzna książka, napisana wspólnie z Jamie Buckinghamem, była już w tym czasie znana w naszym kraju. Pierwsze jej wydanie ukazało się w roku 1984 nakładem wydawnictwa Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego. Po raz drugi została wydana w roku 1992 przez Towarzystwo Krzewienia Etyki Chrześcijańskiej w Krakowie. Obecnie więc ukazuje się po raz trzeci. Tekst pierwszego jej wydania został zweryfikowany i na nowo zredagowany. Zmieniono też tytuł, poprzedni brzmiał: „Nicky Cruz opowiada”, obecny tytuł książki to: „Uciekaj mały, uciekaj”.

Oddając tę pozycję do rąk czytelników mamy nadzieję, że tak jak w latach osiemdziesiątych i później, pobudzi ona wielu do refleksji i zastanowienia się nad tym, kto jest jedynym źródłem prawdziwej miłości tak potrzebnej każdemu ludzkiemu istnieniu. I że za tą refleksją podążą decyzje i czyny. Zachętą może się stać przemiana zagubionego w betonowej dżungli portorykańskiego wyrostka, dziś 68-letniego mężczyzny, który nadal działa w służbie pomocy dzieciom ulicy.

Książkę w wersji drukowanej można zamówić, korzystając ze strony internetowej Instytutu Wydawniczego AGAPE - <http://www.agape.kz.pl/>

Tytuł: Uciekaj mały, uciekaj
Autorzy: Nicky Cruz i Jamie Buckingham

Stron 280,
Oprawa miękka,
Format 125x195
Cena 29,00 zł.